

KEN ALIBEK & 
STEPHEN
HANDELNAN

BIOHAZARD

PRZEŁOŻYŁ TOMASZ LEM
TYTUŁ ORYGINAŁU: BIOHAZARD

Mając na uwadze dobro całej ludzkości, dążyć będziemy do całkowitej eliminacji czynników bakteriologicznych oraz toksyn jako środków bojowych.

Jesteśmy przekonani, że ich stosowanie, powszechnie uważane za odrażające, wymaga podjęcia wszelkich środków zmierzających do zminimalizowania takiego ryzyka... Preambuła postanowień Konwencji o zakazie rozwoju, produkcji, składowania broni biologicznej i jej zniszczeniu (z 1972 roku)

Prolog

Na posępnej wysepce na Jeziorze Aralskim setka małych, w równych rzędach przykutych do pali, spogląda tam, gdzie przed chwilą rozległ się głuchy łomot. W oddali widać niedużą metalową kulę, która wirując, unosi się, aby po chwili opaść, czemu towarzyszy druga eksplozja.

Nad ziemią, na wysokości około dwudziestu metrów, chmura kolorem przypominająca ciemną musztardę zaczyna powoli opadać. Małe szarpia łańcuchy, krzyczą. Niektóre chowają głowy między nogi, ale jest już za późno - rozpoczęła się ich agonía.

Na drugim krańcu wyspy ludzie w ochronnych skafandrach spoglądają w dal przez lornetki i notują swe spostrzeżenia. Po kilku godzinach zbiorą konające zwierzęta i przeniosą do klatek, gdzie w ciągu następnych dni poddane zostaną szczegółowej obserwacji - dopóki nie zdechną z powodu zakażenia wąglikiem, tularemią, gorączką Q, brucelozą, nosacizną lub dzumą.

Nad badaniami tymi sprawowałem kontrolę w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych. Stanowiły one fundament pewnego przełomu i ogromnych sukcesów Związku Radzieckiego w dziedzinie broni biologicznych.

W latach 1988-1992 byłem pierwszym zastępcą szefa Biopreparatu, radzieckiej instytucji farmaceutycznej, której głównym

celem było opracowywanie broni, produkowanej z najgroźniejszych znanych człowiekowi wirusów, toksyn i bakterii. Biopreparat sprawował kontrolę nad niemal czterdziestoma tajnymi instytutami badawczymi w Rosji i Kazachstanie, w których opracowywano broń tego typu. W radzieckim programie broni biologicznych uczestniczyły niemal wszystkie ministerstwa: Obrony, Rolnictwa i Zdrowia, Akademia Nauk, Komitet Centralny KPZR i oczywiście KGB. System, jak często zwano Biopreparat, pod względem skuteczności przeszedł najśmielsze oczekiwania Kremla.

W ciągu dwudziestu jeden lat, jakie upłynęły od podpisania Konwencji o zakazie broni biologicznych, Związek Radziecki stworzył największy na świecie i najbardziej zaawansowany technologicznie program

badań nad bronią biologiczną. Byliśmy wprawdzie jednym ze stu czterdziestu sygnatariuszy konwencji i zobowiązaliśmy się „nie prowadzić badań, nie produkować i nie składować” środków biologicznych dla celów wojskowych, jednocześnie jednak, wcielając w życie tajny program, w pobliżu Moskwy i innych rosyjskich miast gromadziliśmy setki ton kontenerów z węglikiem oraz dziesiątki ton zarazków dżumy i ospy, które miały zostać wykorzystane przeciwko Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom.

To, co działo się w laboratoriach Biopreparatu, należało do najpilniej strzeżonych tajemnic zimnej wojny.

Zanim zostałem ekspertem od broni biologicznych, ukończyłem studia medyczne. Rząd, dla którego pracowałem, nie widział

sprzeczności pomiędzy przysięgą Hipokratesa a przygotowaniami do masowej zagłady i przez długi czas ja również jej nie dostrzegałem.

Przed dziesięciu laty byłem pułkownikiem armii radzieckiej, odznaczonym licznymi medalami, wytypowanym do kolejnego awansu w elitarnych programach wojskowych Związku Radzieckiego. Jeśli pozostałbym w Rosji, byłbym teraz generałem brygady i nigdy nie dowiedzielibyście się o moim istnieniu. Ale w 1992 roku, po siedemnastu latach w Biopreparacie, zrezygnowałem z dalszej pracy i wraz z rodziną uciekłem na Zachód. Podczas niezliczonych spotkań z amerykańskimi urzędnikami składałem wyjaśnienia, stanowiące pierwszy spójny opis naszej działalności. Jednak

większości spraw, które poruszyłem, nie ujawniono opinii publicznej.

Wraz z upadkiem Związku Radzieckiego groźba użycia naszej broni biologicznej zmalała. Biopreparat utrzymuje, że nie prowadzi już badań nad bronią zaczepną, a zapasy patogenów zostały zniszczone. Pomimo tych uspokajających oświadczeń niebezpieczeństwo ataku biologicznego w zasadzie wzrosło, ponieważ raz zdobyta wiedza nie stanowi tajemnicy dla dyktatorskich reżymów i terrorystów. Posiadanie broni biologicznej nie jest już ograniczone do dwubiegunowego świata z okresu zimnej wojny. Dzisiaj mają do niej dostęp inni, tym bardziej że jest tania i łatwa w użyciu. Niewykluczone, że w nadchodzących latach zagrożenie ze

strony takiej broni stanie się problemem naszego codziennego życia.

Odkąd opuściłem Moskwę, z przerażeniem dostrzegam niebywałą ignorancję w kwestiach związanych z bronią biologiczną. Niektórzy z najwybitniejszych zachodnich naukowców nie wierzą ani w możliwość takiego genetycznego zmanipulowania wirusów, by mogły stanowić niezawodną broń, ani nagromadzenia w strategicznych ilościach bakterii chorobotwórczych, ani też wreszcie w znalezienie skutecznej metody przenoszenia owego materiału, by zapewnić maksymalny zasięg jego rozprzestrzenienia. Wiedza i doświadczenie mówią mi, że naukowcy ci się mylą. Niniejszą książkę napisałem, żeby wyjaśnić, dlaczego tak uważam.

Z pewnością będą i tacy, którzy dojdą do wniosku, że poruszanie tego tematu może wywołać niepotrzebne niepokoje, nawet panikę. Liczy się jednak fakt, że środki obrony przed atakiem biologicznym, jakimi obecnie dysponujemy, są absolutnie nieadekwatne do skali zagrożenia. Kiedy terroryści uderzą, stosując taką broń - a jestem głęboko przekonany, że nastąpi to prędzej czy później - ignorancja opinii publicznej jeszcze spotęguje katastrofę.

Pierwszy krok zmierzający do zapewnienia bezpieczeństwa polegać musi na zrozumieniu istoty broni biologicznych - w przeciwnym razie będziemy tak bezbronni, jak mały na Jeziorze Aralskim.

Medycyna wojskowa

Kwatera Główna Armii Radzieckiej

Moskwa 1988

Zimą 1988 roku wezwano mnie do Kwatery Głównej Armii Radzieckiej, mieszczącej się w Moskwie przy ulicy Kirowa. Sprawa musiała być pilna, ponieważ głos w słuchawce z napięciem powiedział:

- Przygotowaliśmy dla was osobny pokój, pułkowniku.

Przy chodniku czekała już czarna wołga z włączonym silnikiem. Do samochodu podeszło dwóch ochroniarzy w futrzanych czapkach, nasuniętych na czoło dla osłony przed zimnem. Jeden otworzył przede mną drzwi i po chwili usiadł przy mnie, drugi zajął

miejsce z przodu, obok Sławy, mojego kierowcy, i polecił mu jechać szybko.

Jazda do Kwatery Głównej Armii Czerwonej trwała zazwyczaj około pół godziny, jednak tego dnia poranne opady śniegu przemieniły ulice w arktyczny krajobraz, kierowcy złorzeczyli na buksujące koła samochodów. Pulsujące niebieskie światło na dachu naszej wołgi kilkakrotnie zauważyli milicjanci z drogówki, którzy wstrzymywali ruch, żeby umożliwić nam szybszy przejazd.

Zanim znaleźliśmy się przed surowym, granitowym budynkiem Ministerstwa Obrony, minęła niemal godzina. Wszedłem bocznym wejściem i otrzepałem buty ze śniegu. Młodszy oficer zaprowadził mnie do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie otrzymałem przepustkę, a potem do

wartowni. Żołnierz uważnie mi się przyjrzał, obejrzał zdjęcie w dowodzie osobistym i przepuścił dalej.

Oficer zaprowadził mnie po schodach do pancernych drzwi z zamkiem cyfrowym. Wybrał kilka cyfr i po chwili ruszyliśmy długim korytarzem, prowadzącym do niezliczonych biur XV Zarządu Armii Radzieckiej, wojskowego oddziału naszego programu biologicznego.

Rozpiąłem podszytą futrem kurtkę z kapturem i usiłowałem opanować zdenerwowanie.

Choć byłem pułkownikiem, nigdy nie nosiłem munduru. Podobnie jak w wypadku innych członków personelu Biopreparatu, przykrywką mojej pracy była działalność naukowa. W związku z tym miałem dwa

dowody osobiste: według jednego byłem cywilnym pracownikiem Biopreparatu, drugi określał mój stopień wojskowy.

Przed rokiem, z żoną Leną i trójką dzieci, przeprowadziłem się do Moskwy, aby podjąć pracę w centrali Biopreparatu. Przenosiny do stolicy stanowiły ożywczą zmianę po skostniałych strukturach wojskowych na prowincji.

Trzynaście lat w tajnych laboratoriach i instytutach badawczych w najodleglejszych zakątkach Związku Radzieckiego nie przygotowało mnie jednak do zawrotnego tempa nowej pracy. Uczestniczyłem w zebraniach, odbywających się w kwaterze armii, na Kremlu, w KC KPZR, w licznych instytutach naukowych podlegających Biopreparatowi. Wiosną 1988 roku, kiedy zostałem zastępcą szefa Biopreparatu, musiałem zgłosić się do

lekarza, żeby pomógł mi w przezwyciężeniu stresów, związanych z pracą zawodową.

Generał dywizji Władimir Lebiedinski, dowódca XV Zarządu, spojrzał na mnie z wyrzutem, kiedy znalazłem się w jego gabinecie. Był pochłonięty rozmową z trzema pułkownikami, których nigdy przedtem nie widziałem.

- Już najwyższy czas - rzekł szorstko.

Zacząłem się tłumaczyć, że śnieg, korki na drodze, ale uciszył mnie gestem ręki.

Spośród wszystkich dowódców wojskowych, z jakimi miałem do czynienia, Lebiedinski był ostatnim, na spotkanie z którym chciałbym się spóźnić. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim w laboratorium w Omutninsku, położonym 960 kilometrów na wschód od Moskwy, dokąd trafiłem po

ukończeniu wojskowych studiów medycznych. Lebedinski miał do mnie ojcowski stosunek i wziął mnie pod swoje skrzydła. Wówczas sześćdziesięcioletni, u kresu wspaniałej wojskowej kariery, był jednym z nielicznych wyższych oficerów, którym nie przeszkadzał mój młody wiek. W wieku trzydziestu ośmiu lat, „przeskoczywszy” wielu starszych od siebie naukowców, zostałem najmłodszym zastępcą szefa Biopreparatu w historii. Wydawałem teraz rozkazy tym, z którymi współpracowałem w przeszłości - a oni nie kryli swego rozgoryczenia.

Lebedinski zwrócił się do pułkowników:

- Gotowi?

Skinęli głowami. Generał zaprowadził nas do sąsiedniego, dźwiękoszczelne-go pomieszczenia. Na dużym drewnianym stole

przed każdym krzesłem leżał przygotowany notes. Po chwili pojawił się ordynans z czterema szklankami herbaty. Lebedinski zczekał, aż ordynans wyjdzie, i dokładnie zamknął drzwi.

- Nie zostaję z wami - rzekł do mnie, widząc, że policzyłem szklanki.

Pułkownicy należeli do Grupy Biologicznej, jednostki Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego, której rola polegała na uzbrajaniu bombowców i pocisków raketowych w wytwarzaną przez nas broń. Wówczas po raz pierwszy zetknąłem się z przedstawicielami tej jednostki. W tamtym okresie Biopreparat każdego roku przygotowywał nowy rodzaj broni biologicznej. Większość czasu poświęcaliśmy na badania, niewiele

uwagi zwracając na ich późniejsze strategiczne rozmieszczenie.

Lebiedinski w kilku słowach wyjaśnił potrzebę zwołania nadzwyczajnego zebrania: na najwyższym szczeblu podjęto decyzję o uzbrojeniu SS-18 w głowice z bronią biologiczną.

- Musimy obliczyć, ile czasu trzeba na przygotowanie pocisków raketowych, aby były gotowe do startu. Spodziewam się, że nam w tym pomożecie.

Skinąłem głową, jakby było to uzasadnione życzenie. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że o gigantycznych pociskach raketowych SS-18, zdolnych do przeniesienia pięciuset kiloton na odległość 9600 kilometrów, nigdy dotąd nie mówiło się w kontekście ataku bronią biologiczną.

Kiedy w latach dwudziestych rozpoczęto radziecki program badawczy nad bronią biologiczną, nasi naukowcy na skrzydłach samolotów umocowywali urządzenia do opylania zbiorów, modląc się w duchu, żeby wiatr niosący zarazki nie powiał w niewłaściwym kierunku. Po drugiej wojnie światowej arsenał ten wzbogacono o bombowce z materiałami wybuchowymi. Zimna wojna sprzyjała rozwojowi coraz bardziej destrukcyjnych środków bojowych i w latach siedemdziesiątych możliwe stało się wykorzystywanie międzykontynentalnych pocisków balistycznych do przenoszenia pojedynczych głowic bojowych z bronią biologiczną. Większe wyzwanie stanowiły jednak pociski z wieloma głowicami. Tylko nieliczne substancje biologiczne, opracowane w naszych

laboratoriach, można by szybko rozmnożyć w odpowiedniej ilości, żeby jednocześnie wypełniły setki głowic bojowych.

Moja praca nad wąglikiem sprzed kilku lat najwidoczniej wzbudziła zainteresowanie naszych strategów. Żmudne badania przyczyniły się do powstania jeszcze silniejszej broni, co pozwoliło zredukować liczbę zarodników wąglika, niezbędnych do wywołania epidemii. Nowa metoda umożliwiała ponadto produkcję materiału bez przeciążania naszych laboratoriów. Posługując się językiem amerykańskich strategów nuklearnych, „za tę samą forszę mielibyśmy większy huk”.

Pułkownicy wypytywali mnie o praktyczne możliwości zastosowania mego odkrycia. Ich wiedza na temat mikroorganizmów

była dość skąpa, o pociskach raketowych wiedzieli jednak wszystko. Gdyby udało mi się dostarczyć patoge-ny w odpowiedniej ilości, oni skierowaliby uzbrojone w nie głowice na największe miasta Stanów Zjednoczonych i Europy.

Przeprowadziłem na kartce pospieszne obliczenia. Do wyposażenia dziesięciu głowic potrzeba około czterystu kilogramów węgliką w stanie suchym, który następnie rozpyła się jako aerozol.

Bakterie węgliką w specjalnych chłodniach znajdowały się w Penzie, Kurga-nie i Stepnogorsku. Aby dostarczyć odpowiednią ilość zarodników, miliardy komórek, obecne zapasy należałoby poddać powolnej fermentacji. Proces taki był skomplikowany i długotrwały. Pojedyncza dwudziestotonowa

kadź fermentacyjna, pracująca pełną mocą, mogłaby w ciągu dwóch dni wyprodukować porcję zarodników potrzebną do wypełnienia jednej głowicy. Stosując odpowiednie środki chemiczne, proces ten można by przyspieszyć, uzyskując dziennie od pięciuset do sześciuset kilogramów. Zakończyłem obliczenia i poprawiłem się na krześle.

- Biorąc pod uwagę liczbę kadzi fermentacyjnych, jakimi obecnie dysponujemy, zajęłoby to od dziesięciu do czternastu dni - powiedziałem.

Pułkownicy wyglądali na zadowolonych. Dwa tygodnie to okres dość krótki, nikt przecież nie spodziewał się, by nazajutrz miała wybuchnąć wojna.

Wojskowi nie powiedzieli mi, które miasta zostały wytypowane jako cel ataku

biologicznego, a ja nie zamierzałem o to pytać. Podczas kolejnych spotkań wymieniano między innymi Nowy Jork, Los Angeles, Seattle i Chicago, jednak w owym czasie były to dla mnie pojęcia abstrakcyjne. Zależało mi wyłącznie na tym, żeby wyprodukowane przez nas środki bojowe spełniły zadanie, do jakiego zostały stworzone.

Wstaliśmy od stołu, atmosfera rozluźniła się. Trzech z nas wyszło na korytarz, na papierosa. Już dawno przekonałem się, że w takich chwilach można się dowiedzieć więcej niż z lektury miesięcznej porcji notatek krążących po Systemie. Pułkownicy nagle stali się rozmowni.

Narzekali na naciski z góry; kiedy tylko zakończono reorganizację systemów

obronnych, nadchodziły następne instrukcje, wymagające kolejnych zmian.

Zwierzyłem się, że my również borykamy się z podobnymi problemami - wszyscy jednak czytamy gazety. Michaił Gorbaczow, wraz z zespołem samo-zwańczych reformat-orów, pełnym głosem nawoływał do zbliżenia z Zachodem. Żartowaliśmy sobie, że tajem-nice pierestrojki są nie do ogarnięcia dla zwykłych żołnierzy.

Nie przypominam sobie, abym choć przez chwilę zastanawiał się nad tym, że właśnie naszkicowaliśmy plan zagłady milionów ludzi.

Inkubacja węglika w organizmie trwa od jednego do pięciu dni. Dopóki nie wystąpią objawy, ludzie mogą nawet nie wiedzieć, że padli ofiarą ataku. Jednak nawet wówczas

rodzaj choroby nie będzie od razu oczywisty. Pierwsze symptomy - zatłakany nos, bóle stawów, wyczerpanie i suchy, męczący kaszel - przypominają zaziębienie albo grypę. Większość osób objawy takie uzna za zbyt błahe, aby szukać pomocy lekarskiej.

W początkowym stadium choroby zapalenie płuc, wywołane przez laseczkę wąglika, można leczyć antybiotykami. Jednak zaalarmowanie społeczeństwa w odpowiedniej chwili wymagałoby nadzwyczaj czujnego systemu opieki medycznej. Niewielu lekarzy potrafi rozpoznać tę chorobę, a błahość jej pierwszych objawów tym bardziej utrudnia postawienie trafnej diagnozy.

Symptomy choroby po kilku dniach ustępują, tym samym skrywając narastające zagrożenie. Bakterie atakują węzły chłonne i

w ciągu zaledwie kilku godzin zajmują cały układ limfatyczny. Stamtąd przedostają się do krwiobiegu, mnożąc się w zastraszającym tempie. Wkrótce zaczynają wydzielać toksynę atakującą wszystkie organy, szczególnie szkodliwą dla płuc, które powoli wypełniają się płynem, stopniowo ograniczając ilość dostarczanego organizmowi tlenu.

W ciągu dwudziestu czterech godzin od pojawienia się toksyn skóra chorego przybiera bladoniebieski odcień. W tym stadium każdy kolejny oddech jest coraz bardziej bolesny. Potem następuje napad duszności i konwulsje. Śmierć zazwyczaj nadchodzi nagle i niespodziewanie - niektóre ofiary wąglika umierały w trakcie rozmowy. Choroba jest śmiertelna w 90 procent nieleczonych przypadków.

Sto kilogramów sporów wąglika przy sprzyjających warunkach atmosferycznych jest w stanie uśmiercić do trzech milionów ludzi w dowolnym, gęsto zaludnionym obszarze. Jeden pocisk raketowy SS-18 mógłby zgładzić wszystkich mieszkańców miasta tak dużego jak Nowy Jork.

Wąglik nie był jedyną bronią zarezerwowaną dla SS-18. Kiedy po przerwie zasiedliśmy do stołu, przystąpiliśmy do rozważania innych wariantów.

W podobny sposób można by przygotować zarazki dżumy. Dżuma wyprodukowana w naszych laboratoriach była bardziej złośliwa niż postać morowa (dymienica morowa), której ofiarą padła jedna czwarta populacji średniowiecznej Europy. W podziemnych bunkrach na terenie naszych

obiektów wojskowych przechowywaliśmy też zapasy zarazków ospy. Pracowaliśmy ponadto nad prototypem nowej broni zawierającej rzadki filovirus, zwany Marburg, podobny do wirusa Ebola.

W ostatnim planie pięcioletnim, jaki otrzymaliśmy z Komisji Wojsko-Przemysłowej (WPK), mowa jest o trzystu nowych projektach badawczych. WPK koordynowała całą produkcję przemysłu zbrojeniowego Związku Radzieckiego. Pozwalało to na sprawowanie kontroli nad dwiema trzecimi wszystkich zakładów przemysłowych. Zarząd broni biologicznych, stanowiący odrębną instytucję, nadzorował postępy naszych prac, aż „produkt finalny” był gotów do przekazania

Ministerstwu Obrony, które określaliśmy mianem naszego „klienta”.

Spotkanie zakończyło się po godzinie spędzonej na obliczeniach. Zebraliśmy swoje dokumenty i pogratulowaliśmy sobie tak udanych rozmów. Wychodząc, zajrzałem do gabinetu Lebedinskiego, ale go nie zastałem. Żadnego z pułkowników nigdy więcej nie widziałem.

W drodze powrotnej do biura otworzyłem teczkę, żeby sporządzić kilka notatek. Ktoś zaglądnął przez okno samochodu, zobaczyłby marszczącego brwi, nieco otyłego biurokrate, zajętego sprawami swej ojczyzny.

Dziwne koleje losu sprawiły, że znalazłem się u szczytu władzy w Rosji - w kraju, który nie był moją ojczyzną. Mój pradziadek był chanem, urodził się w rodzinie możnych w

Azji Środkowej, w rejonie dzisiejszego Kazachstanu. Mnie jednak wychował system, w którym tylko Rosjanie mogli liczyć na przywileje. Wraz z żoną, córką i dwoma synami żyliśmy w warunkach niepojętych dla przeciętnego obywatela Związku Radzieckiego. Pobory urzędnika wyższego szczebla w połączeniu z pensją wysokiego oficera sprawiały, że zarabiałem tyle, ile radzieccy ministrowie. W systemie komunistycznym pieniądze nie są jednak miarą bogactwa. Liczy się szczególny status, dający liczne przywileje oraz wpływy w rzekomo egalitarnym społeczeństwie.

Samochód skręcił w ukrytą bramę, prowadzącą do biur Biopreparatu przy ulicy Samokatnej. Zacząłem przygotowywać się do całodziennego pracy. Po pospiesznym posiłku

zasiądę za biurkiem, gdzie jak co dzień czekała mnie góra notatek i dokumentów. Wołga minęła betonowy mur i zatrzymała się na niewielkim podwórzu. Schowałem notatki do aktówki i pożegnałem się ze Sławą.

Sława nigdy nie dał po sobie poznać, że się domyśla, co dzieje się na zebraniach, na które mnie woził, a ja nigdy mu się nie zwierzałem. Ostrzegano nas przed gadatliwością w obecności pracowników niskiego szczebla. Przypuszczałem jednak, że wyciągał wnioski, choćby z zasłyszanych strzępków rozmów.

- Czy później będziecie mnie potrzebowali? - spytał.

- Dopiero wtedy, kiedy będę wracał do domu - odparłem. - Dziś pewnie znowu się spóźnię.

Moskiewska kwatera Biopreparatu, czyli Zarząd Główny, podległy Radzie Ministrów ZSRR, bo tak brzmiała oficjalna (i nie niemówiąca) nazwa tej instytucji, strzegł swych tajemnic za fasadą żółtego budynku krytego zielonym dachem, który w XIX wieku należał do kupca Piotra Smirnoffa, wzbogaconego na handlu wódką. W dawnej i obecnej funkcji budynku można było się dopatrzeć pewnego podobieństwa: żaden obcy najeźdźca nie zrujnował zdrowia Rosjan bardziej niż produkty Smirnoffa.

Samokatna jest tak wąska, że przeoczyć mógłby ją nawet przechodzień, idący nabrzeżem Jauzy w miejscu, gdzie wpada ona do płynącej w stronę Kremla Moskwy. Przy naszej uliczce stało jeszcze pięć domów, wiosną i latem skrywanych przez stare

drzewa, uliczce na szczęście niebudzącej zainteresowania komunistycznych planistów. Nawet zimą Samokatna była spokojna i zaciszna, czym odróżniała się od okolicznych podupadłych osiedli, fabryk i cerkwi.

Przed trzema wiekami była to tak zwana dzielnica niemiecka. Tylko tutaj cudzoziemcy (określani mianem Niemców, bez względu na narodowość) mieli prawo osiedlać się i pracować - w bezpiecznej odległości od Rosjan, którym mogliby zaszczerpić obce idee, a jednocześnie na tyle blisko, aby carowie korzystali z ich wiedzy i umiejętności.

Któregoś dnia przed naszym budynkiem zatrzymał się samochód amerykańskiej ambasady. Strażnicy KGB zza szyb obserwowali Amerykanów, którzy zaglądali przez płot i po

chwili odjechali. Mówiło się o tym przez wiele dni.

Sawa Jermoszyn, dowódca jednostki KGB opiekującej się naszym budynkiem, był w owym czasie jednym z moich najbliższych przyjaciół. Powiedział mi wówczas, że nie ma się czym przejmować. Jednak przez kilka następnych tygodni środki bezpieczeństwa były przestrzegane jeszcze pilniej niż zazwyczaj.

Po marmurowych schodach, stanowiących jeden z nielicznych ocalałych detali architektonicznych, udałem się na piętro, gdzie mieściło się moje biuro. W centrali, wraz z laborantami i personelem administracyjnym, pracowało niemal 150 osób. Panowała tam jednak atmosfera ciszy i skupienia.

Marina, moja trzydziestoletnia sekretarka, była zażywną kobietą, sprawnie wypełniającą swoje obowiązki. Niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy powiadomiła mnie, że przyszedł już Jurij Kalinin, dyrektor Biopreparatu i mój bezpośredni zwierzchnik.

Marina i Tatiana, sekretarka Kalinina, pracowały w pomieszczeniu łączącym nasze biura. Kobiety od dawna nie znosiły się z powodu jakiejś dawnej sprzeczki i rzadko ze sobą rozmawiały. Kiedy chciałem spotkać się z Kalininem, musiałem zwracać się do Tatiany bezpośrednio. Tym razem jednak nie skorzystałem z jej pośrednictwa. Zapukałem do drzwi, szorstki głos powiedział „wejść”.

Generał brygady Jurij Tichonowicz Kalinin, szef Zarządu Głównego i wiceminister

przemysłu medycznego i mikrobiologicznego, siedział za olbrzymim zabytkowym biurkiem. Zza ciężkich, zaciągniętych zasłon przedostawało się niewiele światła i w gabinecie panował półmrok. Na ścianie wisiało zdjęcie Mi-chaiła Gorbaczowa, w rogu stał szary sejf.

Kaszlnąłem, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- I co? - spytał, nie podnosząc wzroku.

- Zebranie na Kirowa trwało nieco dłużej, niż się spodziewałem. Chciałem się zameldować.

- Ciekawe? - Generał nigdy nie używał dwóch słów, gdy wystarczało jedno. Kiedy byłem w jego gabinecie po raz pierwszy, jeszcze jako młody kapitan, na ścianie wisiało zdjęcie Leonida Breżniewa. Z biegiem lat

portrety się zmieniały. Pojawił się Andropow, potem na krótko Konstantin Czernienko, co stanowiło odzwierciedlenie przyspieszonej sukcesji schorowanych kremlowskich przywódców na początku lat osiemdziesiątych. O ile wiem, Kalinin nie miał żadnych poglądów politycznych, dobry był każdy przywódca. Do władzy odnosił się z najwyższym szacunkiem.

Zacząłem opowiadać o planach związanych z wykorzystaniem SS-18, ale najwyraźniej już o tym wiedział. Widocznie zatelefonował do niego Lebiedinski.

- Wiedziałem, że sobie z tym poradzicie - stwierdził i gestem wskazał drzwi. - Z powrotem do pracy, tak?

Jak zwykle wyszedłem z przeświadczeniem, że w tym tajemnym świecie istnieją sfery, do których nigdy nie będę miał

dostępu. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że Kalinin celowo roztaczał wokół siebie atmosferę wszechwiedzy, aby tym sposobem umocnić autorytet zwierzchnika.

Kalinin szybko awansował w wojskowych strukturach, odpowiedzialnych za opracowywanie nowych broni chemicznych - niektórzy uważali, że dzięki małżeństwu z właściwymi kobietami - nie był jednak naukowcem, lecz inżynierem. Porywczy, podejmował błyskawiczne, niekiedy zaskakujące decyzje - na przykład w taki właśnie sposób sprowadził mnie do Moskwy. Chcąc nie chcąc, podziwiałem go. W szarym biurokratycznym świecie wyróżniał się niczym arystokrata.

Szczupły i wysoki, ubierał się elegancko, a importowane garnitury musiały kosztować go więcej, niż zapewniała nawet generalska

pensja. Jego drugą żoną była córka generała broni; mieszkali w dzielnicy zwanej żartobliwie przez moskwian Carskim Siołem, jako że osiedli tam głównie dostojnicy państwowi.

Kalinin nie palił i rzadko pijał alkohol, czym zdecydowanie odróżniał się od swych towarzyszy, i jak na rosyjskiego pięćdziesięciolatka był w znakomitej formie fizycznej. Dbął o modne fryzury, a wysokie kości policzkowe i orli nos upodabniały go do rosyjskiego szlachcica.

Kobiety szalały za nim, w biurach bezustannie krążyły plotki o jego romansach. Któregoś wieczora zapukałem do jego gabinetu i ujrzałem generała i Tatianę pośpiesznie poprawiających ubrania. Później nigdy nie wspominaliśmy o tym incydencie.

Podwładnym Kalinina płci męskiej nie było dane zaznać jego uroku, który tak urzekał kobiety. Niekiedy ośmielałem się prosić go o okresowe zwolnienie dla jakiegoś naukowca czy laboranta, który miał kłopoty osobiste. Kalinin zawsze odmawiał.

- Widzę, że zostaliście niańką! - podnosił głos i nakazywał mi powrócić do swoich obowiązków.

Nawet po najkrótszym spotkaniu z Kalininem z ulgą wracałem do swego gabinetu. Pracowałem w dużym pokoju, z wysokim sufitem, za oknem roztaczał się widok na nabrzeżny park. Dębowe biurko, które odziedziczyłem po moim poprzedniku, zajmowało niemal połowę przestrzeni. Stały na nim symbole mej władzy: pięć telefonów. W Związku Radzieckim status urzędników

najlepiej oddaje liczba telefonów - świadczy to o sprawowaniu władzy w wielu dziedzinach naraz. Miałem nawet „kremlówkę”, mały biały telefon, łączący najwyższych dostojników państwowych, od sekretarza generalnego partii komunistycznej aż po „zwykłych” ministrów.

Przedmioty osobiste, takie jak zdjęcia rodziny, były zakazane w gabinetach pracowników najwyższych szczebli, wobec tego rozwiesiłem na ścianach portrety rosyjskich naukowców: Dmitrija Mendelejewa - twórcy okresowego układu pierwiastków, Nikołaja Pirogowa - dziewiętnastowiecznego pioniera chirurgii wojskowej, oraz profesora Ilji Miecznikowa - mikrobiologa, który odkrył fagocytozę i prowadził badania nad zjawiskiem odporności.

Pragnąłem identyfikować się ze wspaniałym naukowym dziedzictwem Rosji. Obiecywałem sobie, że któregoś dnia powrócę do badań podstawowych albo medycyny.

Jedynym świadectwem mego wykształcenia były książki z zakresu mikrobiologii, biochemii i medycyny.

W kącie stał zachodni komputer. Nigdy go nie używałem, stanowił jedynie kolejne świadectwo szczególnego uprzywilejowania w państwie, w którym zabronione było posiadanie zwykłej kopiarki. Wolałbym telewizor lub radio, jednak KGB zakazał umieszczania ich w biurach pracowników wysokiego szczebla. Nasi szefowie od bezpieczeństwa utrzymywali, iż wywiad zachodni działa tak wyszukanymi metodami, że szczegóły tajnych rozmów potrafi odtworzyć nawet na

podstawie obserwacji wibracji szkła kinoskopu. Argumentacja ta jakoś do mnie nie trafiała: w takim razie dlaczego nie zakazywano posiadania komputerów?

KGB pracował sumiennie, niekiedy posługując się niezrozumiałą logiką. Raz w miesiącu oficerowie bezpieczeństwa wypraszaali z biurowych pomieszczeń szefów laboratoriów oraz wydziałów i przeprowadzali gruntowne poszukiwania urządzeń podsłuchowych. Niektórzy pracownicy przypuszczali, że KGB w rzeczywistości kontrolował stan sprzętu nagrywającego nasze rozmowy.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy pod stałą obserwacją, nikt jednak nie podawał w wątpliwość zasadności tych środków bezpieczeństwa. Prowadziliśmy

potajemną walkę z nieprzyjacielem, który, jak nam mówiono, nie cofnie się przed niczym. Kiedy Amerykanie przystąpili do budowy bomby atomowej, skryli się za podobną zasłoną tajemniczości. A my wierzyliśmy, że Biopreparat jest właśnie naszym „programem atomowym”.

W drzwiach pojawiła się Marina z plikiem notatek.

- Ktoś z biura Jermoszyna chce się z wami widzieć - powiedziała. Próg przekroczył młody oficer KGB. Zaczekał, aż sekretarka wyjdzie.

- O co chodzi? - spytałem, choć wiedziałem, co teraz nastąpi.

Wszyscy podtrzymywaliśmy fikcję, że skoro sekretarki nie wiedzą, czym się zajmujemy, w ich obecności nie można mówić

o „tajemnicach”. Oficer wręczył mi teczkę oraz wiadomość od Jermoszyna.

- Materiały z drugiego piętra - przeczytałem w pośpiechu spisana notatkę. Na drugim piętrze mieściła się instytucja odpowiedzialna za ochronę tajnych danych i łączność z jednostkami Biopreparatu w całym kraju. Oprócz oficerów bezpieczeństwa dostęp do tych pomieszczeń miałem tylko ja i Kalinin. Pieczę nad nimi sprawował KGB.

Niekiedy sam wchodziłem na górę. Po pierwsze, było to jedyne miejsce w budynku, gdzie można było skopiować dokumenty. Tylko komórka KGB posiadała kopiarkę. Po drugie, była to dobra okazja do nieformalnych rozmów z Jermo-szynem. Przed kilkoma dniami nasze rodziny spotkały się w czasie weekendu.

Przejrzałem dokumenty. Oficer pozostał w moim gabinecie - był to jego obowiązek. Były tam podania o dostawy z jednego z naszych laboratoriów na Syberii, wiadomość o pilnym popołudniowym spotkaniu na Kremlu oraz informacje o niegroźnym wypadku w laboratorium w zachodniej Rosji, który wywołał spór pomiędzy lekarzami z Ministerstwa Zdrowia, domagającymi się kwarantanny zakażonych pracowników, a pewnym generałem, wyrażającym odmienne zdanie. Generał utrzymywał, że kwarantanna jest niepotrzebna i mogłaby podburzyć zespół. Wśród notatek były także najświeższe raporty znad Jeziora Aralskiego, dotyczące prób przeprowadzanych na tamtejszym poligonie.

Wyspa Odrodzenia

Jeziro Aralskie 1982

Rosyjska legenda mówi, że przed dziesięcioma wiekami nad brzegami Morza Czarne-go znajdowało się tajemnicze królestwo Tmu Tarakan. Nazwę tę tłumaczono różnie, jako „Miejsce Ciemności” albo „Królestwo Karaluchów”. Dzisiaj moskwianie posługują się tym wyrażeniem, kiedy pragną opisać cel, który jest równie obmierzły, jak odległy.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w kwietniu każdego roku zespół naukowców Biopreparatu udawał się do miejsca, które żartobliwie nazywaliśmy Tmu Tarakan. Wyspa Odrodzenia znajduje

się 3700 kilometrów na południe od Moskwy. Nasze zespoły, zakwaterowane w wojskowych koszarach, spędzały tam od czterech do pięciu miesięcy, aby badać skuteczność najnowszych broni biologicznych.

Wyspa Odrodzenia jest drobinką o kształcie łezki, położoną na Jeziorze Aralskim, stanowiącym granicę pomiędzy Uzbekistanem a Kazachstanem. Wysepkę, od kazachskiego brzegu oddaloną o osiemdziesiąt kilometrów, otaczają wody tak zanieczyszczone przez nawozy sztuczne i ścieki, że stanowi ona zaprzeczenie swej nazwy. Jej jedynymi całorocznymi mieszkańcami są jaszczurki.

Rozmowy na temat działalności prowadzonej na wyspie były surowo zakazane;

naukowcy nie mieli prawa zwierzać się rodzinom, co tam robią i w jakim celu.

Sześć podupadłych budynków służyło za kwaterę, a w pobliskich koszarach mieszkało niekiedy do 150 osób: naukowców, laborantów oraz żołnierzy odpowiedzialnych za przywiązywanie zwierząt i wystrzeliwanie w powietrze pocisków z ładunkiem biologicznym. W pobliżu wybudowano tajne lądowisko, jednak starano się z niego korzystać jak najrzadziej. Kiedy w kwietniu przybyły pierwsze zespoły, piaszczystą ziemię pokrywała cienka warstwa zielonej trawy. W czerwcu ze zwiędłych roślin pozostały jedynie brązowe pędy. Wytchnienie od nieznośnych upałów przynosił wiatr z pustynnych stepów. Nie było śladu ptaków, a kurz osiadał wszędzie, wnikając we wszystko: ubrania,

włosy, oczy, trafiał do klatek ze zwierzętami, żywności i notatników naukowców.

Jeziro Aralskie, pod względem wielkości niegdyś czwarty śródlądowy zbiornik wodny Ziemi, kurczy się co roku, odkąd w latach sześćdziesiątych radzieccy planiści niefortunnie zdecydowali o przekształceniu aralskich rzek w betonowe kanały irygacyjne. Miały one przemienić region w okręg bawełniany, jednak po pierwszych rekordowych zbiorach pustynna gleba wyjałowiała, a mieszkańcy do dziś ponoszą tego konsekwencje. Rzeki zamuliły się, a bezustannie przetaczające się po niebie chmury toksycznych soli przyczyniły się do powstania regionu, w którym wskaźnik zachorowań na nowotwory należy do najwyższych na świecie.

My także na swój sposób dokładaliśmy się do niezliczonych tragedii ekologicznych tych okolic.

W 1972 roku dwóch mężczyzn zmarło w wyniku nieprzewidzianej zmiany kierunku wiatru, który chmurę z zarazkami dżumy skierował w stronę ich rybackiej łodzi. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wśród populacji gryzoni na obszarach położonych na północ od poligonu doświadczalnego zaobserwowano nadzwyczaj częste występowanie dżumy. Po upadku Związku Radzieckiego pod koniec 1991 roku lekarze donosili o epidemiach dżumy, wybuchających w różnych rejonach Azji Środkowej. Nie można udowodnić, czy miało to bezpośredni związek z naszymi działaniami, jednak wydaje się to wysoce prawdopodobne.

Wojskowy XV Zarząd, sprawujący pieczę nad Wyspą Odrodzenia, posiadał całoroczne stanowisko dowodzenia w Aralsku, najbliższym ośrodku miejskim na stałym lądzie. W przeszłości miasteczko było portem rybackim, jednak kurczące się morze porzuciło je, niczym wrak statku, sto kilometrów od brzegu. Kiedyś dobrze prosperowały tu liczne zakłady przetwórstwa rybnego, ale z czasem Aralsk zaczął usychać, podobnie jak oddalające się jezioro, od którego pochodziła jego nazwa.

Mawialiśmy niekiedy, że najszcześliwszymi obywatelami Związku Radzieckiego były małpy skazane na śmierć na Wyspie Odrodzenia. Karmiono je pomarańczami, bananami i innymi świeżymi owocami, rzadko widywanymi przez obywateli radzieckich.

Nasze grupy badawcze mogły tylko z dala przyglądać się tej obfitości. Każdy owoc był pieczołowicie zinwentaryzowany i strzeżony, aby w naukowcach nie zrodziła się choćby najmniejsza pokusa. Niechętnie przyjmowaliśmy do wiadomości, że obiekty naszych badań aż do ostatniego tchu powinny być w jak najlepszej formie, podczas gdy naukowcy, którzy musieli zadowalać się racjami zimnej owsianki i tłustej kielbasy, nie byli aż tak ważni.

Członkom naszych zespołów powodziło się jednak znacznie lepiej niż okolicznym mieszkańcom. Naukowcy, wybierający się do miasteczka w celu uzupełnienia zapasów, byli zdumieni widokiem lepianek, brakiem bieżącej wody. Niedożywienie i żółtaczka były na porządku dziennym.

Tę nędzę widział każdy, kto choć raz odbył podróż po prowincji Związku Radzieckiego, zawsze jednak doprowadzało mnie to do wściekłości. Urodziłem się setki kilometrów stąd, w miejscu innego nieudanego rolniczego eksperymentu, w południowym Kazachstanie. Wszyscy Kazachowie wiedzą, że pieniądze, wydane przez Związek Radziecki na programy wojskowe, mogłyby wyżywić i zapewnić godne życie tysiącom mieszkańców takich miasteczek jak Aralsk. Jednak w tamtych czasach nigdy nie odważylibyśmy się czegoś takiego powiedzieć.

Po zakończeniu eksperymentów niewielka społeczność naukowców oczekiwała nocy przepelnionych śmiertelną nudą. Raz czy dwa razy w tygodniu za pomocą starego

projektora, napędzanego jedynym generatorem, jakim dysponował obóz, wyświetlano sentymentalne radzieckie filmy wojenne. Najpopularniejszą rozrywką na wyspie był alkohol. Nie mieliśmy wprawdzie wódki, jednak różne przedsiębiorcze osoby wystarały się o odpowiedni zapas butelek ze spirytusem. Niektórzy zbyt chętnie szukali takiej pociechy - alkoholizm wśród badaczy stanowił chroniczny problem naszych ekspedycji.

Drugą najpopularniejszą rozrywką był seks. Naukowcy rzadko utrzymywali kontakty towarzyskie z żołnierzami, przeważnie młodymi rekrutami, natomiast w zespołach Biopreparatu często trafiały się młode laborantki. Połączenie samotności z nudą dało początek niezliczonym romansom oraz plotkom, które dodawały pikanterii

zazwyczaj sucho brzmiącym raportom przesyłanym do Moskwy. Zakończeniu okresu badań nieodmiennie towarzyszyły wieści o czyimś rozwodzie lub ciąży, z której po powrocie trudno się było wytłumaczyć.

Misje te odpowiadały osobom, które nie miały nic przeciwko przymusowym wakacjom od żon, kochanek czy dzieci; jednak monotonia i bezsenne noce sprawiały, że dla większości stresująca praca w laboratorium nagle okazywała się zajęciem atrakcyjnym. W Moskwie liczył się tylko nieprzerwany strumień raportów, uzasadniający potrzebę naszego istnienia.

W czasach kiedy w USA prowadzono badania nad bronią biologiczną, amerykańscy naukowcy ograniczali się do stosowania takich zarazków, które można

zwalczyć antybiotykami albo uodpornić się na nie za pomocą szczepień ochronnych. Zasada ta wynikała z troski o własnych żołnierzy w razie potencjalnych wypadków. Natomiast rząd radziecki zdecydował, że najlepsze będą te czynniki chorobotwórcze, przed którymi nie potrafimy się obronić. Takie wytyczne określiły kierunek rozwoju badań i skłoniły nas do niekończącego się wyścigu z postępującą medycyną. Za każdym razem, kiedy pojawiała się nowa szczepionka lub nowa metoda leczenia danej choroby, udawaliśmy się do laboratoriów, żeby głowić się, jak kurację uczynić nieskuteczną.

Handel bakteriami i wirusami był wówczas legalny, podobnie jak dzisiaj. Pod przykrywką badań naukowych nasi agenci bez trudu kupowali szczepy bakteriiif od

uniwersyteckich laboratoriów badawczych i biotechnologicznych firm na całym świecie. Przedstawiciele radzieckich organizacji naukowych i handlowych w Europie, Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej mieli obowiązek poszukiwania nieznanymi chorob lub odmian istniejących. Na przykład zdobyty przez nas wirus Machupo, wywołujący boliwijską gorączkę krwotoczną, pochodził ze Stanów Zjednoczonych. Natomiast wirusy Marburga, spokrewnione z wirusem Ebola, uzyskaliśmy w Niemczech.

Najpewniejszym dostawcą materiału był KGB, w Biopreparacie nazywany niekiedy „pierwszą agencją zdobywczą”. Do Rosji niemal co miesiąc przyjeżdżały fiolki, zawierające egzotyczne płyny, proszek czy kultury bakterii, zebrane przez naszych agentów w

najodleglejszych zakątkach świata. Przesyłane do Moskwy pocztą dyplomatyczną, otwierane były przez laborantów Biopreparatu z najwyższą ostrożnością. Kiedy pracowałem w prowincjonalnych instytutach, często otrzymywałem rozkaz odbierania takich przesyłek, zawsze w asyście dwóch uzbrojonych strażników.

Nie wolno nam było podróżować samolotem. Konsekwencje wypadku, o jaki niestety przy starzejących się samolotach Aeroflotu, stanowiły zbyt poważne zagrożenie. Ubrani po cywilnemu jeździliśmy w zatłoczonych, cuchnących wagonach pasażerskich, starając się nie wzbudzić podejrzeń.

W połowie lat osiemdziesiątych wszystkie podlegające Biopreparatowi laboratoria,

instytuty naukowe i zakłady produkcyjne pracowały pełną parą. Co miesiąc pojawiały się nowe czynniki chorobotwórcze, nowe szczepy wirusów, bakterii oraz metody ich rozpraszania w powietrzu, które należało przetestować. Prowadziliśmy nawet badania nad AIDS i legionelozą. Jednak żadna z tych chorób nie okazała się skuteczna czy to na polu walki, czy w ataku na ludność cywilną. Po przebadaniu pewnego szczepu wirusa AIDS ze Stanów Zjednoczonych uznaliśmy, że długi okres inkubacji choroby czyni go niezdatnym do zastosowań wojskowych.

Większe sukcesy odnosiliśmy w wypadku „tradycyjnych” czynników chorobotwórczych.

W 1980 roku Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła wyeliminowanie

ospy, najbardziej zaraźliwej choroby znanej człowiekowi. Ostatni przypadek jej wystąpienia zanotowano w 1977 roku. Społeczność lekarska uważa potencjalne zagrożenie wynikające ze szczepień ochronnych za dość znaczne, toteż obecnie w Stanach Zjednoczonych szczepionki przeciwko ospie są niedostępne, jeśli nie pracuje się w laboratorium lub w wojsku. To właśnie było powodem, dla którego ospa znakomicie nadawała się do zastosowań militarnych. Choć oficjalnie posiadaliśmy jedynie niewielką ilość wirusa ospy w moskiewskim Instytucie Wirusologii Iwanowskiego (drugie laboratorium, w którym legalnie przechowuje się ospę, znajduje się w Stanach Zjednoczonych), tony zarazków rozmnażaliśmy w tajnym laboratorium w Zagorsku (obecnie Siergijew Posad),

słynącym z Ławry Troicko-Siergijewskiej, oddalonym od stolicy o pół godziny jazdy samochodem. W Zagorsku dotąd eksperymentowaliśmy z kulturami, aż udało nam się wyhodować odpowiedni materiał do zastosowań bojowych. Wówczas ospa bez rozgłosu została dołączona do naszego arsenału.

W latach osiemdziesiątych w Związku Radzieckim opracowywano tak wiele rodzajów niekonwencjonalnych broni, że aby nad wszystkimi zapanować, stworzono specjalny kod, służący do ich określania. Na przykład słowa zaczynające się na literę F, przypisane były broniom chemicznym („Foliant”) i środkiem psychotropowym biologicznym oraz chemicznym („Flet”).

Litera L oznaczała broń bakteriologiczną. Aby zataić, nad czym pracowaliśmy, każdej chorobie przypisano odpowiedni skrót. L1 oznaczało dżumę, L2 tularemię, L3 brucelozę, L4 wąglika, L5 nosaciznę, L6 melioidozę i tak dalej. Broń zawierająca wirusy zaczynała się od litery N. Na przykład skrót NI oznaczał ospę, N2 wirus Ebola, N3 Marburg, N4 Machupo.

Kapryśne zachowanie mikroorganizmów sprawia, że wielu ekspertów kwestionuje stosowanie ich jako broni. Jeden z podstawowych problemów polega na odpowiednim rozpyleniu, aby nie straciły swoich właściwości chorobotwórczych i żeby zaatakowały wyznaczony cel.

W ciągu wieków armie często uciekały się do prymitywnych sposobów szerzenia zarazy.

Rzymianie zatrawali studnie nieprzyjaciela, żeby skazić wodę pitną. W XVIII wieku toczący wojny z Indianami Francuzi obdarowywali ich kocami z zarazkami ospy. Konfederaci podrzucali zwierzęce truchła do stawów przy szlakach, na których spodziewali się unionistów, natomiast podczas drugiej wojny światowej japońskie samoloty zrzucały nad Mandzurią porcelanowe bomby wypełnione miliardami pcheł zarażonych dżumą.

Ludzie najskuteczniej zarażają się poprzez wdychane powietrze, jednak trudno coś takiego osiągnąć. Radzieccy naukowcy połączyli wiedzę zdobytą dzięki powojennym badaniom biochemicznym i genetycznym ze współczesną inżynierią, stwarzając tak zwaną „broń aerozolową” - zawieszona w powietrzu

cząsteczki, podobne do sprayu przeciwko owadom, czy też drobny pył przypominający puder.

Sukces ataku bronią aerozolową uzależniony jest od warunków atmosferycznych. Bakterie i wirusy zazwyczaj wykazują wrażliwość na światło słoneczne i w ultrafiolecie giną dość szybko. Obfite opady deszczu lub śniegu, porywisty wiatr i wysoka wilgotność powietrza zmniejszają ich skuteczność.

Takie przeszkody komplikują stosowanie broni biologicznej, można je jednak przezwyciężyć. Specjalista wie, że zaatakować należy o zmroku, w czasie kiedy warstwa zimnego powietrza przykrywa powietrze cieplejsze, co zapobiega rozproszeniu cząstek przez prądy atmosferyczne. Zarazki umieszczaliśmy w niewielkich metalowych

kulach o wielkości melona, zwanych „bombkami”, które wybuchać miały kilkanaście kilometrów (pod wiatr) od celu. Wystrzelenie pocisków na wiele miast równocześnie z maksymalną skutecznością wymagałoby żmudnych obliczeń, jednak pojedynczy atak, dokonany z samolotu lub urządzenia zainstalowanego na którymś z dachów, był zadaniem znacznie prostszym.

Prymitywne aerozole szybko tracą skuteczność. W laboratoriach eksperymentowaliśmy nad dodatkami wspomagającymi zarazki, aby w dobrym stanie przetrwały transport na znaczne odległości i w niesprzyjających warunkach atmosferycznych. To właśnie te bardziej stabilne, a zatem groźniejsze czynniki chorobotwórcze stanowiły naszą broń biologiczną.

Aerozole najpierw poddawaliśmy testom w komorach, w których kontrolowano przepływ powietrza, aby śledzić drogę cząsteczek po niedużej eksplozji lub ich rozpyleniu. Ostatnie stadium badań nad wydajnością broni wymagało użycia zwierząt, przeprowadzano je między innymi na Jeziorze Aralskim.

Posługiwaliśmy się różnymi zwierzętami doświadczalnymi, między innymi królikami i świnkami morskimi, jednak małpy, których układ oddechowy najbarlaremiej, L3 brucelozę, L4 wąglika, L5 nosaciznę, L6 melioidozę i tak dalej. Broń zawierająca wirusy zaczynała się od litery N. Na przykład skrót NI oznaczał ospę, N2 wirus Ebola, N3 Marburg, N4 Machupo.

Kapryśne zachowanie mikroorganizmów sprawia, że wielu ekspertów kwestionuje stosowanie ich jako broni. Jeden z podstawowych problemów polega na odpowiednim rozpyleniu, aby nie straciły swoich właściwości chorobotwórczych i żeby zaatakowały wyznaczony cel.

W ciągu wieków armie często uciekały się do prymitywnych sposobów szerzenia zarazy. Rzymianie zatrawali studnie nieprzyjaciela, żeby skazić wodę pitną. W XVIII wieku toczący wojny z Indianami Francuzi obdarowywali ich kocami z zarazkami ospy. Konfederaci podrzucali zwierzęce truchła do stawów przy szlakach, na których spodziewali się unionistów, natomiast podczas drugiej wojny światowej japońskie samoloty zrzucały nad Mandzurią porcelanowe

bomby wypełnione miliardami pcheł zarażonych dżumą.

Ludzie najskuteczniej zarażają się poprzez wdychane powietrze, jednak trudno coś takiego osiągnąć. Radzieccy naukowcy połączyli wiedzę zdobytą dzięki powojennym badaniom biochemicznym i genetycznym ze współczesną inżynierią, stwarzając tak zwaną „broń aerozolową” - zawieszona w powietrzu cząsteczki, podobne do sprayu przeciwko owadom, czy też drobny pył przypominający puder.

Sukces ataku bronią aerozolową uzależniony jest od warunków atmosferycznych. Bakterie i wirusy zazwyczaj wykazują wrażliwość na światło słoneczne i w ultrafiolecie giną dość szybko. Obfite opady deszczu lub

śniegu, porywisty wiatr i wysoka wilgotność powietrza zmniejszają ich skuteczność.

Takie przeszkody komplikują stosowanie broni biologicznej, można je jednak przezwyciężyć. Specjalista wie, że zaatakować należy o zmroku, w czasie kiedy warstwa zimnego powietrza przykrywa powietrze cieplejsze, co zapobiega rozproszeniu cząstek przez prądy atmosferyczne. Zarazki umieszczaliśmy w niewielkich metalowych kulach o wielkości melona, zwanych „bombkami”, które wybuchać miały kilkanaście kilometrów (pod wiatr) od celu. Wystrzelenie pocisków na wiele miast równocześnie z maksymalną skutecznością wymagałoby żmudnych obliczeń, jednak pojedynczy atak, dokonany z samolotu lub

urządzenia zainstalowanego na którymś z dachów, był zadaniem znacznie prostszym.

Prymitywne aerozole szybko tracą skuteczność. W laboratoriach eksperymentowaliśmy nad dodatkami wspomagającymi zarazki, aby w dobrym stanie przetrwały transport na znaczne odległości i w niesprzyjających warunkach atmosferycznych. To właśnie te bardziej stabilne, a zatem groźniejsze czynniki chorobotwórcze stanowiły naszą broń biologiczną.

Aerozole najpierw poddawaliśmy testom w komorach, w których kontrolowano przepływ powietrza, aby śledzić drogę cząsteczek po niedużej eksplozji lub ich rozpyleniu. Ostatnie stadium badań nad wydajnością broni wymagało użycia zwierząt,

przeprowadzono je między innymi na Jezi-
orze Aralskim.

Posługiwaliśmy się różnymi zwierzętami
doświadczalnymi, między innymi królikami i
świnkami morskimi, jednak małpy, których
układ oddechowy najbardziej przypomina
ludzki, stanowiły najlepszy materiał
doświadczalny. Przeciętny człowiek w ciągu
minuty wdycha dziesięć litrów powietrza.
Małpa wdycha cztery. Jeśli cztery cząsteczki
danej substancji w określonej objętości
powietrza zabiją co najmniej 50 procent
małp, można mieć pewność, że dziesięć
cząstek miałyby równie śmiertelny
wpływ na ludzi.

Standardową mfarą skuteczności broni
biologicznych był tak zwany współczynnik
Q50, określający stężenie niezbędne do

zarażenia 50 procent całej populacji znajdującej się na obszarze jednego kilometra kwadratowego. Związek Radziecki poświęcił ogromnie dużo czasu i środków finansowych na opracowanie aerozoli, które osiągały Q50 przy minimalnym stężeniu bakterii czy wirusów.

Najskuteczniejsza broń biologiczna zabija również po ataku. Niektóre wirusy, na przykład Marburg, są tak groźne, że do uśmiercenia człowieka wystarczą trzy mikroskopijne cząsteczki, znajdujące się we wdychanym powietrzu - i to nawet wiele dni po ataku. Stratedzy wojny biologicznej nie ograniczają się jedynie do fazy wstępnej, skupiają się zazwyczaj na epidemicznych cechach patogenów.

W przeciwieństwie do broni jądrowych, które cel zamieniają w proch i pył, broń biologiczna pozostawia nietknięte budynki, system transportowy i inne elementy infrastruktury. Właściwie należałoby ją nazywać bronią „masowej śmierci”, a nie masowego rażenia czy zagłady.

Przed objęciem kierownictwa Biopreparatu przez generała Jurija Tichonowicza Kałinina w 1979 roku przez sześć lat istnienia instytucja ta nie mogła się pochwalić większymi osiągnięciami. Jej pierwszym zwierzchnikiem był sympatyczny, lecz niewzbudzający „natchnienia” u podwładnych generał Wsiewołod Ogarkow, przeniesiony z XV Zarządu, wydziału Ministerstwa Obrony, który od zakończenia drugiej wojny

światowej nadzorował rozwój broni biologicznych.

Dowódcy XV Zarządu postrzegali Biopreparat jako kontynuatora wojskowych programów badawczych, a zatem instytucję podległą ich kontroli. Działając pod przykrywką instytucji cywilnej, Biopreparat, nie wzbudzając podejrzeń, mógł prowadzić badania genetyczne. Jego przedstawiciele uczestniczyli w międzynarodowych konferencjach, spotykali się z zachodnimi naukowcami, otrzymywali próbki szczepów z zagranicznych banków drobnoustrojów - wszystko to byłoby niemożliwe, gdyby dotyczyło laboratorium wojskowego.

Konflikty pomiędzy XV Zarządem a Biopreparatem były zatem nieuniknione. Dowództwo wojskowe nie było

przyzwyczajone do stosunkowo swobodnej atmosfery panującej w instytucji badawczej. Dla wielu naukowców w stopniu pułkownika i generała, którzy przekroczyli progi budynku przy ulicy Samokatnej, samo pozbycie się munduru i chodzenie w garniturze stało się czynnikiem wyzwalamym. Podekscytowani perspektywą badań w „pierwszej lidze”, odrzucali niektóre zasady narzucone przez Ministerstwo Obrony.

Zwierzchnictwo wojskowe odpowiedziało na to próbą podkopania autorytetu instytutu, postrzeganego jako niesforne dziecko. Ogarkowowi, przytłoczonemu nadmiarem biurokracji związanej z powołaniem nowej, dotychczas nieistniejącej struktury, zabrakło siły do walki. W 1975 roku według planu pięcioletniego.

Biopreparat miał opracować nowe bronie biologiczne. Tymczasem w cztery lata później ani jedna nowa broń nie była gotowa.

Niewiele osób spodziewało się, że Kalinin, wówczas czterdziestoletni inżynier, absolwent wojskowej akademii wydziału broni chemicznych, potrafi coś zmienić. Od samego początku postrzegano go jako czarnego konia: jego wiedza o broniach biologicznych była dość ograniczona, miał także niewielu przyjaciół w XV Zarządzie. Tymczasem elegancki Kalinin okazał się mistrzem politycznych intryg. Z podrzędnego stanowiska szefa laboratorium w Zagorsku awansował na kierownika w jednym z instytutów Biopreparatu, a potem trafił na dyrektorski stołek. Jego karierę z pewnością przyspieszyło pierwsze małżeństwo z córką

dyrektora laboratorium, a potem drugie - z córką generała broni. Równie pożyteczna okazała się umiejętność zawierania przyjaźni z wojskowymi dowódcami najwyższego szczebla i naukowcami Akademii Nauk ZSRR.

Nie mogąc bezpośrednio podjąć walki z przeciwnikami w kwaterze głównej, Kalinin poszerzał strefę swego oddziaływania, uciekając się do „kradzieży”. Dzięki wpływom przyjaciołom nowy szef Biopreparatu obejmował kierownictwo nad instytutami dotychczas należącymi do innych agend rządowych, przejmował naukowców i rekrutował tysiące pracowników. Otrzymywał fundusze na stworzenie od podstaw placówek badawczych i zakładów produkcyjnych. W latach 1975-1980 liczba osób

zatrudnionych w Biopreparacie wzrosła czterokrotnie. Większość z nich przyjęto po objęciu rządów przez Kalinina.

Kalinin zdawał sobie sprawę, że budowa imperium na nic się nie zda, jeśli nie będzie mógł się pochwalić odpowiednimi wynikami. Po dwóch latach od objęcia przez niego kierownictwa Biopreparatu nie powstał ani jeden zaawansowany program badawczy, więc generał ze zrozumiałych względów był zdesperowany.

W czerwcu 1981 roku zatelefonował do mnie, do laboratorium w Omutnin-sku, w którym właśnie zostałem szefem do spraw rozwoju technologicznego. Wysłuchałem go bardzo uważnie, Kalinin wzbudzał w nas podziw i strach. Fakt, że do młodego naukowca zatelefonował Wielki Człowiek,

sprawił, że gorączkowo zacząłem się zastanawiać, gdzie popełniłem błąd.

- Chcę, żebyście przyjechali do Moskwy - powiedział.

- Oczywiście - odparłem.

- Mianuję was zastępcą dyrektora Omutninska.

Wiedziałem, że generał miewa zmienne nastroje, a to, co usłyszałem, niepokojąco przypominało jeden z takich kaprysów. Studia doktoranckie zakończyłem dopiero przed sześciu laty, byłem trzydziestej ednoletnim kapitanem, obdarzonym wprawdzie energią, lecz mającym na swym koncie zaledwie kilka osiągnięć. Zwierzchnicy zazwyczaj wymieni-ali moje nazwisko w związku z opracowaną przeze mnie techniką związaną z poprawą wydajności produkcji broni biologicznych.

Jednak dopiero co awansowałem na nowe stanowisko. Byłem zdenerwowany i w pierwszej chwili chciałem powiedzieć „nie”.

- No? - Kalinin wciąż czekał.

- Przyjadę jutro z samego rana - oświadczyłem.

Była to moja pierwsza wizyta w gabinecie Kalinina. Wszedłem na pierwsze piętro, jego sekretarka zaproponowała mi herbatę.

- Nie są jeszcze gotowi, żeby was przyjąć - powiedziała ostrożnie. - Doszło do drobnej różnicy zdań.

Nie musiała mi tego mówić. Zza drzwi Kalinina dochodziły krzyki, choć trudno było cokolwiek zrozumieć.

Po chwili z gabinetu wytoczył się czerwony na twarzy mężczyzna. Zatrzymał się

przede mną i zmierzył wzrokiem od stóp do głów.

- Co wy sobie myślicie, szczeniak jesteście! - wrzasnął, po czym z powrotem wpadł do gabinetu.

Po półgodzinie w drzwiach ukazał się Kalinin we własnej osobie. Spojrzał na mnie nieco przepraszająco.

- Wracajcie do hotelu - powiedział - i zjedzcie coś. Później do was zadzwonię. Zrobiłem, co kazał, ale nie mogłem jeść. Szczerze mówiąc, postanowiłem wrócić do Omutninska, kiedy tylko znajdę jakieś dyplomatyczne wyjście z tej sytuacji, czyli udam, że nic się nie stało. Po południu zatelefonował Kalinin.

- Moje gratulacje - powiedział - jesteście teraz nowym zastępcą dyrektora Q*nutninska.

Zacząłem coś mówić, ale Kalinin przerwał mi w pół słowa:

- Przyjeżdżajcie natychmiast.

Tego popołudnia Kalinin był w rzadkim dla niego wylewnym nastroju i z niekłamana przyjemnością opowiedział mi o tym, co zaśzło. Uczynił to częściowo z chęci pochwalenia się przed podziwiającym szefa podwładnym, jestem jednak przekonany, że zależało mu, abym od początku wiedział, kto tutaj rządzi.

- Rzecz w tym - zaczął - że kilku kanapowych generałów obecnych w moim gabinecie nie zgadzało się na waszą nominację, szczególnie Benecki.

Benecki był zastępcą Kalinina, to właśnie on na mnie nakrzyczał. Był wpływowym wojskowym biurokratą, niedawno przeniesionym do Ministerstwa Obrony. Wszyscy wiedzieli, że Kalinin czuł przed nim respekt.

- Benecki utrzymuje, że trzydziestoletni kapitan nie może sprawować władzy nad podpułkownikami i majorami - kontynuował Kalinin. - Powiedział, że w całej swej karierze nigdy o czymś tak bezsensownym nie słyszał.

Kalinin mówił to wszystko z igrającym na twarzy uśmiechem, którego znaczenie z czasem dobrze poznałem.

- Ale udało mi się go przekonać, że sobie poradzicie.

- Jak? - spytałem z niepokojem.

- Postawicie na nogi nasz projekt tularemii.

Takiego zadania nie mógł się spodziewać żaden naukowiec w moim wieku. Biopreparat i XV Zarząd od lat poszukiwały sposobu uczynienia z tularemii skuteczniejszej broni biologicznej. Wiedziałem, że wiąże się z tym duże ryzyko, jednak podjąłem wyzwanie.

Tularemia jest chorobą wyniszczającą organizm, zapadają na nią głównie zwierzęta w Górach Skalistych, w Kalifornii, Oklahomie, niektórych regionach Europy Wschodniej i na Syberii. Bakterie tularemii (*Francisella tularensis*) są bardzo odporne, w truchłach padłych zwierząt potrafią przetrwać tygodniami, niekiedy nawet miesiącami. Tularemię przenoszą głównie kleszcze, komary i zające, choć występuje także u wiewiórek, owiec, kotów i psów. Jest chorobą zakaźną, aczkolwiek zarazki prawie nigdy nie

przemieszczają się bezpośrednio z jednego osobnika na drugiego.

Ofiary tygodniami cierpią na dreszcze, mdłości, bóle głowy i gorączkę. Jeśli nie podejmie się leczenia, symptomy utrzymują się od dwóch do czterech tygodni, mogą jednak trwać miesiącami. Zakażenie *Francisella tularensis* jest śmiertelne w 30 procent przypadków.

Po drugiej wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanadzie na potrzeby wojskowe opracowano szczep tularemii, który pozwalał na unieruchomienie całej dywizji nieprzyjaciela - tak intensywnej opieki medycznej wymagałoby zarażeni nią żołnierze.

Dowódcy radzieccy uważali tularemię za broń nieprzewidywalną w manewrach

taktycznych blisko linii frontu z uwagi na wysokie ryzyko przeniesienia zarazy na własne wojska. Pomimo to z jednego z czołowych europejskich międzynarodowych instytutów badawczych sprowadziliśmy szczep zdolny pokonać odporność, jaka wytworzyła się w organizmach zaszczepionych małp.

Nasi cywilni wysłannicy dopilnowali, aby zamawianie szczepów odbyło się bez zbędnych pytań. O ile nam wiadomo, nigdzie na świecie nie podjęto prób modyfikacji odpornej na szczepienia bakterii tularemii. Kalinin postrzegał to jako szansę, żeby udowodnić, na co naprawdę stać Biopreparat.

Miesiącami prowadziliśmy obliczenia, kilkakrotnie rozpoczynając pracę od początku, jednak wczesną wiosną 1982 roku

byliśmy już gotowi do przetestowania nowej broni na Wyspie Odrodzenia. Wojsko od lat przeprowadzało tam* próby broni biologicznych, ale zespół Biopreparatu dopiero po raz pierwszy planował wyprawę nad Jezioro Aralskie - przedtem nie mieliśmy po co tam jechać. Towarzyszyła nam świadomość, że dowództwo wojskowe będzie zazdrośnie patrzyło na nasze eksperymenty, mając cichą nadzieję, że się nie powiodą.

Zasady dołączania nowych broni do radzieckiego arsenału zmieniły się nieco po drugiej wojnie światowej. Wyniki prób musiały zostać potwierdzone przez przedstawicieli moskiewskiej Komisji Wojskowo-Przemysłowej, natomiast skomplikowane badania laboratoryjne, niezbędne do powstania produktu finalnego - czynnika

chorobotwórczego w płynnej lub sproszkowanej postaci, wykorzystywanego w bombach i sprayach - należało zanotować w postaci jasnego przepisu, aby każdy technik z naszych licznych zakładów potrafił go wytworzyć.

Jeśli Ministerstwo Obrony było zadowolone z wyników prób poligonowych, a produkt finalny uznano za skuteczny, sporządzano raport dla szefa Sztabu Generalnego, który wydawał rozkaz, oficjalnie przyjmując nową broń do arsenału Związku Radzieckiego. Receptura, z pieczętką „ściśle tajne”, trafiała do kwatery głównej, a jej kopię otrzymywał zakład produkcyjny, wyznaczony do wytwarzania nowej broni.

Natomiast jeśli Ministerstwo Obrony wyniki sprawdzianu uznałoby za niesa-

tysfakcjonujące, eksperymenty należało rozpocząć od nowa.

Aby na Wyspie Odrodzenia przeprowadzić badania nad tularemią, z Afryki sprowadzono pięćset małąp. Loty na wyspę miały odbywać się z podmoskiewskiego wojskowego lotniska Kubinka.

Sprowadzenie tylu zwierząt bez wzbudzenia podejrzeń wbrew pozorom wcale nie było trudne. O wszystko zatroszczyły się znacznie wcześniej instytucje kontrolowane przez Ministerstwo Handlu Zagranicznego ZSRR. Tą samą drogą zaopatrzone nas w klatki i inny sprzęt. Nie potrafię powiedzieć, jak uzasadnilibyśmy potrzebę importu tego sprzętu, gdyby ktoś się tym zainteresował, ale w dawnym Związku Radzieckim nikt nie zadawał takich pytań.

Ponieważ zamierzaliśmy zbadać broń niewrażliwą na działanie szczepionek, wszystkie mały należało najpierw zaszczepić.

W laboratoriach w Omutninsku bakteriami tularemii wypełniliśmy dwadzieścia „bombek” i przygotowaliśmy je do wysyłki na Wyspę Odrodzenia.

Tamtego roku za przeprowadzanie testów na wyspie odpowiadało dwóch wysokich oficerów: generał Anatolij Worobjow, pierwszy zastępca dyrektora Biopreparatu, oraz generał Lebiedinski z XV Zarządu. Polecono mi pozostać w Omutninsku, żeby przygotować alternatywną recepturę, którą mieliśmy przetestować pod koniec lata. Z trudem potrafiłem się skoncentrować na pracy w laboratorium.

Nietrudno było uzyskać jakiegokolwiek informacji z Wyspy Odrodzenia. W ośrodku badawczym nie było telefonu, a łączność zapewniały jedynie wojskowe kryptogramy. Dlatego dopóki moi koledzy nie wrócili do Omutninska, nie miałem żadnej możliwości, żeby dowiedzieć się, co się tam działo.

Kiedy wreszcie dotarły do nas zaszyfrowane wyniki, okazały się lepsze, niż którykolwiek z nas się spodziewał - ze mną włącznie. Pomimo szczepień zdechły niemal wszystkie małpy. Odebrałem telefon z Moskwy od szczęśliwego Ka-linina.

- Kanjatanie! - wykrzyknął na powitanie, a tylko kilka razy w życiu zwrócił się do mnie po imieniu. - Jesteście wielkim człowiekiem!

Potem odbierałem kolejne telefony z gratulacjami od kolegów z Moskwy, którzy

dowiedzieli się o wynikach. W kilka tygodni później znów udałem się w długą podróż do Moskwy, tym razem, żeby odebrać wojskowe odznaczenie od tryumfującego Kalinina.

Zastanawiająca cisza panowała natomiast od kilku tygodni w XV Zarządzie - trudno było nawet dociec, czy w ogóle piszą oficjalny raport. Po jakimś czasie otrzymaliśmy oschły list z Ministerstwa Obrony.

„Broń nie może zostać włączona do radzieckiego arsenału - przeczytaliśmy.

- Nasza kontrola wykazała nieprawidłowości w początkowej fazie badania próbek krwi testowanych małąp”.

Ministerstwo miało rację. Generał Worobjow pominął kilka przyjętych procedur, aby jak najszybciej przygotować mały do eksperymentu. Jego błąd miał nikły wpływ

na wynik prób, jednak armia postanowiła nas upokorzyć. XV Zarząd nie zamierzał pozwolić rywalowi na łatwe zwycięstwo, zwłaszcza w wypadku projektu, na którego czele stał „szczeniak”. Kalinin był wściekły.

Nie była to jednak poważna komplikacja. W następnym roku przeprowadziliśmy kolejne badania nad jeszcze wydajniejszą, suchą postacią tularemii, skrupulatnie przestrzegając wszystkich procedur, dzięki czemu arsenał Związku Radzieckiego wzbogacił się o nową broń. Osiągnięcie to uczyniło z Biopreparatu istotną siłę w sektorze zbrojeniowym. Kalinin w kremlowskich kuluarach znakomicie radził sobie z tajnikami wojskowej polityki, a i ja zostałem wprowadzony do tego świata.

Tymczasem na Wyspie Odrodzenia spalono wszystko, co miało jakikolwiek związek z badaniami nad tularemią, począwszy od notatek naukowców poprzez próbki krwi, aż po truchła małp. Poligon badawczy wyczyszczono z wszelkich śladów bytności ludzi lub zwierząt, a dezynfekcja wyeliminowała wszystko, co mogłoby świadczyć o działaniu czynników biologicznych.

Próby pod gołym niebem na Wyspie Odrodzenia zakończono w 1992 roku. W archiwach nie zachowały się żadne dokumenty odnoszące się do przeprowadzanych tam badań.

Medycyna wojskowa

Stalingrad 1942

Wojna biologiczna była ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem w 1973 roku, gdy zostałem studentem wojskowego Instytutu Medycznego w Tom-sku, w którym jednocześnie podjąłem pracę jako stażysta w stopniu kadeta. Chciałem zostać wojskowym psychiatrą, dopóki pewien profesor nie przydzielił mi zadania, które odmieniło mój stosunek do medycyny. Profesor polecił mi zbadać zagadkową epidemię tularemii na radziecko-niemieckim froncie w 1942 roku, tuż przed bitwą pod Stalingradem.

Zadanie to otrzymałem na wykładach z epidemiologii. Łysiejącego pułkownika Aksjonenkę o nieporuszonej twarzy większość studentów nie darzyła sympatią, jednak we mnie wzbudzał on szacunek. Traktował siebie z dystansem, a nie śmiertelnie poważnie jak inni wykładowcy, obnoszący się ze zdobytymi naukowymi i wojskowymi stopniami. Podobały mi się także jego wykłady, zainteresowały mnie daleko bardziej niż medycyna wojskowa, chirurgia polowa i higiena - przedmioty, które studiowałem przed otrzymaniem stopnia oficerskiego.

W bibliotece instytutu wiele nocy spędziłem na lekturze dwudziestopięcioletniego dzieła Historia radzieckiej medycyny wojskowej w czasie wielkiej wojny

ojczyźnianej: 1941-1945. Zdejmo wałem z półek kolejne zakurzone numery pism naukowych z czasów wojny. Coraz bardziej pochłaniał mnie niewytłumaczalny bieg wypadków.

Pierwsze ofiarą tularemii padły niemieckie jednostki pancerne; wśród załóg czołgów było tak wielu chorych, że latem 1942 roku hitlerowska kampania w południowej Rosji na pewien czas uległa zahamowaniu. Tysiące rosyjskich żołnierzy i cywili w rejonie Wołgi rozchorowało się w ciągu tygodnia od wybuchu epidemii wśród Niemców. Radzieckie dowództwo wysłało do tego rejonu dziesięć szpitali wojskowych, co stanowiło miarę liczby nowych zachorowań.

W większości pism naukowych utrzymywano, że wybuch epidemii nastąpił

samoistnie. W przeszłości nigdy jednak w Rosji nie notowano tak wielu zachorowań. Jedna z prac zawierała takie oto statystyki: w 1941 roku w Związku Radzieckim wystąpiło dziesięć tysięcy przypadków zachorowań na tularamię. W czasie stalingradzkiej epidemii liczba ta wzrosła do ponad stu tysięcy, natomiast w 1943 roku ponownie spadła do dziesięciu tysięcy.

Wydaje się dziwne, że początkowo tak wielu żołnierzy zachorowało tylko po jednej stronie frontu. Walczące wojska znajdowały się tak blisko siebie, że równoczesne pojawienie się epidemii w obu armiach powinno być nieuniknione. Jedynie wystawienie żołnierzy na działanie ogromnej, skoncentrowanej ilości pałeczek *Francisella tularensis* mogłoby wyjaśnić pojawienie się

choroby tylko wśród wojsk niemieckich. U 70 procent zarażonych wystąpiła płucna postać choroby, co mogło być wywołane wyłącznie celowym jej rozprzestrzenianiem.

Kiedy udawałem się do gabinetu profesora ze szkicem swej pracy, byłem przekonany, że wpadłem na rozwiązanie zagadki. Profesor czytał właśnie ostatni numer „Czerwonej Gwiazdy”, oficjalnego organu armii radzieckiej.

-1 czego się dowiedzieliście? - spytał Aksjonenko, uśmiechając się i wracając do lektury.

- Zbadałem archiwa, pułkowniku - powiedziałem ostrożnie. - Sposób rozprzestrzeniania się epidemii nie sugeruje naturalnego wybuchu.

- A co sugeruje? - spojrzał na mnie przenikliwie.

- Sugeruje, że epidemia została wywołana celowo... Przerwał mi, zanim zdołałem dokończyć.

- Proszę - rzekł cicho - abyście wyświadczyli mi przysługę. Zapomnijcie o tym, co tutaj powiedzieliście, i ja też o tym zapomnę.

Patrzyłem na niego zakłopotany.

- Chciałem tylko, żebyście opisali, jak poradziłyśmy sobie z wybuchem epidemii, jak udało się nam ją zwalczyć - Aksjonenko zmarszczył brwi. - A wy posunęliście się dalej. Nie chcę tego czytać, dopóki wszystkiego nie przemyślicie - rzekł, wskazując na szkic pracy. - I nigdy... nigdy nikomu nie mówcie tego, co przed chwilą powiedzieliście mnie. Wierzcie mi, to dla waszego dobra.

Ostateczna wersja mojej pracy nie wspominała o wysokim prawdopodobieństwie celowego wywołania epidemii. Jednocześnie reakcja Aksjonenki przekonała mnie, że coś musiało być na rzeczy: radzieckie samoloty musiały rozpylić zarazki tularemii nad jednostkami niemieckimi, a nieprzewidziana zmiana kierunku wiatru albo gryzonie przemierzające linię frontu przyczyniły się do zarażenia naszych żołnierzy i choroba rozprzestrzeniła się w całym regionie.

Wiele lat później pewien starszy podpułkownik, który w czasie wojny pracował w Kirowie w tajnym ośrodku broni biologicznych, zwierzył mi się, że w 1941 roku, na rok przed bitwą pod Stalingradem, opracowano tam broń zawierającą bakterie tularemii.

Podpułkownik nie miał wątpliwości, że została ona użyta podczas działań wojennych.

Stratedzy do spraw wojny biologicznej z naszego laboratorium nie zamierzali zapominać o lekcji spod Stalingradu. W latach powojennych najwyższe dowództwo radzieckie skupiło uwagę na zastosowaniu tego rodzaju broni na tyłach nieprzyjaciela, z dala od linii frontu, gdzie nie zagrażała ona macierzystym oddziałom.

Argumenty natury moralnej, przemawiające za wykorzystaniem wszelkich dostępnych broni w walce z nieprzyjacielem, który dążył do unicestwienia nas, uważałem za niepodważalne. Przy pisaniu pracy zafascynowała mnie perspektywa wykorzystania chorób jako środka prowadzenia

wojny. Zacząłem czytać wszystkie dostępne podręczniki epidemiologii i biologii..

W pobliżu koszar na Wyspie Odrodzenia znajduje się niewielki nagrobek z nieczytelnym napisem. Pochowano tam pewną młodą kobietę, członka jednego z pierwszych wojskowych zespołów badawczych, które przeprowadzały próby poligonowe na Jeziorze Aralskim. Kobieta zmarła w 1942 roku w wyniku zarażenia nosacizną, chorobą zazwyczaj występującą u koni.

Nic więcej o niej nie wiadomo.

Dziesiątki, być może setki ludzi oddały życie w imię postępu naszych badań naukowych. Ich nazwiska niekiedy pojawiają się w utajnionych archiwach, jednak śmierci większości z nich nigdzie nie odnotowano.

Nagrobek na Wyspie Odrodzenia stanowi rzadki dowód ujawnienia prawdy o cenie, jaką płaciliśmy za badania - choć dotrzeć do niej mogą tylko nieliczni, posiadający stosowne przepustki.

Historia Biopreparatu i radzieckiego programu broni biologicznych spisana jest w doniesieniach o ofiarach, rządowych dekretach, instrukcjach produkcji patogennej broni, raportach z poligonów doświadczalnych. Kiedy zostałem zastępcą szefa Biopreparatu, miałem wgląd w wiele takich materiałów, niedostępnych dla większości pracowników. Jednak nawet one nie zawierały całej prawdy.

Z czasem, prowadząc ostrożne rozmowy ze starszymi pracownikami, poznawałem historie, których próżno było szukać w

archiwach. I właśnie w ten sposób dowiedziałem się, że radzieckie badania nad bronią biologiczną prowadzono na długo przed drugą wojną światową.

-

W 1918 roku, w rok po przejęciu władzy, rząd bolszewicki wdał się w poważny konflikt z siłami antykomunistycznymi, pragnącymi obalić dopiero co powstałe państwo robotnicze. Armie czerwonych i białych staczały boje od Syberii po Półwysep Krymski, a kiedy walki ustały w 1921 roku, okazało się, że wojna domowa pochłonęła ponad dziesięć milionów ludzi. Ofiary zazwyczaj nie ginęły na polu bitwy, lecz umierały z głodu i chorób.

Skutki epidemii tyfusu w latach 1918-1921 wywarły ogromne wrażenie na dowódcach Armii Czerwonej. Nawet jeśli nie

znali historii wojen biologicznych, z pewnością zauważyli, że choroba stanowiła skuteczniejszą broń niż kule i pociski artyleryjskie.

Zwycięstwo w wojnie domowej nie zmniejszyło problemów stojących przed nowym rządem. Kraje ościenne odnosiły się wrogo do bolszewickiego eksperymentu, a osłabione państwo radzieckie nie przeżyłoby kolejnego szturmu. Ktoś pojął, że dla wsparcia rewolucji należy wykorzystać jeden z „surowców naturalnych” Rosji - jej naukowców.

W roku 1928 Rada Wojskowo-Rewolucyjna podpisała dekret o podjęciu badań nad opracowaniem broni zawierającej zarazki tyfusu, mimo że trzy lata wcześniej nowo powstały rząd radziecki podpisał w Genewie międzynarodowy traktat, w którym

zobowiązał się odstąpić od stosowania na polu bitwy gazów trujących i broni bakteriologicznych. Program badań podporządkowano GPU (Państwowemu Zarządowi Politycznemu), poprzednikowi KGB. Aż do początku lat pięćdziesiątych pozostawał on pod kontrolą państwowych organów bezpieczeństwa.

Dekret z 1928 roku stanowił decyzję wielkiej wagi. Zarazki tyfusu, mnożące się w brudzie frontu i skupisk biedoty, od wieków wywoływały epidemie, siejące spustoszenie w ludzkiej populacji. Tyfus przenoszony jest przez wszy; w przeciwieństwie do duru (tyfusu) brzuszego, który wywołuje salmonella, dur plamisty jest chorobą wywoływaną przez drobnoustroje *Rickettsia provazeki*. Mikroorganizmy przemieszczają się wraz

krwią i dzieląc się, przenikają przez ścianki naczyń krwionośnych. Od siedmiu do dziesięciu dni po zarażeniu pojawiają się pierwsze symptomy w postaci pulsujących bólów głowy i wysokiej gorączki, a następnie na całym ciele występuje wysypka. Na czubkach palców niekiedy pojawia się zgorzel, obniża się wydolność krążenia krwi. Ofiary tyfusu przez wiele tygodni cierpią na majaki. Nieleczona choroba jest śmiertelna w 40 procent przypadków.

Poprawa warunków higienicznych w XX wieku wypłeniła tyfus z większości obszarów Europy Zachodniej, jednak nadal gnębi on Afrykę, niektóre rejony Ameryki Południowej i Azji. W czasie drugiej wojny światowej opracowano szczepionkę przeciwko tyfusowi, która obecnie jest rzadko stosowana -

korzystają z niej głównie podróżnicy wybierający się w regiony, w których choroba występuje endemicznie. Podawana w trzech dawkach w czasie pięciu miesięcy daje niemal stuprocentową ochronę. W przeszłości szczepionkę stosowano także w leczeniu, obecnie w tej roli zastąpiły ją antybiotyki.

Kiedy Związek Radziecki po raz pierwszy zainteresował się tyfusem, nie znano żadnych sposobów kontrolowania czy opanowywania tego bezlitośnie wydajnego zabójcy. Naukowcy stanęli przed problemem, jak tę wydajność okiełznać.

Zrzucanie z samolotów zarażonych wszy było niepraktyczne. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby rozmnażać zarazki tyfusu w

laboratorium i rozpylać je z samolotów w formie aerozolu.

Podczas badań nad pierwszą bronią biologiczną stosowano bardzo prymitywne metody. Patogeny hodowano w embrionach kurcząt albo w organizmach żywych zwierząt, takich jak szczury, które zabijano, kiedy stężenie zarazków było najwyższe, po czym wrzucano do wielkich mikserów. Następnie ciecz wlewano do pojemników z materiałem wybuchowym.

Ze starych raportów przechowywanych w Ministerstwie Obrony dowiedziałem się o dekrete z 1928 roku. Znajdowały się tam doniesienia z eksperymentów i prób poligonowych, celowo zawierające jak najmniej szczegółów. Nikt nie chciał przelać na papier całej prawdy. Mogłem się jedynie domyślać,

że pierwotne dane dawno już zostały zniszczone. Dzięki najstarszym pracownikom, którzy kiedyś słyszeli tę historię od kolegów, udało mi się zebrać szczątkowe informacje.

Pierwszą radziecką instytucją, zajmującą się badaniami nad bronią biologiczną, była Akademia Wojskowa w Leningradzie. Niewielkie zespoły złożone z naukowców, oficerów oraz pracowników GPU podjęły się wyhodowania znacznych ilości riketsji. Pierwsze próby rozmnażania tyfusu w warunkach laboratoryjnych polegały na wykorzystaniu kurzych embrionów. W czasach kiedy obywatele radzieccy mogli sobie pozwolić tylko na jeden posiłek w ciągu dnia, do Akademii Wojskowej w Leningradzie codziennie dostarczano tysiące kurzych jaj. W latach trzydziestych Akademia opracowała

sproszkowaną i płynną postać tyfusu do stosowania w prymitywnych aerozolach.

Pomimo utrzymywania programu badawczego w tajemnicy radziecki rząd nie oparł się pokusie i publicznie pochwalił się osiągnięciami. Marszałek Kli-mient Woroszyłow, słynny w czasie wojny kawalerzysta, mianowany przez Stalina ludowym komisarzem obrony, 22 lutego 1938 roku ogłosił, że choć Związek Radziecki zamierza przestrzegać postanowień genewskich dotyczących broni biologicznych, to „jeśli wrogowie nasi posłużyliby się takimi środkami, jesteśmy gotowi - jak najbardziej gotowi - zastosować je przeciwko agresorowi na jego własnym terytorium”.

Badacze, którzy pracowali nad programem broni biologicznych, wkrótce

zainteresowali się także innymi chorobami. Leningradzka Akademia Wojskowa wysłała naukowców i sprzęt setki kilometrów na północ, nad Morze Białe, na jałowy arktyczny obszar naznaczony małymi wysepkami, na które zsyłano więźniów politycznych. W połowie lat trzydziestych na Wyspach Sołowieckich znajdowała się siedziba drugiego pod względem wielkości radzieckiego programu broni biologicznych.

Na Wyspach Sołowieckich w radzieckim obozie koncentracyjnym, który dał początek stalinowskiemu „archipelagowi gułag”, naukowcy pracowali nad tyfusem, gorączką Q, nosacizną oraz melioidozą (chorobą przypominającą nosaciznę). Duże sołowieckie laboratorium zbudowali więźniowie. Wielu z nich prawdopodobnie bezwiednie brało także

udział w pierwszych eksperymentach z bronią biologiczną.

Raporty przechowywane w archiwach Ministerstwa Zdrowia donoszą o licznych przypadkach melioidozy w tym okresie. Materiały celowo sporządzane były niejasno, aby nie można się było zorientować, czy zarażeni zostali ludzie, czy zwierzęta. Jednak częstotliwość zachorowań - dziewiętnaście w jednej grupie, jedenaście w innej i dwanaście w jeszcze innej - wskazywała na nieregularność, zazwyczaj niewystępującą przy badaniach na zwierzętach. Poza tym opisywanych symptomów mogli doświadczyć tylko ludzie. Na Zachodzie często pojawiały się przypuszczenia, dotyczące radzieckich eksperymentów z bronią biologiczną przeprowadzanych na ludziach, jednak oprócz

raportów z lat trzydziestych nie widziałem innych, które mogłyby to potwierdzić.

Wysoką cenę płacili także nasi badacze. Jedna z relacji opisujących doświadczenia nad dżumą z lat trzydziestych kończy się zagadkową notatką: „eksperyment nie został dokończony z powodu śmierci naukowca”. Inny raport z tego samego okresu informuje, że podczas przeprowadzania eksperymentu dwudziestu pracowników zaraziło się nosaiczną. W doniesieniach nie było mowy ani o miejscu, w którym przeprowadzano badania, ani o tym, czy pracownicy zmarli w następstwie choroby, jednak w czasach, kiedy nie znano jeszcze antybiotyków, śmierć w następstwie zarażenia była właściwie pewna.

Czynniki biologiczne, nad którymi prowadzono badania przed wybuchem drugiej wojny światowej, świadczą o zainteresowaniu Związku Radzieckiego bronią, która unieszkodliwiłaby nieprzyjacielskie wojska. Od jej użycia odstąpiono wprawdzie po epidemii tularemii wśród naszych żołnierzy pod Stalingradem, jednak laboratoria w Leningradzie i na Wyspach Sołowieckich postrzegane były cały czas jako decydujące dla radzieckiej obrony. Toteż kiedy Niemcy zaatakowały Rosję w 1941 roku, najwyższe dowództwo podjęło decyzję o ewakuacji obydwu placówek.

Sprzęt laboratoryjny, kadzie fermentacyjne i ampułki ze szczepami zarazków załadowano w pociąg i wysłano na południe, do miasta Górki. Kiedy pociąg dojechał na

miejsce, Niemcy przystąpili do pierwszego - i jedyne - nalotu na Górki. Dowódcy wpadli w panikę i rozkazali maszyniście jechać dalej.

«

Pociąg zatrzymał się w Kirowie, na zachód od Uralu. Opróżniono szpital przy Oktiabrskim Prospekcie, przenosząc pacjentów w inne miejsce, i pośpiesznie złożono sprzęt. W ciągu kilku tygodni uruchomiono linię produkcyjną, która wkrótce zaczęła pracować na rzecz zwycięstwa. Podpułkownik, który opowiadał mi o hodowaniu bakterii tularemii w Kirowie, dał do zrozumienia, że epidemia gorączki Q wśród Niemców wycofujących się z Krymu w 1943 roku spowodowana była wykorzystaniem broni, opracowanej w jego laboratorium. Nigdy nie udało mi się dokładnie zbadać

owej sprawy, jednak przed wybuchem owej epidemii gorączka Q w Rosji w zasadzie nie występowała.

Kiedy zespół ekspertów od broni biologicznych przybył do Kirowa, region ten był przepełniony uchodźcami, pełną parą pracowały przeniesione fabryki przemysłu lotniczego i inne zakłady zbrojeniowe. Naukowcy martwili się, że opuszczając Wyspy Sołowieckie, utracili znakomity poligon doświadczalny. Rozpoczęli poszukiwania nowych terenów, którym nie zagrażałoby Niemcy, a zarazem odpowiednio oddalonych od ludzkich skupisk, aby nie narażać mieszkańców na niebezpieczeństwo. Poszukiwania te zaprowadziły ich na Wyspę Odrodzenia.

We wrześniu 1945 roku stosunek Związku Radzieckiego do programu broni biologicznych uległ pewnej przemianie, kiedy jego wojska w Mandżurii zajęły japońskie zakłady wojskowe, zwane „Jednostką Uzdatniania Wody numer 731”.

Jednostka 731 wdrażała tajny japoński program hodowli zarazków. Plotki o jej działalności w północnych Chinach krążyły w Rosji i na Zachodzie od lat trzydziestych, jednak szczegóły udało się poznać dopiero dzięki przechwyconym dokumentom i zeznaniom japońskich jeńców. Zakład, którym kierował generał porucznik Shiro Ishii, prowadził badania nad wąglikiem, czerwonką, cholera i dżumą, przeprowadzając eksperymenty na jeńcach amerykańskich, brytyjskich i Brytyjskiej Wspólnoty

Narodów. Podczas inwazji na Mandżurię Japończycy zrzucali z samolotów porcelanowe pojemniki z pchłami zarażonymi dżumą i innymi prymitywnymi rodzajami broni biologicznej, co w regionach rolniczych doprowadziło do śmierci tysięcy Chińczyków.

Japońską dokumentację wysłano niezwłocznie do Moskwy, gdzie przyjęto ją z wielkim zainteresowaniem. Obejmowała ona między innymi projekty zakładów wytwarzających broń biologiczną, znacznie większych i bardziej złożonych niż nasze. Japoński program stanowił jakby odrębną gałąź przemysłu, a mniejsze laboratoria bezustannie prowadziły prace badawcze na rzecz głównego zakładu produkcyjnego.

Stalin rozkazał Ławrientijowi Berii, zaufanemu doradcy i sadystycznemu szefowi

KGB, odtworzyć japoński program, a jeśli to możliwe - nawet go prześcignąć. W 1946, w rok po zakończeniu wojny, w Swierdłowsku powstał nowy wojskowy kompleks, w którym prowadzono badania nad bronią biologiczną. Inżynierowie wiernie trzymali się projektów nakreślonych przez Japończyków.

W 1953 roku umarł Stalin i jeszcze w tym samym roku po nieudanej próbie przejęcia władzy na Kremlu dokonano egzekucji Berii. Za czasów nowego przywódcy Nikity Chruszczowa odpowiedzialność za program broni biologicznych przejął XV Zarząd Armii Radzieckiej. Jego szefem został generał Jefim Smirnow, podczas wojny szef służb medycznych armii.

Smirnow, zdeklarowany zwolennik broni biologicznych, uważał, że w przyszłości tego

rodzaju broń będzie rozstrzygająca na polu bitwy. Lekarz, który w czasach Stalina na krótko został ministrem zdrowia, przekształcił istniejące badania w strategiczny program wojskowy i przez kolejne dwadzieścia lat był dominującą postacią w radzieckim programie broni biologicznych. Smirnow pracował tak szybko i wydajnie, że minister obrony marszałek Gieorgij Żuków w 1956 roku ogłosił, iż w następnej wojnie Moskwa będzie mogła posłużyć się zarówno bronią biologiczną, jak i chemiczną. Wystąpienie to wywołało na Zachodzie znaczne ożywienie w badaniach nad tego rodzaju bronią zaczepną. Niewielu radzieckich obywateli zdawało sobie z tego sprawę.

Pod koniec lat pięćdziesiątych na terenie całego kraju pracowało mnóstwo ośrodków,

zajmujących się najróżniejszymi naukowymi aspektami związanymi z bronią biologiczną.

Jeden z najbardziej udanych programów powstał w Ministerstwie Rolnictwa. Do stworzenia broni niszczących plony i żywy inwentarz powołano specjalny wydział, tak zwany Zarząd Główny Przedsięwzięć Naukowych i Produkcyjnych. Program broni biologicznych otrzymał kryptonim „Ekologia”.

Naukowcy podlegli Ministerstwu Rolnictwa opracowywali różne odmiany zarazy pyska i racie do wybicia krów, afrykańskiej róży świń, ornitozy i choroby papuziej do zabijania kurcząt. Podobnie jak broń biologiczna stosowana przeciwko ludziom, również i te substancje miały być rozpylane ze zbiorników podczepionych do skrzydeł

bombowców Iljuszyn, przez setki kilometrów lecących nisko w linii prostej nad celem.

Metoda „jednej linii” przyczyniała się do szybkiego rozprzestrzeniania zarazków; nawet jeśli nie wszystkie zwierzęta zaraziłyby się od razu, zjadliwość drobnoustrojów gwarantowała ustanie działalności rolniczej w całym regionie w ciągu kilku miesięcy.

Wiele zakładów podległych ministerstwu działało na obszarze miast, aby ukryć powiązania z sektorem wojskowym. Stanowi to kolejny dowód, że rządzący nie troszczyli się o zdrowie i bezpieczeństwo obywateli.

Naprzeciwko bloku, w którym wychowałem się w Alma Acie, stolicy Kazachstanu, jako miejsce zabaw służyła dzieciom olbrzymia, pordzewiała fabryka. Był to fantastyczny świat ogromnych maszyn, tuneli, tym

bardziej zachęcających, że wokół wisiały tablice z napisem „wstęp wzbroniony”. Po zakończeniu lekcji przechodziliśmy przez płot i buszując wśród zwałów metalu, niekiedy natrafialiśmy na pojemniki z substancjami o dziwnym zapachu, w wojskowym zielonym kolorze. Na szczęście nigdy nie udało nam się ich otworzyć.

W wiele lat później, przeglądając stare raporty, dowiedziałem się, że do początków lat sześćdziesiątych fabryka produkowała dla Ministerstwa Rolnictwa trucizny do wyniszczania plonów i żywego inwentarza. Zakład ten nazywał się Biokombinat.

Program „Enzym”

Moskwa 1973

W pierwszych latach zimnej wojny, kiedy byliśmy światową potęgą w dziedzinie podboju kosmosu i broni nuklearnych, radziecka biologia była sparaliżowana. Z niesłychanie niedyś prężnego programu badań w dziedzinie immunologii i epidemiologii ostała się tylko garstka zdemoralizowanych, zdyskredytowanych naukowców. Za wszystko to odpowiedzialność ponosił jeden człowiek - Trofim Łysenko.

Łysenko zyskał rozgłos pod koniec lat dwudziestych, kiedy ogłosił wyniki eksperymentu w Azerbejdżanie, polegającego na

wyhodowaniu grochu rodzącego owoce zimą. Hodowla wielu pokoleń roślin odpornych na niskie temperatury skłoniła go do wyciągnięcia wniosku, że teorie genetyczne odnoszące się do ludzi są błędne: człowiek nie jest „niewolnikiem” swych genów, możliwa jest zmiana nawet podstawowych jego cech wskutek działania odpowiednich czynników środowiskowych.

Łysenko, który kiedyś przechwalał się, że nigdy nie donosi o wynikach eksperymentów, jeśli przeczyły jego teoriom, utrzymywał, że jego praca dowodzi, iż w świecie roślin i zwierząt środowisko jest znacznie ważniejsze niż dziedziczność. Nazywając genetykę „obrażającą proletariat burżuazyjną pseudonauką”, wypłynął jako niedościgniony twórca „nowej radzieckiej

nauki”, opartej na materializmie marksistowskim. W latach czterdziestych Łysenko był już powiernikiem Stalina. Patronat dyktatora umożliwił mu wspięcie się na szczyt radzieckiego świata nauki, czemu towarzyszyło bezwzględne piętnowanie najwybitniejszych biologów za odstępstwa od poprawności politycznej.

Protestujących naukowców wtrącano do więzień albo publicznie poniżano. Nie zostało się żadne pismo naukowe poświęcone genetyce. W latach pięćdziesiątych niewiele pozostało po wielkim, pionierskim duchu rosyjskich biologów i genetyków.

Niedostatki wiedzy naukowej nie zaprzętały uwagi planistów modernizujących nasz arsenał broni po drugiej wojnie światowej. Na pierwszy rzut oka genetyka nie

miała nic wspólnego z bronią biologiczną. Dopiero szereg błyskotliwych odkryć w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zapoczątkował na Zachodzie erę prawdziwej naukowej rewolucji, zmuszając Związek Radziecki do konstatacji, że jest pod wieloma względami zacofany.

W 1953 roku dwaj młodzi naukowcy, James Watson i Francis Crick, opracowali model budowy przestrzennej DNA, określającego cechy wszystkich żywych organizmów na Ziemi. W ciągu dwóch kolejnych dziesięcioleci badacze nauczyli się manipulować DNA w warunkach laboratoryjnych. Odkryli przy tym, że geny różnych organizmów można powielać, czyli klonować, i łączyć, co otworzyło przed nimi nowe obszary

pozwalające na prowadzenie badań nad istotą różnych chorób i metodami ich leczenia.

Radzieccy naukowcy dowiadywali się o osiągnięciach swych kolegów z Zachodu z przemyczanych pism naukowych, jednak badania w Rosji nadal poddane były ścisłym ograniczeniom. Wpływy Łysenki - który umarł dopiero w 1976 roku - były zbyt silne. Tylko nieliczni eksperci skłonni byli przyznać, że możliwość manipulacji genetycznych otwierała nowe perspektywy w dziedzinie broni biologicznych poprzez hodowlę nowych szczepów, odpornych na istniejące szczepionki czy lekarstwa. Inni obawiali się, że rywale z Zachodu mogą postawić Związek Radziecki w sytuacji bardzo niekorzystnej ze strategicznego punktu widzenia.

Tylko jeden naukowiec miał dostateczną siłę przebicia i odwagę, żeby przemówić. Był nim Jurij Owczynnikow, wiceprzewodniczący Akademii Nauk ZSRR, sławny biolog molekularny.

Owczynnikow rozumiał znaczenie badań opisywanych w zachodnich pismach naukowych, wiedział także, że Związek Radziecki nie dysponuje laboratoriami i kadrą odpowiednio wyszkolonych naukowców, którzy mogliby prowadzić badania na światowym poziomie. Kryzys radzieckiej biologii postanowił rozwiązać, odwołując się do dobrze pojętego własnego interesu zwierzchników naszej zmilitaryzowanej gospodarki. W 1972 roku zwrócił się do Ministerstwa Obrony z prośbą o fundusze na program

genetyczny, którego celem byłoby opracowanie nowych broni biologicznych.

Nasi „praktycznie myślący” generałowie, podobnie jak generałowie na całym świecie, okazali się konserwatystami i niełatwo było ich przekonać. Niewielu z nich zdawało sobie sprawę, jak zaawansowane były radzieckie badania nad bronią biologiczną, a nawet ci, którzy o tym wiedzieli, krytycznie odnosili się do entuzjastycznych wypowiedzi weteranów, takich jak Smirnow czy Żuków. Chcieli broni, którą można odpalić, która wysadza w powietrze - a nie zarazków, których nie widać gołym okiem. Jednak Owczynnikow potrafił przekonywać; nawet najbardziej sceptyczny dowódca wojskowy musiał przyznać, że to niebezpieczne (i przecież nie do pomyślenia!), aby Związek Radziecki w

jakiejś dziedzinie miał pozostać w tyle za Zachodem.

W osobie Leonida Breżniewa Owczynnikow znalazł wpływowego sojusznika. Niegdyś inżynier metalurg, który przewodził Związkowi Radzieckiemu przez osiemnaście lat aż do śmierci w 1982 roku, do członków Akademii Nauk ZSRR odnosił się z szacunkiem graniczącym z nabożnym lękiem. Wkrótce Breżniewowi i jego doradcom Owczynnikow zaczął udzielać korepetycji z genetyki. Powoli zaczęło to przynosić owoce. Owczynnikow, najmłodszy w kraju członek Akademii, został oddelegowany do państwowej komisji, badającej wojskowe implikacje inżynierii genetycznej.

Praca komisji doprowadziła do nakreślenia najbardziej ambitnego programu

zbrojeniowego w Związku Radzieckim od czasu skonstruowania bomby wodorowej. Program, któremu początek dał tajny dekret podpisany przez Breżniewa w 1973 roku, dotyczył modernizacji istniejących broni biologicznych i stworzenia genetycznie zmodyfikowanych patogenów, odpornych na szczepionki i antybiotyki, które można by przekształcić w groźną broń do wykorzystania w konflikcie międzykontynentalnym. Programowi temu nadano kryptonim „Enzym”.

Dekret z 1973 roku jeszcze w tym samym roku przyczynił się do powstania Biopreparatu. Do pracy w nowej instytucji nakłaniano najlepszych biologów, epidemiologów i biochemików. Biopreparat wkrótce zaczął otrzymywać z kasy państwowej miliardy rubli, rozwijając najbardziej

zaawansowany na świecie program broni biologicznych z wykorzystaniem inżynierii genetycznej.

Program „Enzym” koncentrował się na tularemii, dżumie, węgliku i nosacizynie - chorobach, z których już w przeszłości nasze laboratoria uczyniły broń, jednak skuteczność jej zmalała po pojawieniu się nowej generacji antybiotyków. Istniały także inne czynniki chorobotwórcze, którymi należało się zainteresować, takie jak wirusy ospy, Marburg, Ebola, Machupo, Junin i wenezuelskiego końskiego zapalenia mózgu.

Fabryki pracujące na rzecz radzieckiego programu broni biologicznych znajdowały się głównie w Swierdłowsku, Kirowie i Zagorsku. Tylko tam istniały odpowiednie

zabezpieczenia, umożliwiające pracę nad najbardziej groźnymi zarazkami.

W następnej dekadzie pod przykrywką ośrodków medycznych i farmaceutycznych w całym kraju powstały dziesiątki zakładów wytwarzających broń biologiczną. W Leningradzie utworzono Instytut Ultraczystych Biopreparatów w celu opracowywania nowych procedur i wytwarzania sprzętu do produkcji patogenów. W Omutninsku, w sosnowym lesie w pobliżu Kirowa, obok starego zakładu zbrojeniowego znajdującego się w gestii Ministerstwa Obrony, wybudowano kompleks badawczy połączony z zakładem produkcji broni biologicznej. W Oboleńsku, położonym na południe od Moskwy, na potrzeby laboratoriów inżynierii genetycznej powstało całe „miasto

badawcze”, natomiast w Czechowie, także w pobliżu stolicy, powstał Instytut Immunologii, w którym badano szczepy odporne na działanie antybiotyków. Ponadto do pracy nad wirusami wzniesiono w pobliżu Nowosybirska olbrzymi kompleks naukowo-badawczy Wektor.

To tylko niektóre zakłady otwarte przez Biopreparat. W ten nowy świata, jaki stworzył program Breżniewa, weszły także istniejące państwowe laboratoria i ośrodki badawcze. Wiele biologicznych instytutów podległych Ministerstwu Zdrowia, łącznie z wielkimi ośrodkami, w których prowadzono doświadczenia nad dzumą - w Kujbyszewie, Mińsku, Saratowie, Irkucku, Wołgogradzie i Ałma Acie - otrzymało specjalne fundusze na badania genetyczne na potrzeby sektora

zbrojeniowego. Radziecka Akademia Nauk również odgrywała ważną rolę, wcielając do pracy nad „Enzymem” cztery poważne ośrodki badawcze w pobliżu Moskwy: Instytut Protein, Instytut Biologii Molekularnej, Instytut Biochemii i Fizjologii Mikroorganizmów oraz Instytut Chemii Bioorganicznej.

Tymczasem program badawczy uległ przyspieszeniu. W latach 1979-1989 Związek Radziecki prowadził zakrojone na szeroką skalę testy z aerozolem zawierającym *Bacillus thuringiensis* - niegroźną bakterię zastępczą - w rejonie Nowosybirska, posługując się cywilnym samolotem. Podobne eksperymenty prowadzono na wojskowym poligonie doświadczalnym w pobliżu miasta Nukus w Republice Karakałpackiej oraz na Kaukazie. Podczas licznych prób przeprowadzanych

przez Instytut Sprzętu Laboratoryjnego w moskiewskim metrze na początku lat osiemdziesiątych posłużono się także niegroźną *Serratia marcescens*. Poza tym nad Ocean Atlantycki w latach 1960-1980 wystrzelono szereg pocisków balistycznych, zawierających substancje symulujące broń biologiczną.

Do zarządzania ogromnymi funduszami badawczymi Gosplan powołał specjalny departament. Budżet przedsiębiorstwa uważano za sprawę zbyt ważną, aby pozostawić ją w rękach cywili, toteż opiekę nad nim sprawował pewien wysoki rangą generał.

Pod względem struktury organizacyjnej i tajności nasz program dorównywał radzieckiemu programowi nuklearnemu. Obydwa przyczyniły się do powstania tajnych miast, zakładów produkcyjnych i ośrodków

badawczych rozrzuconych po całym terytorium Związku Radzieckiego. Sieć fabryk w przemyśle atomowym, kontrolowana przez Ministerstwo Przemysłu była wprawdzie znacznie większa, ale wytwarzanie mikrobów nie wymaga kopalń uranu i zatrudniania setek tysięcy robotników. Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych nasz program działał pełną parą, nad badaniami, testami, produkcją oraz projektowaniem i wytwarzaniem sprzętu w całym kraju pracowało ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi, w tym około trzydziestu tysięcy pracowników Biopreparatu.

Pieniądze nigdy nie stanowiły problemu. I nawet w 1990 roku, kiedy Michaił Gorbaczow obiecywał światu zdecydowane uszczuplenie naszych arsenałów, otrzymałem upoważnienie, aby wydać równowartość 200

milionów dolarów, z czego 70 milionów przeznaczono na nowe budynki. Łączne wydatki tamtego roku na rozwój broni biologicznych sięgały prawie miliarda dolarów.

Biopreparat był „mózgiem” programu zbrojeniowego, dostarczał niezbędnej inżynierskiej i naukowej wiedzy do wcielenia w życie projektów zleconych przez dowództwo wojskowe. Na czele Międzyresortowej Rady Naukowo-Technicznej, pełniącej funkcję doradczą, stał minister. Zasiadało w niej dwudziestu pięciu reprezentantów najważniejszych organizacji naukowych. Zanim w 1992 roku opuściłem Biopreparat, uczestniczyłem w radzie jako zastępca Kalinina, który również miał w niej swoje stałe miejsce. Obowiązki przewodniczącego

sprawował Walerij Byków, ówczesny minister przemysłu medycznego.

Jurijowi Owczynnikowi dane było za życia ujrzeć owoce swych wysiłków. Jednak w 1987 roku zmarł na raka jako niespełna sześćdziesięcioletek. Owczynnikowa widziałem tylko raz, na wielkim zebraniu w jednym z biur Biopreparatu. Był wysoki, charyzmatyczny i elegancki, podobnie jak Kalinin. Obaj znali się zresztą dobrze, a cichy patronat Owczynnikowa z pewnością zadecydował o przeniesieniu Kalinina, ambitnego, ale w zasadzie nieznanego oficera z Korpusu Chemicznego Armii do powstałej w 1973 roku nowej, ściśle tajnej instytucji.

Owczynnikow wydzwignął radziecką biologię z bagna polityki i ideologii jedynie po to, aby zaprząć ją do radzieckiego przemysłu

zbrojeniowego. Choć jego nazwisko upamiętnia dziś jeden z szanowanych moskiewskich instytutów naukowych, wielu wspomina go jako ojca naszych współczesnych broni biologicznych. Owczyzników często powtarzał, że wyniki badań mogą być jedynie tak dobre, jak pracujący przy nich naukowcy. Wyzwanie polegało na znalezieniu odpowiednich ludzi, godzących się na życie w atmosferze bezustannej tajności.

W kwietniu 1975 roku, na dwa miesiące przed ukończeniem przeze mnie studiów medycznych w Tomsku, do bezbarwnego syberyjskiego miasteczka, w którym od dwóch lat pracowałem nad doktoratem[^] przybył z Moskwy pewien uprzejmy siwowłosy mężczyzna. Zabiegał o spotkanie ze studentami, którzy zrobili specjalizację z

epidemiologii i chorób zakaźnych. Tak się złożyło, że byłem jednym z nich. Przez kilka lat chodziłem na wykłady, na których omawiano wszelkie rodzaje broni masowej zagłady, poznawałem zasady ochrony żołnierzy przed atakiem jądrowym, biologicznym i chemicznym. Nikt nigdy choćby słowem nie wspomniał, że sami prowadzimy badania nad bronią biologiczną. Ostrzegano nas natomiast, że mają ją nasi wrogowie i dlatego koniecznie musimy zrozumieć zasady jej działania.

Moja przygoda związana z bitwą pod Stalingradem nauczyła mnie już, że wojna biologiczna nie należy do spraw, o których można otwarcie rozmawiać. Jednak fascynował mnie właśnie ten obszar medycyny wojskowej. Romantyczny obraz medyków

ratujących życie rannym żołnierzom pośród dymu i dramatów pola bitewnego urzekał mnie już w dzieciństwie. Zauważyłem ponadto, że wojskowi lekarze na swój sposób byli także żołnierzami, prowadzili prywatną wojnę przeciwko wrogowi, który wiedział, jak wykorzystać każdą ludzką słabość. Jediną bronią, jaką dysponowaliśmy, była nasza wiedza, na podstawie symptomów należało postawić właściwą diagnozę i wdrożyć leczenie.

Moje zainteresowania epidemiologią i badaniami laboratoryjnymi czyniły ze mnie idealnego kandydata do pracy w tajnej instytucji powstałej przed dwoma laty. Mój entuzjazm wywarł duże wrażenie na wykładowcach. Aksjonenko musiał przekazać moje nazwisko działowi kadr w Biopreparacie, a

także dane moich kolegów, którzy również zdradzali zainteresowanie tą tematyką.

Nasz gość mówił cicho i bardzo uprzejmie. Zrobiło na nas wrażenie, że otrzymał specjalne biuro, aby móc się z nami spotykać w cztery oczy. Z czasem dowiedziałem się, że był to pułkownik z działu kadr Biopreparatu. Zmarł w kilka miesięcy po naszym spotkaniu w Tomsku, którego nigdy nie zapomnę.

Nosił ciemny garnitur i krawat, jednak poruszał się prężnie niczym żołnierz. Na powitanie mocno uścisnął mi rękę.

- Macie znakomite wyniki i świetne rekomendacje od wykładowców - zaczął. - Lubicie pracę badawczą?

- Tak - odparłem.

- To dobrze - uśmiechnął się. - Wygląda na to, że szukamy kogoś takiego jak wy.

- W jakim celu? - spytałem.

- Pracuję dla organizacji związanej z Radą Ministrów - odparł wymijająco - i moglibyśmy wykorzystać wasze umiejętności. Więcej nie mogę powiedzieć. Dodam tylko, że ma to pewien związek z obroną biologiczną.

Kiedy usłyszałem o Radzie Ministrów, przeszedł mnie dreszcz emocji. Była to najwyższa instytucja w kraju, przywodząca na myśl władzę i autorytet. Perspektywa pracy nad tajnym programem podniecała mnie, podobnie jak przeprowadzka do Moskwy - milcząco założyłem, że z pewnością wyjadę do stolicy.

Domyślałem się także, że wspominając o obronie biologicznej, nie powiedział całej prawdy. Dorastając w państwie takim jak

Związek Radziecki, nabywa się pewnej umiejętności - człowiek zdaje sobie sprawę, że to, co słyszy, ma niewiele wspólnego z informacją, jaką słowa mają przekazać. Prawda natomiast wyglądała tak, że miałem zaledwie dwadzieścia pięć lat i spotkanie to zbyt mi pochlebiało, żeby głębiej zastanowić się nad słowami rozmówcy.

- Jestem tym zainteresowany - powiedziałem.

- Oczywiście - ciągnął, obserwując mnie uważnie - nic nie jest przesądzone, dopóki was nie sprawdzimy. Zostawię formularze. Odpowiedzcie szczegółowo na wszystkie pytania, a potem oddajcie mi je.

Wstałem z formularzami w dłoni i obróciłem się, żeby wyjść.

-1 jeszcze jedno! Ani przyjaciółom, ani wykładowcom nie opowiadajcie o naszym spotkaniu. Nawet rodzicom.

Rozmowa trwała krócej niż dziesięć minut, wystarczyło to jednak, aby natchnąć mnie przekonaniem, że czeka-mnie coś wielkiego. Rozkaz wypełniłem co do joty; zatelefonowałem do rodziców, aby powiedzieć, iż niewykluczone, że podejmę ważną pracę w Moskwie, ale na razie nie znam żadnych szczegółów.

W kilka tygodni po spotkaniu w nowych mundurach podporuczników i wypolerowanych oficerkach staliśmy na placu defilad przed instytutem. Odbywało się uroczyste wręczenie dyplomów. Dowódca odczytywał z listy nazwiska świeżo upieczonych poruczników i ich przydziały. Kilku

absolwentów miało podjąć pracę w NRD i w Polsce, dokąd każdy z nas chciałby wyjechać. Inni skazywani byli na nudę w prowincjonalnych bazach wojskowych. Moje nazwisko wywołano prawie na samym końcu.

- Porucznik Kanjatan Alibekow! Wystąpiłem do przodu i zasalutowałem.

- Jesteście oddelegowani do służby Radzie Ministrów Związku Radzieckiego!

Potem dowódca odczytał nazwiska czterech moich kolegów, wszyscy otrzymali to samo zadanie. Najwidoczniej siwowłosa wysłannik Biopreparatu również z nimi odbył tajne rozmowy.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu: jechałem do Moskwy.

W kilka dni później wezwano nas do administracji, gdzie otrzymaliśmy przydziały. Przeczytawszy dokument, pobladłem.

Zostałem przypisany do jakiejś skrytki pocztowej.

- Co to znaczy? - spytałem. - Gdzie to jest?

Oficer, który wręczył mi przydział, widząc moją minę, z trudem powstrzymał uśmiech.

- Omutninsk - poinformował. - To w pobliżu Kirowa, ale nie wolno wam z nikim o tym rozmawiać. Dostaniecie przydział, który posłuży wam za bilet kolejowy.

Cała nasza piątka, jak się potem okazało, została oddelegowana do tego samego miejsca. Koledzy byli poruszeni, kiedy usłyszeli o Radzie Ministrów. Kilku sprytniejszych wiedziało, że oznacza to wojskowe

badania. Niektórzy odgadli nawet, że trafimy do tajnych „biologicznych laboratoriów”, choć dokładnie nie wiadomo było, czym są te obiekty, a nikt nie ośmielił się zapytać.

- Pożyjesz krótko - powiedział niefrasobliwie jeden z przyjaciół. - Słyszałem, że ludzie pracujący przy tych programach żyją nie dłużej niż kilka lat.

BLOHAZARD

Praca laboratoryjna

Omutninsk 1975

Utraciłem węch i nie znam drugiego człowieka, który cierpiałby na tak wiele uczuleń naraz. Nie mogę jeść masła, sera, jaj, majonezu, kiełbasy, czekolady i cukierków. Codziennie zażywam dwie, trzy tabletki środków zapobiegających alergiom - w gorsze dni, kiedy wydzielina sączy mi się z zatok, jeszcze więcej. Co rano wcieram w twarz, kark i ręce maść stanowiącą namiastkę naturalnej warstwy ochronnej, którą utraciła moja skóra. Niezliczone szczepienia przeciwko wąglikowi, dżumie i tularemii osłabiły

mój układ odpornościowy i prawdopodobnie skrócą mi życie.

Laboratorium, w którym opracowuje się broń biologiczną, na zawsze pozostawia na człowieku swoje piętno. Ale to wszystko dotyczyło odległej przyszłości. Tymczasem w deszczową noc w środku lata 1975 roku wysiadałem z pociągu w opuszczonym zakątku zachodniej Rosji.

Wydział Naukowy Wschodnioeuropejskiego Instytutu Biochemii Stosowanej ukryty był w pobliżu Omutninska w obfitującym w grzyby lesie. Ośrodek sam w sobie stanowił miasto. Mieszkało i pracowało tam ponad dziesięć tysięcy ludzi, co stanowiło niemal jedną trzecią populacji pobliskiego miasteczka. Kompleks badawczy składał się z około trzydziestu sponiewieranych przez

deszcz i wiatr ceglanych budynków, wśród których były akademiki, laboratoria, szkoły i ciepłownia. Teren ogrodzono wysokim betonowym murem oraz siatką pod wysokim napięciem. Obiekt jednak łatwo można było pomylić z jednym z niezliczonych, podobnie samowystarczalnych cywilnych kompleksów przemysłowych, rozrzuconych po całym kraju. Ciężarówki bezustannie wjeżdżały i wyjeżdżały za bramę, w wydzielonym obszarze bawiły się dzieci. Strażnicy przy głównej bramie nigdy nie nosili mundurów.

W Omutninsku mieściły się najnowocześniejsze rosyjskie zakłady broni biologicznych. Począwszy od lat sześćdziesiątych, biopestycydy produkowano w pobliskiej fabryce, rozbudowanej następnie przez XV Zarząd, żeby w razie wojny służyła jako

rezerwowi, w każdej chwili gotowi do mobilizacji zakład produkcji broni biologicznej. W latach siedemdziesiątych przystąpiono do wznoszenia kolejnego kompleksu budynków. Kiedy tam przyjechałem, w dwa lata po tajnym dekrete Breżniewa Biopreparat właśnie przekształcał Omutninsk w duży ośrodek produkcji broni biologicznych.

W schematach organizacyjnych ośrodek widniał jako „Baza Naukowo-Pro-dukcyjna w Omutninsku”, my jednak w kryptogramach nazywaliśmy go B-8389, posługując się kodem pocztowym. Oficjalnie Omutninsk wytwarzał pestycydy i inne środki ochrony roślin. W rzeczywistości stanowił obóz szkoleniowy dla następnego pokolenia radzieckich ekspertów od broni biologicznych.

Tamtego lata przybyło nas tam dziesięciu, może piętnastu. My, świeżo upieczeni oficerowie, pochodziliśmy z najróżniejszych akademii wojskowych Związku Radzieckiego. Wielu, tak jak ja, otrzymało wykształcenie medyczne, byli wśród nas jednak także inżynierowie, chemicy i biologowie - wybrani po tajemniczych wywiadach, rozmowach i długotrwałym sprawdzaniu, czy w naszych rodzinach nie pojawiał się choćby ślad tendencji wywrotowych.

Od pierwszej chwili, kiedy przemoczony do suchej nitki zameldowałem się przełożonemu, który na powitanie zbesztął mnie za paradowanie w mundurze, zrozumiałem, że znalazłem się w innym świecie. Nie było żadnych wykładów wprowadzających, ale jeśli mieliśmy jakiegokolwiek wątpliwości

co do celu naszego pobytu, zostały one natychmiast rozwiane. Każdy z nas otrzymał regulamin ośrodka. Na samym dole mieliśmy pod przysięgą złożyć pisemne oświadczenie, że nigdy nie ujawnimy rozkazów, jakie otrzymujemy, ani szczegółów naszej pracy.

Nasi „instruktorzy” pochodzili z KGB. Otrzymaliśmy liczne formularze, z których wynikało, że będziemy prowadzili ściśle tajne badania z zakresu biotechnologii i biochemii w celach obronnych. Potem po kolei byliśmy wzywani na rozmowy indywidualne.

- Zdajecie sobie sprawę, że to nie jest zwykła praca - oświadczył mi na wstępie oficer. Była to informacja, nie pytanie.

- Tak - odparłem.

- Muszę was poinformować, że istnieje międzynarodowy traktat dotyczący broni

biologicznych, podpisany przez Związek Radziecki - ciągnął oficer. - Traktat mówi, że nikt nie ma prawa wytwarzać broni biologicznych. Podpisały go także Stany Zjednoczone, sądzimy jednak, że Amerykanie kłamią.

Powiedziałem mu szczerze, że też jestem tego zdania. W szkole oficerskiej bezustannie powtarzano nam, że świat kapitalistyczny jednoczy jeden cel: zniszczenie Związku Radzieckiego. Nietrudno było uwierzyć, że Stany Zjednoczone użyłyby wobec nas wszelkich dostępnych broni oraz że nasze przetrwanie zależało od umiejętności dorównania ich obłudzie.

- Dobrze - z zadowoleniem skinął głową. - Możecie odejść. Wszystkiego dobrego.

Podczas tej pięciominutowej rozmowy pierwszy i ostatni raz w mojej karierze zdarzyło się, że urzędnik państwowy poruszył kwestie etyczne.

Bakterie rozmnaża się w taki sam sposób bez względu na to, czy przeznaczone są do przemysłu cywilnego, zbrojeniowego czy na szczepionki. Pracując najpierw z nieszkodliwymi mikroorganizmami, nauczyliśmy się, jak przyrządzać pożywki, w których się mnożą. Ich przygotowanie stanowi sztukę samą w sobie. Bakterie wymagają szczególnej mieszanki białek, węglowodanów i soli mineralnych - często pochodzenia roślinnego lub zwierzęcego - aby uzyskać najszybsze tempo przyrostu.

Pobieraliśmy próbki pożywek i przeprowadzaliśmy analizę biochemiczną, pH i

składu aminokwasów, obliczaliśmy koncentrację węglowodanów i innych związków. Potem dodawaliśmy bakterie, aby określić ich „jakość”, stężenie i zdolność przetrwania. Proces wysiewania był trudny i należało przeprowadzać go w aseptycznych warunkach. Następnie badaliśmy zależność tempa przyrostu stężenia bakterii od temperatury, ilości tlenu, składu pożywki oraz wielu innych czynników.

W ciągu kilku miesięcy od prostych technik laboratoryjnych, których uczono mnie na studiach medycznych, przeszedłem do skomplikowanych biochemicznych i mikrobiologicznych procesów przemysłowych. Po raz pierwszy w życiu pracowałem z patogenami, ucząc się, jak zaraża się nimi zwierzęta laboratoryjne i przeprowadza autopsję.

Rosyjskie laboratoria, pracujące nad bronią biologiczną, posiadają trzy strefy, które określają stosowane w nich zabezpieczenia (w większości krajów są cztery strefy). Strefa pierwsza służy wyłącznie do produkcji pożywek. Zarówno strefa druga, jak i trzecia są niebezpieczne, czyli odizolowane od zewnętrznego świata za pomocą specjalnych urządzeń filtrujących. W trzeciej strefie w Omutninsku bezustannie szumiały stalowe suszarki i wirówki. Musieliśmy tam nosić hełmy ochronne, wielkie rękawice i grube gumowe ubrania, zwane przez nas „kosmicznymi”. Kombinezony sprawiały, że poruszaliśmy się powoli i niepewnie niczym astronauta na Księżycu.

W drugiej strefie także obowiązywał strój ochronny. Nie był tak nieporęczny jak

„kosmiczny”, ale wymagał pewnego „obrzędku”, zanim człowiek mógł powrócić do normalnego świata. Przed wejściem do drugiej strefy zrzucaliśmy białe laboratoryjne fartuchy i spodnie i zakładaliśmy długie chirurgiczne kitle, sięgające do kostek, oraz kaptur z otworami na nos i oczy. Na kaptur nakładaliśmy maskę tlenową. Nie można było zapomnieć o gumowych butach i cienkich gumowych rękawiczkach. Jeśli mieliśmy pracować ze zwierzętami, należało założyć dwie pary rękawiczek.

Pierwsze tygodnie w Omutninsku były naprawdę ekscytujące - i niebywale męczące. Podczas studiów medycznych byłem w różnych laboratoriach, nigdy jednak nie widziałem laboratorium tak ogromnego jak to, które ujrzeliśmy pierwszego dnia. Białe stoły

ciągnęły się przez całą halę. Stały na nich niezliczone mikroskopy, fotometry oraz długie rzędy lśniących probówek i kolb.

Dostaliśmy białe fartuchy i podzielono nas na grupy, aby laborantom łatwiej było nas uczyć. Moją pierwszą mentorką stała się Świetlana, niebieskooka blondynka, na której twarzy gościł nikły uśmiech, kiedy zdradzała nam sekrety pracy laboratoryjnej. Właściwie byłem w niej zakochany, co tym bardziej pogarszało moją sytuację, gdyż wciąż tłukłem kolby, które dawała mi do wysterylizowania.

- Ale z niego niedźwiedź! - powiedziała kiedyś do jednego z mych kolegów. Myślałem wówczas, że już nic ze mnie nie będzie.

Powoli nabierałem jednak pewności siebie w laboratoryjnym świecie, który

każdego dnia stwarzał okazję do nowego odkrycia. Nauczyłem się korzystać z delikatnych pipet, aby przenosić płyny z jednej probówki do drugiej, kiedy podgrzewaliśmy je palnikami bunsenowskimi. Fascynowało mnie hodowanie kultur bakterii, począwszy od cząstek ledwie dostrzegalnych pod mikroskopem.

Do laboratorium przychodziliśmy o ósmej rano, w południe mieliśmy piętnastominutową przerwę na drugie śniadanie w niewielkiej stołówce, a potem powracaliśmy do mikroskopów i probówek i pracowaliśmy aż do wieczora. Popołudnia niekiedy spędzaliśmy w bibliotece, ślęcząc nad naukowymi tekstami, które streszczaaliśmy na cotygodniowych naradach. Szkolenia w laboratorium stanowiły jedynie

przygrywkę do inicjacji w pełnym tajemnic świecie Omutnin-ska, przygotowanie do pracy z olbrzymimi pojemnikami, w których na skalę przemysłową wytwarzano pestycydy.

Robotnicy przemysłowi nie byli już tak tolerancyjni, kiedy popełnialiśmy błędy. Nie znali prawdziwego celu naszych szkoleń: widzieli natomiast zadzierających nosa absolwentów uniwersytetów, którzy nigdy w życiu ciężko nie pracowali. Wobec tego kazali nam szorować podłogi i czyścić maszyny tak długo, aż uznali nas za dostatecznie godnych zaufania, abyśmy mogli razem z nimi sprawować kontrolę nad funkcjonowaniem zakładu. Mikroorganizmy, które hodowaliśmy w olbrzymich kadziach - takie jak *Bacillus thuringiensis* - były nieszkodliwe, jednak

skomplikowane procedury związane z ich wytwarzaniem stanowiły przygotowanie do przyszłej pracy nad patogenami. Płynne kultury przesyłano pomiędzy różnymi budynkami za pomocą specjalnego systemu rur. Najważniejsze było dopilnowanie, aby kultury od początku do końca pozostawały niezanieczyszczone. Bezustannie wbijano nam do głów konieczność dokładnej sterylizacji maszyn i urządzeń. Po powrocie do akademików zbyt zmęczeni i podekscytowani, żeby zasnąć, wytchnienia szukaliśmy nocą w mieście.

Omutninsk stanowi spokojną społeczność. Ludność mieszkająca w parterowych drewnianych domkach stojących przy wąskich uliczkach nie zdradzała zainteresowania naszą działalnością.

Mieszkańcy również mieli pewne doświadczenia związane z produkcją broni. W XVII wieku Piotr Wielki wybudował tutaj odlewnię żelaza, która produkując prymitywne armaty dla carskiej armii, stała się jednym z pierwszych zakładów zbrojeniowych Rosji. Trzysta lat później wojskowa produkcja nadal dominowała w Omutninsku. Większość mieszkańców miasteczka pracowała w podupadającym metalurgicznym kombinacie, produkującym części do karabinów i dział artyleryjskich.

Jeśli nawet mieszkańcy Omutninska nie interesowali się tym, co działo się na ich podwórku, niektórzy z nas zaczęli się zastanawiać, w co się wplątaliśmy.

Pijąc wódkę w jedynej restauracji w miasteczku, rozważaliśmy, do jakiego rodzaju

pracy nas przygotowują. Niektórzy młodzi naukowcy byli dumni z udziału w tajnych rządowych programach. Innych odpychała perspektywa przekształcania chorób w broń - choćby nawet za takim przedsięwzięciem przemawiała racja stanu.

Wysoki i krzepki, pochodzący z Syberii Władimir Rumjancew, jeden z czterech absolwentów medycyny, którzy przybyli wraz ze mną z Tomsku, zdradzał objawy coraz cięższej depresji. Po powrocie z restauracji kładł się na łóżku i popijając wódkę z butelki, godzinami wpatrywał się w sufit. Szkolenia zbliżyły nas do siebie i łatwiej było mi rozmawiać otwarcie z Władimirem niż z pozostałymi członkami grupy.

- Kanjatanie, jesteście lekarzami! -
wybuchnął za którymś razem. - Jak możemy
to robić?

Sam zadawałem sobie to pytanie. W
Przysiędze Lekarza Radzieckiego, którą
składaliśmy, ukończywszy studia, zobowiąza-
łem się pomagać chorym, „nie szkodzić” i
trwać w pogotowiu „we dnie, w nocy i w cza-
sie wolnym od pracy”. Na razie wypełniałem
tylko trzecią część tej przysięgi.

Ale polubiłem pracę w laboratorium, coś
ciągnęło mnie do żmudnej hodowli mikroor-
ganizmów. Wyzwanie, jakie stanowiło ma-
nipulowanie miniaturowym światem
widocznym tylko pod mikroskopem, po-
ciągało mnie bardziej niż wszystko, co dotąd
robiłem. Wieczorami wypożyczałem z bibli-
oteki książki i czytałem o chorobach tak

długo, aż każda z nich w mym umyśle nabrała wyrazistych cech. Wiedziałem, że wyniki moich badań mogą posłużyć do zabijania ludzi, jednak nie potrafiłem pogodzić tej wiedzy z przyjemnością czerpaną z badań.

Mniej więcej w czwartym miesiącu szkoleń postanowiłem uciec. Nie była to śmiała ucieczka - nie chciałem mieć do czynienia z KGB ani wojskowymi zwierzchnikami, którzy pokładali we mnie tyle nadziei - i nie zdziwiłem się zbytnio, kiedy próba ta zakończyła się niepowodzeniem.

Pojechałem pociągiem do odległego o pięć godzin jazdy Kirowa i wysłałem do ojca długi list. Nie zwierzyłem się rodzicom z mej misji, wspomniałem jedynie, że wiąże się to z tajną działalnością wojskową. Sądziłem, że gdy nadam list z dala od bazy, uda mi się

przechytrzyć KGB, pomimo to jednak nie napisałem niczego wprost. Wierzyłem, że ojciec potrafi odczytać między wierszami to, co trzeba. Znał przecież wojsko o wiele lepiej ode mnie.

Podczas drugiej wojny światowej mój ojciec, Bajzak Alibekow, został siedmiokrotnie ranny. Odznaczony za męstwo podczas historycznej bitwy wojsk pancernych w rejonie Kurska, awansował do rangi podpułkownika milicji w Ał-ma Acie po czterech frustrujących latach, które spędził jako milicjant na wiejskim posterunku. Nasza rodzina mogła poszczycić się znakomitym pochodzeniem: mój dziadek był komunistycznym bohaterem rosyjskiej wojny domowej. Był pierwszym ludowym komisarzem spraw wewnętrznych Kazachstanu, odpowiedzialnym za

bezpieczeństwo w latach dwudziestych i trzydziestych. W starej stolicy Kazachstanu jedna z ulic nosi jego imię. Być może patronat tak wybitnego przodka otwierał przede mną jakieś honorowe wyjście z sytuacji.

W liście prosiłem ojca, żeby zwrócił się do marszałka Andrieja Greczki, ówczesnego ministra obrony, jednej z najważniejszych postaci wojskowego establishmentu, o moje przeniesienie.

W tydzień później zatelefonowałem do ojca z Omutninska.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - spytał.

- Tak - powiedziałem zdecydowanie. -

Możesz napisać marszałkowi, że jesteś weteranem wojennym, syn musi ci pomagać, więc chciałbyś, żeby był bliżej domu.

- To prawda - roześmiał się. - Powoli przemieniam się w głuchego starca. Nie spytał, co robię dla wojska. Początkowo protestował, później jednak, usłyszawszy cierpienie w moim głosie, przystał na napisanie listu.

W miesiąc później do Ałma Aty przyszedł adresowany do ojca ciepły list. „Drogi Towarzyszu Alibekow! - brzmiały jego pierwsze słowa. - Oddaję Wam cześć za Waszą służbę dla Ojczyzny, rozumiem też Wasze życzenia w związku z synem. Jednak musicie wiedzieć, że syn Wasz został wyznaczony do wykonywania bardzo ważnych zadań dla naszego kraju. To prawda, że syn zawsze powinien przebywać ze starzejącymi się rodzicami, ale macie przecież drugiego syna i córkę, którzy mogą spełniać swą powinność”.

Ojciec przeczytał mi list Greczki przez telefon. Nie potrafi! ukryć wzruszenia: otrzymał list podpisany przez wielkiego marszałka! Tymczasem ja czułem się jak w pułapce.

Mimo to wkrótce poczułem się dumny - list marszałka mi schlebiał. Jeśli sam minister obrony uważał mnie za człowieka niezastąpionego, czyż miałem prawo protestować? Powinienem raczej polubić uczestnictwo w tym tajnym klubie.

Z tym większą energią przystąpiłem do nauki i przynajmniej na jakiś czas opuściły mnie wątpliwości. Ostatecznie żaden z członków naszej grupy nie porzucił szkolenia.

W każdym zakątku zamkniętego kompleksu powstawały nowe budynki. Codziennie z pobliskiego obozu pracy autobusami

przywożono więźniów z łopatami i betoniarkami. Biopreparat podpisał tajne porozumienie z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych o zatrudnianiu więźniów skazanych na wyroki powyżej dziesięciu lat. Stanowili oni główną siłę roboczą, wznoszącą nowe laboratoria biologiczne w całym kraju.

Kładzono właśnie fundamenty pod pilotażowy zakład, który miał zapoczątkować nową erę masowej produkcji broni biologicznych, zwany Budynkiem 107. Tempo budowy nie pozwalało na żadne wątpliwości - stanowiliśmy część kluczowego programu obronnego państwa.

Wkrótce pojawiły się także inne powody, żeby cieszyć się z takiej kariery. Przed wyjazdem w marcu 1976 roku na Syberię,

aby objąć nowe stanowisko, poznałem moją przyszłą żonę. vi*5' „„*!;

Kilka miesięcy wcześniej w Ałma Acie spotkałem Lenę Jemieszewą, ładną osiemnastoletnią studentkę języków obcych. Przyjechałem do domu po raz pierwszy od wyjazdu do Omutninska. Lena przyjaźniła się z kuzynką, która zaprosiła ją na odbywający się w mieście koncert z okazji Dnia Armii Radzieckiej. Od razu mi się spodobała. Miała iskrzące się zielone oczy. Urodziła się w pobliżu mojej rodzinnej wioski w Kazachstanie. Zanim przeniesiono ją do Instytutu Języków Obcych w Ałma Acie, Lena studiowała fizykę - toteż łączyła nas także pasja naukowa.

Pobraliśmy się w sierpniu 1976 roku w pałacu ślubów w Ałma Acie, a tradycyjne

kazachskie wesele łoi odbyło się w domu mego ojca.

Już w czasie narzeczeństwa Lena przestała wypytywać mnie o pracę. Miała dość wymijających odpowiedzi, że „prowadzę tajne badania”. Pomimo to byłem zaskoczony, że bez oporów przyjęła wieść, iż nasz pierwszy wspólny dom znajdować się będzie w Berdsku, odległym syberyjskim miasteczku.

Jak wyjaśniła mi znacznie później, w owym czasie liczyła się dla niej tylko satysfakcja z tego, że jestem oficerem najwyraźniej wyróżnianym za zasługi dla państwa.

Naukowo-Produkcyjna Baza w Berdsku, czyli Syberyjski Oddział Instytutu Biochemii Stosowanej, bo tak brzmiała oficjalna nazwa tej instytucji, okazała się miłą odmianą po

pobycie w Omutninsku. Berdsk, oddalony od Moskwy o cztery tysiące kilometrów, posiadał jeden z najlepszych zespołów w całym kraju. Położony był w pobliżu „akademickiego” Nowosybirska, gdzie prowadzono zaawansowane badania w dziedzinie inżynierii, technologii i ekonomii. Kiedy Michaił Gorbaczow, zapoczątkowawszy pierestrojkę, szukał odpowiednich współpracowników, większość ekonomistów i politologów pochodziła właśnie z Nowosybirska. Nowa praca tak mnie pochłonięła, że zupełnie zapomniałem o kryzysie sumienia z poprzedniego lata. Biopreparat pragnął uczynić z Berdaska pierwowzór ośrodka badawczego połączonego z fabryką broni biologicznych. Wybudowany w latach sześćdziesiątych, wykorzystywany był

głównie jako rezerwowy zakład do składania i wypełniania „bombek” zmutowanymi bakteriami, które miały być rozmnażane gdzie indziej. W miarę rozwoju radzieckiego programu broni biologicznych taki podział pracy stał się kłopotliwy i nieefektywny. Berdsk nie mógł zagwarantować, że wytwarzane tutaj „bombki” będą stuprocentowo szczelne, co stanowiłoby zagrożenie dla naszych żołnierzy. Płynne lub sproszkowane substancje zastępcze (symulujące) nie nadawały się do testów szczelności - potrzebne były prawdziwe wirusy lub bakterie. Berdsk jednak nie posiadał własnego laboratorium ani zespołu badawczego. Moskiewska centrala poleciła zatem rozpocząć budowę i za granicą zakupiła odpowiedni sprzęt do jego wyposażenia. Wraz z Rumjancewem pracowałem

nad programem, którego celem było przekształcenie zakładu w kompleks umożliwiający rozwój nowych technik produkcji broni biologicznych.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, zastaliśmy setki nieotwartych jeszcze pudeł z maszynami i sprzętem laboratoryjnym. Było to wyposażenie nowego laboratorium mikrobiologii, czekające tutaj do użycia. Tymczasem istniejący zespół potrafił jedynie obsługiwać linię przemysłową i nie miał pojęcia, jak stworzyć placówkę badawczą.

Wraz z Rumjancewem zbudowaliśmy laboratorium od zera. Zaplanowaliśmy rozkład pomieszczeń, począwszy od sterylnych stołów aż po lokalizację zlewów i miejsc, gdzie należało doprowadzić instalację wodną. Stopniowo rozpakowując pudła,

wyjmowaliśmy mikroskopy, probówki, inkubatory i inny sprzęt sprowadzony ze wszystkich zakątków świata. Były tam japońskie kadzie fermentacyjne, czeskie szklane butle i francuskie kolby. Większość sprzętu pochodziła ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Naszym byłym sojusznikom zawdzięczaliśmy znacznie więcej, niż skłonni byliśmy przyznać publicznie. Fakt, iż mogliśmy korzystać ze standardowych urządzeń fermentacyjnych, świadczy o podwójnej roli używanego przez nas sprzętu.

W ciągu niespełna czterech miesięcy przekazaliśmy zwierzchnikom w pełni wyposażone laboratorium.

W styczniu 1977 roku dowódca Berdska, pułkownik Witalij Kundin, powrócił z centrali Biopreparatu, przywożąc dwie ampułki z

liofilizowaną brucellą, bakterią, której ofiarą pada żywy inwentarz, zwłaszcza bydło. Ludzie zarażający się od zwierząt brucelozą, czyli gorączką maltańską, cierpią na wysoką temperaturę, poty, ból gardła, brzucha i biegunkę. Choroba, nawet właściwie leczona, może trwać miesiącami, a niekiedy przechodzi w stan chroniczny. Moja wiedza o niej pochodziła nie tylko z książek - ojciec od szeregu lat cierpiał na nawracające ataki brucelozy, wywołującej tak silne bóle, że niekiedy nie mógł poruszać rękami.

- Skoro mamy laboratorium, możemy je wykorzystać - rzeki wesoło Kundin. - Może spróbujecie, co uda się wam z tym zrobić?

W żadnym z laboratoriów Biopreparatu nie produkowano pałeczek brucelozy w znaczących ilościach. Pożywką najczęściej

stosowaną w tamtych czasach była kazeina. W jakimś podręczniku wyczytałem jednak o mieszaninie ekstraktu drożdżowego, witamin i substancji przyspieszających rozmnażanie, która w wypadku innych kultur daje lepsze wyniki. Wraz z Rumjancewem długo eksperymentowaliśmy ze składnikami, aż odkryliśmy właściwe proporcje.

Po ośmiu miesiącach zaprezentowaliśmy wyniki naszych badań: dzięki nowej pożywce możliwe było szybkie rozmnażanie bakterii, pozwalające na zastosowania bojowe. Moskwa była zadowolona. Jeśli chodzi o mnie, było to osobiste osiągnięcie - z ucznia przekształciłem się w profesjonalistę.

Jesienią 1977 roku dostałem awans na porucznika i starszego asystenta. Zostałem także ojcem: Lena urodziła Mirę, nasze

pierwsze dziecko, i życie wydawało się nam wspaniałe. Moje dochody stale rosły, cieszyłem się uznaniem zwierzchników i zacząłem wierzyć, że w Związku Radzieckim znalazłem dla siebie najlepsze z możliwych miejsc.

W dwa lata później Lena znów zaszła w ciążę, a ja zostałem szefem laboratorium w Berdsku. Kiedy Lena urodziła Alana, otrzymałem nowe zadanie: miałem powrócić do Omutninska, żeby opracować metodę przemysłowej produkcji tularemii na potrzeby wojska. Powiedziano mi, że Budynek 107 jest już gotowy.

Budynek 107

Omutninsk 1980

WOmutninsku praca wrzała. Wszędzie powstawały nowe budowle, a najważniejszą był nieskazitelny, szary dwupiętrowy budynek, stanowiący modelowe laboratorium produkcji tularemii.

Budynek 107 zaprojektowano tak, aby najgroźniejsze mikroorganizmy nie przedostały się na zewnątrz. Gdyby podnieść dach i zajrzeć do środka, okazałoby się, że struktura gmachu przypomina rosyjską matryoszkę, w której znajduje się wiele podobnych, coraz mniejszych lalek. W najmniejszej z „lalek”, czyli w pomieszczeniu najbardziej

izolowanym od świata zewnętrznego, mieściło się najważniejsze laboratorium.

Zewnętrzna powłoka Budynku 107 stanowiła strefę numer jeden. Mieściła się tam administracja, komórka do spraw bezpieczeństwa oraz laboratoria niepracujące nad niebezpiecznymi mikroorganizmami. Korytarze przemierzali pracownicy w białych spodniach i laboratoryjnych kitlach. Poprzez okna wpadało dzienne światło, na ścianach wisiały zachęcające hasła w rodzaju „Wykonajmy plan pięcioletni w cztery lata!” czy „Niech żyje Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego!”. W pierwszej strefie Budynku 107 można było spędzić cały dzień, nie zdając sobie sprawy z tego, co działo się „głębiej”.

W strefie drugiej mieściły się laboratoria, w których pracowano nad materiałem patogennym. Znajdowały się tam składy, klatki ze zwierzętami i sięgające aż po dach szesnasto- i dwudziestotonowe kadzie fermentacyjne. Strefa trzecia, mieszcząca się wewnątrz drugiej, ukazywała owoce naszej pracy inżynierskiej od 1973 roku: rzędy błyszczących stalowych wirówek, młynków i suszarek.

Zarówno druga, jak i trzecia strefa miały niezależny system wentylacji. Głośno pracujące generatory właczały powietrze przez rury znajdujące się w suficie, utrzymując ciśnienie na poziomie nieco niższym niż w strefie zewnętrznej, aby uniknąć przedostania się patogenów do strefy pierwszej. Z dysz umieszczonych na suficie rozpylany był nadtlenek wodoru. Specyficzny

zapach tego środka dezynfekującego na zawsze pozostanie w mej pamięci. Zapach ten jest nie tylko wspomnieniem: kilkanaście lat pracy w laboratorium utleniło moje włosy na kolor ciemnoblond.

Był to świat ukrytych, niewidocznych zagrożeń. Jeden fałszywy krok, niezdarny ruch, bezmyślny gest mogły spowodować nieszczęście i dać początek koszmarowi. Wiedzieliśmy dostatecznie dużo, aby obawiać się niebezpieczeństw drugiej i trzeciej strefy, byliśmy jednak młodzi i wydawało nam się, że jesteśmy niepokonani. Postrzegaliśmy siebie jako strażników tajemnicy, której nikt inny nie rozumie, wojowników czy też kapłanów tajemnego wyznania, którego rytuałów nie wolno ujawnić.

W niedzielny marcowy wieczór 1983 roku w naszym mieszkaniu zadzwonił telefon. Ostrożnie podniosłem słuchawkę, starając się nie obudzić Leny.

Dzwonił Nazil, jeden z szefów laboratorium, który miał nocny dyżur w Budynku 107.

- Musisz przyjść natychmiast - powiedział krótko. - Mamy problem. Pospiesznie ubrałem się i ruszyłem biegiem.

Od razu skierowałem się do drugiej strefy. Korytarz zwany „przejściem sanitarnym” stanowił labirynt niedużych sterylnych pomieszczeń. Wszedłem przez szczelne drzwi strzeżone zamkiem cyfrowym, otwierane albo przez odsunięcie rygła, albo przez obrót ciężkiego koła, podobnie jak na okrętach podwodnych. Kody zmieniano co tydzień.

Rozebrałem się, schowałem ubranie do jednej z szafek. W drugim pomieszczeniu za biurkiem siedziała młoda pielęgniarka. Znaliśmy się z widzenia, na spacerzy chodziła z dużym psem. Zawstydzilem się, stanąwszy przed nią zupełnie nago. Ale ona nie dała po sobie niczego poznać. W milczeniu włożyła mi pod pachę termometr i zbadła każdy centymetr kwadratowy mego ciała, z zębami i dziąsłami włącznie. Jakiegokolwiek krwawienie czy zadrapanie, nawet zacięcie się przy goleniu, stanowiło podstawę do niewpuszczania mnie dalej.

Szum wentylatorów stawał się głośniejszy, kiedy przechodziłem przez kolejne pomieszczenia, kompletując poszczególne elementy kombinezonu zabezpieczającego przed zarazą: białe skarpetki, kalesony,

bawełniany kitel, respirator, okulary ochronne, buty i rękawiczki. Przy wychodzeniu wszystko to należało robić w odwrotnym porządku, choć rękawice zawsze zdejmowano na samym końcu. Nawet po kilku latach wprawy przebranie zajmowało mi piętnaście minut. Tamtej nocy zrobiłem to jednak szybciej niż zazwyczaj.

Nazil czekał na mnie w strefie drugiej.

Ruszyliśmy korytarzem, a on opowiedział mi, co się stało. Ciśnienie powietrza w przewodach, dostarczających kulturom tularemii tlen, zaczęło gwałtownie spadać. Przed godziną pracowała tam jedna z techniczek, ale poszła już do domu. Być może zapomniała ustawić zawory w pierwotnym położeniu.

Była jedenasta wieczór. Stanęliśmy przed pomieszczeniem, w którym nastąpił spadek

ciśnienia tlenu, Nazil zawahał się przy drzwiach.

- Nie martw się - powiedziałem - wracaj do laboratorium. Poradzę sobie.

Uspokojony ruszył korytarzem. Otworzyłem drzwi i zrobiłem kilka kroków. W środku było ciemno jak w grobie. Sięgnąłem do kontaktu. Kiedy udało mi się go znaleźć, spojrzałem pod nogi. Zamarłem. Stałem w kałuży płynnej tula-remii.

Substancja była mlecznobrązowego koloru - najwyższe stężenie. Kałuża miała tylko kilka milimetrów głębokości, ale wystarczyłoby to w zupełności do zarażenia wszystkich obywateli Związku Radzieckiego.

Zawołałem Nazila i usłyszałem, że biegnie do mnie korytarzem.

Stałem zaledwie pół metra od drzwi, ale nie mogłem się ruszyć. Gdybym próbował się wycofać, zarazki wydostałyby się na korytarz i skaziły całą strefę.

Starając się zachować spokój, poleciłem Nazilowi, żeby szybko przyniósł środki odkażające - wszystko jedno jakie. Sięgnąłem za siebie i złapałem butelkę z wodą utlenioną, którą podał mi przez drzwi.

Wylałem roztwór na obuwie. Wręczał mi kolejne butelki, a ja oblewałem nimi buty, powoli zbliżając się do drzwi.

Kiedy wyszedłem na korytarz, nadbiegli naukowcy z innych sektorów strefy, zaalarmowani zamieszaniami. Spadek ciśnienia powietrza sprawił widocznie, że roztwór z bakteriami „wykipiał”, przedostając się na zewnątrz przez system filtrów. Zamknąłem

drzwi i poleciłem zdezynfekować wszystko, czego dotykałem, a także całe pomieszczenie.

Ruszyłem do przejścia sanitarnego, zdjąłem buty i ochronne ubranie, wziąłem prysznic ze środkiem dezynfekującym i poddałem się krótkiemu badaniu przez pielęgniarkę. Zapewniła mnie, że wszystko jest w porządku.

W milczeniu myślałem o swoim szczęściu. Usiłowałem wyobrazić sobie, co by się stało, gdybym na śliskiej podłodze utracił równowagę. Choć tularemia zazwyczaj nie jest chorobą śmiertelną, my pracowaliśmy nad znacznie bardziej zjadliwymi szczepami niż te, które występują w przyrodzie.

Kiedy spotkaliśmy się w strefie pierwszej, poleciłem Nazilowi i innym, żeby zażyli

antybiotyki, które mieliśmy pod ręką w razie wypadku.

Udałem się do biura i zatelefonowałem do Sawy Jermoszyna, szefa specjalnego oddziału KGB w Omutninsku. Później Sawa pracował ze mną w moskiewskiej centrali Biopreparatu.

Najwyraźniej wyrwałem go z głębokiego snu.

- Przepraszam, że budzę - powiedziałem - chciałem tylko przekazać, że niewielka ilość tularemii wydostała się dziś w nocy w Budynku 107.

Nie spodziewałem się, że poczyni jakieś kroki, ale regulamin wymagał informowania KGB o najmniejszych odstępstwach od rutynowych działań.

- Czy ktoś został poszkodowany? - spytał sennym głosem.

- Nie, wszystko w porządku - ciągnąłem pogodnym tonem. - Wszystko posprzątaaliśmy. Nie zostało dla was nic do roboty.

Spojrzałem na zegarek i odłożyłem słuchawkę. Dochodziła druga nad ranem. Bez sensu było telefonować do Moskwy o takiej porze. Postanowiłem zaczekać do rana i zmęczony, z ulgą, poszedłem do domu.

- Jakiś wypadek? - spytała półsenna Lena, kiedy cicho wszedłem do sypialni.

- Nic ważnego - powiedziałem. - Śpij.

Następnego dnia w porze drugiego śniadania odebrałem telefon od mocno zdenerwowanego Kalinina.

- Usiłowałem znaleźć was przez cały ranek, wciąż mówią mi, że jesteście na jakimś zebraniu - krzyczał. - Jak możecie przesiadywać na zebraniach, kiedy z waszego budynku wydostaje się tularemia?!

Jermoszyn najwyraźniej lepiej znał przepisy niż ja. Miał obowiązek informowania zwierzchników o każdym wypadku i natychmiast po naszej rozmowie skontaktował się z szefem KGB odpowiedzialnym za rejon Kirowa. Nie przyszło mi do głowy, że o takim niefortunnym, lecz drobnym incydencie należy poinformować „górze”. Tymczasem szef KGB zatelefonował do swych moskiewskich zwierzchników, którzy z kolei wczesnym rankiem skontaktowali się z Kalininem.

Wówczas historia została już poważnie zniekształcona. Bez względu na to, co zaspary Jermoszyn naopowiadał swemu przełożonemu, przeobraziła się w katastrofę zagrażającą całemu regionowi.

Usiłowałem uspokoić Kalinina, ale nie chciał mi wierzyć. Pokładał absolutną wiarę w KGB.

- Jutro wysyłam do was kogoś pierwszym porannym pociągiem - powiedział gniewnie i odłożył słuchawkę.

Następnego ranka udałem się na stację po generała Lwa Kluczerowa, szefa zarządu naukowego Biopreparatu. Generał miał taką minę, jakby przez całą drogę kipiał z wściekłości.

- Bez względu na to, co staracie się ukryć - powiedział, czerwieniejąc ze złości - wiedzcie, że się to wam nie uda.

Zaprosiłem go do biura i po kolei przedstawiłem zdarzenia z poprzedniego dnia. Kluczerow nieco zmiękł i wyglądał na udobruchanego. Przekonał się przecież na własne oczy, że nikt nie zachorował.

Nikt z wyjątkiem mnie.

Pod koniec wizyty Kluczerowa dostałem dreszczy, a fala mdłości sprawiła, że miałem ochotę ukryć twarz w dłoniach.

To zaziębienie, pomyślałem. Zbyt ciężko pracuję.

Jednak czułem się gorzej niż przy najcięższym zaziębieniu, twarz rozpalala mi gorączka.

- Co się z wami dzieje? - spytał Kluczerow znacznie przyjaźniejszym tonem. - Wyglądacie, jakbyście zaraz mieli umrzeć.

Uśmiechnąłem się blado.

- To tylko przeziębienie - odparłem. - Mi-
ałem ciężką noc. Napiję się gorącej herbaty.

Wróciłem do domu natychmiast po wyjeździe generała. Wiedziałem, że coś jest nie tak: tularemia zaczyna się od objawów przypominających grypę i szybko atakuje cały organizm.

W domu od razu skierowałem się do podręcznej biblioteki medycznej i wyjąłem z niej wszystkie książki o chorobach zakaźnych. Antidota nie były moją specjalnością. Usiłowałem rozwaźnie przemyśleć następny krok.

Gdyby dowiedzieli się o tej historii Kluczerow, Kalinin i inni, znalazłbym się w znacznie gorszym położeniu niż obecnie. Oskarżyliby mnie o próbę zatuszowania wypadku i z pewnością zadaliby sobie pytanie: cóż to za naukowiec, który w takiej sytuacji nie zażył właściwych antybiotyków? Nazilowi i innym poleciłem zażyć antybiotyki, sam jednak - z niewyjaśnionych powodów - tego nie uczyniłem.

Czułem się upokorzony i zagubiony. Opuszczając Budynek 107 tamtej nocy, zostałem całkowicie zdezynfekowany. Do zarażenia się chorobą wystarczyła sekunda. Ale kiedy to się stało? I wtedy zrozumiałem: zdejmując maskę i ochronny kaptur, musiałem musnąć twarz, a setka komórek, mniejszych

niż drobinka kurzu, przedostała się przez niewidoczne gołym okiem zadrapanie skóry.

Mogłem spokojnie pozostać w domu - nie istniało niebezpieczeństwo zarażenia Leny i dzieci.

Tularemią można się zarazić, wdychając ją wraz z powietrzem lub przyjmując z pokarmem albo poprzez zadrapania i rany na skórze. Rzadko przenosi się z jednej osoby na drugą bezpośrednio, mogą ją jednak przynieść pchły, kleszcze, szczury i inne gryzonie - później przez niewidoczne gołym okiem otarcia skóry przedostaje się do krwiobiegu.

Choroba zaczyna się od nagłej gorączki, dreszczy i niezwykle silnego bólu głowy. Bakterie rozmnażają się szybko, zajmują węzły limfatyczne i odległe organy, łącznie z wątrobą i śledzioną.

Nawet po pojawieniu się w latach czterdziestych skutecznych antybiotyków tularemię nadal uważano za idealną broń na polu walki z uwagi na szybkość, z jaką zapełnia szpitale nieprzyjaciela - personel medyczny nie potrafi poradzić sobie z tak dużą liczbą pacjentów wymagających intensywnej opieki.

Antybiotyki zastosowane niezwłocznie mogą zahamować rozprzestrzenianie się choroby w organizmie i zabić bakterie w ciągu kilku dni. Im później zostaną podane, tym bardziej przedłuża się cierpienie ofiary. Szczególnie ostre infekcje mogą trwać miesiącami.

Za najlepszy środek przeciw tularemii uważa się tetracyklinę, nie miałem jednak pojęcia, jak poradzi sobie ona ze szczepem

opracowanym w naszym laboratorium. Niektórych szczególnie wirulentnych bakterii nie można pokonać dostępnymi antybiotykami, co prowadzi do zgonu.

Zatelefonowałem do żony przyjaciela, lekarki z pobliskiego szpitala, i powiedziałem, że natychmiast potrzebuję tetracykliny. W normalnych okolicznościach nieodzowna byłaby recepta, jednak w małym miasteczku łatwo było obejść takie formalności.

- Ile? - spytała, nie wyrażając najmniejszego zdziwienia.

Dokonałem szybkich obliczeń i poprosiłem o dawkę trzykrotnie wyższą niż normalna. Powszechna tajność obowiązująca w Związku Radzieckim działała na moją korzyść. W Stanach Zjednoczonych uzyskanie dużej ilości tetracykliny nie

poszłoby tak gładko bez wiarygodnego uzasadnienia. Poprosiłem ją, żeby nikomu o tym nie mówiła.

Postanowiłem zastosować terapię szokową. Jeśli to by nie podziałało, musiałbym zgłosić się do szpitala. Leczenie samego siebie stwarzało pewne ograniczenia.

W godzinę później żona przyjaciela przyszła z olbrzymią „awošką”, torbą, z jaką w Rosji kobiety chodzą po zakupy na wypadek, gdyby akurat „rzucili towar”. Drzwi otworzyła Lena. Ja siedziałem na krześle zbyt słaby, żeby się poruszyć.

Wieczorem gorączka powoli zaczęła spadać. Następnego dnia zatelefonowałem do pracy, że jestem chory, i zostałem w domu. W środę lub czwartek, trzy dni po kontakcie z bakteriami, poczułem się lepiej,

choć jeszcze przez dziesięć dni brałem wysokie dawki tetracykliny. Do pracy powróciłem w następny poniedziałek.

Kiedy Lena spytała mnie, co się stało, odparłem, że to niegroźna infekcja po wypadku z jakąś substancją w laboratorium. Nic nie wiedziała o tularemii, bo nigdy nie opowiadałem o swoich zajęciach. Udawała, że uspokoiły ją moje zapewnienia, choć po naszej ucieczce ze Związku Radzieckiego wyznała, jak bardzo obawiała się o moje życie.

Wypadek udało mi się zatuszować, jednak stanowił przypomnienie o konsekwencjach pracy w naszej branży.

Wypadek w Swierdłowsku

Swierdłowsk 1979

Żaden naród nie może być tak ni-eroztropny, aby umieszczać fabrykę broni biologicznych w pobliżu miasta, w którym mieszka ludność cywilna Raymond Zilinskas, amerykański mikrobiolog, fragment raportu z 1980 roku na temat swierdłowskiego wypadku.

Biopreparat stanowił najpilniej strzeżoną tajemnicę zimnej wojny. Sieć laboratoriów była tak tajna, że ich pracownikom nie zdradzono, nad czym pracują inne laboratoria ani gdzie się znajdują. Jednak nawet w najbardziej tajnej organizacji pracują ludzie.

Plotki, współzawodnictwo i zwykła ciekawość sprawiały, że zawsze wiedzieliśmy więcej, niż przypuszczali nasi zwierzchnicy.

I w końcu wszyscy poznaliśmy prawdę o Swierdłowsku.

Najpierw usłyszałem o tej sprawie w typowy sposób, który może człowieka doprowadzić do szału. Był czerwiec 1979 roku, dwa miesiące po wypadku, a ja pracowałem na Syberii i wszystko szło nie po mojej myśli. Nieliczne sukcesy jawiły mi się jako nieważne i niepotrzebne. Pomimo słów uznania z Moskwy byłem przekonany, że moja kariera naukowa zmierza donikąd. Wydawało mi się, że świat poszedł inną drogą.

Oprócz Leny nie miałem nikogo, komu mógłbym się zwierzyć, dopóki nie poznałem sympatycznego pułkownika z kwatery

głównej, który przyjechał do Berdska na inspekcję.

Oleg Pawłów należał do ludzi, którzy nad kieliszkiem wódki zapominają o sprawach urzędowych i lubią się zwierzać. W któryś piątek, po dniu spędzonym na nużących dyskusjach o budżecie laboratorium, spytał, czy w okolicy są miejsca, gdzie, jak się wyraził, można „rozkoszować się prawdziwą Syberią”.

Powiedziałem mu, że nasi pracownicy zazwyczaj spędzają niedzielne popołudnia na pikniku nad pobliską rzeką. W dni powszednie nie ma tam żywej duszy.

- Świetnie! - ucieszył się. - Weźmiemy jakiś prowiant.

Był piękny, ciepły, letni dzień. Nadbrzeżny park był zupełnie pusty, brzozy łagodnie kołysały się na wietrze. Pawłów

rozebrał się i z okrzykiem radości wskoczył do wody. Zrobiłem to samo, z zainteresowaniem przyglądając się, jak niczym dziecko pluska się w lodowatym strumieniu.

Wyszliśmy na brzeg, wytarliśmy się, ubrali, po czym wyjęliśmy jajka na twardo, kiełbasę, chleb i cebulę. Pawłów przyniósł ponadto flaszkę wódki i dwa kieliszki. Usiedliśmy w cieniu, błogo rozkoszując się przyrodą.

W Rosji kieliszek wódki stanowi zaproszenie do zwierzeń. Zacząłem opowiadać o swoich kłopotach.

- Niczego tutaj nie osiągnę - mówiłem - zawsze brakuje naukowców, a i tak nie robimy nic istotnego. Chciałbym, żeby dali nam coś poważnego do roboty.

Pawłów wychylił kieliszek jednym haustem i postawił go na ziemi.

- Nie bądźcie idiotą - rzekł.

Byłem zbyt zdumiony, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Dam wam dobrą radę - ciągnął. - Nigdy nie pragnijcie czegoś zanadto, bo życzenie może się spełnić.

Pomyślałem, że wódka rozwiązała mi język i stałem się zbyt szczery, zwłaszcza wobec przedstawiciela kwatery głównej. Chciałem zachować twarz.

- Nie powinienem więcej pić - stwierdziłem w nadziei, że Pawłów uśmiechnie się i zmieni temat.

Ale on się nie uśmiechnął.

- Wiecie o Swierdłowsku, prawda? - spytał nagle.

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Większość z nas nieoficjalnie wiedziała o istnieniu wojskowego zakładu produkującego broń biologiczną na wschodnim pogórzu Uralu. Zakłady wybudowano po wojnie na podstawie japońskich planów znalezionych w Mandżurii.

- Wiem, że pracują nad węglikiem - powiedziałem. - Czy mieli jakieś osiągnięcia?

Zirytowany potrząsnął głową.

- Nic wam nie wiadomo? Tam był wypadek.

- Jaki wypadek?

Nalał sobie następny kieliszek, wypił i uśmiechnął się figlarnie.

- Jesteście zbyt młodzi, żeby słuchać takich rzeczy. Poprosiłem, żeby zdradził mi coś więcej, ale odmówił.

- Nie mogę, jeśli jeszcze o tym nie wiecie - powiedział z rozpaczą w głosie. - Wspomni-
ałem o tym tylko dlatego, żeby pokazać wam,
jakie macie szczęście, że nie robicie tego, co
byście chcieli, „tych ważnych rzeczy”, które
oni robili w Swierdłowsku. Jesteście człowie-
kiem młodym, szczęśliwym, macie rodzinę.
Jest dość powodów, żeby nie być przesadnie
ambitnym.

Nalał sobie trzeci kieliszek. Tę kolejkę
postanowiłem opuścić.

- Cóż za idioci! - wybuchnął po długim
milczeniu. - Zabili-mnóstwo ludzi. Pawłów
wrócił do Moskwy po kilku dniach papi-
erkowej roboty w Berdsku.

Był ostrożny i ani razu nie wspomniał już
o Swierdłowsku.

Opinia publiczna dowiedziała się o niektórych szczegółach tej historii w kilka miesięcy później. W listopadzie 1979 roku rosyjskie antyradzieckie pismo wydawane przez emigrantów w RFN zamieściło informację, że w zakładach usytuowanych na południowy zachód od Swierdłowska doszło do wybuchu, w wyniku którego w kwietniu ubiegłego roku nad miastem zawisła chmura śmiertelnych bakterii, zabijając tysiąc osób. Zachodnie agencje informacyjne podchwyciły tę historię, cytując także przedstawicieli amerykańskiego wywiadu, którzy dowodzili, że wypadek stanowi oczywisty dowód pogwałcenia przez Związek Radziecki Konwencji o zakazie broni biologicznych z 1972 roku.

Moskwa wszystkim zaprzeczyła. Agencja TASS 12 czerwca 1980 roku opublikowała oficjalny komunikat, w którym stwierdzono, że w rejonie Swierdłowska doszło jedynie do „naturalnego wystąpienia węglika u zwierząt domowych”.

„Przypadki skórnej oraz jelitowej postaci węglika wystąpiły także u ludzi, ponieważ uboju zwierząt nie zawsze dokonywano zgodnie z przepisami weterynaryjnymi” - głosił komunikat, informujący ponadto, że wszyscy pacjenci powrócili do zdrowia w miejscowych szpitalach.

Naturalnie było to kłamstwo.

Niemiecki magazyn i amerykański wywiad miały rację, że wydarzył się wypadek, ale wiele szczegółów podano nieprecyzyjnie. Przed upływem roku każdy pracownik

Biopreparatu wysokiego szczebla wiedział, że w Swierdłowsku stało się coś strasznego. Oficjalnie nie mówiło się o tym, jednak wieści rozchodziły się lotem błyskawicy. Dowiedziałem się o wszystkim od ludzi, którzy pracowali w zakładzie w okresie, kiedy wydarzył się wypadek, oraz od oficerów odpowiedzialnych za zatuszowanie sprawy.

Moje zainteresowanie Swierdłowskiem nie wynikało z czystej ciekawości. Musieliśmy wiedzieć, co się stało, żeby zawczasu przygotować się na wypadek podobnej katastrofy. W miarę jak awansowałem w Systemie, w podległych mi jednostkach zastosowałem zabezpieczenia, których brak doprowadził do swierdłowskiej tragedii.

W owym czasie ani Oleg Pawłow, ani ja nie mogliśmy przypuszczać, że swierdłowski

wypadek przyspieszy mój awans. Nie tylko pchnął mnie w kierunku „poważnych badań”, na których tak mi zależało, ale nakreślił nowe cele Biopreparatu, ku którym podążaliśmy przez następną dekadę.

W ostatni piątek marca 1979 roku w swierdłowskim zakładzie, produkującym broń biologiczną, technik z suszarni węglika w kompleksie numer 19 przed wyjściem z pracy zostawił na kartce informację dla przełożonego: „Wyjąłem zatkany filtr. Trzeba założyć nowy”.

Kompleks numer 19 był największym zakładem podległym Biopreparatowi. Pracowano tam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, na trzy zmiany, wzbogacając radziecki arsenał o laseczki węglika w formie sproszkowanej (suchej). Sfermentowane

kultury węglika należało osuszyć przed przekształceniem w lotny pył wykorzystywany w aerozolach. W związku z tym w powietrzu zawsze unosiły się zarodniki. Pracowników regularnie szczepiano, ale przed wydostaniem się węglika na zewnątrz chroniły jedynie duże filtry, zamocowane na końcach przewodów wyciągowych.

Po każdej zmianie zatrzymywano wielkie suszarki i dokonywano pobieżnego przeglądu maszyn. Zatkany filtr nie był rzeczą wyjątkową, jednak natychmiast należało go zastąpić nowym.

Podpułkownik Nikołaj Czernyszow, szef popołudniowej zmiany, pragnął równie szybko znaleźć się w domu jak robotnicy. Wojskowy regulamin wymagał, aby podpułkownik zapisał informację o

niesprawnym filtrze w dzienniku, być może jednak nie uważał notatki laboranta za ważną albo po prostu był przemęczony.

Kiedy do pracy przyszedł jego zastępca, zajrzał do dziennika. Nie dostrzegając niczego niepokojącego, polecił uruchomić maszyny. Przez przewody wyciągowe w nocne powietrze zaczął wydostawać się drobny pył, zawierający pałeczki węgliką i środki chemiczne.

Zanim któryś z robotników zauważył brak filtra, minęło kilka godzin. Szef zmiany polecił zatrzymać maszyny i nakazał założyć nowy filtr. Poinformowano o tym fakcie zwierzchników, nikt jednak nie zawiadomił władz miasta ani Ministerstwa Obrony w Moskwie.

W ciągu następnych kilku dni zachorowali wszyscy pracownicy zakładów ceramicznych, znajdujących się po przeciwnej stronie ulicy, w którą to stronę feralnej nocy wiał wiatr. W ciągu tygodnia niemal wszyscy umarli.

W tym czasie szpitale przyjmowały dziesiątki pacjentów z innych rejonów miasta, którzy pracowali w pobliżu zakładu zbrojeniowego. Co dziwne, wśród ofiar było niewiele kobiet i dzieci. W wiele lat później zachodni specjaliści zastanawiali się, czy w Związku Radzieckim przypadkiem nie wyprodukowano broni „rozdzielającej płęć” i atakującej jedynie dorosłych mężczyzn. Tymczasem prawda wyglądała tak, że kobiety rzadko pracowały na nocną zmianę, a w

piątkową noc niewiele dzieci bawiło się na ulicach.

Zachodni naukowcy, którzy dokonali analizy dostępnych danych, orzekli, że do wypadku doszło we wtorek, 3 kwietnia, lub w środę, 4 kwietnia, ponieważ pierwsze zachorowania wystąpiły dopiero w dwa lub trzy dni później, co odpowiadałoby zwyczajowemu okresowi inkubacji wąglika. Ta argumentacja dowodzi, jak znakomicie Związek Radziecki potrafił manipulować faktami i jak dobrze udało się ukryć prawdę.

Mój kolega naukowiec utrzymuje, że wypadek wydarzył się w piątek, 30 marca 1979 roku. Był wówczas w Swierdłowsku i przypomina sobie, że o pierwszej śmiertelnej ofierze wąglika - robotniku o nazwisku Nikołaj ew - dowiedział się w poniedziałek.

Fakt, iż wypadek wydarzył się w piątek, wyjaśnia, dlaczego robotnicy spieszyli się do domów i dlaczego tamtego wieczora tak wielu ludzi zaraziło się, idąc do pobliskiego baru. Niewykluczone, że KGB, tuszując całą sprawę, dokonał zmiany dat w kartach chorobowych pierwszych ofiar.

Ostatni przypadek odnotowano 19 maja. Przywódcy Związku Radzieckiego utrzymywali później, że zaraziło się 96 osób, z czego 66 zmarło. Naukowcy pracujący w owym czasie w Swierdłowsku mówili mi, że zmarło 105 osób, prawdziwych danych jednak chyba nigdy nie poznamy. Pewne jest tylko, że było to największe masowe zakażenie płucną postacią węgla w tym stuleciu.

Moskwa nie mogła mieć złudzeń co do przyczyn epidemii. O błędzie Czer-nyszowa

doniesiono niezwłocznie po pojawieniu się pierwszych ofiar śmiertelnych. Delegacja, na której czele stał generał Jefim Smirnow, szef XV Zarządu, tydzień po incydencie udała się do Swierdłowska specjalnym samolotem. W jej skład wchodził także Piotr Burgasow, zastępca ministra zdrowia i członek radzieckiej Akademii Nauk. Burgasowowi towarzyszył zespół pięciu lekarzy - jednak metody działania w sytuacji kryzysowej określiła troska rządu o zachowanie ścisłej tajemnicy.

Nie chciano wywołać paniki ani alarmować osób niewtajemniczonych. Mieszkańców Swierdłowska poinformowano, że zgony wywołane zostały spożyciem skażonego mięsa, sprzedawanego wprost z ciężarówki na nielegalnym targu. Wydrukowano ulotki odradzające obywatelom

korzystanie z „nieoficjalnych” źródeł żywności. Schwytano i zabito ponad sto bezpańskich psów, które rzekomo zjadły resztki skażonego mięsa. Tymczasem wokół kompleksu przemysłowego pojawili się wojskowi wartownicy, a oficerowie KGB, przebrani za lekarzy, odwiedzali domy ofiar i wystawiali fałszywe akty zgonu.

Bez względu na to, czy mieszkańcy coś podejrzewali, wojsko i KGB uczyniły wszystko, żeby w mieście panował spokój. Donald E. Ellis, profesor fizyki z Northwestern University, który w owym czasie przebywał w Swierdłowsku, donosił, że nie zauważył nic niezwykłego. „Nie wykluczam, że coś mogło się wydarzyć - powiedział w wywiadzie dla «New York Timesa» w rok później - jednak myślę, że ja albo moja żona dostrzegliśmy

działania zmierzające do ochrony nas przed niebezpieczeństwem. Tymczasem... niczego takiego nie zauważyliśmy”.

Mieszkańcy od dziesięcioleci żyli za grubą kurtyną bezpieczeństwa, otaczającą całe miasto. Od zakończenia drugiej wojny światowej Swierdłowsk, nazwany tak na cześć bolszewickiego przywódcy, stanowił serce radzieckiego przemysłu zbrojeniowego. Produkowano tutaj czołgi, rakiety z głowicami jądrowymi i inne rodzaje broni, również biologicznych. W 1958 roku w pobliskich zakładach w Czelabińsku wydarzył się poważny wypadek jądrowy. Szczegóły są niejasne, jednak zarówno źródła zachodnie, jak i komunistyczne wskazują, że doszło do uszkodzenia reaktora, a radioaktywna chmura skaziła obszar wielu tysięcy

kilometrów kwadratowych. Ewakuowano dwanaście wiosek.

Toteż determinacja, z jaką radzieckie władze przystąpiły do dementowania doniesień o swierdłowskim wypadku, nie powinna dziwić. Wyznanie prawdy postawiłoby przywódców w bardzo niezręcznej sytuacji i wywołałoby międzynarodowy kryzys, a wielu z nich przecież w ogóle nie wiedziało o istnieniu zakładów produkujących broń biologiczną. Początkowo nie było jasne, czy zatuszowanie tej sprawy się powiedzie. Dowódcy wojskowi obawiali się, że nie poradzą sobie z rozmiarami klęski.

- Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego ludzie wciąż umierali - zwierzył mi się po latach pewien generał. - Założyliśmy, że było to jednorazowe wystawienie na działanie

wąglika, że w ciągu kilku dni będzie po wszystkim. Tymczasem ludzie umierali jeszcze w miesiąc później.

Próba zatuszowania tej sprawy przyczyniła się do przekształcenia poważnego wypadku w lokalną epidemię.

Miejscowy sekretarz KPZR, którego najwidoczniej poinformowano, że z fabryki wydostały się niebezpieczne substancje, polecił robotnikom polewać wodą drogi, dachy i drzewa. Działania te jeszcze bardziej rozprzestrzeniły zarodniki wąglika, które zostały porwane przez prąd wody i powietrza. Pył z bakteriami roznosił się po mieście, w szpitalach pojawiły się nowe ofiary z czarnymi, wrzodzącymi obrzękami na skórze.

Skórna postać wąglika, którą zarazić się można poprzez zadrapanie lub przecięcie

naskórka, występuje we wszystkich wiejskich regionach świata, zwłaszcza tam, gdzie hoduje się dużo bydła, owiec i kóz. Jest to najbardziej rozpowszechniona postać, pod jaką występuje wąglik. Choroba rzadko kończy się śmiercią, jeśli w porę poda się antybiotyki, na przykład penicylinę. Rosjanie chorobę tę określają mianem „syberyjskiego wrzodu”, ponieważ objawia się w postaci niedużych czarnych krost na skórze. Wybuch epidemii skórnej postaci wąglika nie był w tym regionie niemożliwy, jednak nie tłumaczył, dlaczego zachorowało i zmarło aż tylu robotników, którzy nie mieli kontaktu ze zwierzętami.

Spory wąglika mogą przetrwać nawet wiele lat - dziesięciolecia - w uśpionym stanie. Zwierzęta zarażają się, spożywając

skażoną żywność. Zarodniki ożywają i zaczynają się dzielić w ciągu kilku godzin od chwili dostania się do organizmu zwierzęcia, powracając do formy zarodnikowej po zetknięciu się z tlenem lub gdy zwierzę zdycha. Ludzie obojga płci stykający się ze zwierzętami - rzeźnicy, garbarze, farmerzy, robotnicy w fabrykach przemysłu włókienniczego - zakażają się poprzez drobne zadrapania na skórze, wdychając spory, pijąc skażoną wodę albo, w rzadkich wypadkach, spożywając skażone mięso.

Związek Radziecki w oficjalnych komunikatach utrzymywał, że chorobę wywołało właśnie skażone mięso. Lekarze pokazywali zdjęcia ofiar, które miały świadczyć o tym, że zaatakowany został układ pokarmowy - czyli postać wąglika najrzadziej

występująca (mniej niż jeden procent wszystkich zachorowań). Nie można było jednak zataić występowania postaci płucnej o najwyższej śmiertelności.

Do zarażenia wąglikiem wystarczy od dziesięciu do dwudziestu tysięcy zarodników, ilość mikroskopijna. Te same bakterie rozwijać się będą odmiennie w zależności od sposobu, w jaki przedostały się do organizmu. O wiele groźniejsze niż poprzez skórę jest zarażenie się wąglikiem rozpylonym w powietrzu. Wziewna postać choroby po raz pierwszy została opisana na początku XIX wieku, kiedy robotnicy fabryki tekstyliów zarażili się nią w trakcie wdrażania nowego procesu produkcji wełny. Postać tę niekiedy określa się mianem „choroby sortowników wełny”.

Kiedy tylko zarodniki węglika znajdują się w organizmie, uaktywniają się i zaczynają się rozmnażać. Mija kilka dni, zanim bakterie zaczną wytwarzać toksyny, które, mówiąc najprościej, „przyczepią się” do błony komórkowej i uniemożliwią białym krwinkom zwalczanie choroby. To toksyna, a nie sama bakteria, odpowiada za wyniszczenie organizmu i śmierć. Jeśli ofiarę węglika leczy się od siedmiu do dziesięciu dni wysokimi dawkami penicyliny, zazwyczaj podawanej dożylnie, szansę przeżycia sięgają niemal stu procent. Ale antybiotyki niewiele mogą działać w walce z wytwarzaną przez węglika toksyną. Próbowano stosować połączenie penicyliny i streptomycyny, jednak rokowania w takich przypadkach są na ogół niekorzystne.

Najpoważniejszym konsekwencjom zakażenia wąglikiem można przeciwdziałać, podając penicylinę jeszcze przed wystąpieniem pierwszych objawów chorobowych. Powiedziano mi, że po swierdłowskim wypadku, kiedy tylko pojawiły się pierwsze ofiary, tysiącom mieszkańców przepisano antybiotyki i szczepionki, lecz zazwyczaj było już zbyt późno - ludzie cierpieli na wysoką gorączkę, mieli płytki oddech i wyraźne ciemne obrzęki na piersiach i karku, świadczące o zakażeniu postacią płucną wąglika.

Swierdłowski wąglik, należący do radzieckiego arsenału broni, był najsilniejszym z kilkudziesięciu odmian opracowanych przez wojskowych naukowców. Był to tak zwany Wąglik 836. Na ironię*gakrawa

fakt, że uzyskano go bezpośrednio po innym wypadku.

W 1953 roku nieszczęsność instalacji w zakładach bakteriologicznych w Ki-rowie spowodowała przedostanie się węglika do miejskich ścieków. Władimir Sizow, wojskowy biolog, który odkrył ten szczep, w wiele lat później zaczął pracować w Biopreparacie i opowiedział mi tę historię.

Według Sizowa nieznaną ilość węglika w płynnej postaci przypadkowo wydostała się z uszkodzonej kadzi w kirowskich zakładach. Kiedy zauważono wyciek, natychmiast przeprowadzono gruntowną dezynfekcję ścieków, wkrótce jednak okazało się, że nosicielami węglika są gryzonie. Odtąd dezynfekcje przeprowadzono regularnie, choć choroba bezustannie „czaiła się” w podziemiu. W 1956 roku

Sizow odkrył, że jeden ze schwytyanych gryzoni jest nosicielem nowego szczepu, znacznie groźniejszego niż pierwotny. Wojsko natychmiast poleciło przeprowadzić badania nad nowym szczepem. W końcu trafił on do głowic pocisków SS-18, wycelowanych w stolice zachodnich państw.

Trudno dziś dokładnie zrekonstruować wydarzenia z gorączkowych tygodni kwietnia i maja 1979 roku w Swierdłowsku, między innymi dlatego, że KGB tak znakomicie wypełnił swoje zadanie. Od wojskowego personelu, który brał udział w zatuszowaniu tej sprawy, wiem, że zwłoki ofiar poddawano kąpieli w środkach dezynfekujących, a większość danych zniszczono, łącznie z kartami chorobowymi ze szpitali oraz dokumentami sporządzonymi przez patologów. Aby nadać

pozory prawdopodobieństwa wersji oficjalnej, aresztowano wiele osób handlujących mięsem na czarnym rynku i postawiono im zarzut sprzedaży skażonych produktów.

Często zastanawiałem się, czy miejscowy szef partii, który nakazał pospieszne sprzątanie, zdawał sobie sprawę, jak fatalne przyniosło to skutki. Z pewnością ktoś powinien go o to zapytać, w owym bowiem czasie pierwszym sekretarzem KPZR w Swierdłowsku był Borys Jelcyn.

Smirnow, dowódca XV Zarządu, w kryzysowym okresie spotykał się codziennie z Jelcynem, byłym kierownikiem budowy, który wspiął się po szczeblach partyjnej kariery na stanowisko szefa regionu, co w USA odpowiada mniej więcej stanowisku gubernatora stanu. Jelcyn cieszył się opinią

polityka bezceremonialnego, lubił wywyższać się w kontaktach z miejscowymi wojsko-wo-przemysłowymi aparatczykami. Był lojalny wobec systemu w równym stopniu, jak inni biurokraci, i znakomicie zdawał sobie sprawę, że jego obowiązkiem jest utrzymanie w tajemnicy sekretów reżymu. Jako szef partii w Swierdłowsku pilnie wypełniał polecenia Kremla, w wyniku czego buldożerami zniszczono dom, w którym w 1918 roku zamordowano cara Mikołaja II i jego rodzinę.

Według wysokiego oficera, który przebywał w Swierdłowsku w owym czasie, Jelcyn był tak rozwścieczony odmową współpracy ze strony wojskowych, że wpadł do kompleksu 19 i zażądał, aby niezwłocznie wpuszczono go do środka. Na rozkaz ministra obrony

Dmitrija Ustinowa, który przejął tekę po śmierci marszałka Greczki, odprawiono go z kwitkiem. Ustinow przybył na miejsce dwa tygodnie po wypadku. Jako członek politbiura rangą zdecydowanie przewyższał wszystkich prowincjonalnych szefów partii.

Jelcyn wprawdzie zdążył już pokajać się za zniszczenie domu, w którym zginął car, nie powiedział natomiast ani słowa o swierdłowskim wypadku. W swej autobiografii Wyznania [wydanej w Polsce w 1991 roku] wspomina mimochodem o „tragicznym” wybuchu epidemii i dopiero w przypisie znajduje się enigmatyczne zdanie informujące, że epidemię wywołał „wyciek z tajnej fabryki”. Już dawno należałoby przedstawić tę historię ze wszystkimi szczegółami.

W latach, jakie upłynęły od wypadku, obserwatorzy, a także sami Rosjanie, nazywali Swierdłowski „biologicznym Czarnobyłem”. Nie mylili się. Liczby ofiar nie można wprawdzie porównać z czarnobylską tragedią z 1986 roku, kiedy to w elektrowni atomowej na Ukrainie nastąpił wybuch, jednak tak jak katastrofa w Czarnobyli zmieniła stosunek świata do naszych (wątpliwych) umiejętności ujarzmania energii jądrowej, podobnie Swierdłowski stanowił ponure przypomnienie o niebezpieczeństwach związanych z naszymi tajnymi badaniami.

W lutym 1981 roku, dwa lata po wypadku, zatelefonował do mnie zaniepokojony Władimir Walow, dyrektor laboratorium w Omutninsku. Wówczas pracowałem w Budynku 107 jako szef głównego wydziału

technologicznego. Walow uprzedził mnie, że następnego dnia „przybędą do kompleksu jacyś ważni generałowie”.

- Powiedzcie wszystkim członkom zespołu, żeby wcześniej poszli do domów, z wyjątkiem techników w strefach wewnętrznych - polecił. - Będziecie musieli zostać, żeby oprowadzić gości.

O wpół do szóstej przed główną bramą zatrzymał się gazik i wysiadło z niego dwóch oficerów. Pierwszym był generał Władimir Lebiedinski, który zastąpił Smifnowa na stanowisku dowódcy XV Zarządu. Drugi oficer był wyższy i dobrze zbudowany. Otaczała go aura władzy, coś podpowiadało, że jest zwierzchnikiem Lebiedinskiego. Później dowiedziałem się, że był to szef wydziału wojskowego Komitetu Centralnego

KPZR - stanowisko to dawało rzeczywistą władzę w wojskowym establishmencie. Generał nazywał się Szachów. Obaj przybyli po cywilnemu, w garniturach.

Lebiedinski jak na wyższego oficera był wobec mnie uprzedzająco grzeczny. Przepraszył za „najście” i spytał, czy zechciałbym oprowadzić ich po Budynku 107. Omutninsk wzbudzał ciekawość wszystkich, toteż dość często zdarzało mi się oprowadzać najwyższych dostojników państwowych. Dumnie zaprowadziłem ich do miejsca, gdzie poprzez superszczelne okna mogli zajrzeć do strefy drugiej, pierwszego pomieszczenia z biozabezpieczeniami.

Zagląдали do środka, podziwiając równe rzędy pojemników z zarodnikami i olbrzymie butle fermentacyjne.

- To bardzo duża próbówka jak na małą garstkę zarazków - zażartował Lebedinski. - W naszych zakładach nie musimy stosować takich zabezpieczeń.

Towarzysz spojrział na niego chłodny.

- Może gdybyście je stosowali, towarzyszu generale, uniknęlibyście tego, co wydarzyło się w Swierdłowsku.

Lebedinski zbladł i zamilkł. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak ostro potraktował generała. Obydwaj najwyraźniej zapomnieli o mojej obecności.

Po chwili Lebedinski obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie korytarzem. Chciałem pójść za nim, ale Szachów położył mi dłoń na ramieniu i potrząsnął głową. Samotnie ruszył za generałem i zakończył zwiedzanie.

Największym wyzwaniem dla biologiczno-wojskowego establishmentu po swierdłowskim wypadku była odpowiedź na pytanie, co zrobić z samym zakładem. Teraz, kiedy na Swierdłowsk zwrócone były oczy całego świata, nie można było nadal produkować węgliką. Miasto zamknięto wprawdzie dla cudzoziemców, jednak mogliśmy się spodziewać baczniejszej obserwacji niż dotychczas.

Na wypadek wojny przygotowano trzy ośrodki produkcji węgliką: w Swierdłowsku, Penzie oraz Kurganie. Swierdłowsk był jedynym czynnym zakładem. Pozostałe utrzymywano w pogotowiu, laseczki węgliką przechowywano w oczekiwaniu na rozkaz z Moskwy, żeby przystąpić do masowej produkcji. Wojsku bardzo zależało na

ponownym uruchomieniu linii przemysłowej w Swierdłowsku i wywierano presję, by odwołać czasowe zawieszenie działalności zakładu, zarządzane po wypadku przez partyjnych zwierzchników.

Naciski, aby zwiększyć produkcję broni biologicznych, narastały z miesiąca na miesiąc. Tymczasem niewielu wysoko postawionych funkcjonariuszy partyjno-państwowych w pełni zdawało sobie sprawę, czym jest taka broń. Przeciętny dowódca wojskowy postrzegał broń biologiczną jako jeszcze jeden rodzaj uzbrojenia, być może nieco bardziej użyteczny niż dynamit, ale niezbyt groźny. Biurokraci partyjni wiedzieli, jak śmiercionośna potrafi być taka broń, nie rozumieli jednak niebezpieczeństw związanych z jej produkcją.

Biopreparat wykorzystał tę sytuację do walki o własną sprawę. Już wcześniej wykazaliśmy, że nasza tularemia nadaje się do zastosowań bojowych, a my na równi z armią potrafimy rozwijać nowe bronie. Ponadto fakt, że byliśmy pozornie organizacją cywilną, sprawiał, że łatwiej przychodziło nam ukryć naszą działalność przed Zachodem. Armię, ku wielkiemu jej zdumieniu, podeszła nieduża instytucja, na którą wojsko jeszcze niedawno spoglądało z pogardą.

W 1981 roku Breżniew podpisał tajny dekret, nakazujący przeniesienie wszystkich zakładów wytwarzających broń biologiczną ze Swierdłowska do Stepnogorska, niedużej placówki badawczej podległej Biopreparatowi, położonej w pustynnych rejonach północnego Kazachstanu.

Decyzja ta dotyczyła mnie bezpośrednio. Dzięki osiągnięciom w pracy cieszyłem się rosnącym zaufaniem. Od dawna już opuściły mnie wyrzuty sumienia związane z pytaniem o trafność obranej drogi życiowej i wątpliwości natury moralnej.

Wszyscy wkrótce dowiedzieliśmy się o planie przekształcenia stepnogorskiej placówki w zakład produkcji węglika - plotki na ten temat krążyły już od miesięcy. Najambitniejsi z nas pragnęli wziąć udział w przedsięwzięciu, które państwo będzie wspierało na każdym kroku, łożąc nieograniczone środki finansowe. Dawno zapomniawszy o przestrodze Olega Pawłowa, dążyłem do objęcia stanowiska szefa nowej placówki.

Wciąż byłem majorem, a niski stopień w zasadzie nie uprawniał mnie do zajmowania

kierowniczych stanowisk, byłem jednak bardzo pewny siebie - być może bardziej, niż należało. Sukcesy związane z produkcją tułaremii dały mi przewagę nad innymi kandydatami i sądziłem, że sprostim nowym wyzwaniom.

Zatelefonowałem do Kalinina i poprosiłem o rozmowę w związku z objęciem stanowiska kierownika placówki. Spodobała mu się moja zuchwałość. Był tylko jeden kłopot: Stepnogorsk miał już dyrektora, pewnego pułkownika, który objął placówkę w tym samym roku. Kalinin polecił mi wziąć urlop i przystąpił do obmyślania odpowiedniej strategii.

W kilka tygodni później wraz z rodziną jechałem już do Stepnogorska. Zostałem zastępcą dyrektora nowego zakładu produkcji

wąglika. Kiedy nieco przywykliśmy do nowego miejsca, z szefami stepnogorskiego zakładu wybraliśmy się na kolację, na której wszyscy dużo wypiliśmy.

Dyrektor, pułkownik Dawidkin, zbliżył się do mnie i dał mi sójkę w bok.

- Kanjatanie - powiedział z uśmiechem - powiedzcie prawdę: przyjechaliście po to, żeby zająć moje stanowisko.

- Ależ skąd - roześmiałem się - skąd w ogóle taki pomysł?!

W niecały miesiąc później Dawidkina przeniesiono, a ja zostałem dyrektorem Kazachskiej Bazy Naukowo-Produkcyjnej w Stepnogorsku.

W Swierdłowsku produkcję węglika w kompleksie numer 19 oficjalnie zakończono. Zakład miał odtąd pełnić funkcję placówki

badawczej, miano tutaj także magazynować broń biologiczną. W 1983 roku pierwsza sześćdziesięcio-pięcioosobowa grupa laborantów i naukowców ze zdyskredytowanych zakładów na Uralu przybyła do Kazachstanu. Pośród nich był Nikołaj Czernyszow.

Czernyszow pojawił się w moim gabinecie w 1984 roku w towarzystwie szefa stepnogorskiego wydziału biobezpieczeństwa, podpułkownika Giennadija Lepjoszkina. Trudno było znaleźć bardziej skonstrastowaną parę.

Towarzyski Lepjoszkin, wyróżniający się niespożytą energią i ciętym językiem, swoją osobą zdawał się wypełniać całe pomieszczenie. Nieco starszy Czernyszow wyglądał na niespełna czterdzieści lat, ciemne włosy nosiły już ślady siwizny. Nic o nim nie

wiedziałem poza tym, że uchodził za eksperta w dziedzinie suszenia węglika. Nie chciał spojrzeć mi w oczy.

Nie lubiłem występować w roli „szefa”, zwłaszcza wobec ludzi w moim wieku, i wkrótce wdaliśmy się w dość luźną rozmowę o wspólnych znajomych z Biopreparatu i XV Zarządu. Czernyszow właściwie się nie odzywał. Kiedy podnosił do ust filiżankę z herbatą, zauważyłem, że drżą mu ręce.

Lepjoszkin dostrzegł moje spojrzenie i zaczął się uśmiechać.

- Kola - zwrócił się do Czernyszowa - Opowiedzcie towarzyszowi Kanjata-nowi, co zrobiliście.

- Mówcie - powiedziałem jowialnie - nic złego wam nie zrobię. Sądziłem, że Czernyszow mógł dopuścić się jakiegoś

niegroźnego głupstwa w laboratorium. Był doświadczonym naukowcem, nie sądziłem, że mogłoby to być coś poważnego.

Lepjoszkin bawił się tak dobrze, że nie mógł się powstrzymać.

- Słyszeliście o swierdłowskim wypadku?
- spytał. Wówczas naturalnie znałem już wiele szczegółów. - A wiecie, kto jest za to odpowiedzialny?

- Kto?

- Właśnie siedzi przed wami.

Spojrzałem na Czernyszowa z niedowierzaniem. Patrzył gdzieś w dal, a ręce dygotały mu tak, że musiał odstawić filiżankę. Wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Lepjoszkin opowiedział, co wydarzyło się tamtego marcowego popołudnia w

Swierdłowski. Czernyszow nie próbował niczemu zaprzeczać. Nie odezwał się ani słowem.

Jego towarzysz wciąż się uśmiechał.

- Więc teraz już wiecie: to on zabił tych wszystkich ludzi. Czernyszow wstał i wyszedł z gabinetu.

Pomyślałem, że Lepjoszkin niepotrzebnie był tak surowy, ale jednocześnie poczułem, że i we mnie wzbiera gniew. Czernyszow piętno winy za bezmyślność nosić będzie aż do końca swych dni. Nie został jednak ukarany, a żaden z mych zwierzchników przed oddelegowaniem go do mojego laboratorium nie pofatygował się, żeby poinformować mnie, iż to on ponosi odpowiedzialność za swierdłowską tragedię.

Dla dobra programu broni biologicznych błąd Czernyszowa należało zachować w tajemnicy. Szczegółowe śledztwo w sprawie wydarzeń w kompleksie 19 wiązałoby się z postawieniem szeregu niewygodnych pytań, a spraw tych członkowie naszego rządu nie chcieli poruszać nawet w swoim gronie. Stanowi to kolejny dowód, że tajność w naszym systemie stawiano ponad wszystkim - nawet jeśli zagrażała naszemu bezpieczeństwu. Na Zachodzie wypadek takich rozmiarów badano by do znudzenia, a wyciągnięte z niego wnioski przekazano by, być może po cichu, wszystkim placówkom o podobnym profilu. Tymczasem zatuszowanie epidemii przez KGB niemalże gwarantowało, że podobny wypadek wydarzy się w przyszłości.

W kilka miesięcy później poznałem innego swierdłowskiego „weterana”, podpułkownika Borysa Kożewnikowa. Podpułkownik opowiadał mi, że rok po wypadku robotnikom polecono przewieźć dwustupięćdziesięciolitrowe pojemniki z suszoną postacią węglika do magazynów w kompleksie 19. Kożewnikow nadzorował przewożenie pojemników ciężarówkami do oddalonego o kilkaset metrów bunkra. Któryś z samochodów podskoczył na wyboistej drodze i jeden z pojemników wypadł i otworzył się.

- I co zrobiliście? - spytałem z przerażeniem.

- Kazałem go zamknąć - wzruszył ramionami, po czym dodał szybko, że polecił rozlać wszędzie środki dezynfekujące. Nikt

nie zachorował. I, oczywiście, o niczym nie poinformowano przełożonych.

W dziewięć lat po swierdłowskim wypadku grupa radzieckich ekspertów od medycyny przyjechała do Stanów Zjednoczonych, żeby ujawnić „prawdę” o tym, co wydarzyło się w 1979 roku. Przybywszy na zaproszenie doktora Matthew Meselson, znanego harwardzkiego profesora, odwiedzili Waszyngton, Baltimore i Cambridge ze stosem raportów i zdjęć, z których miało wynikać, że wszystkie ofiary zaraziły się jelitową albo skórą postacią wąglika. Na czele delegacji stanął Piotr Burgasow, szef niedysiejszego zespołu Ministerstwa Zdrowia badającego swierdłowski wypadek.

Burgasow był wówczas emerytowanym ministrem zdrowia i pełnił funkcję

rządowego doradcy. Ze smutnym uśmiechem na twarzy mówił, że sprawa ta od dawna wymagała publicznego wyjaśnienia. Opóźnienie tłumaczył niechęcią radzieckiego rządu do ujawnienia niedostatków służby zdrowia. Fascynacja Zachodu pierestrojką i głośnością pozwoliły przekonać większość słuchaczy.

W kwietniu 1988 roku poważne amerykańskie pismo „Science” donosiło: „«Swierdłowska epidemia» z 1979 roku straciła wiele ze swej tajemniczości. Przez osiem lat amerykańskie władze wyrażały podejrzenia w związku z bezprecedensowym wybuchem epidemii węgliką w kwietniu 1979 roku wśród mieszkańców Swierdłowska. Tymczasem ludzie ci chorowali, ponieważ... spożywali skażone mięso kupowane u «prywatnych» rzeźników... Trzej przedstawiciele

Związku Radzieckiego przybyli do waszyngtońskiej siedziby Narodowej Akademii Nauk i 11 kwietnia... przedstawili taką samą wersję biegu wypadków jak w 1980 roku, podając jednak znacznie więcej szczegółów i przekonując osoby dotąd mające wątpliwości, że pierwotna relacja była prawdziwa”.

Na kilka miesięcy przed wyjazdem Burgasowa i innych naszych przedstawicieli do Stanów Zjednoczonych kopia dokumentów, które zamierzał przedstawić Amerykanom, trafiła na moje biurko w Moskwie. Jako szef sekcji naukowej Biopreparatu miałem zatwierdzić zawarte w nich wnioski.

W owym czasie mojej uwagi nie zaprzątały dylematy związane z tym, czy Amerykanie powinni poznać prawdę, sądziłem jednak, że raport Burgasowa nie zdoła

rozwiąć wątpliwości poważnych, szanowanych epidemiologów. Jak ktokolwiek mógłby Uwierzyć, że ludzie spożywają „skażone mięso” jeszcze przez wiele tygodni po pierwszych przypadkach śmiertelnych? Taka historia mogłaby wyjaśnić kilka zgonów, ale nie epidemię. A poza tym jak wytłumaczyć, dlaczego większość ofiar stanowili dorośli mężczyźni? Czyżby kobiety i dzieci nie jadały mięsa?

Osobą, która zwróciła się do mnie o komentarz, był generał Lebedinski. Oddając mu raport, spytałem:

- Powiedzcie, towarzyszu generale, jaka była prawdziwa przyczyna swier-dłowskiego wypadku?

- Skażone mięso, oczywiście - odparł natychmiast.

Przypomniałem mu pewne popołudnie w Omutninsku, przed laty, kiedy skarcił go przedstawiciel Komitetu Centralnego. Wyglądał na zaskoczonego.

- Pamiętacie to? - zdziwił się i na jego twarzy pojawił się ojcowski uśmiech. - Słuchajcie - powiedział. - Jeśli myślicie, że wiecie, co było powodem tego wypadku, to wasza sprawa. Ale nigdy nie pytajcie mnie, co się stało. Za każdym razem, kiedy spytacie, w odpowiedzi usłyszycie: „skażone mięso”.

Odmówiłem zatwierdzenia dokumentu, uzasadniając to tym, że ośmieszymy się za granicą. Burgasow był wściekły.

- Każcie temu młodemu człowiekowi napisać własny raport - skarcił Kalini-na, który zrelacjonował mi przebieg tej rozmowy.

Burgasow pojechał do Ameryki ze swoją wersją wydarzeń. Byłem zdumiony, kiedy dowiedziałem się, że jego misja została uwieńczona sukcesem.

Prawda o wypadku swierdłowskim, a w każdym razie jej część, została ujawniona w Rosji dopiero w wywiadzie udzielonym przez Borysa Jelcyna dziennikarzowi „Komsomolskiej Prawdy” 27 maja 1993 roku.

„Przyczyną wypadku były prace nad nowymi technologiami wojskowymi” - oświadczył tajemniczo Jelcyn, dodając, że zwrócił się do ówczesnego szefa KGB Jurija Andropowa i ministra obrony Ustinowa o zamknięcie bakteriologicznego zakładu, kiedy tylko dowiedział się o katastrofie.

Kiedy dziennikarz spytał, dlaczego Jelcyn milczał tak długo, ten odparł: „Bo nikt mnie o to nie spytał”.

Teraz, z jakichś powodów, powrócono do „zatuszowanej” wersji. W 1998 roku w rosyjskich gazetach zaczęły ukazywać się artykuły, zawierające wypowiedzi dostojników państwowych na temat „prawdziwych” przyczyn wybuchu epidemii wąglika przed dwudziestu laty. Urzędnicy zgodnie twierdzili, że wszystkiemu winne było skażone mięso.

Postęp

Stepnogorsk 1983-1987

Już w kilka tygodni po podjęciu pracy w Stepnogorsku wezwano mnie do Moskwy na odprawę. Było to otrzeźwiający doświadczenie. W biurze KGB, mieszczącym się na najwyższym piętrze siedziby Biopreparatu przy ulicy Samokatnej, pokazano mi tajny dekret podpisany w 1982 roku przez Breżniewa. W przeszłości nigdy nie udostępniano mi materiałów ściśle tajnych.

Oficer bezpieczeństwa wyjął dekret z czerwonej teczki przewiązanej sznurkiem, z powagą położył na biurku i kiedy czytałem, stał za moimi plecami. Wolno było mi

przeczytać tylko te ustępy, które bezpośrednio odnosiły się do moich obowiązków. Sedno sprawy było mi już znane: mieliśmy przekształcić senną placówkę w północnym Kazachstanie w zakład zbrojeniowy, który z czasem całkowicie zastąpiłby Swierdłowsk.

Wąglik 836, uzyskany w Kirowie w 1⁵³ roku, stanowił najbardziej obiecujący „szczep bojowy” - można było go rozmnażać na masową skalę, odznaczał się wysoką zjadliwością i był łatwy w transporcie. Skoro zdołałem udoskonalić metodę jego rozmnażania i koncentracji, miałem teraz opracować urządzenia do masowej produkcji - czyli osiągnąć cel, z którym wojskowe instytuty naukowe od lat nie umiały sobie poradzić. Oznaczało to konieczność zgromadzenia baterii kadzi fermentacyjnych, suszarek,

młynków oraz innego sprzętu do wypełniania setek bomb.

Moja misja w Stepnogorsku sprowadzała się w zasadzie do stworzenia najwydajniejszej na świecie linii produkcji wąglika do celów bojowych.

W Moskwie istniało wiele gremiów ekspertów od broni biologicznych, którzy uważali, że cel taki jest nieosiągalny, i mieli nadzieję, że Biopreparat oraz jego szef poniosą porażkę. Ubiegłoroczne sukcesy związane z tularemią uczyniły z Kalinina wpływową figurę. Ego dowództwa wojskowego doznało poważnego uszczerbku.

Na jednym z moskiewskich zebrań pewien starszy generał o nazwisku Tara-senko, zastępca dowódcy XV Zarządu, chciał porozmawiać ze mną w cztery oczy.

- Gratuluję nowego stanowiska, majorze Alibekow - powiedział, klepiąc mnie po ramieniu. - Nadszedł już czas, abyśmy częścią odpowiedzialności obarczyli młodych.

Uśmiechnąłem się, wdzięczny za zainteresowanie. Tarasenko był weteranem nauki, jednym z największych autorytetów Związku Radzieckiego w dziedzinie broni biologicznych i chemicznych.

- Ale musicie uważać - ciągnął. - Ta góra metalu, którą kazali wam zbudować, nigdy nie zdoła wyprodukować tego, co powinna. Wierzcie mi, przemawia \>tlq7>q mnie trzydziestoletnie doświadczenie i wiem, co jest wykonalne. To nie jest.

Byłem tak zdumiony, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Znowu szturchnął mnie w ramię.

- Jestem pewien, że dostaniecie wszystko, o co poprosicie - kontynuował - jednak Biopreparat usiłuje stworzyć ogromną budowlę, a w końcu, kiedy wszystko się zawali, okaże się, że to wy będziecie musieli ją rozebrać.

Kazachska Baza Naukowo-Produkcyjna powstała w 1982 roku jako filia Naukowo-Produkcyjnego Związku „Postęp”, który wytwarzał pestycydy i nawozy. Nowy zakład zajmował ponad połowę wszystkich budynków kompleksu, jednak robotnicy, pracujący przy produkcji nawozów sztucznych, nie znali jego obecnej funkcji. Była to jedna z sześciu nowych placówek zdolnych do uruchomienia produkcji broni biologicznej na wypadek wojny.

Oficjalnie sprawowałem obowiązki zastępcy dyrektora Związku „Postęp”, w rzeczywistości zaś moje kompetencje okazały się znacznie szersze: byłem „wojennym dowódcą” całych zakładów. Dość onieśmielająca perspektywa dla człowieka, którego wiedza wojskowa ograniczała się do dwuletniej służby zasadniczej. W tak zwanych okresach specjalnych, kiedy napięcie między supermocarstwami narastało, miałem przejmować dowództwo nad zakładem. Po otrzymaniu krypto-gramu z Moskwy moim zadaniem było przekształcenie Postępu w zakład zaopatrujący armię.

Skrzętnie przechowywane bakterie mieliśmy umieścić wówczas w butlach i kadziach fermentacyjnych. Najważniejszą bronią w Stepnogorsku był węglik, ale

pracowaliśmy także nad nosacizną i właśnie przystępowaliśmy do pracy nad tula-remią i dzumą. Patogenną broń umieszczaliśmy w „bombkach” i zbiornikach aerozolowych. Ładowano je następnie na ciężarówki dowożące ładunek na bocznice kolejową bądź na lotnisko, skąd trafiały do miejsca przeznaczenia - na pokłady bombowców i do głowic pocisków balistycznych.

Produkcja miała trwać aż do nadejścia z Moskwy rozkazu o jej zaprzestaniu albo do zniszczenia zakładu przez nieprzyjaciela.

Dziś trudno uwierzyć, jak poważnie w tamtym okresie przygotowywaliśmy się do wojny, jednak podobnie jak większość moich towarzyszy byłem przekonany, że konflikt supermocarstw jest nieunikniony. Na początku lat osiemdziesiątych stosunki pomiędzy

Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim były gorsze niż przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Wybór prezydenta Ronalda Reagana doprowadził do największych zbrojeń Ameryki, jakie dane było widzieć mojemu pokoleniu. Nasi żołnierze ginęli w Afganistanie z rąk partyzantów wspieranych przez USA, a Waszyngton nosił się z zamiarem rozmieszczenia w Europie Zachodniej nowych pocisków Cruise, które terytorium Związku Radzieckiego mogłyby osiągnąć w ciągu kilku minut. Raporty wywiadu alarmowały, że w wypadku wojny jądrowej Amerykanie spodziewali się śmierci co najmniej sześćdziesięciu milionów obywateli radzieckich.

Nie potrzebowaliśmy spotkań z przedstawicielami wywiadu, żeby zdawać sobie

sprawę z zagrożenia. Wszystkie gazety rozpisywały się o tym, że Reagan określił naszą ojczyznę mianem „imperium zła”, a gniewne wypowiedzi przywódców ZSRR podważyły poczucie bezpieczeństwa, jakie towarzyszyło nam w czasie odprężenia w latach siedemdziesiątych. Choć między sobą żartowaliśmy na temat kremlofskich starców, wierzyliśmy jednocześnie, że Zachód wykorzysta każdą naszą słabość, żeby nas zniszczyć. Nie wykluczaliśmy nawet, że radzieccy stratedzy opowiedzą się za zaskoczeniem przeciwnika niespodziewanym uderzeniem, być może właśnie bronią biologiczną.

Naukowo-Produkcyjny Związek „Postęp” był najbardziej niezwykłą instytucją, w jakiej przyszło mi pracować. Zakłady, ulokowane

na omiatanej przez silne wiatry równinie szesnaście kilometrów od stepnogorskich kopalni rud uranu, otoczone były szarym murem i zasiekami pod wysokim napięciem. Na okolicznej ziemi nie widać było żadnej roślinności - częściowo dla ochrony przed patogenami (była to nauczka z lekcji swierdłowskiej, gdzie splukiwanie wodą skażonej roślinności doprowadziło do kolejnej fali infekcji), a także po to, żeby łatwiej było wypatrzeć intruzów. Wszędzie znajdowały się ukryte czujniki ruchu.

Na terenie kompleksu przy wąskich uliczkach stał szereg szarych budynków. Było to w zasadzie miniaturowe miasto, z oddali osobliwie wyróżniające się na tle horyzontu, jako że niektóre budowle miały aż pięć kondygnacji. Wszystkie budynki były

wyposażone w osobne wejścia dla pracowników cywilnych i wojskowych, pilnowane zawsze przez strażę.

Środków bezpieczeństwa wewnątrz budynków przestrzegano jeszcze surowiej. Po swierdłowskim wypadku wzrosły wpływy KGB w zakładach produkcji broni biologicznych. Zabezpieczeń nigdy nie łączono z wypadkiem na Uralu, jednak niedwuznacznie dano nam do zrozumienia, że władze nie życzą sobie wzbudzania zainteresowania Zachodu.

Jako naukowiec pracujący w laboratorium najbardziej obawiałem się tego, że jakiś nieostrożny ruch może narazić życie moje i moich współpracowników. Jako dyrektor ponosiłem odpowiedzialność za stan zdrowia i bezpieczeństwo dziesiątek tysięcy ludzi. Do

moich zadań należało także dochowanie tajemnicy, zarówno w przenośni, jak i dosłownie, aby żadne informacje nie wydostały się poza mury kompleksu.

Lena mówiła mi, że nocą budziłem ją - tak głośno zgrzytałem zębami. Poza tym mówiłem przez sen.

- Wciąż mówisz o potrzebie tego czy tamtego - uśmiechała się. - W domu powinieneś zapominać o tych sprawach.

Nawet jeśli chciałbym zapomnieć, w Stepnogorsku był pewien człowiek, który pragnął, żebym żył w bezustannym strachu.

Pewnego ranka w październiku 1983 roku, w kilka tygodni po moim przybyciu, w drzwiach gabinetu ukazała się głowa podpułkownika KGB Anatolija Bułhaka, dowódcy kontrwywiadu kompleksu.

- Mogę wejść? - spytał i przekroczył próg, nim zdążyłem odpowiedzieć. Rozsiadł się na krześle i wyciągnął nogi, jakby od dłuższego czasu codziennie mnie tak odwiedzał.

- Ponieważ będziemy razem pracowali - powiedział - uważam, że powinniśmy się zaprzyjaźnić.

- Czego wam trzeba? - spytałem.

- Nie, czego mnie trzeba. Czego wam trzeba? - powiedział i umilkł. Nie odzywałem się.

- I wy, i ja wiemy, że w niedługiej przyszłości przyjedzie tutaj wielu ludzi - ciągnął, najwyraźniej rozczarowany moją postawą. - Będziemy tu mieli tłok, a w tłoku łatwo o pomyłki.

- Pomyłki?

Poprawił się na krześle i położył dłonie na kolanach, żeby jego słowa zabrzmiały jeszcze poważniej.

- Pomyłki związane z bezpieczeństwem. Nie możemy sobie na to pozwolić. Najeżyłem się, słysząc to „my”.

- Nie widzę powodu do niepokoju - powiedziałem. - Jeśli pojawią się kłopoty, skontaktuję się z wami niezwłocznie.

- Nie rozumiecie - ciągnął beznamiętnie Bułhak. - Rzeczą rozsądną byłoby przejrzenie listy personelu zawczasu. Tym sposobem unikniemy problemów z Moskwą.

- Nie wydaje mi się, abyście posiadali odpowiednie kwalifikacje do doboru naukowców. A może się myłę?

Staralem się, żeby moje słowa zabrzmiały niewinnie, on jednak natychmiast pojął, że moją intencją była ukryta zniewaga.

Bułhaka charakteryzował podziw dla święta nauki, typowy dla wiejskiego milicjanta. Poza tym nienawidził ludzi, którzy wypominali mu ignorancję. Kiedy poznałem go lepiej, zrozumiałem, że był przerażony tym, co działo się w naszych laboratoriach. Za każdym razem, kiedy podejrzewał jakiegoś robotnika o kradzież albo kwestionował jedną z wprowadzonych przez nas zasad bezpieczeństwa, udostępniałem mu ochronny kombinezon i zapraszałem do drugiej strefy, aby zobaczył wszystko na własne oczy. On jednak wzdrygał się, wymawiając się „pilnymi obowiązkami” i obiecując, że przyłączy się do mnie „następnym razem”.

Ciszę przerwało pukanie do drzwi. Był to jeden z szefów laboratorium, przychodzący ze sprawą niecierpiącą zwłoki. Bułhak wstał z uśmiechem wyższości na twarzy.

- Nie możecie się obejść bez mojej pomocy - powiedział. - Spróbujcie, a zobaczycie.

Minął mego gościa, nie zwracając na niego uwagi, i wyszedł. W oczach szefa laboratorium dostrzegłem wyraz niesmaku.

Bułhaka łatwo było znieubić. Był nijakim trzydziestokilkuletnim mężczyzną o chytrym spojrzeniu i niemiłym zachowaniu. Każde jego posunięcie najwyraźniej miało wywrzeć określone wrażenie na słuchaczach. Jego styl ubierania - popielate garnitury i ciemne buty - przypominał modę jak z żurnala dla taniaków. Do Stepnogorska trafił z

provincjonalnej placówki KGB w południowym Kazachstanie na sześć miesięcy przed moim przybyciem.

Robotnicy bali się wprowadzić spotkania z Bułhakiem, ale wyśmiewali go za plecami. Nie musiałem dużo o nim wiedzieć, aby pojąć, jaką władzę dysponował w naszej instytucji. KGB miał komórkę kontrwywiadowczą w każdym zakładzie produkującym broń biologiczną w Związku Radzieckim. Jej szef automatycznie zostawał zastępcą kierownika fabryki, odpowiadał jednak przed zwierzchnikami KGB urzędującymi na Łubiance, w Moskwie.

Dyrektor bez dyskusji musiał zaakceptować to drugie, równoległe zwierzchnictwo. KGB poświęcał równie dużo energii na obserwację wysokich funkcjonariuszy

Biopreparatu, jak na szpiegowanie pracowników niskiego szczebla. Uniknięcie stałej inwigilacji było niemożliwe. Choć do poszczególnego zakładu oddelegowywano nie więcej niż dziesięciu czy piętnastu agentów KGB, wszędzie informatorów było bez liku.

Sawa Jermoszyn twierdził, że „co dziesiąty radziecki obywatel” donosi organom bezpieczeństwa, dając do zrozumienia, iż podobne proporcje muszą występować także i w naszej instytucji. Nigdy nie próbowałem się z nim sprzeczać. Z moich akt wiedział zapewne, że o mały włos sam nie zostałem informatorem KGB. Gorzkie wspomnienia tych doświadczeń z pewnością miały wpływ na mój stosunek do Anatolija Bułhaka.

Wydarzyło się to w 1978 roku, pięć lat przed moim przybyciem do Stepnogorska, kiedy byłem jeszcze młodszym naukowcem w Berdsku. Właśnie zakończyłem pracę nad pierwszym poważnym zadaniem, opracowaniem techniki laboratoryjnej związanej z wykorzystaniem brucelozy jako broni biologicznej. Zadanie to zostało zatwierdzone przez Lwa Kluczerowa, jeszcze pułkownika, ówczesnego szefa naukowego Biopreparatu. W przyпыwie młodzieńczego entuzjazmu wysłałem do Moskwy triumfalny raport. Byłem przekonany, że Kluczerow pragnie natychmiast zapoznać się z wynikami mojej pracy.

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, co powinno wystarczyć za ostrzeżenie.

W kilka dni później pułkownik Filipenko, dowódca placówki kontrwywiadu KGB w Berdsku, wkroczył do mojego gabinetu z raportem w dłoni.

- Co to ma znaczyć? - spytał.

Uradowany, że nawet KGB interesuje się moją pracą, zacząłem szczegółowo opisywać wszystkie etapy powstawania prototypu nowej broni. Kiedy przystąpiłem do omawiania składu pożywki, Filipenko stracił cierpliwość:

Mój dziadek Abdrahman Aitjew za biurkiem, lata dwudzieste. Był jednym z przywódców komunistycznej rewolucji w Kazachstanie, pierwszym ludowym komisarzem spraw wewnętrznych odpowiedzialnym za siły milicyjne i służbę bezpieczeństwa w latach dwudziestych i trzydziestych.

Kazachski bohater narodowy, uwięziony w 1936 roku; zmarł w szpitalu więziennym w zagadkowych okolicznościach. W Ałma Acie nazwano na jego cześć ulicę.

Moi rodzice Rosa i Bajzak Alibekow, 1950 rok.

Ojciec był wówczas podporucznikiem milicji, matka była w ciąży; wkrótce potem przyszedłem na świat.

Przysięga wojskowa w Instytucie Medycznym w Tomsku, 1973 rok.

Wraz z kolegami podczas przerwy w szkoleniach, 1974 rok. Na zdjęciu siedzę drugi z lewej. Po mojej prawej stronie Talgat Nurmagambetow, obecny szef wojskowych służb medycznych kazachskiej armii.

Szkolenia wojskowe: zakładanie atrapy miny na ćwiczeniach w Tomsku, 1974 rok.

Wygłaszam referat na temat wybuchu epidemii tularemii w czasie bitwy pod Stalingradem na naukowej konferencji kadetów, początek 1975 roku.

Wraz z kolegami podczas przerwy w szkoleniach, 1974 rok. Na zdjęciu siedzę drugi z lewej. Po mojej prawej stronie Talgat Nurmagambetow, obecny szef wojskowych służb medycznych kazachskiej armii.

Szkolenia wojskowe: zakładanie atrapy miny na ćwiczeniach w Tomsku, 1974 rok.

Wygłaszam referat na temat wybuchu epidemii tularemii w czasie bitwy pod Stalingradem na naukowej konferencji kadetów, początek 1975 roku.

Zdjęcie grupowe mojego plutonu. Po ukończeniu szkoły w czerwcu 1975 roku. Stoję w dolnym rzędzie, drugi od prawej. Po

lewej na samej górze stoi Jewgienij Starowierow, wraz ze mną oddelegowany do Omutninska, gdzie pod koniec lat osiemdziesiątych nadal pracował. Wadrużim rządzie drugi od lewej - Jewgienij Stawski, który podjął pracę w XV Zarządzie i w latach osiemdziesiątych wyjechał do ośrodka Wektor jako szef wydziału, gdzie pracował nad bojowym zastosowaniem ospy.

Z pierwszym dzieckiem, Mirą, w Berdsku, 1979 rok. W tym właśnie okresie, kiedy przeprowadzałem doświadczenia nad brucelozą, zostałem oskarżony przez KGB o nielegalne badanie broni biologicznych.

Oficjalne zdjęcie wojskowe z 1982 roku po awansie na stanowisko zastępcy dyrektora Omutninska. Medal otrzymałem za „służbę

wojenną” i za opracowanie broni biologicznej zawierającej tularemię.

Święto 1 Maja, Stepnogorsk, 1985 rok. Zespół pracujący nad zastosowaniem węglika do celów bojowych, wraz z rodzinami.

Fragment stepnogorskiego kompleksu: widok z budynku 221. W budynku na pierwszym planie przeprowadzano testy rozpryskowych (wybuchających) aerozoli. Tuż za nim widać suszarnię węglika.

W widocznych na zdjęciu bunkrach napełniano amunicję substancjami biologicznymi.

Z rodziną, sierpień 1987 roku. Od lewej: ja, Mira, Alan, Lena; pośrodku Timur. Zdjęcie zostało zrobione po pomyślnej próbie opracowanej przeze mnie broni z laseczkami

wąglika, na miesiąc przed przeprowadzką do Moskwy.

Zebranie pod przewodnictwem generała Kalinina: coroczna konferencja specjalistów od broni biologicznych - dyrektorów instytutów, naukowców i głównych inżynierów - w pobliżu Moskwy koniec 1988 roku. Od prawej do lewej: generał Nikołaj Urakow; dyrektor Oboleńska; ja; Oleg Ignatiew, szef Zarządu Broni Biologicznych Komisji Wojskowo-Przemysłowej (WPK); nieznany urzędnik; Kalinin.

Słuchacze generała Kalinina.

Pierwsze wątpliwości: z pułkownikiem profesorem Tarumowem, jednym z dyrektorów najwyższego szczebla odpowiedzialnych za opracowanie broni biologicznej,

zawierającej tularemie, na konferencji naukowej w Moskwie, 1990 rok.

Wojskowy pucz: pracownicy Biomaszu na barykadach przed moskiewskim Białym Domem, sierpień 1991 roku.

Pine Bluff w Arkansas: inspekcja amerykańskich placówek. Od lewej do prawej siedzą: generał Urakow; pułkownik GRU Dzuby; Lew Sandakczow, dyrektor Wektora; pułkownik Szczerbakow, szef zarządu naukowego Biopreparatu; Lisa Bronson, przewodnicząca amerykańskiej delegacji; ja. Trzeci z prawej (wśród stojących) - pułkownik Wasilijew, zastępca dowódcy XV Zarządu. Przed słupem stoi Grigorij Bierdiennikow, szef rosyjskiego zespołu; w 1992 roku został zastępcą ministra spraw zagranicznych.

Olbrzymi autoklaw budynku 221 w Stepnogorsku, używany do sterylizacji pożywek i aktywacji kultur wąglika.

Demontaż Stepnogorska: pilotażowy zakład do wypełniania i zamykania biologicznych „bombek”

Fort Detrick, Maryland, 1998 rok: wraz ze mną kolejni dowódcy USAMRIID - Charlie Bailey, dr Dave France, dr Jerry Parker.

Fort McClellan, Alabama: w czasie narady w zakładach broni biologicznych armii amerykańskiej. Stojąca za nami ciężarówka wyposażona jest w sprzęt do rozpoznawania broni biologicznych.

Nowy Jork, niedziela, 9 listopada 1997: ratownicy wynoszą

„ofiare” ataku biologicznego w czasie ćwiczeń przeprowadzanych w pobliżu miejskiego ratusza.

W domu Charliego Bailcya w Alabamie, 1998 rok.

- Chyba mnie nie rozumiecie - warknął. - Pytam was, kto zlecił wam to zadanie.

Zdumiony odparłem, że pułkownik Kluczerow.

- Niemożliwe - rzekł zgryźliwie - bo właśnie z nim rozmawiałem. Nic o tym nie wie.

- Ale przecież polecił mi... - urwałem w pół zdania.

Poczułem się bardzo niewyraźnie, uświadomiwszy sobie, że pominąłem pewien istotny przepis, wymagający, abym o wszystkich „projektach specjalnych” informował

tutejszą komórkę KGB. Było to dziedzictwo epoki przedwojennej, kiedy aparat bezpieczeństwa Berii koordynował wszystkie prace nad bronią biologiczną. Przed swierdłowskim wypadkiem większość naukowców ignorowała te środki bezpieczeństwa, jednak „przepisy są po to, żeby się do nich stosować”, a ja właśnie wyświadczyłem tym zwierzchnikom niedźwiedzią przysługę.

Mój przełożony w Berdsku, kiedy cld niego zatelefonowałem, nie był dla mnie miły.

- Nie mieliście nic produkować, a jedynie przeanalizować, czy jest to możliwe - rzekł chłodno. - Przekroczyliście swoje kompetencje.

Stałem na z góry przegranej pozycji, nie było sensu zaprzeczać. Zdałem sobie sprawę,

że KGB wykorzysta moją niedyskrecję, żeby oskarżyć mnie, iż pracownik Biopreparatu na własną rękę prowadził badania nad bronią biologiczną. Dobry szef być może wybroniłby mnie z opresji, tłumacząc wszystko brakiem mego doświadczenia, jednak Kluczerow i inni zwierzchnicy bardziej troszczyli się o własne stolki niż o ochronę Biopreparatu.

Następnego dnia zostałem wezwany do Berdska, do kwatery głównej KGB. Wezwanie otrzymał także Władimir Rumjancew, przyjaciel, który pracował ze mną nad tym zadaniem.

Wchodząc do jednopiętrowego budynku KGB w centrum miasta, byliśmy tak przerażeni, że w ogóle nie odzywaliśmy się do siebie. Oficer w cywilu zaprowadził nas do

środką, wprost do gabinetu dowódcy. Rumjancew miał poczekać na swoją kolej.

Dowódca Kuzniecowa właśnie czytał mój raport. Na biurku leżały stosy papierów. Rozejrzałem się za krzesłem, ale krzesła nie było.

Kuzniecowa nie podniósł głowy, kiedy wszedłem. Czytał mój raport beznamyślnie, czym przypomniał mi pewnego profesora z Tomsku, i co kilka sekund w teatralnym geście potrząsał głową z malującym się na twarzy wyrazem obrzydzenia. Wreszcie wstał, podszedł do mnie i spojrzał mi z bliska w oczy.

- Dlaczego to zrobiliście? - krzyknął.
- Otrzymałem rozkaz - odparłem cicho.
- Więc jesteście faszystą?
- Proszę?

- Tylko faszysta odpowiedziałaby, że zabija ludzi, bo otrzymał taki rozkaz.

- Ale ja nikogo nie zabiłem - zaprotestowałem. - Wykonałem tylko pracę, której ode mnie wymagano.

- To nieistotne. Najwyraźniej jesteście człowiekiem, który zabija na rozkaz. Nie macie własnego rozumu!

Każde kolejne zdanie wykrzykiwane było coraz głośniejsze. Czuję się jak sparaliżowany. W tej chwili skłonny byłem uwierzyć, że rzeczywiście kogoś zabiłem.

Tyrada zdawała się trwać wiecznie. Kuznieców wielokrotnie nazywał mnie faszystą, a ja wciąż temu zaprzeczałem. Nic innego nie przychodziło mi do głowy, poza tym nie wiedziałem, czego ode mnie chce. Czy zostawi mnie w spokoju, jeśli przyznam

się do tendencji faszystowskich? Takie wyznaczenie wydawało się bezcelowe, zwłaszcza że i tak miałem zostać usunięty z pracy.

Pomyślałem o wojennych medalach ojca. Czy uwierzy, że ma syna faszystę?

- Jeśli uważacie, że jestem faszystą - powiedziałem w rozpacz - dlaczego nie wtrąćcie mnie do więzienia?

Kuzniecowa przestał krzyczeć, spojrzał mi głęboko w oczy i znów zasiadł za biurkiem. Ta nagła cisza przyprawiała o dreszcze.

- No cóż, poruczniku - uśmiechnął się - nie musimy tego robić. Ludzie popełniają błędy. Być może wam wybaczymy, ale... musicie mi pomóc.

- Jak?

- Powiem wam - ciągnął, kładąc nogi na biurku. - Jedną z rzeczy, które przemawiają

na waszą korzyść, jest fakt, że wstąpiliście do partii. Zgadza się?

Skinąłem głową. Członkostwo w partii komunistycznej teoretycznie nie było warunkiem koniecznym do zatrudnienia w naszych laboratoriach, ale dawało szansę na awans. Wstąpiłem do KPZR, wiedząc, że taki zapis przyda się w moich aktach.

- Jesteście inteligentni, jesteście naukowcem - ciągnął życzliwie Kuzniecowa. - Tymczasem wielu naukowców nie wstąpiło do partii. Oznacza to, że nie wiemy, kim są ci ludzie ani co myślą. Może mają jakieś wątpliwości, może wyrażają opinie wrogie naszej ojczyźnie...

Kuzniecowa spojrział na mnie wyczekująco, jednak nadal nie wiedziałem, do czego zmierza.

- No cóż - powiedział - pomożecie nam dowiedzieć się, co się dzieje? Nagle zrozumiałem.

- Chcecie, żebym został informatorern? - spytałem.

- Ależ nie - skrzywił się Kuzniecowa, jakby taka myśl wydała mu się odpychająca. - Po prostu kimś w rodzaju asystenta.

Natychmiast odzyskałem pewność siebie. Z tego, co mówił, wynikało, że nie zwolnią mnie z pracy. Zawstydzilem się, że wzbudził we mnie taki strach.

- Bez wynagrodzenia? - spytałem łagodnie.

Minęła dobra chwila, zanim dotarło do niego to, co powiedziałem. Kuzniecowa znowu wybuchnął:

- Jeśli myślicie, że to żarty, gorzko tego pożałujecie - wrzasnął i wyrzucił mnie za drzwi.

W korytarzu ujrzałem bladego, przerażonego Rumjancewa, chodzącego pod drzwiami tam i z powrotem. Nie wiedziałem, co usłyszał z naszej rozmowy, chciałem szepnąć mu do ucha coś dla dodania otuchy, ale tuż za mną wyrósł Kuzniecowa.

- Nie czekajcie na kolegę - powiedział. - Idźcie do domu.

Późnym wieczorem do drzwi mojego mieszkania zapukał Rumjancew, dzierżąc pod pachą dwie butelki wódki. W milczeniu wypiliśmy jedną i zabraliśmy się do drugiej.

Wreszcie zaczął mówić.

- Kanjatanie - powiedział - wiem, że im odmówiłeś.

- Zgadza się ->odparłem, odzyskawszy już pewność siebie po przesłuchaniu, dumny, że się nie ugiąłem.

Wypił kolejny kieliszek i zacisnął wargi.

- Ja też.

- To nieważne, nie przejmuj się tym - powiedziałem i zmieniliśmy temat.

W ciągu następnych miesięcy od czasu do czasu na przyjęciach rozmawialiśmy w cztery oczy, a on czynił luźne uwagi na temat naszego przesłuchania wKGB.

- Jesteś takim porządnym człowiekiem - powiedział za którymś razem, poklepując mnie po plecach. - A ja złym.

Trudno było uwierzyć, że Kuzniecc>w zdołał zastraszyć mojego przyjaciela i uczynić z niego informatora, z drugiej strony jednak nie chciałem poznać prawdy, nawet jeśli

rzeczywiście tak było. Po okresie współpracy w Berdsku nasze drogi się rozeszły. Kiedy zostałem zastępcą dyrektora Biopreparatu, wystarałem się dla niego o kierownicze stanowisko w tej instytucji, ale zwierzchnicy zwolnili go „za arogancję”. Wiele lat później, po moim wyjeździe do USA, z przykrością dowiedziałem się od wspólnego znajomego, że rozpowiada, iż byłem szpiegiem.

Kiedy zakończyliśmy prace budowlane w Stepnogorsku, zakład istotnie przypominał górę metalu, przed którą przestrzegał mnie Tarasenko.

Nowe budynki powstały na pustyni i na tle horyzontu prezentowały się doprawdy dziwnie. Jeden z nich, budynek numer 600, był w owym czasie największym zamkniętym ośrodkiem badawczym w całym

Związku Radzieckim. Miał ponad piętnaście metrów wysokości, w środku mieściły się dwie gigantyczne komory z nierdzewnej stali, w których przeprowadzaliśmy testy. W pierwszej, której konstrukcję obliczono tak, aby wytrzymywała silne eksplozje, mieliśmy analizować tempo rozkładu i zdolności zarażania bakterii w mieszkankach aerozolowych uwalnianych z bomb. W drugiej przeprowadzaliśmy doświadczenia na zwierzętach. Wybudowaliśmy także sieć podziemnych bunkrów, gdzie składowano potrzebne materiały, oraz skomplikowany system wentylacyjny i kanalizacyjny.

Broń biologiczna to nie wyrzutnie raketowe. Nie wystarczy wycelować i odpalić. Najbardziej wirulentne kultury w probówce są bezużyteczne, jeśli nie opracuje się metod,

które zagwarantują ich stabilność i „przewidywalność”. Dlatego o przydatności decyduje proces produkcyjny na skalę przemysłową - co w pewnym sensie stanowi rzeczywistą broń - który o wiele trudniej opracować niż hodowlę na potrzeby laboratoryjne.

W Stepnogorsku namnażanie węglika rozpoczynało się od kilku grudek liofilizowanej bakterii przechowywanej w zamkniętych fiolkach. Setki fiolek, nie większych niż próbówki, trzymano w chłodniach. Były od siebie oddzielone materiałem nasączonym środkiem dezynfekującym i opatrzone metryczką - dane zawierały informacje o szczepie, jego charakterystyce oraz dacie utworzenia. Jedna fiołka wystarczała do

wyprodukowania amunicji na jedną międzykontynentalną wojnę.

Do chłodni tej nikt nie miał prawa wchodzić sam. Przy wyjmowaniu fiolek wymagana była obecność co najmniej technika i naukowca. Kiedy fiolkę wkładano do metalowego wózka, w którym jechała następnie do laboratorium, fakt ten skrupulatnie odnotowywano.

Po kilkumiesięcznym okresie prób wprowadziliśmy pewne standardy procedur laboratoryjnych. Najpierw naukowiec umieszczał w fiolce niewielką ilość pożywki. Jej skład różnił się w zależności od szczepu. Pożywkę taką, dokładnie opisaną, bez cienia ironii nazywaliśmy „kulturą-matką”.

Za pomocą mikropipetki naukowiec przynosił następnie substancję z fiolki do

niewiele większych flaszek, które w sąsiednim pomieszczeniu wkładano do termostatów, wielkością przypominających kuchenki mikrofalowe. Inkubacja bakterii trwała od jednego do dwóch dni.

Ciepło zabija bakterie, to właśnie dlatego trafiające na sklepowe półki mleko pasteryzowane, czyli podgrzane do temperatury około 55 stopni Celsjusza, nie zawiera szkodliwych drobnoustrojów. Naukowcy pracujący nad bronią biologiczną pragną natomiast, żeby bakterie przetrwały; jednym z największych wyzwań jest zatem znalezienie właściwej temperatury, przy której patogeny rozmnażają się najszybciej, a jednocześnie nie „ugotują się na śmierć”. Proces ten bardzo przypomina techniki stosowane przy produkcji szczepionek.

Zawartość jednej fiołki w czasie nie dłuższym niż czterdzieści osiem godzin potrafi rozmnożyć się do miliardów mikroorganizmów, jednak uzyskanie ilości odpowiednich do celów militarnych wymaga dni, a nawet tygodni cierpliwego warzenia.

Kultury z termostatów przelewa się, następnie do większych kolb i przenosi do innego pomieszczenia. Tam podłączone do butli z powietrzem, ustawione na wstrząsarce zamieniały się w lekką piankę. Dzięki lepszemu dostępowi tlenu bakterie rozmnażały się teraz jeszcze szybciej.

W tym stadium kultury są przezroczyste i kolorem przypominają coca-colę. Im większe stężenie bakterii, tym roztwór staje się ciemniejszy. Kiedy koncentracja osiąga maksimum, wygląda jak kawa ze śmietanką.

Przy tego typu pracy nie ma miejsca na improwizację i stosuje się gotowe metody hodowli. Składniki pożywek przeważnie są do siebie podobne, zmieniają się tylko proporcje, temperatura i czas poszczególnych operacji. Jeśli mikstura ulegnie przegrzaniu, wszystko trzeba zaczynać od początku.

Każda nowa generacja bakterii przenoszona jest do coraz większych naczyń, aż węglik jest tak dużo, że można go próżniowo przepompować do kadzi fermentacyjnych, stojących w specjalnym pomieszczeniu. W olbrzymich kotłach substancja podlega inkubacji jeszcze przez dzień lub dwa. Bakterie nadal rozmnażają się, dopóki naukowcy nie uznają, że osiągnęły maksymalne stężenie. Wówczas trafiają do

wirówki, która zagęszcza je nawet trzydziesto-krotnie.

Nasze wirówki przypominały urządzenia wykorzystywane w mleczarniach do produkcji masła i śmietany. Wyprodukowane zostały w położonych na południe od Moskwy zakładach w Tulę, wytwarzających sprzęt mleczarski.

Nawet w tym stadium nie dysponujemy jeszcze bronią. Patogeny należy teraz mieszać z odpowiednimi stabilizatorami, gwarantującymi przetrwanie przez dłuższy czas. Podobnie jak pożywki stabilizatory stanowią kolejny „opatentowany” etap procesu.

Gotowy produkt przesyłany jest podziemnymi rurami do pobliskiego budynku, gdzie będzie zmieszany z substancją,

która wystrzelona zapewni właściwą dystrybucję bakterii nad atakowanym terenem. Urządzenie, odmierzające i nalewające odpowiednie dawki patogenu kilkanaście razy na minutę, jest w zasadzie podobne do linii fabrycznej, napełniającej butelki z sokami. Gdy zbiornik jest pusty, hoduje się kolejną porcję kultur bakterii i cykl rozpoczyna się od początku. %

Proces ten może trwać nieprzerwanie dniem i nocą. Przeprowadzane przez nas eksperymenty, związane z modyfikacją cyklu produkcyjnego, napędzały i rozwijały nasz program. W 1987 roku łączne moce produkcyjne wszystkich zakładów, w których wytwarzano broń z laseczek wąglika, sięgały pięć tysięcy ton rocznie, choć plany mobilizacyjne Ministerstwa Obrony podawały mniejszą

ilość. Kurgan miał produkować tysiąc ton, Penza pięćset, a Stepnogorsk trzysta ton.

Moje prośby o nowy sprzęt czytoateriały budowlane niemal zawsze rozpatrywano pozytywnie. Największy problem stanowił natomiast brak personelu.

Kiedy przybyłem do Stepnogorska, pracowało tam około czterdziestu naukowców. Niewielu z nich posiadało odpowiednie kwalifikacje, by przeprowadzać skomplikowane badania. Aby spełniła się wizja Kalinina, musiałbym zatrudnić setki nowych laborantów i naukowców. Tymczasem regulamin określający zasady zatrudniania pracowników w Stepnogorsku narzucał ograniczenia. Kandydaci musieli zostać wszechstronnie prześwietleni, co mogło trwać nawet miesiącami - a mnie zależało na czasie.

Zdawałem sobie sprawę, że Bułhak miał rację, wspominając o niebezpieczeństwie, jakie niesie ze sobą pospieszne kompletowanie zespołu, jednak konieczność przestrzegania harmonogramu narzuconego przez Moskwę w zasadzie nie pozostawiała mi wyboru.

Uruchomiłem nieformalny nabór robotników budowlanych, laborantów i naukowców, poszukując ich w Stepnogorsku (mieście) oraz w cywilnych instytutach naukowych w innych częściach kraju. Wiele sprowadzonych przeze mnie osób nie miało zgody na pracę w tajnym sektorze zbrojeniowym, toteż zatrudniono je tymczasowo, a KGB badał ich akta. W ciągu kilku miesięcy zdołałem zatrudnić niemal dwustu nowych pracowników.

Centrala na szczęście nie zadawała niewygodnych pytań, a rozbudowa zakładów zajmowała tyle czasu, że przestałem się troszczyć o przepisy bezpieczeństwa. Do pracy angażowałem coraz więcej ludzi, zatrudniając ich na stałe, kiedy tylko zostali „prześwietleni”. Wyobrażałem sobie, że skoro eksperymenty się udały, nie należy zbytnio przejmować się sztywnymi procedurami. Tymczasem Anatolij Bułhak nie zapomniał o zniewadze. Jego informatorzy powiadamiali go o nieformalnych praktykach stosowanych przeze mnie przy werbowaniu nowych pracowników, a kiedy zgromadził dość dowodów, postanowił dać mi nauczkę.

W rok po naszym niemiłym spotkaniu zostałem wezwany do Moskwy. Rozkaz pochodził bezpośrednio od Kalinina. Nie

zawierał wyjaśnień, których i tak się nie spodziewałem. Sądziłem, że mam osobiście złożyć raport na temat postępów naszych prac.

Po trzyipółgodzinnym locie do Moskwy zatłoczonym samolotem Aerofłotu udałem się wprost do jego biura. Sekretarka Kalinina oświadczyła, że szef jest zajęty. Nie zdziwiłem się zbytnio. Kalinin należał do ludzi, którzy chętnie przywołują podwładnych z drugiego końca świata po to, aby przez kilka dni wyczekiwali pod jego drzwiami.

Ku mojemu zdumieniu sekretarka wręczyła mi kartkę od pułkownika KGB Władimira Dorogowa, szefa komórki kontrwywiadu odpowiedzialnej za cały Biopreparat.

„Spotkajcie się ze mną natychmiast” - brzmiała treść notatki.

Kiedy wszedłem do jego gabinetu na drugim piętrze, Dorogow wyglądał przez okno. Gdy odwrócił głowę, zdumiała mnie zadłość jego spojrzenia.

- Zdajecie sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo narażacie naszą ojczyznę? - spytał zimno.

Podszedł do biurka i wyjął teczkę z nazwiskami robotników, których zatrudniłem w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Szereg nazwisk podkreślono na czerwono.

- W Stepnogorsku mamy świetnych^ficerów - ciągnął Dorogow - ale najwyraźniej wzdragacie się przed nawiązaniem z nimi współpracy. Szczerze mówiąc, w całej

mojej karierze nie widziałem czegoś podobnego.

Jego lodowaty spokój wytrącił mnie z równowagi.

- Towarzyszu pułkowniku, mogę to wyjaśnić - powiedziałem.

- Tego nie można wyjaśnić! Widziałem pańskie akta, znam waszą historię, Alibekow. Nie pierwszy raz postępujecie lekkomyślnie.

A potem przedstawił mi szczegółową relację z mojego spotkania z Kuznie-cowem przed sześciu laty.

- I co z tym zrobimy? - spytał.

- Nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą.

Nie chodziło jedynie o złamanie regulaminu: ich zdaniem naraziłem program na możliwość sabotażu. Zacząłem odnosić

wrażenie, że szybko zbliża się kres mojej kariery.

Jednak KGB znowu mnie zdumiał. Dorogow otworzył górną szufladę biurka i wyjął czystą kartkę papieru.

- Na tej stroniczce napiszecie wszystko, co zrobiliście, wraz z uzasadnieniem, dlaczego postąpiliście błędnie.

Kiedy sięgałem po kartkę, pułkownik boleśnie chwycił mnie za nadgarstek.

- Tylko pamiętajcie: to mały kawałek papieru, ale musi całkowicie zasłonić waszą dupę.

Następnego dnia Kalinin zgodził się mnie przyjąć. Wręczył napisaną przeze mnie kartkę, która teraz dołączona była do urzędowej nagany, i polecił mi złożyć podpis na obydwu dokumentach. Była to tradycja

datująca się od czasów Stalina: mój podpis poświadczał oskarżenia przeciwko mnie i jednocześnie z góry potwierdzał, że zasługuję na karę, jaką „wymierzy mi państwo ludowe”.

Moją karą najwyraźniej miało być poniżenie.

- Jeśli jeszcze raz złamiecie przepisy - rzekł Kalinin - będzie to po raz ostatni.

Dzisiaj rozumiem, że nie mogli mnie zwolnić, wówczas jednak nie było to dla mnie takie oczywiste. Zastąpienie mnie innym kierownikiem spowolniłoby tempo prac nad programem, być może sprowadziłoby go na fałszywy tor, a Kalinin zbyt dużo zainwestował w sukces Stepnógorska, aby mógł pozwolić sobie na porażkę. Musiał wykorzystać wszystkie swoje wpływy, aby przeciwstawić

się KGB. Jeśli mi się nie udało, jego kari-
era byłaby zrujnowana, podobnie jak moja.

Podzielałem determinację Kalinina, aby
odnieść sukces za wszelką cenę, co dodawało
ironii memu kłopotliwemu położeniu. Młody
doktor idealista z Tom-ska, przeżywający
dylematy natury moralnej, związane z róż-
nicą pomiędzy ratowaniem a odbieraniem
ludziom życia, gdzieś zniknął. Teraz
martwiłem się tylko perspektywą utraty
pracy w Biopreparacie i związanych z nią
przywilejów.

Ale transformacja nie dokonała się
jeszcze w pełni. Czasami nadal przechodził
mnie dreszcz, kiedy patrzyłem na bakterie w
kadziach i myślałem, że mogłyby odebrać
życie milionom ludzi. Jednak atmosfera
naszych tajnych laboratoriów zmieniła mój

światopogląd. W człowieku, jakim się stałem, rodzice nie rozpoznałyby swego syna.

Powróciłem do Stepnogorska zdeterminowany, aby pracować beznamiętnie i wydajnie, czego Biopreparat wymagał od swego kierownictwa. To się przede wszystkim liczyło, moja rodzina była dopiero na drugim miejscu. Bywały tygodnie, kiedy traçałem kontrolę nad czasem spędzonym w kompleksie, do domu przychodziłem tylko na krótką drzemkę i posiłek, aby znowu wrócić do pracy. W 1985 roku na świat przyszedł Timur, nasze trzecie dziecko, jednak prawie nigdy nie byłem z rodziną: kiedy Lena opiekowała się niemowlęciem, ja gorączkowo krzątałem się w laboratoriach.

W tym okresie stałem się bardziej rozdrażniony i samotny niż kiedykolwiek.

Kiedy po raz pierwszy przybyłem do Postępu, przepełniał mnie entuzjazm, jaki obudził we mnie powrót do Kazachstanu po tak wielu latach spędzonych na północy. Odwiedzałem moich rodziców i wystarczał kilkudziesięciminutowy lot samolotem, by cieszyć się perspektywą znalezienia się wśród ludzi, którzy wyglądali podobnie jak ja i porozumiewali się językiem mego dzieciństwa.

W moim zakładzie nie było Kazachów, a pośród rosyjskich twarzy w Stepno-gorsku dostrzec można było zaledwie kilku. Nawet jeśli zdążyłem już przeobrazić się w modelowego radzieckiego biurokratę, w świecie tym czułem się obco.

Mira, najstarsza córka, była dobrze traktowana przez nauczycieli i przyjaciół, ponieważ jej ojciec był dyrektorem,

wiedziałem jednak, że koleżanki i koledzy naśmiewają się z niej, bo „jest czarna” i ma „zabawną twarz”.

Nieliczne spokojne chwile wolne od zajęć poświęcałem na pracę doktorską. Napisanie jej było konieczne, jeśli pragnąłem związać dalszą karierę z Biopreparatem. Nic innego nie wydawało mi się ważne.

Po pewnym czasie zawarliśmy z Bułhakiem niełatwy rozejm. Był wystarczająco pojętny, żeby nigdy nie pytać o moją podróż do Moskwy, choć z pewnością rozkoszował się moim upokorzeniem. Z ulgą przyjąłem wieść, że przenoszą go z powrotem do macierzystego, prowincjonalnego oddziału, przedtem jednak sam stanął przed poważnym problemem związanym z kwestią bezpieczeństwa.

Jedną z jednostek podległych Bułhakowi był Wydział Środków Zaradczych przeciwko Zagranicznym Służbom Wywiadu Technicznego. Za tą pokrętną nazwą kryła się instytucja, której jedynym celem było zapobieganie, aby świat nie dowiedział się prawdy o tym, co robimy w Stepnogorsku.

Dokonane przeze mnie usprawnienia zakładu utrudniły Bułhakowi pracę. Potrzebował rzeszy pracowników o odpowiednich kwalifikacjach do zamaskowania wszystkich śladów ogromnych ilości odpadów z naszych kadzi fermentacyjnych. Bułhak znalazł cywila, inżyniera Markina, który został szefem Wydziału Środków Zaradczych i wkrótce dał się poznać jako jeden z najbardziej utalentowanych specjalistów w sztuce kamuflażu.

Markin był nieśmiałym, niespełna czterdziestoletnim człowiekiem. Choć w zasadzie lubiany przez współpracowników, trzymał się na uboczu. Niewiele osób zdawało sobie sprawę, jak skomplikowane jest jego życie osobiste.

Markin zakochał się we wdowie po jednym z oficerów KGB, którzy pracowali w zakładach. Pobrali się po krótkim okresie narzeczeństwa, jednak małżeństwo nie było udane. Małżonkowie bezustannie się kłócili i Markin stawał się coraz bardziej przygnębiony.

Wreszcie poprosił o urlop, uzasadniając to potrzebą roztoczenia opieki nad chorą matką. Jego prośbę rozpatrzono pozytywnie. W kilka tygodni później Bułhak wszedł do mego gabinetu, trzymając w ręce list

napisany w jakiejś miejscinie w pobliżu miasta Górki.

- Przeczytajcie to - powiedział, ściągając ze strachu brwi.

Markin donosił, że nie chce wracać do Stepnogorska. „Unizenie proszę, abyście zezwolili mi osiaść w kołchozie, w którym mieszka moja chora matka - pisał. - Proszę nie myśleć, że istnieją inne powody mojego wyjazdu. Nie jestem zdrajcą, po prostu mało znaczącym człowiekiem, który chciałby żyć w zgodzie z naturą”.

Oddałem list Bułhakowi.

- Widzę, że znalazł sposób na ucieczkę od żony - uśmiechnąłem się. Bułhak pozostał poważny.

- Nie możemy go puścić - powiedział. - Za dużo wie.

- To prawda - zgodziłem się. - Ale jakież szpieg będzie się przedzierał przez otaczające Górki bagna, żeby go odnaleźć? Nie sądzę, abyście musieli się tym martwić. Poza tym on nie jest ani w wojsku, ani w KGB. Nie możecie wydać mu rozkazu, żeby tutaj wrócił.

Bułhak z roztargnieniem zapatrzył się w dał.

- Zobaczymy - powiedział.

W kilka dni później ujrzałem Bułhaka w pogodniejszym nastroju.

- Jeden z moich ludzi rozmawiał właśnie z miejscowym dowódcą w Gor-kim o sprawie Markina - uśmiechnął się. - Narzekają, że mają tam aż dwa problemy.

- Mianowicie?

Bułhak spojrział na mnie współczująco.

- Gdybyście interesowali się polityką - pouczył mnie - wiedzielibyście, co dzieje się na świecie. Nie słyszeliście, że trzymają tam Sacharowa?

Andriej Sacharow, fizyk, laureat Nagrody Nobla i ojciec naszej bomby wodorowej, został internowany w mieście Górkki za publiczną krytykę przywódców radzieckich. Zdziwiło mnie przypisanie Markina do tej samej kategorii „kłopotów”, co sławnego fizyka.

Po kilku tygodniach rozmawialiśmy z Bułhakiem o nowych przepisach bezpieczeństwa, kiedy nagle usiadł sztywno na krześle, jakby ukłuty igłą.

- Co się stało? - spytałem.

- O mało co bym zapomniał. Pamiętacie te dwa problemy, o których wam mówiłem?

Skinałem głową.

- No cóż - ciągnął, rozkoszując się każdym słowem. - Górki ma teraz tylko jeden problem.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że Markina już nie ma - wyjaśnił Bułhak.

- Wyjechał?

- Owszem, ale niechętnie. Nie żyje.

- Co się stało? - spytałem zaniepokojony.

- Wygląda na to, że utonął. Wypił trochę za dużo, chciał popływać i już nie wrócił.

- Nie wiedziałem, że Markin lubił pływać.

Na twarzy Bułhaka igrał tajemniczy uśmiezek.

- Liczy się to, że Górki ma już tylko jeden problem.

- Zabito go?

Bułhakow wyglądał na urażonego.

- Skąd mogę wiedzieć? - odparł. - Ważne jest to, że nie musimy się więcej martwić o Markina.

W 1986 roku w naszym zakładzie pracowało ponad dziewięćset osób, a każdego miesiąca zatrudniano nowych pracowników. Grupa swierdłowska, do której należał pechowy Nikołaj Czernyszow, przyczyniła się do przełomu w opracowaniu najsilniejszej broni z laseczek węglika, jaka kiedykolwiek powstała. Jednocześnie atmosfera napięcia zbierała krwawe żniwo. Co tydzień odnotowywaliśmy jeden do dwóch wypadków.

Pewnego razu Giennadij Lepjoszkin, szef zarządu biobezpieczeństwa, doniósł, że jeden z techników zaraził się węglikiem w laboratorium, które powinno być sterylne. Mężczyzna miał otarcie na karku, jednym z

najbardziej niebezpiecznych miejsc, jeśli chodzi o zarażenie się skórną postacią wąglika. Obrzęk szyi utrudnia choremu oddychanie.

Najpierw podaliśmy mu streptomycynę i penicylinę, najskuteczniejsze antybiotyki stosowane przy skórnej postaci wąglika, jednak bolesne obrzęki pojawiły się także na klatce piersiowej i rozprzestrzeniały po całym ciele, utrudniając oddychanie. Śmierci pacjenta spodziewaliśmy się w ciągu trzech dni. Już przygotowywano ponury raport, który miał zostać wysłany do Moskwy, kiedy podaliśmy mu bardzo wysoką dawkę antyserum. „Terapia szokowa” zadziałała i chory zaczął powracać do zdrowia.

Bliskość śmierci laboranta dawała wyobrażenie o sile nowej broni. Wyprodukowana

przez nas sproszkowana oraz płynna postać węglika były trzykrotnie silniejsze niż wytwarzane w Swierdłowsku. Zarażenie połowy mieszkańców osiadłych na obszarze jednego kilometra kwadratowego wymagałoby użycia zaledwie pięciu kilogramów węglika 836. Do uzyskania takiej samej skuteczności trzeba by było użyć co najmniej piętnastu kilogramów swierdłowskiego węglika.

Niszczącą siłę nowej broni potwierdziły testy przeprowadzone w 1987 roku na Wyspie Odrodzenia. Lepjoszkin, który tamtego roku został moim pierwszym zastępcą, poleciał nad Jezioro Aralskie, żeby osobiście nadzorować próby poligonowe. Kiedy raporty jednoznacznie potwierdziły sukces, Moskwa ostatecznie wykreśliła swierdłowski

kompleks 19 z harmonogramu produkcji węglika.

Stepnogorsk z nawiązką to rekompensował. Nasz zakład w ciągu jednego dnia mógł wytworzyć od jednej do dwóch ton węglika, równie wydajnie i niezawodnie, jak fabryki czołgów, ciężarówek, samochodów czy coca-coli.

Z chwilą powstania pierwszej światowej wytwórni broni biologicznych na skalę przemysłową, Związek Radziecki stał się pierwszym w świecie - i jedynym - biologicznym supermocarstwem.

W tej dziedzinie światową dominację uzyskaliśmy w latach osiemdziesiątych, jako że już wówczas mogliśmy zaatakować odległe cele pociskami międzykon-tymentalnymi. Jednak Stepnogorsk udowodnił, że potrafimy

prorowadzić wojnę biologiczną na skalę niespotykaną w historii. Przez ostatnie cztery lata uczyniliśmy większy postęp w tej dziedzinie niż w ciągu czterech dziesięcioleci od zakończenia drugiej wojny światowej.

Rzecz jasna, nie chwaliliśmy się naszymi osiągnięciami. Swierdłowski wypadek na krótko pozwolił zajrzeć światu w głąb naszego programu broni biologicznych, jednak od tamtej pory tajemnice były dobrze ukrywane. Międzynarodowa społeczność nie miała pojęcia o istnieniu Biopreparatu, nie miała też powodów, aby podejrzewać, że nasz program stale się rozrasta.

Ospa

Moskwa 1987

Słowo virus pochodzi z łaciny i oznacza jad, truciznę. Wirusy są niewidoczne pod zwykłym mikroskopem, a setki tysięcy razy mniejsze niż ziarnko piasku. Nie zdawano sobie sprawy z ich istnienia aż do końca XIX wieku, kiedy to rosyjski mikrobiolog Dmitrij Iwanowskj pośrednio odkrył ich istnienie, prowadząc badania nad mozaiką tytoniową. Iwanowski zauważył, że nieznaną czynnik chorobotwórczy przenikał przez filtry bakteryjne. Minęło jeszcze niemal pół wieku, zanim wirusy dostrzeżono pod mikroskopem elektronowym, ale odkrycie Iwanowskiego

otworzyło przed naukowcami nową dziedzinę badań nad chorobami zakaźnymi.

W miarę jak odkrywano nowe wirusy, naukowców coraz bardziej zdumiewało ich zachowanie. Wirusy trwają na krawędzi życia, pozostają „nieczynne”, dopóki nie przytwierdzą się do komórek jakiegoś organizmu. Pod względem budowy są prostsze niż bakterie, składają się jedynie z otoczki białkowej, kwasów nukleinowych DNA lub RNA, a niekiedy także z błony lipidowej - mimo to potrafią zniszczyć najbardziej złożony organizm. Nie wszystkie wirusy zabi-
ją swego gospodarza - z wielu względów byłoby to niepraktyczne - jednak jeśli to czynią, zazwyczaj odznaczają się wysoką zarazliwością. Wirus zaprogramowany jest na rozmnażanie samego siebie, ale nie może

tego robić samodzielnie. Najpierw musi znaleźć gospodarza o odpowiedniej strukturze komórkowej, w którego organizmie może się zagnieździć. Wirusy stapiają się z jądrem lub cytoplazmą komórek gospodarza, aby zawładnąć ich funkcjami.

Ludzki organizm wyposażony jest w złożone mechanizmy, Tctórych zadaniem jest obrona i uśmiercanie patogennych drobnoustrojów. Układ odpornościowy działa na wielu płaszczyznach równocześnie niczym armia, która w swych szeregach ma i zwiadowców, i piechotę, siły powietrzne i marynarkę wojenną, wyszukaną sieć łączności i dobrze funkcjonujące struktury dowodzenia. Niektóre komórki odpowiedzialne są za „inwigilację” intruzów, inne koordynują informację; jeszcze inne skupiają się na

działaniach lokalnych, a ich towarzyszki mogą pokierować zmasowanym atakiem. Immunolodzy rozróżniają dwa rodzaje reakcji, wrodzone i nabyte. Nabyte reakcje uzależnione są od „komórek pamięci”, przechowujących informacje o najeźdźcach z przeszłości i stanowiących istotny czynnik w nabywaniu odporności.

Do najważniejszych instrumentów obronnych układu odpornościowego należą limfocyty T, które pełnią funkcję zwiadowców, krążą po krwiobiegu i węzłach chłonnych, szukając intruzów. Kiedy wirus przedostaje się do krwiobiegu i zaatakuję pierwszą komórkę, natychmiast rozpoznawany jest przez limfocyty T, które wysyłają sygnały, doprowadzając do powstawania przeciwciał i kierując je do ogniska infekcji. Przeciwciała

są jak wojska lądowe; są szczególnie skuteczne w walce z wirusami i bakteriami znajdującymi się w krwiobiegu, zanim dotrą one do swych celów.

Już po kilku sekundach od infekcji dochodzi do uwolnienia „obronnych białek” i „czynników zapalnych”, uruchomienia reakcji obronnych leukocytów i skierowania ich do zainfekowanych komórek.

Pod koniec pierwszego tygodnia zakażenia wirusem, lub na początku następnego, organizm wytwarza przeciwciała, które niekiedy usiłują zneutralizować wirusy, przywierając do ich powierzchni i zapobiegając przenikaniu do kolejnych komórek. Wirusy jednak są sprytne i szybko podlegają mutacji. Ich liczebność potrafi powstrzymać

naturalne mechanizmy obronne gospodarza, czyniąc opór w zasadzie daremny.

Nowe wirusy mogą pojawiać się bez ostrzeżenia, a te, które w przeszłości uważano za nieszkodliwe, pod wpływem mutacji przeobrażają się w śmiertelne. Mogą powodować siejące spustoszenie epidemie (AIDS, Ebola), potrafią także być niezłośliwe, tak jak wirus odpowiedzialny za powstawanie pewnych typów brodawek. Niektóre atakują tylko rośliny, inne zwierzęta. Arbowirusy, przenoszone przez owady, zazwyczaj atakują mózg, mięśnie, wątrobę, serce i nerki. Wirusy jelitowe zajmują układ trawienny, przedostając się do organizmu ze skażoną wodą lub żywnością. Wirusy układu oddechowego unoszą się w atmosferze i wnikają do organizmu wraz z wdychanym

powietrzem, wywołując odrę, świnkę i ospę wietrzną. Dotychczas udało się zidentyfikować ponad sto wirusów wywołujących przeziębienie.

Spośród wszystkich chorób, które prześladowały gatunek ludzki, ospa pozostawiła po sobie najgłębsze blizny, sięgające pradawnych czasów. Pierwsze wzmianki o niej pochodzą z Chin z 1122 roku p.n.e. Choroba wpłynęła na bieg historii, dziesiątkując osiemnastowieczną Europę i rodowitych mieszkańców Ameryki Północnej.

Wirus ospy pochodzi z rodziny atakującej górne drogi oddechowe. Variola major jest wirusem cierpliwym i systematycznym. Najpierw wkrada się do komórek znajdujących się stosunkowo płytko pod skórą i do układu

nerwowego. Znalazłszy się w żywej komórce, pozbywa się otoczki i zaczyna się szybko rozmnażać. Wykorzystując enzymy komórki, włącza swoje DNA do materiału genetycznego gospodarza, w wyniku czego komórka produkuje białka potrzebne wirusowi. Szybkie namnażanie się wirusa hamuje syntezę DNA gospodarza i tym samym niszczy mechanizm obronny zaatakowanej komórki. Postępy choroby można śledzić, obserwując drobne różowe plamki, które stopniowo przechodzą z twarzy i ramion na niższe partie ciała.

W przeszłości objawy ospy znane były wszystkim lekarzom. Po okresie „cichej” inkubacji, trwającym od pięciu do dziesięciu dni, wirus nagle daje znać o swoim istnieniu. Pierwsze stadium choroby charakteryzuje się

wysoką gorączką, wymiotami, bólem głowy i sztywnością karku. Stan taki trwać może od dwóch do czterech dni. Po kilku dniach na twarzy pojawia się wysypka. W miarę jak w ciągu następnego tygodnia rozprzestrzenia się ona na inne partie ciała, pryszczyki przekształcają się w bolesne pęcherzyki. Zazwyczaj powstają z nich strupy, które po paru tygodniach zasychają i odpadają, pozostawiając blizny. Cięższe przypadki ospy, również jej postaci krwotocznej, prowadzić mogą do śmierci w ciągu trzech, czterech dni.

Współczesne próby okiełznania ospy sięgają 1796 roku, kiedy brytyjski lekarz Edward Jenner zaobserwował, że dojarki, które od krów zaraziły się łagodniejszą postacią ospy, uodporniły się na ospę atakującą ludzi. Pewnemu ośmioletniemu chłopcu Jenner

wstrzyknął materiał pobrany z bąbla na skórze ręki zakażonej dojarki. Chłopiec dostał niewysokiej gorączki. W dwa miesiące później Jenner wstrzyknął mu wirusy ospy, choroba jednak się nie rozwinęła. Lekarz wywnioskował, że chłopiec zawdzięczał odporność łagodniejszemu szczepowi wirusa, który nazwał vaccinia.

Szczepienia przeciwko ospie, nazwane po angielsku vaccine na cześć Jenne-ra, stały się najważniejszym instrumentem w walce z chorobą, a szczepionka zrewolucjonizowała medycynę.

8 maja 1980 roku Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła, że ospa zniknęła z powierzchni naszej planety. Ostatni jej przypadek zanotowano w 1977 roku w Somalii, a w ciągu trzech kolejnych lat nie

wystąpiły żadne nowe zachorowania. WHO zaleciła zatem zaprzestanie szczepień ochronnych przeciwko ospie.

Światowa Organizacja Zdrowia przyjęła jednocześnie rezolucję ograniczającą do czterech laboratoriów miejsca, w których w celach badawczych przechowywane będą wirusy ospy. W kilka lat później liczbę laboratoriów zmniejszono do dwóch: Centers for Disease Control w Atlancie oraz moskiewskiego Instytutu Wirusologii Iwanowskiego.

Pokonanie ospy miało szczególne znaczenie dla Związku Radzieckiego - to właśnie Rosja wystąpiła z inicjatywą „światowej krucjaty”. Moskwa po raz pierwszy w 1958 roku na konferencji WHO złożyła propozycję masowych szczepień przeciw ospie w

krajach Trzeciego Świata, co spotkało się z powszechnym uznaniem. W ciągu wieków Rosja także padała ofiarą epidemii ospy. Chorobę ostatecznie udało się pokonać w 1936 roku, po dziesięcioletnim programie szczepień wprowadzonym przez nowo powstały rząd bolszewicki.

Wkrótce po oświadczeniu WHO w ZSRR dołączono ospę do spisu broni bakteriologicznych, które miały zostać „unowocześnione” w planie pięcioletnim na lata 1981-1985.

To, co inne rządy postrzegały jako tryumf medycyny, Kreml uznał za znakomitą okazję militarną. Świat niestrzeżony przed ospą był tym bardziej na nią narażony. W 1981 roku radzieccy badacze przystąpili do realizacji kremłowskich planów - opracowania

„lepszej” ospy, która jako broń biologiczna od dziesięcioleci znajdowała się w naszym arsenale. Początkowo prace właściwie stały w miejscu. Dowódcy wojskowi nie chcieli poświęcać środków na przedsięwzięcie, które nie gwarantowało natychmiastowych rezultatów. Uważali, że Związek Radziecki i tak posunął się dalej w dziedzinie zastosowań bojowych ospy niż jakiegokolwiek państwo na świecie.

W 1947 roku w Związku Radzieckim, w pobliżu Zagorska, oddalonego od Moskwy na północny zachód o czterdzieści minut jazdy samochodem, powstała pierwsza fabryka broni wykorzystującej ospę. W Zagorsku znajduje się czternastowieczna Ławra Troicka, jedno z najświętszych miejsc Kościoła prawosławnego. Kilka kilometrów dalej, w

otoczonym murem kompleksie, radzieccy wojskowi naukowcy w Centrum Wirusologii Ministerstwa Obrony w embrionach kurzych jaj nabożnie hodowali ospę, gorączkę Q i wirusy wenezuelskiego końskiego zapalenia mózgu.

Był to proces skomplikowany, lecz skuteczny. Posługując się miniaturowymi strzykawkami, laboranci wprowadzali mikroskopijną ilość wirusa ospy do wnętrza jaj i zasklepiali skorupki parafiną. Jaja przez kilka dni leżały w inkubatorach, a embriogospodarz pobudzał wirusy do życia. Ponieważ wkrótce monopolizowały one mechanizmy rozwojowe komórek, rozmnażając się gwałtownie, uśmiercały gospodarza. Wówczas jaja rozbijano i wylewano ich zawartość do specjalnych zbiorników, gdzie

mieszano ją ze stabilizatorami. Powstała w ten sposób broń, odpowiednio schłodzona, pozostawała śmiertelna przez co najmniej rok.

Każdego miesiąca setki tysięcy jaj z pobliskiego kolchozu trafiały do zagorskiego zakładu. Państwowy monopol pozwala ukryć fakt pozbawiania konsumentów tak wielu jaj. Proces produkcyjny z ich wykorzystaniem okazał się takim sukcesem, że w podmoskiewskim Pokrowie otwarto drugi zakład, podległy Ministerstwu Rolnictwa.

W 1959 roku powracający z Indii podróżnik zaraził ospą 46 moskwian. Podróżnika wprawdzie zaszczepiono, jednak szczepionki z czasem tracą skuteczność, i choć ochroniło go to przed objawami choroby, mógł zarażać innych. Szczep

Variola major, obecny w jego organizmie, był tak zjadliwy, że o mało nie doszło do wybuchu epidemii. Między innymi z powodu tego wypadku rząd radziecki oddelegował do Indii specjalny zespół medyczny, który miał pomóc w wytepieniu wirusa na subkontynencie.

Zespołowi towarzyszyli agenci KGB.

Agenci powrócili do Rosji z próbkami indyjskiego szczepu wirusa, znakomicie nadającego się na broń biologiczną. Wirus odznaczał się wysoką wirulencją, był jednocześnie stabilny i potrafił dość długo przetrwać, tak że można się nim było zarazić również po pewnym czasie. Oznaczało to, że przy zastosowaniu odpowiednich stabilizatorów nadawał się do dłuższego przechowywania niż szczepy ówczesnie znajdujące się w

radzieckim arsenale. W ciągu kilku lat bezwiedny indyjski dar stał się głównym bojowym szczepem ospy. Nazwano go Indie-1967, dla upamiętnienia daty wyizolowania. W naszym tajnym kodzie był to wirus „Indie-1”.

W latach siedemdziesiątych ospa uważana była za tak ważny składnik naszego biologicznego uzbrojenia, że dowództwo radzieckie nakazało utrzymywać zapasy w wysokości dwudziestu ton. Broń magazynowano w wojskowym kompleksie w Zagorsku. Co roku należało produkować nowe zarazki, jako że część starych zapasów nie nadawałaby się już do wykorzystania. A przecież nie chcieliśmy doprowadzić do sytuacji, w której mogłoby nam zabraknąć wirusa ospy!

Historia podróżnika ukazuje pewne szczególne cechy Wañola major, które sprawiają, że wirus ten znakomicie nadaje się do zastosowań wojskowych. Jest tak odporny, że można się nim zarazić nawet po dłuższym czasie, choćby poprzez dotyk białizny nosiciela. Ofiary ospy zarażają osoby przebywające w ich otoczeniu od chwili wystąpienia pierwszych symptomów choroby aż do zasklepienia się ostatniej blizny, co zazwyczaj trwa od dwóch do trzech tygodni; zarazki przenoszą się także drogą kropelkową, na przykład przez kaszel.

Nie wszystkie wirusy przenoszą się bezpośrednio z chorych na kolejne ofiary, jednak to właśnie one są najbardziej zaraźliwe. \Virus grypy, którym zarazić się można poprzez kichanie, kaszel, a nawet sam tylko

kontakt z ubraniem zarażonej osoby, szerzy się w szkołach, przekracza granice kontynentów i wywołuje pandemie, takie jak w 1918 roku. Odra czy ospa wietrzna, na które choruje się zazwyczaj w dzieciństwie, przenoszą się podobną drogą, co oznacza, że wirus poza organizmem gospodarza potrafi przeżyć dostatecznie długo, aby zarazić kolejną osobę. Niektóre wirusy odpowiedzialne za gorączki krwotoczne - Machu-po, Ebola, gorączka Lassa, Junin - też-rozprzestrzeniają się poprzez kontakty międzyludzkie. Ebola pustoszy organizm gospodarza i ginie w styczności z tlenem, pomimo to szereg osób, które miały najmniejszą choćby styczność z ofiarami tej choroby, również na nią zapadało.

Wielu zachodnich naukowców postrzega Yariola major jako nieodpowiedni materiał na broń pomimo jego wysokiej wirulencji. Ospa nie występuje u zwierząt, choć małpy mogą się nią zarazić, nie przekazując wirusa dalej. Jedynym, naturalnym gospodarzem są ludzie. Toteż choroba jako taka nie może samoistnie egzystować w przyrodzie. Niektórzy naukowcy twierdzą, że wybuch epidemii wśród ludzi byłby krótkotrwały, ponieważ natychmiast zastosowano by kwarantannę oraz szczepienia ochronne - tak jak w Moskwie w 1959 roku.

Naukowcy ci twierdzą, że długi okres inkubacji wirusa stanowi dodatkowe zabezpieczenie. Ponieważ wykluwanie się choroby trwa siedem dni, daje to dość czasu na podjęcie stosownych przygotowań w

wypadku ataku biologicznego. Działania obronne skoncentrowałyby się przede wszystkim na zahamowaniu rozprzestrzeniania się choroby poprzez masowe szczepienia. Organizm nabiera odporności już po kilku dniach od podania szczepionki. Badania kliniczne przeprowadzone przed laty wykazały znacznie łagodniejszy przebieg choroby u osób zaszczepionych. Aby szczepienia takie były skuteczne, należy zastosować je przed wystąpieniem pierwszych objawów.

Opracowany przez nas wirus ospy zdecydowanie skracał „czas na przygotowania”. Kiedy wystawiliśmy małpy na działanie szczególnie zjadliwej ospy In-die-1, objawy zaczęły występować po jednym do pięciu dni.

Obecnie nie istnieją żadne metody pozwalające na leczenie ospy po pojawieniu

się pierwszych objawów. Wszystko, co lekarze mogą zrobić, to podać środki łagodzące dolegliwości.

Skuteczność broni biologicznych mierzy się współczynnikiem zachorowalności, określającym liczbę zakażonych w stosunku do liczby osób, które zetknęły się z bakterią bądź wirusem. Ospa zabija od 30 do 50 procent niezaszczepionych ofiar (co odpowiada niskiemu wskaźnikowi umieralności), jednak zachorowalność sięga od 60 do 90 procent. Dla wielu ludzi zarażenie się ospą oznacza wyrok śmierci. Niektóre ofiary na zawsze tracą wzrok. Inne na całe życie zostaną naznaczone bliznami.

W ciągu dwudziestu lat od wydania oświadczenia WHO nie zmieniła zdania na temat ospy. Dzieci w wieku szkolnym w USA,

w Rosji ani w żadnym innym kraju nie są szczepione przeciwko tej chorobie, a od osób odbywających dalekie podróże nie wymaga się już dowodu potwierdzającego szczepienie ochronne.

W Stanach Zjednoczonych w pogotowiu czeka dwanaście milionów dawek szczepionki przeciwko ospie (z których tylko siedem milionów jest rzeczywiście skutecznych, jak podaje Centers for Disease Control w Atlancie), czyli drobna cząstka dwustu milionów dawek znajdujących się na całym świecie. Pozornie jest to ilość wystarczająca do podjęcia działań w nagłych wypadkach - dopóki nie weźmie się pod uwagę liczby możliwych zarażeń w gęsto zaludnionych rejonach takich jak Nowy Jork, w których wielu ludzi dojeżdża do pracy.

Wirusy od dziesięcioleci interesowały specjalistów od broni biologicznych. W czasie drugiej wojny światowej alianci rozważali bojowe wykorzystanie różnych patogenów, takich jak wirus wenezuelskiego końskiego zapalenia mózgu czy ospę. Amerykańscy, kanadyjscy i brytyjscy naukowcy ku swemu niezadowoleniu przekonali się, że praca z wirusami jest znacznie trudniejsza niż z bakteriami. Ponieważ same nie mogą się rozmnażać, trzeba je hodować wewnątrz żywych komórek albo tkanek w sterylnym laboratorium.

Poza tym próby stosowania wirusów często okazywały się nieudane. W latach czterdziestych nie było jeszcze zaawansowanych aerozoli, a większość ówczesnych dotyczących ospy rozwiązań, proponowanych

przez alianckich naukowców, dziś wydawałaby się nam co najmniej dziwna. Jeden ze sposobów polegać miał na „przemieszczeniu” azjatyckiego szczepu ospy i posypywaniu nim listów wysyłanych na terytorium nieprzyjaciela. Kiedy wojna dobiegła końca, alianci w zasadzie zaprzestali podejmowania prób nad bojowym wykorzystaniem wirusów.

Przeciwności te nie zniechęciły Związku Radzieckiego. Przez cały okres zimnej wojny postrzegaliśmy wirusy jako najbardziej skuteczną spośród broni biologicznych, wchodzących w skład naszego arsenału. Zdolność zarażania olbrzymiej liczby ludzi za pomocą zaledwie drobnej ilości cząstek czyniła z nich idealną nowoczesną broń do operacji strategicznych. W miarę jak

opracowywaliśmy coraz doskonalsze aerozole, przekonaliśmy się, że ich skuteczność przewyższa dotychczas produkowaną broń biologiczną, zwłaszcza w wypadku chorób przenoszonych drogą kropelkową. Do zarażenia połowy zwierząt w naszym laboratorium, wystawionych na działanie aerozolu, wystarczało zaledwie pięć cząsteczek wirusa ospy. Aby taki sam odsetek ludzi zarazić wąglikiem, potrzeba by od dziesięciu do dwudziestu tysięcy sporów. W wypadku dżumy - około 1500 komórek. Różnica w ilości jest zbyt mała, aby można ją dostrzec gołym okiem, jednak w razie planowania zmasowanego ataku zaczyna być niezwykle istotna. Ponadto wirus ospy w zasadzie nie wymaga zagęszczania.

Podczas gdy my wykorzystywaliśmy kurze jaja do produkcji ospy, na Zachodzie laboratoria farmaceutyczne produkowały szczepionki w specjalnej aparaturze, hodowane na komórkach zwierzęcych lub ludzkich. Metoda ta wymagała specjalistycznej wiedzy. Tkanę należy bowiem utrzymać przy życiu poza żywym organizmem, w odpowiednim środowisku i przy ściśle określonej temperaturze. Niektóre komórki lepiej niż inne nadają się do hodowli wicusów, na przykład pobrane z nerek małp z Afryki Środkowej (makak zielony) albo z płuc ludzkich embrionów.

Odżywcze substancje niezbędne do rozwoju wirusów również są inne niż w przypadku bakterii. Do podtrzymania życia tkanki - a zatem i wirusów - niezbędna jest złożona mieszanina aminokwasów, witamin,

solu, serum w destylowanej i dejonizowanej wodzie.

Te nowe metody pozwalały na znacznie wydajniejszą produkcję niż nasze, a ponadto łatwiej było je ukryć.

Za osiągnięcia w Stepnogorsku zostałem awansowany do stopnia pułkownika. Stało się to na dwa lata przed terminem, jednak prawdziwą nagrodą - zwłaszcza dla mojej rodziny - był rozkaz wydany przez generała Kalinina we wrześniu 1987 roku, przenoszący mnie do Moskwy, gdzie objąłem stanowisko zastępcy szefa Zarządu Biobezpieczeństwa Biopreparatu. Kalinin dał mi do zrozumienia, że czeka mnie kolejny awans.

Przeniesienie było dla mnie zaskoczeniem. Choć na swym koncie miałem już pewne osiągnięcia, Kalinin zaczął odnosić

się do mnie z wyraźną wrogością. Podczas rozmów telefonicznych był szorstki, lekceważąco traktował moją pracę, a nawet zaproponował, gdy chciano mi przyznać medal za nową broń powstałą z laseczki węglika.

- Co roku przyznajemy Alibekowi nagrody
- poskarżył się koledze, który później zrelacjonował mi tę rozmowę. - Jest zbyt młody, żeby tak szybko awansować.

Na szczęście miałem wpływowych sojuszników. Wysoki funkcjonariusz w cywilnych strukturach Komisji Wojskowo-Przemysłowej (WPK) w XV Zarządzie postrzegał mój awans do kwatery głównej jako znakomitą okazję do przytarcia rogów Kalininowi.

- Kiedyś byłem taki jak wy - mówił mi
Aleksiej Arżakow, zastępca

przewodniczącego WPK, podczas „przeciągania liny” towarzyszącemu mojemu przeniesieniu. - Ja także w wieku trzydziestu trzech lat zostałem szefem zakładu produkcji broni chemicznych.

Jednak do Moskwy trafiłem właściwie dopiero dzięki pierestrojce Michaiła Gorbaczowa. Gorbaczow został pierwszym sekretarzem KPZR w marcu 1986 roku z mocnym postanowieniem przełamania skorumpowanych „biurokratycznych struktur lennych” epoki Breżniewa i stworzenia silniejszego, spójniejszego systemu zarządzania państwem. Był reformatorem, na którego czekało moje pokolenie. Niemal wszyscy pracownicy Biopreparatu przed czterdziestką postrzegali go jako naszą wielką nadzieję.

Sektor broni biologicznych był idealnym kandydatem do reformy. W połowie lat osiemdziesiątych składał się z bezładnej mieszanki agencji, laboratoriów i instytutów, bezustannie konkurujących ze sobą. Przedsiębiorstwa marniały pod kierownictwem sklerotycznych biurokratów. Dławienie postępu było powszechne także w innych dziedzinach.

Pierestrojka poczyniła korzystne zmiany w naszym programie. Biopreparat i Główny mikrobioprom, odpowiedzialny za produkcję leków i szczepionek, zostały podporządkowane nowemu „superministerstwu” Przemysłu Medycznego i Mikrobiologicznego. Jego szefem został Walerij Byków, długoletni aparatczyk i specjalista od broni chemicznych. Tekę wiceministra objął Jurij Kalinin.

Takie przywództwo jawiło się nam jako recepta na murowaną katastrofę. Byli to dwaj rywale, od lat zaciekle walczący ze sobą, którzy za rządów Breżniewa i Andropowa toczyli boje o przejęcie kontroli nad badaniami nad bronią biologiczną. Ich spory były zarówno osobiste, jak i instytucjonalne. Od swego powstania Biopreparat stanowił ośrodek walki pomiędzy armią a urzędnikami. Breżniew przekazał XV Zarządowi niemal całkowitą kontrolę nad budżetem Biopreparatu i programem badawczym, dotyczyło to także doboru personelu.

W czasach Gorbaczowa miodowy miesiąc armii nagle się skończył. Radzieccy dowódcy wojskowi niemal w każdej sferze działalności atakowani byli przez architektów pierestrojki. W Biopreparacie Kalinin musiał podzielić

się władzą z cywilami. Kiedy Byków postanowił wesprzeć moje przeniesienie do Moskwy, mogłem być pewny swej przyszłości.

Kalininowi udało się wykorzystać tę sytuację do własnych celów. Zmieniając front, wkrótce został mym najzagorzalszym orędownikiem, pragnąc sprawić wrażenie, że sprowadzenie mnie do Moskwy od samego początku było jego pomysłem. W głowie miał własną wizję pierestrojki.

Kalinin zamierzał wykorzystać mnie, aby wysadzić z siodła rywali - generała Lwa Kluczerowa, szefa rady naukowej, i generała Anatolija Worobjowa, dostojnego naukowca w podeszłym wieku, którego w następnym roku zastąpiłem na stanowisku wicedyrektora.

Popołudnie spędziłem na drugim piętrze w archiwach KGB przy ulicy Samo-katnej, czytając przeznaczone dla mnie instrukcje, zawarte w tajnym dokumencie wytyczającym cele radzieckiego programu broni biologicznych w planie pięcioletnim, kończącym się w roku 1990. Na liście chorób przeznaczonych do zastosowań wojskowych ospa była „pozycją szczególną”.

Plan pięcioletni, podpisany charakterystycznymi gryzmołami Michaiła Gorbaczowa, wytyczał najbardziej ambitne zadania związane z produkcją broni biologicznych, jakie kiedykolwiek otrzymała nasza instytucja. Zakładał między innymi wybudowanie w Maryjskiej Autonomicznej Republice w miejscowości Jozskar Oła fabryki broni biologicznej o wartości 300 milionów rubli

(wówczas było to około 400 milionów dolarów). Planowano także powstanie nowego wojskowego zakładu w Striży, w pobliżu Kirowa, do produkcji broni opartych na wirusach i bakteriach. Najważniejszym elementem był jednak projekt budowy 630-litrowego urządzenia do hodowli wirusa ospy w Rosyjskim Państwowym Ośrodku Badawczym Wirusologii i Biotechnologii, czyli tak zwanym Wektorze. Nasi przywódcy wojskowi postanowili skupić się na badaniach w dziedzinie broni biologicznych, stanowiących największe wyzwanie: na przekształcaniu wirusów w biologiczny środek bojowy.

Pięcioletni plan Gorbaczowa - oraz wysokie fundusze, które pod koniec dekady wynosiły równowartość niemal jednego mliarda

dolarów - pozwoliły nam dogonić i prześcignąć Zachód.

Kiedy przybyłem do Wektora w 1987 roku, projekt związany z ospą dopiero powstawał. Zakład założony przez Biopreparat na początku lat siedemdziesiątych, specjalizujący się w wirusologii, znajdował się w syberyjskim miasteczku Kolcowo. Laboratorium popadło w stagnację w czasach, kiedy skupiliśmy się na badaniach nad bronią bakteriologiczną[^] tymczasem dekret Gorbaczowa na nowo je wskrzesił.

Kiedy przybyłem na miejsce, właśnie powstawały tam liczne nowe budynki laboratoryjne i produkcyjne. Jeszcze więcej budowli można było ujrzeć na deskach kreślarskich. Powstała specjalna obudowa biobezpieczeństwa, wewnątrz której

prowadzono badania nad szczególnie niebezpiecznymi wirusami, takimi jak oспа, Marburg, gorączka Lassa i Machupo, a także komory, w których przeprowadzono próbne wybuchy, oraz zakład hodowli zwierząt.

Najdroższym skarbem Wektora było urządzenie, którego zakup umożliwił dekret Gorbaczowa. Zaprojektowany przez jeden z moskiewskich instytutów i złożony w specjalnym zakładzie podległym Biopreparatowi w zachodniej Rosji, był pierwszą i jedyną tego typu konstrukcją na świecie. Pojemnik, osłonięty grubym pancerzem z nierdzewnej stali, mierzył niemal dwa metry wysokości. Mieszadło na dnie obracało zawartością niczym ubraniami w pralce. Do pojemnika prowadziły liczne przewody, którymi odprowadzano odpady i gotowy produkt.

Okno we wklęsłym dachu pozwalało naukowcom na bezustanną obserwację zawartości.

Lew Sandakczow, dyrektor Wektora, gadatliwy armeński biochemik, pracował w Biopreparacie od jego powstania w 1973 roku. Był ekspertem od ortho-poxvirus, gatunku, do którego należy także ospa. Kiedy go spotkałem, miał poważne kłopoty.

Nowi naukowcy i laboranci przybywali do Wektora każdego miesiąca, w miarę jak program zaczynał nabierać kształtu. Sandakczow musiał zatroszczyć się dla nich o mieszkania i przygotować programy badawcze, jednocześnie nadzorując wznoszenie nowych budynków. Naukowiec dotychczas kierował niedużym, spokojnym laboratorium, w którym zatrudniano kilkaset osób.

Teraz przyszło mu nadzorować pracę ponad czterech tysięcy ludzi.

- Powiedzcie mi, czego potrzebujecie, a ja się o to wystaram - oświadczyłem na powitanie, pragnąc sprostać jednemu sprawdzianowi, jakiemu mogłem się poddać jako osoba na kierowniczym stanowisku.

Sandakczow spojrział na mnie wyniośle, jakbym był jednym z jego asystentów.

- Czasu - powiedział. - Możecie mi dać trochę czasu?

Być może wywarłem dobre wrażenie na przedstawicielach armii i moskiewskich biurokratach, najwyraźniej*fednak elita naukowa sceptycznie oceniała moje umiejętności i kwalifikacje. Krytycyzm ten dostrzegłem także w tej uwadze.

- Czasu niestety nie mogę wam dać - odparłem z uśmiechem. - To jedyny surowiec, którego nie możemy nadużywać.

W ciągu kilku miesięcy udało nam się ułożyć z Sandakczowem współpracę opartą na wzajemnym szacunku, zdołałem także rozwikłać kilka biurokratycznych bolączek, które uprzykrzały mu życie. Najwięcej problemów wiązało się z bezpieczeństwem. Jeśli nawet mikroskopijna ilość wirusa ospy wydostałaby się na zewnątrz kompleksu, wywołałaby przerażającą epidemię. Zatuszowanie takiej sprawy byłoby znacznie trudniejsze niż swierdłowskiego wypadku.

Sandakczow zdecydowanie występował w obronie swoich pracowników. Bezustannie powtarzał, że nie zamierza narażać swych robotników tylko po to, aby sprostać

terminom. Jednak prowadzenie dużego zakładu produkującego broń biologiczną zdecydowanie różniło się od kierowania niedużym laboratorium. Należało wprowadzić i egzekwować nowe przepisy, z dużym zakładem wiązano ponadto większe nadzieje. Aby nasz kraj - i program - nie został narażony na niebezpieczeństwo, Moskwa wprowadziła kwarantannę dla wszystkich pracowników Wektora, zajmujących się badaniami nad ospą. Zespół zakwaterowano w budynkach w pobliżu głównego kompleksu, dniem i nocą strzeżonego przez siły bezpieczeństwa. Pewnym kompromisem była okresowa zgoda na opuszczenie obiektu i odwiedzenie rodziny.

Wychodząc z założenia, że widok setek ludzi ze świeżymi śladami szczepień na

ramionach, i to w wiele lat po uznaniu, iż ospa nie stanowi zagrożenia, mógłby wydać się podejrzany, uznaliśmy, że pracownicy zastrzyk będą otrzymywać w pośladki. Założyliśmy, że ta część ciała nie będzie oglądana przez wścibskich przybyszów.

Pomimo doświadczenia w pracy laboratoryjnej Sandakczow niewiele wiedział o procesach technologicznych niezbędnych do masowej produkcji ospy. Potrzebowaliśmy kogoś, kto nie tylko był ekspertem od ospy, ale potrafiłby także wydajnie wykorzystać nasz sprzęt i linie produkcyjne. Przegląd danych osobowych pracowników Biopreparatu wykazał, że w kraju nie istnieje żaden naukowiec spełniający jednocześnie te dwa kryteria. A bez takiego wszechstronnego menedżera program z pewnością się załame.

Któregoś ranka, siedząc w Moskwie za biurkiem, odebrałem telefon od Sandak-czowa.

- Znalazłem właściwego człowieka - mówił podnieconym głosem. - Ale potrzebuję waszej pomocy, żeby go tutaj sprowadzić.

Z trwogą przypomniałem sobie kłopoty, jakie na siebie ściągnąłem w Step-nogorsku za odstępstwa od przepisów o zatrudnianiu pracowników.

- Zrobię, co tylko się da - powiedziałem ostrożnie. - Kto to jest?

- Nazywa się Jewgienij Łukin. Jest pułkownikiem w oddziale XV Zarządu w Zagorsku. W całym kraju nie ma drugiego człowieka, który wiedziałby więcej o produkcji ospy. Rozmawiałem już z nim, zgodził się na przeniesienie. Ale wy musicie wykonać papierkową robotę.

Nie pomyślałem o XV Zarządzie. Zawieść dowództwa wojskowego i nieufność Kalinina sprawiały, że wymiana personelu pomiędzy Zarządem a Biopreparatem była właściwie niemożliwa.

Zatelefonowałem do kilku znajomych. Sandakczow miał rację: Łukin był idealnym kandydatem na to stanowisko. W latach sześćdziesiątych jako młody naukowiec został w Zagorsku jednym z luminarzy pierwszego programu, którego celem było uczynienie z ospy broni biologicznej. Postanowiłem zaprosić go do Moskwy na rozmowę z Kalininem. -

Łukin miał około pięćdziesięciu lat, ale poruszał się wojskowym, sprężystym krokiem. Od razu przypadł mi do gustu.

Rozmowa z Kalininem była straszna. Bezustannie bombardował kandydata pytaniami, a Łukin sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał zapaść się pod ziemię.

- Jewgieniju - mówił przeciągle generał - nie przypominam sobie, żebyście się jękali. Czy to jakaś nowa ułomność?

W pewnej chwili uzmysłowiłem sobie, że Kalinin swą karierę rozpoczynał właśnie w Zagorsku. Obaj byli niemal w tym samym wieku, musieli się dobrze znać. Bez względu na stosunki, jakie ich wówczas łączyły, Kalinin nie zamierzał przepuścić okazji, aby zademonstrować różnicę w ich obecnym statusie.

Rozmowa dobiegła końca, przerażony pułkownik mógł wreszcie opuścić gabinet. Ruszyłem za nim, ale Kalinin gestem dał mi

do zrozumienia, żebym został. Najwyraźniej świetnie się bawił.

- To nie jest zły człowiek - powiedział. - Nie rozumiem, czemu był taki przestraszony.

- Wielu ludzi się was boi - odparłem.

Kalinin pochylił się nad biurkiem. Nie widziałem wyrazu jego twarzy, ale domyśliłem się, że ucieszyła go moja uwaga.

- W porządku - rzekł w końcu. - Podpiszcie rozkaz i mianujcie go zastępcą szefa Wektora.

Wszelkie wątpliwości, czy Kalinin zdoła przenieść Łukina, wkrótce się rozwiały: pułkownik w ciągu tygodnia miał wyruszyć na Syberię.

Od tamtej pory zacząłem zmieniać zdanie co do Kalinina. Zdominował moje życie od chwili, kiedy pojawiłem się w Biopreparacie.

Podobnie jak wielu kolegów nie lubiłem jego manipulacji i wykalkulowanej arogancji. Wszyscy jednak rozumieliśmy, że takie zachowanie ma na celu wywalczenie sobie miejsca w okrutnym systemie politycznym. Z bliska cechy jego charakteru przedstawiały się w jeszcze bardziej niekorzystnym świetle. Zdawałem sobie sprawę, że to jemu zawdzięczam swą obecną pozycję, chociaż zacząłem się zastanawiać - widząc, jak codziennie gnębi podwładnych, na przykład Łukina - czy któregoś dnia nie postąpi tak ze mną.

Przeniesienie Łukina było jedną z najtrafniejszych decyzji Biopreparatu. Łukin zdołał stworzyć linię przemysłową do produkcji ospy i w ciągu następnego roku z rosnącą satysfakcją przyglądałem się, jak Wektor pod kierownictwem Sandakczowa

rozkwita i przemienia się w ogromny kompleks badawczo-zbrojeniowy.

W grudniu 1990 roku w zamkniętej komorze Wektora przeprowadziliśmy eksperyment z nową bronią opartą na ospie w postaci aerozolu. Próby wypadły pomyślnie. Obliczyliśmy, że nowa linia produkcyjna w Budynku 15 w Kolcowie może wyprodukować od 80 do 100 ton ospy rocznie. Jednocześnie grupa młodych, ambitnych naukowców opracowywała w Wektorze genetycznie zmodyfikowane szczepy ospy; liczyliśmy, że wkrótce w procesie produkcyjnym wykorzystamy efekty ich prac.

Wektor

Kolcowo, Syberia 1988

Gruba warstwa lodu pokrywała szyby w oknach budynków administracji. Był środek syberyjskiej zimy, temperatura na zewnątrz spadła do 40 stopni poniżej zera. Naukowcy stłoczeni w ciasnym pomieszczeniu mieli na sobie grube swetry i kurtki. Narzekali na zimno i osobliwości radzieckiego systemu dostaw żywności.

- Nie przypominam sobie, kiedy po raz ostatni widziałem świeże pomidory albo pomarańcze - odezwał się jeden z nich.

- Będziemy musieli wykładać jedzenie zwierzętom z klatek - dodał inny, czemu towarzyszył wybuch śmiechu. x>

Uśmiechnąłem się dobrotliwie. Był luty 1988 roku, odbywałem jedną z częstych wizyt w instytucie. Wówczas znałem już naukowców wystarczająco dobrze, by polubić nawet ich czarny humor.

Mężczyzna, którego żarty wywoływały salwy śmiechu, był typowym przedstawicielem gatunku, jakim jest „syberyjski naukowiec”. Nikołaj Ustinow, towarzyski, dobrze zbudowany, o uśmiechniętej twarzy i ciętym dowcipie, przewodził grupie pracującej nad Marburgiem, wirusem gorączki krwotocznej, który zdobyliśmy w latach siedemdziesiątych. Choroba marburska miała zostać jedną z najpotężniejszych broni w

naszym biologicznym arsenale. Projekt był równie ważny jak badania nad ospą.

Ustinow uwielbia! swoją pracę. Od lat pracował w Wektorze i był jednym z najbardziej lubianych członków tej społeczności. Czas spędzany z kolegami po pracy cenił niemal równie wysoko jak pracę zawodową. Jego żona Jewgienia pracowała naukowo w innym gmachu instytutu, Ustinowie mieli dwoje dzieci. Kiedy go poznałem, Nikołaj miał czterdzieści cztery lata.

Zanim usiedliśmy, żeby podyskutować o poważnych sprawach, chciałem spytać Ustinowa, czy mogę coś zrobić dla poprawy zaopatrzenia. Niestety, w końcu o tym zapomniałem.

W dwa miesiące później, w połowie kwietnia, pracowałem w moskiewskim

biurze, kiedy nagle zadzwonił Lew Sandakczow, zwierzchnik Ustinowa z instytutu Wektor.

- Stało się coś strasznego - oznajmił.

- Wypadek?

- Tak. Chodzi o Ustinowa. Wstrzyknął sobie wirusy choroby marburskiej w kciuk. - W głosie Sandakczowa słychać było smutek i frustrację. - W sam kciuk - powtórzył. - Pracował w laboratorium nad świnkami morskimi...

- Zaczekajcie, - powiedziałem - znacie przecież przepisy. Nic więcej nie mówcie. Wyślijcie mi kryptogram.

Czułem się jak człowiek bez serca, nakazując Sandakczowowi milczenie, jednak informacje o Marburgu były tajne i nie

można było poruszać tego tematu, posługując się zwykłą linią telefoniczną.

Marburg był najniebezpieczniejszym wirusem, nad jakim pracowaliśmy w owym czasie. Niebezpieczeństwo brało się stąd, że tak niewiele o nim wiedzieliśmy, a także z powodu jego straszliwie niszczącego wpływu na ludzi.

Pierwsze wzmianki o epidemii pojawiły się w 1967 roku w zakładach farmaceutycznych Behringa w Marburgu, starym uniwersyteckim miasteczku, położonym około stu kilometrów na północ od Frankfurtu. Mężczyzna opiekujący się zwierzętami zmarł dwa tygodnie po zarażeniu się tajemniczą chorobą od małp, makaków zielonych, sprowadzonych z Afryki Środkowej. W laboratorium produkującym szczepionki wirusy

hodowano w komórkach pobranych z małpich nerek. Wkrótce rozchorowali się inni pracownicy, podobne przypadki odnotowano w laboratoriach we Frankfurcie i Belgradzie, które w tym samym czasie otrzymały transporty afrykańskich małp.

Dwudziestu czterech laborantów zmarło w wyniku zarażenia się nieznaną chorobą, spotkało to także sześć opiekujących się nimi pielęgniarek. Wybuch takiej epidemii sam w sobie był alarmujący, jednak sposób, w jaki chorzy umierali, wzbudził przerażenie wśród biologów i specjalistów od chorób tropikalnych.

Tajemniczy wirus przemieniał narządy wewnętrzne chorego w stan ciekły. Jeden z chorych oszalał, ponieważ wirus zaatakował mózg i pozbawił go szarych komórek. Zanim

ofiary zmarły, każdy centymetr kwadratowy ich ciał był przesączony krwią.

Zgodnie z tradycją wirus nazwano tak jak miasto, w którym po raz pierwszy został zidentyfikowany. Na zawsze odmienił wizerunek Marburga, od wieków znanego głównie jako ośrodek europejskiej filozofii, nauki i religii.

Najsłynniejsi na świecie bakteriologowie i biochemicy zjechali do Marburga - między innymi Albrecht Kossel, którego badania położyły podwaliny pod odkrycie DNA, oraz Alexandre Yersin, współodkrywca pałeczki dżumy (nazwanej *Yersinia pestis*). Laboratorium, w którym wirus po raz pierwszy trafił pod mikroskop, nazwano na cześć twórcy immunologii - Emila von Behringa.

Podobny wirus pojawił się dziewięć lat później nad brzegiem rzeki Ebola w Zairze, w dzisiejszej demokratycznej Republice Konga. Kiedy epidemia dobiegła końca, w Zairze i sąsiednim Sudanie zmarło 430 osób. Wirusowi odpowiedzialnemu za epidemię nadano nazwę Ebola. Zaatakował on ponownie w tym samym rejonie w 1995 roku.

Wirus pochodzący z Afryki różni się trochę swoim DNA od szczepu niemieckiego, ale jest z nim blisko spokrewniony. Pod mikroskopem elektronowym widać, że rozprzestrzeniają się, wystrzeliwując - jak rybak zarzucający sieć - niebywale cienkie „nici”, filamenty. „Nici” na końcu zakrzywiają się, niczym haczyk na wędce, kiedy wirus przystępuje do ataku na kolejną komórkę, „zwijając” ją w pierścień. Marburg i Ebola

należą do nowej rodziny nazwanej filowirusami.

Nadal niewiele wiemy, skąd biorą się filowirusy i w jaki sposób zarażają się nimi ludzie. W niektórych przypadkach przedostają się do krwiobiegu osób pogryzionych przez zarażone zwierzę bądź poprzez ukąszenie owada. Zarazić się nimi można również podczas stosunku płciowego, niektórzy naukowcy skłonni są nawet przypuszczać, że wirusy występują także u roślin. Zarówno Ebola, jak i Marburg przenoszą się na kolejne ofiary nawet bez bezpośredniego kontaktu. Kilku chorych w Niemczech i Afryce zaraziło się w wyniku przebywania w pomieszczeniu, w którym uprzednio znajdowali się zarażeni pacjenci. Śmiertelność w wypadku Eboli wynosi od 70 do 90 procent.

Naturalne miejsce bytowania filowirusów nie jest znane, choć niektórzy naukowcy sugerowali, że od stuleci obecne były one „na marginesie” różnych społeczeństw. Marburg i Ebola znalazły się w nowej kategorii „wirusów wschodzących” - zagrożenie z ich strony przyćmiewa znane choroby zakaźne.

Szczep Marburga dotarł do Związku Radzieckiego w dziesięć lat po jego wyizolowaniu, podczas wszechstronnych poszukiwań odpowiedniego materiału do badań. Trudno powiedzieć, czy uzyskaliśmy go ze Stanów Zjednoczonych, czy bezpośrednio z Niemiec, jednak natychmiast dołączył on do stale rozrastającego się zbioru patogenów przeznaczonych do zastosowań militarnych. W przeszłości badaliśmy już drobnoustroje, które osłabiają naczynia

krwionośne i wywołują gorączkę krwotoczną, takie jak Junin z Argentyny i Machupo z Boliwii. Marburg wkrótce ukazał drzemiący w nim potencjał bojowy.

Ustinow przeprowadzał doświadczenia na świnkach morskich i królikach z coraz wyższymi stężeniami Marburga. Wstrzyknięcie skoncentrowanej dawki bezpośrednio do kciuka oznaczało, że w jego organizmie krążyły teraz setki, być może tysiące cząstek wirusa, więcej niż u ofiar w Niemczech. Ocenilem, że szansę przeżycia były bliskie zeru.

Zatelefonowałem do departamentu biobezpieczeństwa i poleciłem, aby technik natychmiast udał się do ośrodka wirusologii przy Ministerstwie Obrony w Zagorsku, gdzie przechowywano antyserum Marburga.

Następnie wydałem polecenie, aby Ministerstwo Zdrowia wysłało na Syberię grupę lekarzy z antyserum.

Była to w zasadzie daremna próba. Lot do Kolcowa trwał cztery godziny, najbliższy samolot wylatywał z Moskwy dopiero późną nocą. Nawet jeśli lekarze wyruszyliby w drogę niezwłocznie, przybyliby dwa dni po infekcji - co dla Marburga stanowiło wieczność. Zagorsk posiadał tylko kilkaset mililitrów anty-serum.

Kiedy poszedłem do Kalinina, miał akurat ważne spotkanie. Tatiana jedynie spojrzała na mnie i pośpiesznie wprowadziła do gabinetu. Kalinin wyprosił gości, ja podałem skąpe szczegóły wypadku.

- Oczekuję kryptogramu z Wektora, wygląda jednak na to, że możemy spodziewać się zgonu - powiedziałem.

Kalinin zbladł.

- Nie uda się go uratować? - spytał.

- Nie mogę pozwolić sobie na przesadny optymizm.

- Będziemy musieli powiadomić górę - skrzywił się.

Nie winiłem go za to, że na równi troszczył się o reakcję naszych zwierzchników, jak o zdrowie Ustinowa. Obydwaj wiedzieliśmy, że poważny wypadek stanowi zagrożenie dla całego Biopreparatu. Wspomnienie swierdłowskiej katastrofy nadal było żywe w armii. Było to dwa lata po Czarnobyliu, Związek Radziecki nie mógł pozwolić sobie na kolejną tragedię.

Jednocześnie państwo było współwinne wypadku Ustinowa. Moje podróże do Wektora unaocznily mi, pod jak wielkim naciskiem pracują najlepsi naukowcy. Sandakczow zawsze narzekał na nieludzkie tempo prac narzucone jego podwładnym. Było to niebezpieczne i z naukowego punktu widzenia całkowicie nieuzasadnione. Żaden technik nie powinien pracować godzinami nad tak niebezpiecznym drobnoustrojem. Ludzie szybko męczyli się w ciężkich i niewygodnych kombinezonach wymaganych w trzeciej strefie. Refleks słabł, łatwo było o chwilę nieuwagi. Ponadto w Wektorze rozpoczęto badania nad Marburgiem, zanim na miejscu zgromadzono odpowiednią ilość antyserum.

Choroba Ustinowa trwała niemal trzy tygodnie. W tym czasie żadnemu z jego kolegów nie pozwolono na przerwę w pracy.

Kryptogram od Sandakczowa otrzymałem tego samego dnia po południu. Był długi, szczegółowy i złowróżbny.

Ustinow wraz z technikiem wstrzykiwali Marburg świnkom morskim w komorze rękawicowej. Ustinow nie miał na sobie „kosmicznego stroju”, a zamiast grubych rękawic, wymaganych przy tego rodzaju pracach, włożył tylko dwie pary cienkich, gumowych. Rękawice takie pozwalały lepiej zapanować nad zwierzętami, które zazwyczaj usiłowały wywinąć się z rąk.

Przepisy wymagają, aby zwierzęta, którym robi się zastrzyki, były mocno przywiązane do drewnianej płyty. Ustinow złamał

przepisy. Być może chciał uspokoić świnki, głaszcząc je, a może po prostu bardzo się spieszył.

Technik zamyślił się i niechcący go potrącił. Ręka Ustinowa obsunęła się akurat w chwili, kiedy wbijał igłę. Igła przebiła świnkę i ukłuła go w kciuk do krwi.

Wkłucie nie było głębsze niż pół centymetra, jednak kropelka krwi wskazywała, że wirusy przedostały się do krwiobiegu. Kiedy Ustinow zobaczył, co się stało, ze znajdujące go się w laboratorium telefonu natychmiast powiadomił dyżurnego.

Od tej chwili pilnie trzymano się procedur opracowanych na wypadek takiego zdarzenia. Lekarze i pielęgniarki w ochronnych ubraniach oczekiwali na niego przy wyjściu, gdy brał dezynfekujący prysznic. Ustinowa

zaprowadzono do niewielkiego szpitala na terenie Wektora, gdzie znajdowały się izolatki dla dwudziestu chorych, odseparowane od zewnętrznego świata grubymi murami i szczelnie zamykanymi drzwiami.

Lekarze, oczekując na dostarczenie antyserum z Moskwy, czynili wszystko, aby poprawić jego samopoczucie. Ustinow zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, bywały jednak chwile, kiedy liczył na to, że przeżyje. Myślał jasno, szczegółowo opisał przebieg wypadku i obliczył stężenie Marburga krążącego w jego żyłach. Żona niezwłocznie przybyła ze swego laboratorium, ale ani ona, ani dzieci nie zostali dopuszczeni na teren szpitala. Później pozwolono jej na kilka prywatnych wizyt, aż

widok cierpiącego męża stał się dla niej nie do zniesienia.

W ciągu następnych czternastu dni codziennie otrzymywałem kryptogramy pisane beznamiętnym, medycznym językiem. Lekarze opiekujący się Ustinowem i koledzy później, po jego śmierci, poinformowali mnie o szczegółach pominiętych w oficjalnych raportach.

Początkowo Ustinowa nie opuszczało poczucie humoru, żartował z pielęgniarkami i głośno roztaczał plany przyszłych eksperymentów. Po kilku dniach zaczął skarżyć się na silne bóle głowy i mdłości. Stopniowo stawał się coraz bardziej bierny, trudno było z nim nawiązać kontakt, a rysy jego twarzy zastęgały w bolesnym grymasie. Czwartego dnia białkówki stały się czerwone, a na całym

ciele wystąpiły drobne, krwawe plamki - naczynia włosowate znajdujące się tuż pod skórą zaczęły krwawić.

Ciałem Ustinowa wstrząsały drgawki*, podczas gdy wirus nadal rozmnażał się w jego organizmie. Zbyt wycieńczony, żeby mówić, obrócić się i jeść, chwilami tracił świadomość, tępo wpatrując się w przestrzeń. Niekiedy powracała przytomność umysłu. Prosił wówczas o papier, aby opisywać postępy choroby, w miarę jak wirus wyniszczał jego organizm. Czasami wybuchał płaczem.

Dziesiątego dnia gorączka spadła i torsje ustąpiły. Choć był wybitnym naukowcem, uległ złudzeniu, że stan jego zdrowia się poprawia. Znowu zaczął się uśmiechać i wypytywał o rodzinę.

Kryptogramy opisujące remisję choroby wzbudziły w naszym moskiewskim biurze nadzieję na to, co niemożliwe. Ja jednak w myślach porównywałem przebieg choroby Ustinowa z niemieckimi raportami z 1967 roku. Nic, co w nich wyczytałem, nie dawało powodów do optymizmu.

Raport o stanie zdrowia Ustinowa codziennie składałem Kalininowi, który przekazywał te informacje dostojnikom państwowym na Kremlu.

Piętnastego dnia sine plamki na ciele Ustinowa przybrały ciemnoniebieski odcień, a skóra stała się cienka jak pergamin. Krążąca w żyłach krew zaczęła przesączać się na zewnątrz. Wypływała z nosa, ust, genitaliów. Poprzez mechanizmy, o których nadal niewiele wiemy, wirus powstrzymuje

krzepnięcie krwi - zniszczeniu ulegają płytki krwi odpowiedzialne za krzepliwość. W miarę rozprzestrzeniania się wirusa organy wewnętrzne „roztapiają się”.

Krwotoki i biegunka pozostawiały na prześcieradłach rzekę czarnego płynu. Kartki papieru, na których notował objawy choroby, a z których pielęgniarki przepisywały każde słowo, nie zaśmiecały już podłogi. Nie było o czym pisać. Lekarze wszystko mogli ujrzeć na własne oczy.

W tkankach Ustinowa gnieździły się już miliardy wirusów, wysysając składniki odżywcze do dalszego rozmnażania. Wirion (cząstka wirusa) tak długo napiera na komórkę, dopóki jej ściany nie ustąpią. Wówczas pojawia się drżąca niczym włos „nić”, która poszukuje następnego celu, gdzie

proces wyszukiwania pożywienia i niszczenia znowu się powtarza.

Ustinow tracił przytomność na długie okresy. Donoszono, że kiedy czuwał, wpadał w niebywałą wściekłość. Niektórzy świadkowie mówili, że skarżył się na przeciążenie pracą. Inni twierdzili, że to nieprawda. Wirusy mogą wpłynąć na osobowość chorego, możliwe jednak także, że informacje o zachowaniu Ustinowa przejawiano celowo, aby Moskwa odczytała je jako formę protestu. Jak bowiem inaczej można przekazać skargi[^]-bez strachu, że pracowników spotka za to kara?

Lekarze z Ministerstwa Zdrowia przybyli na początku pierwszego tygodnia, przywożąc antyserum. Nikt nie zdziwił się zbyt, kiedy okazało się, że nie poprawiło to stanu

chorego. Próbowano także leków przeciwwirusowych, takich jak rybawiryna i interferon. Gorączki krwotoczne można niekiedy leczyć poprzez zastosowanie transfuzji całej krwi chorego, jednak zespół lekarzy uznał, że w tym wypadku metoda ta byłaby nieskuteczna.

30 kwietnia do Moskwy nadszedł długi kryptogram, opisujący bieżący stan Ustinowa. Czytając go, zauważyłem nasilenie objawów chorobowych. Wyprostowałem się na krześle, kiedy dotarłem do ostatniego zdania: „Pacjent zmarł. Proszę o zgodę na przeprowadzenie autopsji”.

Choć się tego spodziewałem, wiadomość była dla mnie szokiem. Wszedłem do gabinetu Kalinina, żeby donieść, że gehenna się skończyła.

- Proszą o zgodę na autopsję - dodałem.

Z twarzy Kalinina niczego nie można było wyczytać.

- Powiadomię wszystkich - powiedział i powrócił do czytanych akt. Nie spytał o wdowę po Ustinowie ani o jego towarzyszy z Wektora.

Nie wiem, jak najwyższe czynniki zareagowały na wieść o śmierci Ustinowa, ale wdowa po nim nie otrzymała listu z kondolencjami. Sandakczow zwrócił się do nas o dziesięć tysięcy rubli jako specjalną rekompensatę dla rodziny, oprócz przysługującej wdowie renty. W owych czasach była to duża suma; Kalinin początkowo się wzdragał, lecz ostatecznie zatwierdził jej przyznanie.

Nawet po śmierci Ustinow pozostał zakładnikiem wirusa, który go uśmiercił.

Ryzyko zarażenia uniemożliwiło zwyczajny pochówek. Ciało zdezynfekowano chloraminą i owinięto plastikową folią, umieszczono w metalowej trumnie, którą zespawano, i włożono do zwykłej, drewnianej. Dopiero wówczas można było Ustinowa pochować.

Pogrzeb był cichy i pospieszny. Sandakczow mówił nad grobem o osiągnięciach zmarłego. Na marmurowym nagrobku umieszczono datę urodzin i śmierci oraz wizerunek Ustinowa. Na niewielką grupę żałobników składała się najbliższa rodzina, najbliżsi współpracownicy i koledzy oraz kordon agentów KGB, którzy bez wytchnienia pracowali nad tym, żeby okoliczności i szczegóły związane z chorobą nie zostały ujawnione. Z Moskwy nikt nie przyjechał.

Przepisy zakazywały rozpowszechniania raportów o wypadkach, również śmiertelnych, jednak wieść o losie Ustinowa szybko rozeszła się po Systemie. Śledztwo przeprowadzone przez Ministerstwo Zdrowia i KGB wykazało, że odpowiedzialność za wypadek ponosi sama ofiara, która nie stosowała się do przepisów bezpieczeństwa.

Do zakładów Biopreparatu w całym kraju zaczęły napływać dziesiątki najróżniejszych administracyjnych zarządzeń i nowych przepisów. Kierownicy mieli poprawić biozabezpieczenia i w ciągu dziesięciu dni donieść o przeprowadzonych zmianach. Podobnie jak w przypadku Swierdłowska, także i teraz w wytycznych nie wspomniano o związku pomiędzy zaostrzeniem przepisów a wypadkiem Ustinowa. *

Ustinow nie był ostatnią ofiarą Marburga. Patolog z Ministerstwa Zdrowia - z zespołu, który przeprowadzał autopsję Ustinowa - zachorował, skaleczywszy się igłą, którą pobierał próbkę szpiku kostnego. Choroba patologa, w naszych archiwach figurującego jako „V”, przypominała męki Ustinowa, choć otrzymał znacznie mniejszą dawkę Marburga. Po sześciu tygodniach w szpitalu Wektora jego stan zdrowia zaczął się poprawiać. Kiedy znowu się pogorszył, przeniesiono go do Moskwy. Biopreparatu nigdy nie poinformowano o jego losie, nieoficjalnymi kanałami dowiedziałem się jednak, że wkrótce potem zmarł.

Wirus hodowany w warunkach laboratoryjnych staje się niekiedy bardziej groźny, jeśli przejdzie przez „żywy inkubator” -

organizm człowieka lub zwierzęcia. Toteż niewielu z nas wyraziło zdziwienie, kiedy okazało się, że próbki Marburga pobrane z organów wewnętrznych Ustinowa podczas autopsji wykazywały pewne różnice w stosunku do pierwotnego szczepu. Dalsze badania wykazały, że nowa odmiana jest jeszcze silniejsza i wykazuje większą stabilność.

Nad następnym krokiem nie było co debatować. Niezwłocznie otrzymaliśmy rozkaz zastąpienia starego szczepu nowym, nazwanym „Wariantem U”, co prześmiewcy Ustinowowi z pewnością przypadłoby do gustu.

Pod koniec 1989 roku w moskiewskim biurze odebrałem kryptogram od San-dakczowa z informacją, że opracowano broń

zawierającą Wariant U Marburga. Sandakczow prosił o zgodę na przeprowadzenie prób jej skuteczności.

Z powodu rozlicznych poślizgów budowa następnych budynków Wektora przeciągała się i obiekty, które zgodnie z dekretem Gorbaczowa powinny już istnieć, były dopiero stawiane. Dotyczyło to także komór, w których testowaliśmy nową broń. Istniały jedynie trzy placówki, gdzie można było przeprowadzić próby: w Omutninsku, Stepnogorsku oraz w specjalnym kompleksie bakteriologicznym w podmoskiewskim Oboleńsku. Oboleńsk należało wykluczyć, ponieważ położony był zbyt blisko stolicy, a w Omutninsku właśnie przystępowano do badań nad inną bronią. Pozostawał więc jedynie Stepnogorsk.

W stepnogorskim kompleksie nigdy jeszcze nie badano wirusowych broni bojowych. Pułkownik Giennadij Lepjoszkin, który zastąpił mnie na stanowisku dyrektora Stepnogorska, bezustannie mi to powtarzał, kiedy poleciłem mu przygotować urządzenia do prób z gorączką marburską.

- To zbyt niebezpieczne - mówił.

Człowiek, w przeszłości żartujący z Nikołaja Czernyszowa, który „zabił tych wszystkich ludzi” w Swierdłowsku, zmienił się w trzeźwo myślącego menedżera. Rozumiałem jego obawy, ale rozkaz to rozkaz.

- Nie kłóćcie się ze mną - powiedziałem. - Należy to wykonać i zrobicie to. „Bombki” wypełnione Marburgiem, w szczelnych metalowych pojemnikach, wyruszyły w daleką drogę z Syberii do Kazachstanu, eskortowane

przez naukowców i strażników pod bronią. Dotarcie do celu zajęło niemal dwadzieścia siedem godzin. Inna karawana z dwunastoma małpami przyjechała nieco później.

Dwukrotnie jeździłem do Stepnogorska, żeby nadzorować przygotowania. Do Moskwy przeprowadziłem się stąd przed dwoma laty, jednak tak wiele w tym czasie się zmieniło, że kompleks był nie do poznania.

Po sprawdzeniu działania broni w komorach testowych wypróbowaliśmy ją na małpach. Wszystkie zaraziły się wirusem, który uśmiercił je w ciągu trzech tygodni.

Na początku 1990 roku Wariant U Marburga został zatwierdzony przez Ministerstwo Obrony.

Nasi naukowcy przekonali się, że hodowanie Eboli było trudniejsze niż Marburga - nie potrafili osiągnąć odpowiedniej koncentracji - jednak pod koniec 1990 roku problem ten został ostatecznie rozwiązany i byliśmy bliscy opracowania nowej broni. Tymczasem w Zagorsku naukowcy wojskowi kończyli prace nad bronią wykorzystującą gorączkę Lassa oraz małpią odmianę ospy.

Tajemnice i kłamstwa

Instytut Ultraczystych Biopreparatów

Leningrad 1989

W któryś poniedziałkowy poranek pod koniec października 1989 roku do mojego gabinetu wpadła sekretarka. - Dzwoni Nikołaj Frołow - powiedziała. - Mówi, że musicie się z nim natychmiast spotkać.

Odsunąłem papiery leżące przede mną na biurku i pomyślałem, że chętnie położyłbym na nich głowę, aby się nieco zdrzemnąć. Od śmierci Ustinowa i rozpoczęcia badań nad skutecznością Wariantu U nie dawano nam ani chwili wytchnienia.

*

Następnego dnia w podmoskiewskim Protwinie rozpoczynał się nadzwyczajny zjazd kierowników i dyrektorów instytutów. Zaproszono ponad sto osób, w tym niemal cały zespół moich współpracowników. Opóźnione były właściwie wszystkie projekty. Miałem świadomość, że kierownikom nie przypadnie do gustu surowy wykład, jaki dla nich przygotowałem.

Do dyrektorów rozesłano szyfrogramy ze szczegółowymi informacjami o miejscu i dacie zjazdu. Przez cały ranek zasypywano mnie pytaniami. Przygotowałem się na kolejne narzekania. Frołow był zastępcą dyrektora leningradzkiego Instytutu Ultraczystych Biopreparatów, jednego z najważniejszych zakładów badawczych. Jego

zwierzchnikiem był Władimir Pasecznik, nasz czołowy naukowiec.

Podniosłem słuchawkę.

- Mamy problem - powiedział Frołow. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Jaki problem? - spytałem, starając się, żeby zabrzmiało to przyjaźnie.

- Pasecznik nie przyjechał.

- Nie przyjechał? Nie ma go w Protwinie? Nie martwcie się, nic nie szkodzi, jeśli trochę się spóźni.

- Nie, nie! - teraz Frołow niemal krzyczał do słuchawki. - On nie wrócił z Francji!

- Z Francji? A cóż on robi we Francji? - O mało nie wybuchnąłem śmiechem, myśląc, że to jakieś żarty.

- Wyście go tam wysłali. Wydaliście zgodę na jego wyjazd.

Nagle wszystko sobie przypomniałem. Pół roku temu, podczas jednego ze służbowych wyjazdów do Leningradu, Pasecznik zwierzył mi się, że pewna francuska firma produkująca sprzęt farmaceutyczny zaprosiła go do Francji, aby obejrzał tamtejsze zakłady. Pasecznik utrzymywał, że powinien skorzystać z zaproszenia, żeby przyjrzeć się nowoczesnym kadziom fermentacyjnym. Udzieliłem zgody na wyjazd.

- Czemu nie? - powiedziałem mu wówczas. - Poza tym zobaczycie sobie Paryż. Ciężko pracowaliście, należy się wam.

Kilka miesięcy później zatelefonował, przypominając o wyjeździe. Zdziwiłem się, myślałem, że już dawno wyjechał.

- Byłem zbyt zajęty - wyjaśnił. - Chciałem się tylko upewnić, czy nadal wyrażacie zgodę na wyjazd.

Teraz mieliśmy październik, a ja od dawna nie miałem od niego żadnych wieści. Sądziłem, że niezdecydowany Pasecznik wreszcie wybrał się do Paryża i że dawno już wrócił do Leningradu.

- Możecie opowiedzieć mi dokładnie, co się wydarzyło? - spytałem Frołowa, starając się zachować spokój.

Z potoku pospiesznie wypowiedzianych słów wyłoniła się cała historia. Chwilami w głosie Frołowa słyszałem zdziwienie, jakby sam nie był w stanie uwierzyć w to, co się stało.

Pasecznik poleciał do Francji w ubiegłym tygodniu, wraz z kolegą z lenin-gradzkiego

instytutu. Spotkania przebiegły pomyślnie, a sporadyczne rozmowy telefoniczne z krajem świadczyły o tym, że dobrze się bawili. Mój kryptogram z informacją o zjeździe dotarł tymczasem do Leningradu i Frołow przez telefon podał Pasecznikowi szczegóły.

- Mieszkali wówczas w ładnym, podmiejskim hotelu - opowiadał Frołow. - Bilety powrotne mieli zarezerwowane na sobotę. Jednak po otrzymaniu wiadomości od was Pasecznik polecił swemu asystentowi, aby przesunął rezerwację biletu na piątek. Twierdził, że do przygotowania się do zjazdu potrzebny mu będzie dodatkowy dzień.

Asystent zaś mógł pozostać o jeden dzień dłużej i zgodnie z pierwotnym planem zamierzał powrócić w sobotę. W piątkowy poranek asystent wszedł do pokoju Pasecznika i

zastał go w łóżku, ale ubranego. Wyglądało na to, że naukowiec nie spał całą noc. Na podłodze leżały niedopałki papierosów - a Pasecznik nigdy nie palił. Asystent był zdumiony. Powiedział: „Towarzyszu dyrektorze, musicie się przygotować, spóźnicie się na samolot”. Pasecznik wstał i wymamrotał „dziękuję”. Sprawiał wrażenie oszołomionego. Podeszedł do asystenta i powiedział „żegnaj”, zamiast zwyczajowego „do widzenia”. Następnego dnia, w sobotę, asystent zgodnie z planem wylądował w Moskwie. Na lotnisku zastał żonę Pasecznika. „Co tutaj robicie?” - zdziwił się. Kobieta odparła, że czeka na męża. Wybrali się ponownie na lotnisko, żeby oczekiwać na następny samolot z Paryża, w niedzielę, ale na jego pokładzie Pasecznika także nie było.

„I wtedy zdecydowałem, że muszę was za-
wiadomić” - zakończył swe opowiadanie.

W miarę jak słuchałem tej historii, czułem, że coraz bardziej ściska mnie w dołku. Istniały dwie możliwości: albo Pasecznik uległ wypadkowi, albo nie chciał wrócić.

Pomyślałem o, naszym ostatnim spotkaniu w Leningradzie. Spędziliśmy wspólnie długi, męczący dzień, dyskutując o różnych projektach. Pasecznik sprawiał wrażenie smutnego i nieco przygnębionego, kiedy odwoził mnie na dworzec, skąd nocnym pociągiem wracałem do Moskwy. Spytałem, czy ma jakieś kłopoty. Z postawieniem tak osobistego pytania wiązało się pewne ryzyko. Pasecznik, jeden z naszych najlepszych naukowców, był powściągliwy i o

dwanaście lat ode mnie starszy. Obawiałem się, że może się obrazić.

- Kanjatanie - odparł, patrząc na mnie ze smutkiem - czy mogę być z wami szczerzy?

- Oczywiście.

- Sprawa wygląda tak: mam pięćdziesiąt jeden lat, przechodzę trudny okres. Nie jestem pewien, czy osiągnąłem w życiu to, co zamierzałem. A wkrótce muszę przejść na emeryturę.

Mówił prawdę: osoby zatrudnione w sektorze zbrojeniowym obowiązkowo przechodziły na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Poklepałem go przyjaźnie po ramieniu.

- Nie ma się czym przejmować! - roześmiałem się. - Cztery lata to dużo czasu, a mogą to być przecież wasze najlepsze lata!

Uśmiechnął się krzywo, podaliśmy sobie ręce i wsiałem do pociągu.

Gdybym nie był tak zapracowany, sygnały świadczące o nadchodzącej katastrofie, takie jak ta rozmowa czy wahania związane z wyjazdem do Paryża, z pewnością zauważyłbym już wcześniej. Jednak w Biopreparacie nie zaprzataliśmy sobie głowy kłopotami personelu. Nie myśleliśmy także o lukach w bezpieczeństwie, stwarzanych przez kierowników najwyższego szczebla. A teraz stanąłem w obliczu kryzysu, który swoim zasięgiem obejmował nie tylko fatalny wpływ na morale pracowników, ale i kierunek rozwoju naszego całego programu badawczego.

Instytut Ultraczystych Biopreparatów od swego powstania w latach siedemdziesiątych stanowił zasadniczy element sieci naszych

instytutów naukowych. Pod kierownictwem Pasecznika był współtwórcą przełomowych wynalazków w dziedzinie produkcji broni. Jednym z najważniejszych osiągnięć było stworzenie „młyna”, który silnym strumieniem powietrza przemieniał mieszaniny bakterii i wirusów w drobny pył. Urządzenie wytwarzało silny ciąg, przypominający strumień gazów z silnika odrzutowego. O ile wiem, nigdzie na świecie nie zbudowano podobnej maszyny. Miała ona zastąpić stosowane dotychczas olbrzymie klasyczne młyny, od dziesięcioleci wykorzystywane przez Ministerstwo Obrony, i stać się standardowym wyposażeniem wszystkich zakładów produkcyjnych.

Prace prowadzono także nad nowymi technikami suszenia i mikroenkapsulacji -

pokrywania patogenów polimerami, które uodporniały je na działania promieni ultrafioletowych. Prowadzenie badań nad chorobami zakaźnymi było niedozwolone na terenie miasta, toteż instytut skupiał się na opracowywaniu nowych technologii i sprzętu.

Jednym z najważniejszych projektów Pasecznika była modyfikacja pocisków samosterujących dalekiego zasięgu, umożliwiająca przenoszenie broni biologicznych. Leningradzcy naukowcy mieli zbadać wydajność broni aerozolowej, umieszczonej na „obiekcie poruszającym się z dużą prędkością, na niedużej wysokości”, zawierającej jeden lub kilka dwudziestolitrowych zbiorników z płynną albo suchą postacią patogenu. W instytucie opracowano

ruchomą platformę, która uwalniała kolejny zbiornik, kiedy pocisk zbliżał się do następnego celu. Zbiorniki rozpryskiwały się w zderzeniu z powietrzem.

Pociski samosterujące dalekiego zasięgu zrewolucjonizowały działania wojenne. Wyposażone w elektroniczne układy sterujące, mogą latać bardzo nisko, unikając wychycenia przez radary; można je wystrzeliwać z powietrza, ziemi, morza, i to w znacznej odległości od celu. Wykorzystanie ich możliwości zdecydowanie poprawiłoby strategiczną skuteczność ataku biologicznego. Pociski takie wymagałyby mniejszych ilości czynnika biologicznego niż pociski międzykontynentalne, osiągając zbliżone cele. Ponadto łatwiej byłoby ich użyć do ataku przez zaskoczenie. Pociski

międzykontynentalne, wyposażone w szereg głowic, można wykryć za pomocą urządzeń elektronicznych już w kilka minut po starcie. Samoloty mogą zauważyć naziemni obserwatorzy, informując tym samym obronę cywilną i zespoły medyczne, że doszło do ataku, co pozwala na zbadanie czynników patogennych i podjęcie odpowiednich środków zaradczych. Tymczasem pocisk samosterujący trudno dostrzec i nieprzyjaciel nie zostaje ostrzeżony przed niebezpieczeństwem.

Prace te kontynuowano aż do opuszczenia przeze mnie Biopreparatu. Nie wiem, jakie były ich wyniki.

Jeśli kryzys wieku średniego skłonił Pasecznika do pozostania na Zachodzie, to Biopreparat utracił prawdziwego pioniera nauki - wraz z najpilniej strzeżonymi

tajemnicami, które teraz mógł poznać cały świat. W ciągu piętnastoletniej historii tej instytucji nie zdarzyło się, aby jakiś naukowiec lub technik próbował ucieczki.

Powiedziałem Frołowowi, żeby z nikim o tym nie rozmawiał, i wykręciłem numer Sawy Jermoszyna, naszego szefa KGB.

- Sawa - powiedziałem - mamy problem.

- Wy zawsze macie problemy - roześmiał się.

- Wydaje mi się, że Pasecznik uciekł.

W słuchawce zapadła cisza. A potem usłyszałem tylko jedno słowo:

- Kurwa. - Po dłuższej pauzie Jermoszyn dodał: - Trzeba od razu pójść z tym do Kalinina.

- Dlatego do ciebie dzwonię. Chcę, żebyś pomógł mi przekazać tę wiadomość. Kiedy

weszliśmy do jego gabinetu, Kalinin rozmawiał właśnie z Walerijem Bykowem, ministrem przemysłu medycznego.

Instytut Ultraczystych Biopreparatów 117

Nie wiem, który z nas pierwszy się odezwał, jednak zapamiętałem wymianę spojrzeń pomiędzy Kalininem a Bykowem. Wyglądali, jakby właśnie dowiedzieli się o śmierci członka najbliższej rodziny.

Szybko zrelacjonowałem im rozmowę z Frołowem.

- Kto udzielił zgody na wyjazd? - spytał Kalinin.

- Ja - powiedziałem. - Ale mówiłem wam o tym.

Bezpośrednio po prośbie Pasecznika poinformowałem Kalinina o zaproszeniu wystosowanym przez firmę francuską.

Miałem pełne prawo samodzielnie podjąć taką decyzję, jednak Kalinin polecił przekazywać sobie wszelkie informacje o sprawach kadrowych.

- Niczego takiego sobie nie przypominam
- odparł szybko Kalinin, zerkając na Bykowa.
- Nic mi nie powiedzieliście.

Przeszedł mnie dreszcz. Kalinin dawał mi do zrozumienia, że to tylko moja sprawa. Najwyraźniej sam czuł się nieswojo.

Byków wydawał się zadowolony, że jego rywal znalazł się w trudnym położeniu. Weteran kremlowskich intryg potrafił wykorzystać taką sytuację.

- Kto przygotował telegram wzywający Pasecznika do powrotu do Moskwy?

- spytał tonem oficjalnym, jakby rozpoczynał śledztwo.

- Ja - odparłem. - Ale telegram tej samej treści rozesłaliśmy do wszystkich dyrektorów.

- Kto go podpisał?

- Smirnow - odparłem, podając nazwisko jednego z asystentów Kalinina. Byłem zbyt zajęty i poleciłem mu rozesłanie zawiadomień.

To przemawiało na moją korzyść. Gdyby pod telegramem widniał mój podpis, stanowiłoby to potwierdzenie spiskowej teorii: Alibekow pozwala Pasecznikowi na wyjazd do Paryża, a potem wysyła telegram wzywający go do szybszego powrotu. Czyżby nie była to sprytnie zakamuflowana wiadomość, żeby nie wracał? Nie szkodzi, że taka wersja biegu wypadków przeczyła logice - radziecki

umysł w specyficzny sposób zbiera „dowody”.

Byków nie dawał za wygraną. Polecił mi jeszcze raz opowiedzieć całą historię. Potem nakazał, aby Jermoszyn przedstawił swoją wersję, która naturalnie była taka sama jak moja. Nie wspomniałem o depresji Pasecznikowa, ponieważ pogorszyłbym tylko swoje położenie. Musiałbym się jeszcze tłumaczyć, dlaczego nikogo nie poinformowałem o niekonsekwentnym postępowaniu dyrektora.

Wreszcie Byków usiadł.

- Michaił Siergiejewicz dowie się o tym - rzekł, mając na myśli Gorbaczowa.

- Nie mogę tej informacji ukryć przed Kremlem. Za kilka dni zapewne się dowie. Musicie być przygotowani.

- Na co? - spytałem.

- Ktoś musi być kozłem ofiarnym - spokojnie wyjaśnił Byków. - Jeśli Gor-baczow powie, że należy ukarać winnego, to ukarzymy was. Naturalnie, jeśli dobrze to przyjmie, radośnie dożyjecie końca waszych dni.

Odruchowo skinąłem głową. Nie miałem nic do powiedzenia.

Kiedy po kilku dniach wróciłem ze zjazdu w Protwinie, w moim gabinecie czekał Jermoszyn.

- Jakieś wieści o Paseczniku? - spytał szorstko.

- Nie, dlaczego?

Jermoszyn uważnie przyjrzał się swoim paznokciom.

- Chyba wiemy, gdzie jest.

- Jak go znaleźliście?

- Pomógł nam jasnowidz - wyjaśnił Jermoszyn. - Pokazaliśmy mu fotografię Pasecznika, a on wpatrywał się w nią długo, a potem powiedział, że człowiek ten przebywa na czymś w rodzaju wyspy, dużej, blisko oceanu.

- Wyspy? - powtórzyłem zdumiony.

- Właśnie tak - ciągnął Jermoszyn. - Zobaczył także duży stary budynek. Z Pasecznikiem pracuje dwóch albo trzech ludzi.

Zacząłem się uśmiechać. Nie sądziłem, aby KGB rutynowo wykorzystywał zjawiska nadprzyrodzone.

- Sawa, stroisz sobie żarty - powiedziałem. - Czy w takiej organizacji jak nasza naprawdę jest miejsce dla jasnowidzów?

- To poważna sprawa - rzekł zniecierpliwionym tonem. - W przeszłości człowiek ten bardzo nam pomógł.

Zmieniłem temat, bo kwestia była nader delikatna, jednak najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że jasnowidz się nie mylił: Pasecznik przebywał wówczas w Anglii.

W styczniu 1995 roku, długo po mojej ucieczce, otrzymałem od brytyjskiego rządu zaproszenie do udziału w dyskusji na temat obrony przed atakiem biologicznym. W czasie przerwy podeszło do mnie kilku brytyjskich oficerów i przez tłumacza wypytywali o Pasecznika, którego nie widziałem od 1989 roku. Rozmawialiśmy w tonie nieco żartobliwym, toteż opowiedziałem im o KGB i jasnowidzu. Nikt się nie roześmiał.

- Ależ tak właśnie było - rzekł jeden z oficerów. - Chcieliśmy, żeby był bezpieczny, toteż umieściliśmy go w pewnym starym domu na wybrzeżu.

Jasnowidz KGB albo miał niezwykle talenty, albo dobre kontakty. Później doszedłem do wniosku, że Jermoszyn otrzymał rozkaz, aby powiedzieć mi o „jasnowidzu”, żeby sprawdzić moją reakcję. Byków albo Kalinin zapewne chcieli zastawić na mnie pułapkę. Jeśli nie zdziwiłaby mnie informacja o wyspie, stanowiłoby to dowód winy. Byłem zły na Jermoszyna, że przystał na udział w takim podstępie.

Pod koniec tygodnia zatelefonował Kalinin, żeby poinformować mnie, iż jestem „bezpieczny”. Gorbaczow nakazał poczynić kroki niezbędne do zapobieżenia dalszym

szkodom, jednak wobec pracowników nie polecił wyciągnięcia konsekwencji.

W kilka tygodni później w gabinecie Ka-
linina zebrał się zespół do szacowania strat.
W jego skład wchodziło dwóch wysokich
oficerów KGB oraz wielu Instytut Ultraczys-
tych Biopreparatów 119 pracowników naszej
instytucji, łącznie z Jermoszynem i Władi-
mirem Dawidowem, wojskowym inżynier-
em odpowiedzialnym za „sprawy organiza-
cyjne” we wszystkich naszych placówkach.
Nie lubiłem Dawidowa - z podwładnymi
postępował okrutnie i nadgorliwie wypełniał
polecenia przełożonych.

Szybko doszliśmy do porozumienia.
Należało zniszczyć wszystko, co wiązało się z
tajnym programem badawczym Pasecznika.
Instytut Ultraczystych Biopreparatów stałby

się wówczas placówką cywilną, zgodnie ze swą nazwą, ale w naszym programie powstałaby tym samym poważna luka, nie było jednak innego wyjścia.

Rozmowa zeszła na samego Pasecznika i atmosfera stała się gorąca. Określano go mianem zdrajcy, renegata, mięczaka.

- Musimy coś z nim zrobić - oświadczył Dawidów. Spojrzeliśmy na niego wyczekująco.

- Jest tylko jedno wyjście: trzeba go zabić.

Wzięliśmy głęboki oddech, niektórzy wercili się na krzesłach. Nawet Jerמושyn poczuł się chyba nieswojo. KalininNyyglądał przez okno.

- Nie możemy tego zrobić - powiedziałem z niepokojem.

Byłem zły na Pasecznika za to, że postawił mnie w tak trudnym położeniu, jednak nie mogłem się pogodzić z myślą o zamachu na jego życie. Rozmowę przerwał jeden z pułkowników KGB.

- Niniejszym zamykam dyskusję na ten temat - powiedział. - Nikt tutaj nie będzie mówił o zabijaniu.

W pokoju zapadła złowroga cisza. Myślę, że wszyscy zrozumieliśmy znaczenie tych słów: jeśli trzeba będzie Pasecznika zabić, KGB nie potrzebuje rad od amatorów.

Nie wiem, czy podejmowano próby zamachu na Pasecznika, w każdym razie cieszy się on obecnie dobrym zdrowiem i mieszka na terenie Zjednoczonego Królestwa.

Ucieczka Pasiecznika pokrzyżowała nam plany związane z zakamuflowaniem naszego programu. Od zwierzchników wiedzieliśmy, że Amerykanie już w 1986 roku domagali się prawa wstępu do naszych laboratoriów, oskarżając ZSRR o łamanie postanowień Konwencji o zakazie broni biologicznych. Żądania te niepokoiły Moskwę. Trudno było odmówić prawa wglądu Amerykanom, choć postanowienia konwencji w zasadzie nie mówiły o inspekcjach. A jeśli w naszych laboratoriach pojawiłby się choć jeden wszechstronnie wykształcony zachodni naukowiec, oznaczało to koniec naszej tajemnicy. Tak przynajmniej nam się wydawało.

W 1988 roku, na rok przed rozpoczęciem w Kongresie USA przesłuchań w sprawie programu broni biologicznych, Gorbaczow

podpisał dekret przygotowany przez Komisję Wojskowo-Przemysłową, nakazujący budowanie „ruchomego sprzętu”, tak aby nasze linie produkcyjne można było ukryć przed inspektorami.

Kiedy w 1988 roku awansowałem na pierwszego zastępcę dyrektora, nadzorowałem przeprowadzanie odpowiednich przygotowań do inspekcji. Zadanie to wkrótce zepchnęło wszystkie inne obowiązki na dalszy plan. Obarczono mnie także rolą przedstawiciela naszej instytucji w nadzwyczajnej komisji międzyresortowej, która miała „doradzać” ministrowi spraw zagranicznych w kwestiach kontroli zbrojeń, głównie jednak zajmowała się odpieraniem zarzutów Amerykanów, dotyczących łamania postanowień o ograniczeniu zbrojeń. W komisji zasiadali

przedstawiciele wszystkich ministerstw związanych z programem broni biologicznych, łącznie z delegatami XV Zarządu Armii, Komisji Wojskowo-Przemysłowej, Ministerstwa Obrony oraz Akademii Nauk.

W 1989 roku Waszyngton i Moskwa zarzucały sobie tak wiele uchybień, że komisja spotykała się niemal co miesiąc.

Spotkaniom w gmachu przy Smoleńskiej, siedzibie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przewodniczył wiceminister spraw zagranicznych, Władimir Pietrowski. Ani on, ani żaden inny minister nie został poinformowany oficjalnymi kanałami o istnieniu naszego programu. Do kręgu wtajemniczonych nie należał nawet minister spraw zagranicznych, członek Biura Politycznego i prawa ręka Gorbaczowa, Eduard Szewardnadze.

Niezmiennie przedstawialiśmy się jako „specjaliści od bioobrony”, a wysocy urzędnicy państwowi mogli tylko domyślać się naszej rzeczywistej funkcji.

Nikita Smidowicz, bystry młody szef departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zastępował niekiedy Pietrowskiego w roli przewodniczącego. Podczas jednego z zebrań przedstawił szczegóły not dyplomatycznych wymienianych pomiędzy USA a ZSRR. *

- Amerykanie twierdzą, że w rejonie Kirowa, w Omutninsku, mieści się zakład produkujący broń biologiczną - powiedział Smidowicz.

Generał Walentin Jewstigniejew, dowódca XV Zarządu, był zaskoczony.

- To bzdury! - stwierdził. - Jedyne zakłady, jakie mamy w Kirowie, produkuje szczepionki.

Wszyscy spojrzeli w moją stronę.

- No cóż - powiedziałem. - W Omutainsku produkujemy także biopestycydy. Na wargach Smidowicza pojawił się uśmiezek.

- Nie jestem głupi. Mnie przecież możecie powiedzieć prawdę.

- Nie wiem, co macie na myśli - odparłem. - Przecież mówię prawdę. Smidowicz potrząsnął głową.

- Nie powinniście robić ze mnie durnia - powiedział.

Udaliśmy, że nie rozumiemy, o co mu chodzi. Najwyraźniej radzieccy dyplomaci nie mogli być poinformowani, że stanowią część wyszukanego planu maskowania naszej działalności.

Do koordynacji planów, mających na celu wprowadzenie nieprzyjaciela w błąd, w moskiewskim Instytucie Biochemii Stosowanej powołano specjalny zespół. Instytut nie miał nic wspólnego z biochemią - jego jedynym zadaniem było projektowanie i wytwarzanie sprzętu dla naszych laboratoriów.

Zespół otrzymał równowartość czterystu tysięcy dolarów, aby stworzyć pozory, że nasza działalność jest najzupełniej nieszkodliwa i ma zdecydowanie „cywilny” charakter. Sporządzono plany fikcyjnego kompleksu bioobrony, z rządowymi dekretemi zalecającymi najwyższy stopień bezpieczeństwa włącznie. Musieliśmy w jakiś wiarygodny sposób uzasadnić, dlaczego w radzieckich obiektach strefa trzecia ma powierzchnię dziesiątek tysięcy metrów kwadratowych,

podczas gdy na Zachodzie zakłady farmaceutyczne przeważnie w ogóle nie wymagają takich zabezpieczeń. W Stanach Zjednoczonych istnieją tylko dwa zakłady stosujące czwarty poziom biozabezpieczeń, co odpowiada radzieckiej trzeciej strefie.

Jeśli któryś z zagranicznych obserwatorów, zwiedzając jedno z naszych cywilnych laboratoriów produkujących szczepionki, stwierdziłby, że poziom zabezpieczeń zdecydowanie odstaje od tego, co widział na planach, mieliśmy odpowiedzieć, że laboratoria wybudowano kilkadziesiąt lat temu, a od tego czasu Związek Radziecki zwiększył wymagania bezpieczeństwa, aby lepiej chronić wszystkich pracowników. Któż takiego stwierdzenia nie przyjąłby za dobrą monetę?

Dla uwiarygodnienia tej fikcji stworzyliśmy specjalną jednostkę „nadzorującą” rzekomą budowę nadzwyczaj bezpiecznych obiektów; w tym celu mieliśmy przygotowane odpowiednie plany. Zatrudniliśmy także kilkudziesięciu cywili, którzy odgrywali rolę inżynierów.

Byliśmy równie sprytni i pomysłowi, jak Irak w dziesięć lat później, kiedy społeczność międzynarodowa wysunęła wobec niego podobne podejrzenia.

Rosja ma długą tradycję oszukiwania przybyszów, nie wspominając o własnych obywatelach. Historia wsi*po-tiomkinowskich - w których pewien służalczy książę polecił wybudować rząd wspaniałych osad, aby caryca Katarzyna nie dowiedziała się o ubóstwie, w jakim żyli jej poddani -

należy do rosyjskiego folkloru. Istnieje też legenda o tajemniczym, niewidzialnym, ukrytym przed obcymi mieście Kiteż.

Pomimo przygotowań niektórzy z nas wyrażali obawy, że zachodni inspektorzy przejrzą nasze oszustwo. Raport, jaki otrzymałem od pułkownika Wiktora Popowa, dyrektora Instytutu Biochemii Stosowanej, ostrzegał, że tylko najbardziej łatwowierni goście skłonni będą uwierzyć, iż olbrzymie kadzie i komory do testów w naszych zakładach służą do produkcji pestycydów. Odrzuciłem jego raport. „Nie otrzymaliście ogromnych pieniędzy po to, żeby tłumaczyć, czego nie da się zrobić” - powiedziałem. Dotknięty moją krytyką, powrócił do pracy. Prawdą jednak było, że najbardziej „podejrzany” sprzęt należało gdzieś ukryć.

W 1988, na rok przed ucieczką Pasiecznika, napisaliśmy podręcznik dla pracowników Biopreparatu, wyjaśniający, jak należy odpowiadać na pytania zagranicznych inspektorów. Nawet niewinne pytania, takie jak: „do czego służy to pomieszczenie?”, miały z góry przygotowane odpowiedzi, których wszyscy pracownicy nauczyli się na pamięć.

Najbardziej obawiałem się o projekt związany z ospą. Gdyby inspektorzy do syberyjskiego ośrodka Wektor przywieźli odpowiedni sprzęt, bez trudu odkryliby zarazki ospy. A prace nad ospą stanowiły naruszenie rezolucji Światowej Organizacji Zdrowia, która zezwalała na przechowywanie wirusów tylko w moskiewskim Instytucie Iwanowskiego. Rozważaliśmy przeniesienie ich z Moskwy na Syberię, żeby jakoś

uzasadnić obecność tam zarazków ospy, jednak Ministerstwo Zdrowia nie wyraziło na to zgody.

Tymczasem międzyresortowa komisja Ministerstwa Spraw Zagranicznych miała pełne ręce roboty, zasypywana lawiną pytań przez Amerykanów. Wszystkie odpowiedzi, według zaleceń „naszych specjalistów od bioobrony”, były precyzyjne, profesjonalne i jednoznaczne - a wszystkie od początku do końca były kłamstwem. Niektórzy nie wytrzymywali stresu.

Podczas spotkania na początku 1990 roku rozpromieniony Pietrowski oświadczył, że ma dla nas komunikat. Pomyślałem, że być może zagrożenie inspekcją Amerykanów zostało zażegnane.

- Następnemu spotkaniu - rzekł Pietrowski - będzie przewodniczyć nasz nowy wiceminister Wiktor Karpow.

Pietrowski miał obandażowany palec. Dłubał przy nim z zapalem małego dziecka. Jak na człowieka, który najwyraźniej właśnie utracił posadę, sprawiał wrażenie niezwykle szczęśliwego. Kiedy zdał sobie sprawę, że wpatrujemy się w niego ze zdumieniem, spojrzał na nas rozbawiony:

- Już nie biorę w tym udziału - powiedział. - Dzięki Bogu.

Pod koniec 1989 roku ambasadorzy USA i Wielkiej Brytanii wystosowali de-marche do Anatolija Czerniajewa, doradcy Michaiła Gorbaczowa do spraw polityki zagranicznej. Dokument stwierdzał, że obydwa rządy są w posiadaniu „nowych informacji”, z których

wynika, że Związek Radziecki złamał Konwencję o zakazie broni biologicznych z 1972 roku. Jedyne źródłem tych informacji mógł być Pasecznik.

Jack Matlock, ambasador Stanów Zjednoczonych, oraz Roderic Braithwaite, ambasador Wielkiej Brytanii, w odpowiedzi otrzymali mętne wyjaśnienia doradcy Gorbaczowa. S*

- Istnieją trzy możliwości związane z informacjami, jakie panowie podają - rzekł spokojnie Czerniajew. - Albo są one nieprawdziwe, albo Gorbaczow wiedział o tym, lecz nie podzielił się tą wiedzą ze mną, albo ani on, ani ja nic o tym nie wiemy.

Czerniajew obiecał „zająć się tą sprawą”.

Od tej chwili wypadki potoczyły się w szalonym tempie. Kalinin wezwał mnie do

siebie, aby poinformować, że Waszyngton i Londyn wystosowały oficjalny protest w związku z naszym programem. Nigdy dotąd nie był tak zdenerwowany.

- Od tej chwili będziemy mieli same kłopoty - powiedział Kalinin. - Sze-wardnadze jest wściekły. Kiedy dowiedział się o nocie, natychmiast poszedł do Gorbaczowa i zażądał informacji. Najwyraźniej nie lubi dowiadywać się od obcokrajowców, co dzieje się w jego rządzie.

Kalinin, podobnie jak wszyscy oficerowie, pogardzał ministrem spraw zagranicznych, który wówczas rozpoczynał negocjacje dotyczące wycofania naszych wojsk z Europy Wschodniej. Mogłem sobie wyobrazić gniew Szewardnadzego.

Pogorszenie stosunków z Zachodem zniewczyłoby wysiłki, jakie podejmowali wspólnie z Gorbaczowem, żeby poprawić wizerunek Związku Radzieckiego. Tamtej jesieni Gorbaczow był nawet w Watykanie i jako pierwszy komunistyczny przywódca spotkał się z papieżem. Niezbyt przychylnym wzrokiem spoglądał na pogrążające się w morzu problemów komunistyczne reżymy w Europie Wschodniej, przegrywające w starciu z rodzącą się demokracją.

Kalinin wiedział, podobnie jak ja, że Szevardnadze nie należał do wąskiego grona kremlowskich przywódców, któremu składano raporty o postępach naszego programu broni biologicznych. Dostęp do wszystkich tajemnic państwowych miały tylko cztery osoby: Gorbaczow, szef KGB Władimir

Kriucz-kow, minister obrony Dmitrij Jazów oraz Lew Zajkow (członek Biura Politycznego odpowiedzialny za przemysł zbrojeniowy). Wydaje się jednak mało prawdopodobne, żeby Szewardnadze, podobnie jak inni wysocy urzędnicy ministerialni, nie podejrzewał, jak wygląda prawda.

Na naszą korzyść przemawiał fakt, że Pasecznik o wielu sprawach nie wiedział. Osobiście nie brał udziału w produkcji broni, a dzięki naszemu systemowi wewnętrznych zabezpieczeń większość tego, co mógłby powiedzieć zachodnim wywiadam, opierała się na pogłoskach. Pomimo to przesłuchujący Pasecznika dowiedzieliby się o tym, co tak długo udało się utrzymać w tajemnicy: o rzeczywistej funkcji Biopreparatu.

Ucieczka Pasecznika wywołała wstrząs na najwyższych szczeblach rządu radzieckiego. Igor Biełorusow, wiceprzewodniczący Rady Ministrów i szef Komisji Wojskowo-Przemysłowej, został zobligowany do wystosowania odpowiedzi na amerykańsko-brytyjską notę. W lutym 1990 roku szkic noty przedstawiono najważniejszym ministrom do podpisu.

Niemal cały dokument powstał w Biopreparacie. Stwierdzał on, że choć Związek Radziecki w pełni stosuje się do wszystkich postanowień Konwencji o zakazie broni biologicznych, działania niektórych placówek badawczych rzeczywiście mogą wzbudzać podejrzenia. Pomimo to wszelkie prace nad bronią biologiczną prowadzone były wyłącznie dla obrony przed

potencjalnymi agresorami. Niejasna definicja „bioobrony”, zawarta w postanowieniach konwencji, zdecydowanie działała na naszą korzyść.

Przystaliśmy także na wynegocjowanie dogodnych terminów wzajemnych inspekcji zakładów, u nas i w USA. Nie byłyby to inspekcje oficjalne - w konwencji nie było mowy o takim rozwiązaniu. Jednak gotowość do dopuszczenia obcych do naszych obiektów ukazałaby światu naszą uczciwość i dobrą wolę. Nikt nie wierzył, że rząd USA poważnie potraktuje tę ostatnią propozycję. Zmusiłoby to Amerykanów do pokazania nam obiektów, w których sami pracowali nad bronią biologiczną.

Radzieccy przywódcy, czyli szef KGB Władimir Kriuczkow, szef Gosplanu Jurij

Masłukow, szef Komisji Wojskowo-Przemysłowej Igor Biełorusow, minister spraw zagranicznych Szewardnadze i minister obrony Dmitrij Jazów, mieli przeczytać i podpisać dokument przed ostatecznym przekazaniem go Gorbaczowowi. Następnie rządowi USA i Wielkiej Brytanii przekazano by oficjalną odpowiedź.

Uzyskanie podpisów powierzono Kalininowi. Otrzymał pozytywną opinię wszystkich z wyjątkiem Szewardnadzego. Z niewyjaśnionych powodów minister spraw zagranicznych się zaparł. Kalinin był bardzo zaniepokojony.

Któregoś dnia ujrzałem go w znacznie lepszym nastroju.

- Zdecydowali, że wystarczy podpis wiceministra Karpowa, jako że jest szefem

departamentu rozbrojenia - wyjaśnił. -
Możecie mu zanieść dokumenty.

Około południa wyruszyłem w drogę moskiewskimi ulicami na Smoleńską, przy której stał jeden z siedmiu wieżowców, zaprojektowanych przez stalinowskich architektów, przypominający tort weselny. Nie towarzyszył mi uzbrojony strażnik, jako że w mojej teczce nie było żadnych tajemnic państwowych - a jedynie stek kłamstw.

Karpow był pochłonięty czytaniem dokumentów. Podniósł wzrok i zrobił zdziwioną minę, choć wiedziałem, że mnie oczekuje.

- Co mi tutaj przynieśliście, Kanjatanie? - spytał. Wręczyłem mu oświadczenie i zacząłem, aż się z nim zapozna.

- Młody człowieku, widzę trudną przyszłość przed wami - powiedział, kiedy skończył czytać.

Byłem zaskoczony.

- Nie rozumiem - odparłem. - Spójrzcie, kto jeszcze podpisał ten dokument. Ja jestem tylko kurierem.

Karpow potrząsnął głową.

- Wiem, kim jesteście, i wiem, co robicie. Poza tym jestem pewien, że nic z tego, co zostało tutaj napisane, nie jest prawdą.

- Nie rozumiem, o czym mówicie - powiedziałem poważnie.

Karpow nie miał czarnego poczucia humoru Nikity Smidowicza i podniósł dłoń, żeby mnie uciszyć.

- Nie mówmy o tym - uciał krótko.

Podpisał dokument i podał mi go. Pospiesznie wróciłem na Samokatną.

W ciągu kilku dni ambasady amerykańska i brytyjska otrzymały oficjalną odpowiedź dyplomatyczną. Sporządzono ją na papierze listowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pod tekstem widniał podpis Eduarda Szewardnadze.

W Biopreparacie powiedzieli nam, że Amerykanie i Brytyjczycy zgodzili się na utrzymanie historii z Pasecznikiem w tajemnicy w zamian za „wszechstronną” odpowiedź na demarche. Nasza odpowiedź z pewnością nie była „wszechstronna”, jednak oni dotrzyмали obietnicy. Ucieczkę Pasecznika ujawniono dopiero po upadku Związku Radzieckiego.

Dlaczego nasi przeciwnicy pomogli nam w dochowaniu tajemnicy? Ujawnienie informacji przekazanych przez Pasiecznika wywołałoby więcej szkody niż dziesięć swierdłowskich wypadków. Kiedy zamieszkałem w Stanach Zjednoczonych, pewien wysoki urzędnik państwowy, w przeszłości pracujący w administracji prezydenta Busha, wyjaśnił mi, że amerykańscy i brytyjscy przywódcy obawiali się, iż ujawnienie tych faktów osłabi pozycję Gorbaczowa i postęp w innych dziedzinach kontroli zbrojeń. Poza tym byli przekonani, że dzięki niejawnym naciskom zmuszą nas do zaprzestania produkcji broni biologicznych.

Takt zachodnich dyplomatów w owym czasie mógł sprawiać wrażenie rozsądnego postępowania, jednak dzięki niemu

mogliśmy wziąć głębszy oddech. I jeszcze przez dwa lata prowadziliśmy badania nad nowymi rodzajami broni biologicznych.

Ognisko

Oboleńsk 1989

Wojna bakteryologiczna jest nauką postawioną na głowie... rażącym wypaczeniem.

Z oficjalnego dokumentu opublikowanego przez Związek Radziecki w 1951 roku

Na południowych peryferiach Moskwy na leśnej polanie stoi pilnie strzeżony budynek wchodzący w skład podległego Biopreparatowi kompleksu badawczego w Oboleńsku; opuszczona wioska została zamknięta dla postronnych. Znajdowało się tam również nasze „muzeum”, zbiór kultur bakteryjnych. Setki szczepów bakterii, przechowywanych w

małych szklanych fiolkach, stanowiły podstawowy surowiec dla przełomowych eksperymentów w inżynierii genetycznej, dzięki którym w późnych latach osiemdziesiątych moglibyśmy wyprodukować broń biologiczną opartą na zmienionych genetycznie bakteriach.

Nad pozostałymi budowlami Oboleńska góruje budynek numer jeden, gigantyczny szklany obiekt, zawierający liczne biozabezpieczenia, w którym mieszczą się laboratoria strefy drugiej i trzeciej. Pięć z ośmiu kondygnacji podzielono według patogenów. Na pierwszjym piętrze pracowano nad dżumą, na trzecim nad tularemią. Wyższe kondygnacje przeznaczone były na badania wąglika, nosacizny i melioidozy. Na

pozostałych opracowywano nowe techniki produkcji na skalę przemysłową.

W listopadzie 1989 roku, miesiąc po ucieczce Pasecznika, wraz z ponad pięćdziesięcioma naukowcami zajmującymi wyższe stanowiska oraz dowódcami wojskowymi przybyłem do dużej, pozbawionej okien sali w budynku numer jeden, na doroczne podsumowanie osiągnięć. Do sali nie wolno było wnosić teczek ani toreb. Można było robić notatki, po każdym zebraniu zbierali je jednak ochroniarze. Aby je później przejrzeć, należało wystarać się o specjalne zezwolenie.

Przedostatnim mówcą był młody naukowiec z Oboleńska, wygłaszający podsumowanie prac nad projektem „Ognisko”. Początkowo niewiele osób go słuchało. Praca

nad „Ogniskiem” wlokła się przez piętnaście lat, większość z nas straciła nadzieję, że kiedykolwiek pojawią się jakieś pozytywne wyniki. Projekt był bardzo ambitny; nadzorował go wybitny biolog molekularny Igor Domaradzki, człowiek o dość trudnym usposobieniu, który ostatecznie potępił program broni biologicznych Związku Radzieckiego. Celem prac było utworzenie nowej broni opartej na toksynach.

Naukowcy od dziesięcioleci usiłowali wykorzystywać trucizny z jadu węży i pajaków, a także trujące substancje wydzielane przez rośliny, grzyby i bakterie. W większości krajów prowadzących badania nad bronią biologiczną zarzucono projekty związane z toksynami żywych organizmów, dotyczyło to także Związku Radzieckiego. Sądzone

powszechnie, że produkcja trucizn w ilościach niezbędnych do zastosowań bojowych jest zbyt trudnym zadaniem. Na początku lat siedemdziesiątych rząd radziecki dał się jednak przekonać do wznowienia badań po nadzwyczajnym odkryciu dokonanym przez grupę biologów molekularnych i immunologów z Akademii Nauk.

Naukowcy badali peptydy, łańcuchy aminokwasów, które w naszych organizmach odpowiadają za różne funkcje, począwszy od regulacji hormonalnej poprzez ułatwienie trawienia aż po kierowanie układem odpornościowym. Istotną grupę stanowią peptydy regulatorowe, uaktywniające się w stresie lub w chwilach gwałtownych emocji, takich jak gniew, miłość, strach lub

zagrożenie chorobą. Niektóre z nich wpływają na ośrodkowy układ nerwowy. Ich nadmiar wywołuje zmiany nastrojów, a nawet zaburzenia psychiczne. Inne peptydy przyczynić się mogą do gwałtownych reakcji organizmu, prowadzących do ataku serca, udaru mózgu czy paraliżu. Podczas nowatorskich eksperymentów naukowcom udało się w laboratorium zduplikować geny kilku peptydów o toksycznych własnościach. Nadmiar jednego z nich uszkadza osłonkę mielinową, chroniącą tysiące włókien nerwowych, które przekazują impulsy elektryczne z mózgu i rdzenia kręgowego do wszystkich części ciała. Naukowcy na Zachodzie nie mieli pojęcia, że peptyd ten nazwalibyśmy toksyną mielinową.

Podobnie jak w przypadku innych peptydów, trudno było uzyskać odpowiednią ich ilość do eksperymentów. Inżynieria genetyczna rozwiązała ten problem: naukowcy nauczyli się syntetyzować geny odpowiedzialne za produkcję toksyny mielinowej. Trzeba było teraz znaleźć bakterie, które włączyłyby te geny do swojego DNA i wraz z podziałem i rozmnażaniem się komórek bakteryjnych produkowały toksynę obok białek właściwych dla danej bakterii. Projekt otwierał nowe możliwości, jednak piętno czasów Stalina i Łysenki zmniejszało prawdopodobieństwo rządowego poparcia dla takich badań.

Biologowie zwrócili się o pomoc do Jurija Owczynnikowa, rozpoczynającego właśnie polityczną krucjatę, która doprowadziła do

powstania Biopreparatu. Owczynnikiem natychmiast dostrzegł ogromny potencjał drzemiący w badaniach nad peptydami oraz możliwe zastosowania wojskowe. Wraz z kolegami zwrócił się z apelem do Komitetu Centralnego KPZR o wznowienie programu badawczego nad bronią zawierającą toksyny.

W dokumencie naukowcy stwierdzali, że rozwój inżynierii genetycznej na Zachodzie umożliwił klonowanie genów równie skutecznie jak bakterii. Aparatczycy naturalnie nie rozumieli naukowego słownictwa, z pewnością jednak nazwiska autorów apelu wywarły na nich wrażenie. Jednym z głównych jego autorów był Rem Petrow, czołowy badacz w zakresie immunologii, specjalista od peptydów regulatorowych, piastujący stanowisko wiceprzewodniczącego Akademii

Nauk. Argumentacji naukowców nie można było nic zarzucić - broń oparta na substancjach wytwarzanych przez ludzki organizm nie została zakazana przez konwencję. Na projekt „Ognisko” pospiesznie przydzielono odpowiednie fundusze. Geny toksyny mielinowej przewieziono do Oboleńska i rozpoczęto badania. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, Związek Radziecki wkrótce dysponowałby nową bronią, a rosyjscy naukowcy wreszcie mogliby otwarcie uczestniczyć w rewolucji biotechnologicznej, która ogarniała cały świat.

Inżynieria genetyczna powstała częściowo w odpowiedzi na problemy współczesnej medycyny. W niecałe dwadzieścia lat po odkryciu silnych antybiotyków alarmująca ilość bakterii zaczęła wykazywać wobec nich

odporność. Przykładem wysokiego poziomu „inżynierii genetycznej przyrody” jest pojawienie się niezliczonej ilości drobnoustrojów, które spontanicznie zmodyfikowały się po zastosowaniu wobec nich „cudownych leków” z lat trzydziestych i czterdziestych.

Antybiotyki nie zawsze zabijają bakterie; niekiedy po prostu uniemożliwiają dalsze ich rozmnażanie się, dając tym samym szansę naturalnym mechanizmom obronnym organizmu na zwalczenie choroby. Jedną z głównych różnic pomiędzy komórkami ludzkimi a komórkami bakterii jest obecność sztywnej ścianki, która chroni bakterię przed nieprzyjaznym środowiskiem. Większość substancji o działaniu antybakteryjnym atakuje tę membranę. Na przykład bacytracyna uniemożliwia ruch białek z cytoplazmy do

ścianek komórki, zatrzymując proces regeneracji. Penicylina i cefalosporyny nie dopuszczają do uformowania się błony komórkowej i niszczą bakterie, wywołując osmozę. Aminoglikozydy, takie jak streptomycyna i gentamycyna, zabijają bakterie, wiążąc się z ich rybosoma-mi i blokując syntezę białka. Na podobnej zasadzie działają erytromycyna i te-tracyklina.

Niektóre antybiotyki zaburzają procesy syntezy substancji odżywczych lub niezbędnych do rozmnażania się bakterii. W latach trzydziestych naukowcy odkryli, że dodanie do kultur bakterii pewnych barwników zawierających siarkę zdecydowanie zmniejsza tempo ich rozmnażania. Po 1935 roku sulfonamidy w zasadzie wyeliminowały w Wielkiej Brytanii zgony w następstwie

zapalenia płuc. Później naukowcy odkryli inne sposoby hamowania rozwoju bakterii, za pomocą grzybów i pleśni hodowanych w laboratorium. Jedną z najskuteczniejszych pleśni okazała się penicylina.

W latach czterdziestych lekarze mieli do dyspozycji dziesiątki leków anty-bakteryjnych, pozwalających na leczenie wielu chorób, od dyfterytu poprzez dżumę, tyfus aż po gruźlicę. Jednak z biegiem lat skuteczność leków zaczęła słabnąć, w miarę jak pojawiały się nowe szczepy bakterii, odporne na działanie antybiotyków.

W 1946 roku amerykańscy biologowie Joshua Lederberg i Edward Tatum odkryli przyczynę wzrastającej odporności, tym samym tworząc podwaliny współczesnej inżynierii genetycznej. Drobnoustroje

najwyraźniej „uczyły się” odporności na nowe zagrożenia, nawzajem „pożyczając” od siebie geny (rekombinacja genetyczna). Kiedy naukowcy zmieszali szczepy dwóch drobnoustrojów, przekonali się, że doszło do spontanicznej wymiany materiału genetycznego. Tatum, Lederberg i George Beadle w 1958 roku otrzymali Nagrodę Nobla za wykazanie, że reakcjami biochemicznymi mikrobów rządzą geny.

Wkrótce opracowano techniki umożliwiające manipulowanie tą wymianą. Odmieniło to nie tylko medycynę, ale także farmakologię, rolnictwo i wiele innych dziedzin. Na przykład insulinę, hormon stosowany przy leczeniu cukrzycy, przez ludzki organizm wytwarzany w niewielkich ilościach, można otrzymywać także w laboratorium. Od

tamtej pory chorzy na cukrzycę mają pod dostatkiem insuliny. Podobnych manipulacji dokonywać można na genach kukurydzy, ryżu i innych zbóż, co zwiększyło odporność tych roślin na choroby.

Wieści o tych dokonaniach wzbudziły podniecenie i zazdrość w Związku Radzieckim. Dlaczego nasi naukowcy nie mieliby szczyć się podobnymi osiągnięciami? Decyzja Breżniewa z 1973 roku[^] zezwalająca na badania genetyczne pod przykrywką Biopreparatu, dla wielu naukowców stanowiła nieoczekiwany uśmiech losu, dotychczas bowiem rewolucji genetycznej przyglądali się biernie, stojąc z boku. Potrzeba znalezienia się „w pierwszej linii” badań była tak silna, że naukowcy przystępujący do programu w

zasadzie przeoczyli jego związek z sektorem zbrojeniowym.

Zimą 1972 roku Igor Domaradzki, genetyk i biolog molekularny, odpoczywał właśnie w pewnym moskiewskim* hotelu, kiedy otrzymał pilną wiadomość z Ministerstwa Zdrowia. Poinformowano go, że za chwilę samochód zawiezie go na ważne spotkanie. W ciągu niespełna godziny Domaradzki znalazł się na Kremlu i rozmawiał z jednym z szefów Komisji Wojskowo-Przemysłowej.

Domaradzkiemu zaproponowano pracę w tajemniczej nowej organizacji, która - jak mu wyjaśniono - miała zajmować się badaniem odpornych na antybiotyki szczepów dżumy i tularemii. Już jako młody naukowiec Domaradzki odniósł sukcesy w badaniach nad

dżumą. W latach pięćdziesiątych sprawował obowiązki dyrektora instytutów na Syberii i w południowej Rosji; opracowywano tam nowe szczepionki przeciwko dżumie, cholercze i dyfterytowi. Domaradzki nie miał złudzeń co do rzeczywistej roli, jaką miał odegrać, liczył jednak, że pod płaszczykiem programu zbrojeniowego będzie mógł prowadzić interesujące go badania.

„Nasza praca miała na celu rozwiązanie zagadnień czysto naukowych - pisał Domaradzki we wspomnieniach wydanych własnym sumptem w 1995 roku w Moskwie. - Wątpliwości natury moralnej zrodziły się dopiero później”.

Domaradzki został zastępcą dyrektora w doradczej komisji naukowej i reprezentował Biopreparat w Międzyresortowej Radzie

Naukowo-Technicznej. Pocieszał się początkowo, że genetycy i biochemicy, którzy pragnęli pozostać w światowej czołówce, nie mieli innego wyjścia. „Niewielu z nas, którzy oparli się pokusie, osiągnęło w życiu coś istotnego - pisał w swych wspomnieniach - i w ogóle miało szansę, aby pracować w swoim zawodzie”.

Międzyresortowa Rada Naukowo-Techniczna koordynowała przepływ informacji pomiędzy różnymi rządowymi agendami a państwowymi organizacjami naukowymi związanymi z radzieckim programem broni biologicznych, czyli ministerstwami: Zdrowia, Rolnictwa i Obrony, Przemysłu Chemicznego, XV Zarządem i Akademią Nauk. Posiedzenia rady odbywały się co dwa, trzy miesiące; dyskutowano o głównych

kierunkach badań nad nowymi rodzajami broni. Najważniejsze były kontakty z Akademią Nauk. Badania nad bronią biologiczną prowadziły cztery podległe jej instytuty. Choć same nie produkowały broni, dzieliły się z Biopreparatem wynikami badań podstawowych, związanych z patogenami i inżynierią genetyczną.

W międzyresortowym zespole zasiadało wielu wybitnych akademików: Rem Petrow, ekspert od peptydów regulatorowych; Skriabin, ekspert w dziedzinie fizjologii mikroorganizmów i dyrektor instytutu naukowego; Mirzabekow, młody naukowiec, który mógł się pochwalić osiągnięciami w dziedzinie biologii molekularnej, oraz profesor Boronin, który zastąpił Skriabina na stanowisku szefa podmoskiewskiego

Instytutu Biochemii i Fizjologii
Mikroorganizmów.

Kiedy spotkałem Domaradzkiego w dziesięć lat później, był człowiekiem zgorzkniałym. Wybitny teoretyk, o dość wybuchowym usposobieniu, nieco utykający w następstwie choroby Heinego-Medina, którą przeszedł w młodości, z pogardą myślał o wojskowych zwierzchnikach. Nad programem pracował od tak dawna, że pamiętał pierwsze kroki ludzi takich jak Kalinin czy Kluczerow (ten ostatni przez pewien czas był jego zastępcą). Był przekonany, że bezustannie spiskują, aby uniemożliwić mu prowadzenie prac badawczych.

Tylko nieliczni dorównywali Domaradzkiemu intelektualnie. To on oceniał moją pracę doktorską i jako jedyny członek

komisji skrytykował moje badania. Pomimo to wielu z nas zamiast niechęci żywiło dla niego współczucie. Stanowił uosobienie przegranej bitwy o godność, o którą walczyli nasi najwybitniejsi naukowcy, wtłoczeni w tryby maszyny wytwarzającej broń biologiczną.

Wkrótce po przystąpieniu do zespołu doradczego Biopreparatu Domaradzki został wciągnięty w plany budowy instytutu genetyki w Oboleńsku. W 1973 roku jako zastępca dyrektora Oboleńska dołączył do niewielkiej grupy badaczy w nowo wybudowanym kompleksie. ^

W instytucie panowała atmosfera improwizacji. Załączek kompleksu, kilkanaście budynków z czerwonej i białej cegły otoczonych wiejskimi drogami, z miesiąca na

miesiąc rozrastał się, w miarę jak do Oboleńska docierał sprzęt laboratoryjny z różnych rosyjskich instytutów. Tereny otaczające obiekt były tak bezludne, że kiedy zimą naukowcy brnęli w śniegu od jednego laboratorium do drugiego, nierzadko zdarzało im się spotkać zbląkanego łosia. Aura tajemniczości towarzysząca badaniom przydawała im niejakiemu uroku. Naukowcy uważali się za prawdziwych pionierów.

Okolicznych sąsiadów obiektu poinformowano, że Instytut Mikrobiologii Stosowanej prowadzi badania nad chorobami zakaźnymi. Wysokie ogrodzenie i potężne bramy strzeżone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych gwarantowały, że nie trafił tam nieproszony gość.

Podobnie jak inne instytuty, także i ten oznaczony był jedynie kodem pocztowym; wszyscy jednak wiedzieli, że V-8724 oznacza Oboleńsk.

Domaradzki skompletował zespół naukowców z innych ośrodków, którzy mieli mu pomóc w dopracowaniu technik „Ogniska” i „Metolu”, czyli w badaniach nad genetycznymi modyfikacjami bakterii, tak aby powstały szczepy odporne na działanie antybiotyków. W swych pamiętnikach nie wspomniał ani o „Ognisku”, ani o „Metolu”, być może obawiając się reperkusji - obydwie projekty nadal są tajemnicą państwową - jednak Oboleńsk wkrótce rozpoczął badania genetyczne nad chorobami, nad którymi Domaradzki pracował przez całe życie. Najważniejszą z nich była dżuma.

Ze zmutowaniem bakterii chorobotwórczych wiążą się dwa wyzwania. Po pierwsze, należy znaleźć właściwy mechanizm przeniesienia genów do DNA innego mikroorganizmu. Po drugie, nie może nastąpić to kosztem wirulencji bakterii.

Aby uporać się z pierwszym wyzwaniem, Domaradzki prowadził badania nad plazmidami. Plazmidy to kawałki DNA w komórkach, zdolne do replikacji (czyli powielania się) niezależnie od głównego materiału genetycznego bakterii (chromosomu), jak również mogące przekazywać swoją informację genetyczną innej komórce i nadawać jej nowe cechy. Niektóre plazmidy zawierają geny określające wirulencję czy odporność na antybiotyki komórek bakteryjnych. Plazmidy są wygodnym narzędziem w inżynierii

genetycznej, gdyż stosunkowo łatwo można je wprowadzić do innych komórek w celu namnożenia i produkcji peptydu zakodowanego w DNA plazmidu.

Naukowcy z zespołu Domaradzkiego znaleźli plazmid, którego geny były odpowiedzialne za odporność na tetracyklinę, jeden z najskuteczniejszych antybiotyków. Plazmid zawarty był w szczepie *Bacillus thuringiensis*, bakterii wykorzystywanej do produkcji biopestycydów.

Na płytce Petriego zmieszali niewielką ilość *Bacillus thuringiensis* z węglikiem, szczepy hodowali razem, a następnie umieścili w probówce z tetracykliną, aby przekonać się, czy bakterie węglika przetrwają. Proces ten należało powtarzać w nieskończoność. Oczekiwanie na uzyskanie szczepu o

odpowiedniej odporności może trwać miesiącami, nawet latami. Antybiotyk zabijał większość laseczek wąglika, jednak niewielka ich ilość przetrwała - i większość z nich „zapożyczyła” geny od *Bacillus thuringiensis*. Nowe, sklonowane komórki umożliwiały stworzenie szczepów wąglika i dżumy odpornych na tetracyklinę.

Poważniejszy problem stanowiło drugie wyzwanie, polegające na utrzymaniu wysokiej wirulencji nowo powstałych szczepów. Choć Domaradzki był wybitnym naukowcem, nie potrafił sprostać żądaniom Ministerstwa Obrony. Armii Radzieckiej nie odpowiadała broń, która opierała się działaniu tylko jednego antybiotyku. Lekarze nadal dysponowali szerokim spektrum innych skutecznych leków. Jediną interesującą bronią z

punktu widzenia strategów wojskowych był czynnik odporny na wszystkie istniejące leki. W 1976 roku Domaradzki rozpoczął eksperymenty z „potrójnie odpornym” szczepem tularemii.

Pomimo niemal dziesięcioletnich badań prowadzonych w Oboleńsku nie udało się wyhodować szczepu odpornego na działanie wszystkich antybiotyków z zachowaniem wysokiej wirulencji.

Zwierzchnicy wojskowi nie kryli rozczarowania, a niepokorny Domaradzki nie zamierza! przeproszać za niepowodzenie, utrzymując, że postępów nauki nie sposób podporządkować planom pięcioletnim. Wówczas wypominano mu obietnice sprzed kilku lat, co z kolei skłoniło naukowca do

złośliwych uwag na temat niekompetencji żołnierzy w kwestii kierowania laboratorium.

Dla badaczy takich jak Domaradzki program rozwoju broni biologicznych był zarazem błogosławieństwem i przekleństwem. Wprawdzie dzięki programowi był dostęp do funduszy i sprzętu, ale równocześnie względy bezpieczeństwa sprawiały, że tylko wąski krąg osób poznawał rezultaty tej pracy. Domaradzki opatentował dziesięć różnych technik transferu plazmidów i uważał, że pierwszy na świecie wyizolował plazmid odpowiedzialny za wysoką wirulencję dżumy. Jednak jego patenty i odkrycia były niedostępne, tajne i schowane w tajnych rządowych archiwach - gdzie pozostają do dziś.

W swych wspomnieniach Domaradzki opisuje ofiary systemu bezpieczeństwa,

obowiązującego w pierwszych dniach programu badawczego. Spokojna muzyka klasyczna płynąca z głośników w laboratoriach nie była w stanie przezwyciężyć stresu naukowców pracujących pod stałą obserwacją. Nie wolno im było rozmawiać z rodzinami o pracy zawodowej, ich życie osobiste podlegało licznym ograniczeniom. Na wakacje zawsze wyjeżdżali wspólnie do pewnego państwowego ośrodka wypoczynkowego. Jeden z szefów kirowskiego wojskowego laboratorium w czasie wakacji zabił okna swego domku letniskowego deskami, żeby nie widzieć twarzy kolegów.

Paranoja doprowadziła do tego, że pracownicy Biopreparatu nie mogli wyjeżdżać na Zachód na konferencje naukowe. Do-maradzki był z tego powodu zawstydzony i

zażenowany. „Musiałem wymyślać powody, dla których odrzucałem kuszące propozycje zagranicznych kolegów - pisze. - Mówiłem na przykład, że złamałem nogę, zachorowałem albo że mam kłopoty osobiste”.

Za którymś razem, aby przystąpić do pracy nad pewnym szczepem dżumy, musiał otrzymać pisemne upoważnienie od samego Jurija Andropowa, ówczesnego szefa KGB. Praca została uwieńczona sukcesem. Wówczas otrzymał rozkaz, żeby jej wyniki zaprezentować na Kremlu. W towarzystwie strażnika pod bronią Domaradzki udał się na Kreml z ampułką zawierającą kultury zmutowanej dżumy, wnosząc ją przez wrota pradawnej fortecy niczym drogocenny skarb. Uroczyście zaprezentował fiolkę wojskowym

i partyjnym aparaczykom. Trudno dociec, czego właściwie się spodziewali.

Takie absurdy doprowadzały go do rozpacz, jednak do największej potyczki doszło w 1982 roku, kiedy Kalinin mianował nowego dowódcę wojskowego Oboleńska.

Nikołaj Nikołajewicz Urakow, autokratyczny generał z XV Zarządu, w przeszłości sprawował obowiązki zastępcy dyrektora obiektu kirowskiego. Znany był z wydawania rozkazów hermetycznym, wojskowym żargonem i nie miał cierpliwości dla cywili, zwłaszcza tych, których uważał za bumelantów.

Urakow sam był znakomitym naukowcem. Otrzymał nagrodę państwową za opracowanie broni opartej na gorączce Q i odkąd go pamiętam, zawsze nostalgicznie

opowiadał „o swojej broni”. „Szkoda, że nie możemy wrócić do gorączki Q - mawiał. - Kiedyś była to prawdziwa broń, teraz nikt nie traktuje jej już poważnie”.

Urałow uprzykrzał życie Domaradzkiemu, bezustannie wytykając mu niedotrzymanie terminów i podważając jego autorytet poprzez zatrudnianie w laboratorium bardzo młodych oficerów. Kiedy pracowałem w Stepnogorsku, mnie także chciał zatrudnić.

- Moglibyśmy stworzyć świetny zespół - przekonywał.

Bliskość Moskwy i szansa na pracę z najzdolniejszymi naukowcami była kuszącą ofertą, pomimo to odmówiłem. Wiedziałem, że Kalinin nie życzyłby sobie, abym opuścił linię produkcji broni biologicznej.

Tymczasem rywalizacja przeniosła sięz Oboleńska do kwatery głównej Biopreparatu. Któregoś dnia byłem na Samokatnej podczas kłótni naukowca z generałem w gabinecie Kalinina. Ich krzyki słychać było na całym piętrze. Podśluchiwałem pod drzwiami Kalinina; wyglądało na to, że za chwilę dojdzie do rękoczynów. Domaradzki oskarżał Urakowa o stosowanie „taktyki sierżanta”; generał odpowiedział w podobnym duchu. Doprowadzony do rozpaczycy Kalinin zaczął prosić Domaradzkiego o pohamowanie emocji.

- Czy takie zachowanie godne jest naukowca?

Było to pytanie, które równie dobrze można by skierować do nas wszystkich.

W końcu okazało się, że Kalinin przedkładał interes armii nad prerogatywy nauki. Domaradzkiego nie było już w Oboleńsku, kiedy w 1987 roku przeniesiono go do kwatery głównej. Został zdegradowany do stanowiska szefa laboratorium w jednym z moskiewskich instytutów.

Ze wspomnień Domaradzkiego wynika głębokie przekonanie, że armia utrzymuje kontrolę nad badaniami biologicznymi do dzisiaj. Ich autor stwierdza, że zarówno Kalinin, jak i Urakow pozostali na kierowniczych stanowiskach najważniejszych instytutów naukowych, i skarży się jednocześnie, że jego nadzieje na kontynuowanie eksperymentów z plazmidami rozwiały się z powodu braku funduszy.

Podsumowując swoją zawodową karierę, Domaradzki oświadcza, że program genetyczny, nad którym pracował, „nie uzasadniał ani nadziei z nim związanych, ani ogromnych zainwestowanych środków”. „W zasadzie nie wyprodukowaliśmy nic istotnego” - konkluduje.

Niestety, Domaradzki się mylił. To, co on rozpoczął, Urakow dokończył. Zdołał wyhodować szczepy dżumy odporne na znacznie szersze spektrum leków, które w zasadzie mogły się oprzeć wszystkim znanym nam antybiotykom. Niespodziewany obrót spraw nastąpił także w związku z projektem „Ognisko”.

Kiedy młody naukowiec wszedł na mównicę, siedziałem na sali już od kilku godzin. Byłem zbyt zmęczony, aby uważnie słuchać;

on tymczasem relacjonował ostatnie próby włączenia genów kodujących toksyczne białka do komórek różnych szczepów bakteryjnych.

Zacząłem słuchać uważniej, kiedy oświadczył, że znaleziono odpowiednią bakterię - gospodarza dla toksyny mielinowej. Chodziło o *Yersinia pseudotuberculosis*, blisko spokrewnioną z *Yersinia pestis*. Wyniki badań laboratoryjnych były obiecujące, podobnie jak potajemnie przeprowadzane eksperymenty na zwierzętach.

Wewnątrz laboratorium o szklanych ścianach do specjalnych desek przywiązano pół tuzina królików. Wszystkie musiały oddychać przez urządzenie przypominające maskę tlenową. Był to jeden ze

standardowych sposobów sprawdzania skuteczności aerozoli na małych zwierzętach.

Ukryty za szybą technik naciskał guzik, dostarczając każdemu zwierzęciu niewielką dawkę patogenu zmienionego genetycznie. Po zakończeniu eksperymentu zwierzęta wracały do klatek i poddawano je obserwacji. U wszystkich królików wystąpiła wysoka gorączka i objawy zakażenia pseudotuberculosis. W jednej grupie doświadczalnej króliki wykazywały także symptomy innej choroby. Początkowo szarpały się, potem leżały bezwładnie. Ich tylne kończyny zostały sparaliżowane - świadczyło to o działaniu toksyny mielinowej.

Próby przebiegły pomyślnie. Patogen poddany transformacji genetycznej wywołał

dwie choroby, z których jednej nie można było zdiagnozować.

Na sali zapadła cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę z implikacji tego odkrycia.

Powstał nowy rodzaj broni. Po raz pierwszy mogliśmy produkować broń, posługując się związkami chemicznymi wytwarzanymi przez nasz organizm. Mogły one zniszczyć układ nerwowy, wpływać na nastroje, wywoływać zmiany psychiki, a nawet zabijać. Pracą naszego serca sterują peptydy. Jeśli jest ich zbyt dużo, prowadzi to do palpacji serca, a w rzadkich przypadkach do śmierci.

Możliwość wpływania na nastroje była szczególnie interesująca dla KGB - w połączeniu z faktem, że przyczyn nie mogliby wykryć patolodzy. Wyglądałoby na to, że

ofiara zmarła śmiercią naturalną. Jakież wywiad nie zainteresowałyby się bronią, która zabija, nie pozostawiając żadnych śladów?

Tylko niewielki krok dzielił od włączenia genu mieliny toksycznej do komórek *Yersinii pseudotuberculosis* i wprowadzenia tego samego genu do *Yersinii pestis*, czyli dżumy. Tym sposobem mieliśmy nową odmianę jednej z najstarszych znanych ludzkości broni biologicznych.

Yersinia pestis, zazwyczaj przenoszona przez pchły i gryzonie, była odpowiedzialna za największe pandemie w historii ludzkości. Nieustępliwe rozprzestrzenianie się dżumy na kolejne miasta i kraje od wieków wzbudzało przerażenie, któremu dorównywała jedynie obawa przed ospą i grypą. Epidemia dżumy, zwana czarną śmiercią, zgładziła

jedną czwartą mieszkańców czternastowiecznej Europy. W szczytowej fazie epidemii dżumy w 1665 roku w Londynie tygodniowo umierało siedem tysięcy ludzi. Ostatnia poważna pandemia wybuchła w Chinach w 1894 roku i trwała ponad dziesięć lat, swym zasięgiem ogarniając Hongkong oraz porty na całym świecie. Spustoszyła Bombaj, San Francisco oraz inne amerykańskie miasta położone nad brzegiem Pacyfiku. Ofiarą padło ponad dwadzieścia sześć milionów ludzi. Dwanaście milionów zmarło.

Dżuma, najokrutniejsza i najbardziej zaraźliwa choroba znana człowiekowi, należy do trzech schorzeń, wobec których obowiązuje kwarantanna i szczególne międzynarodowe przepisy. Każdy przypadek

należy zgłosić Światowej Organizacji Zdrowia. Jedno ukąszenie zarażonej pchły może pozostawić we krwi lub w układzie limfatycznym człowieka nawet dwadzieścia cztery tysiące zarazków dżumy. Po okresie inkubacji, trwającym od jednego do ośmiu dni, ofiary zaczynają odczuwać dreszcze, pojawia się także gorączka, ponieważ organizm usiłuje zwalczyć chorobę. Próby te przeważnie kończą się niepowodzeniem. Jeśli od razu nie podejmie się terapii - postawiwszy trafną diagnozę - bakterie dżumy wyniszczą organizm, chory zacznie majaczyć, dochodzi do uszkodzenia narządów wewnętrznych i śmierci.

W ciągu sześciu do ośmiu godzin po wystąpieniu pierwszych objawów pod powierzchnią skóry zaczynają powstawać bolesne,

ciemniejące gruzelki, w miarę jak atakowane są kolejne obszary tkanki. W pachwinie i pod pachami następuje obrzęk węzłów chłonnych, wywołujący tak silne bóle karku, że nawet pacjenci w śpiączce wiją się w agonii.

Najcięższa jest płucna odmiana dżumy. Do zarażenia wystarczy jedno kasznięcie lub kichnięcie chorego. Bakterie przedostają się do układu oddechowego i wywołują zapalenie płuc, a gromadzący się w nich płyn coraz bardziej utrudnia oddychanie. Okres inkubacji jest krótki - trwa nie dłużej niż kilka dni. Objawy pojawiają się niespodziewanie i często trudno je odróżnić od symptomów innych chorób zakaźnych. Niewłaściwa lub spóźniona diagnoza może doprowadzić do śmierci.

Kiedy układ odpornościowy usiłuje zwalczyć bakterie, wydzielają one silną toksynę, która wywołuje zapaść. Agonii zawsze towarzyszy ogromne cierpienie. Ofiary płucnej odmiany dzumy choroba atakuje w ciągu osiemnastu godzin od pojawienia się toksyny; przed śmiercią przeważnie występują konwulsje, chory majaczy i popada w śpiączkę.

W XX wieku poprawa warunków sanitarnych w miastach oraz postęp medycyny sprawiły, że wybuchy epidemii dzumy stały się rzadkie - co roku notuje się mniej niż dwa tysiące przypadków. Jednak choroba nadal występuje na terenach wiejskich w Stanach Zjednoczonych - w Teksasie, Kalifornii i w górach Sierra Nevada, gdzie jej nosicielami są psy stepowe i pręgowce amerykańskie.

Ostatnio informowano o pojawieniu się dżumy wśród ludności Indii, Afryki, południowej Azji i południowo-wschodniej Europy. Choroba ta dotknęła także amerykańskich żołnierzy w Wietnamie.

Od 1948 roku najskuteczniejszym lekiem przeciwko dżumie jest streptomycyna, antybiotyk podawany doustnie lub dożylnie. Z powodzeniem stosowano także tetracyklinę, gentamycynę i doksycyklinę. Pierwszą szczepionkę przeciwko dżumie opracował rosyjski lekarz Waldemar M.W. Haffkine w 1897 roku podczas pandemii wirusa Hongkong. Od tamtej pory powstało wiele szczepionek, są one jednak skuteczne tylko w przypadku dymienicy morowej i wymagają co pół roku zastrzyków podtrzymujących odporność. Ich skuteczność jest różna, a w miarę

powtarzania szczepień wzrasta ryzyko skutków ubocznych.

Według starych kronik po raz pierwszy posłużono się dżumą jako bronią w XIV wieku, kiedy Tatarzy zdobyli Kaffę na Półwyspie Krymskim, katapultując do miasta zwłoki ofiar zarazy. W czasie drugiej wojny światowej Japończycy zainteresowali się wykorzystaniem dżumy jako broni biologicznej, ponieważ skutki ataku mogły być wzięte za naturalny wybuch epidemii. Istniały jednak pewne trudności: kiedy usiłowali zrzucić z samolotów bomby zawierające zarazki, eksplozja zabijała bakterie. Ostatecznie opracowano wydajniejszy sposób: nad celem zrzucano miliardy zarażonych dżumą pcheł.

Amerykanie także pracowali nad bronią opartą na dżumie, ale zniechęcił ich szybki

spadek wirulencji. Bakterie przestawały być groźne już po trzydziestu minutach, co sprawiało, że aerozole stawały się bezużyteczne. Ostatecznie Amerykanie, w przeciwieństwie do nas, zarzucili ten projekt. Zarazki dżumy można hodować w szerokim spektrum temperatur i pożywek. W końcu udało nam się wyhodować szczep zdolny do przetrwania w postaci aerozolu i jednocześnie zachowujący zdolność zabijania. Pilnowaliśmy, aby zapasy w Kirowie nigdy nie spadały poniżej dwudziestu ton bakterii dżumy.

Sukces projektu „Ognisko” ukazał nam prace nad dżumą w zupełnie nowym świetle. W ciągu następnych kilku miesięcy dzięki transformacji genetycznej naukowcy w Oboleńsku zdołali wzbogacić *Yersinia pestis*

o gen toksyny mielinowej. „Toksynowo-dżumowa” broń nie zdążyła powstać przed upadkiem Związku Radzieckiego, jednak udany eksperyment otworzył przed badaczami nowe możliwości łączenia właściwości bakterii i toksyn. Wkrótce naukowcy podjęli próby dokonania transformacji genetycznej bakterii, wykorzystując botułinum (toksynę jadu kiełbasianego), najbardziej śmiertelnością trucizną występującą naturalnie.

W innych okolicznościach odkrycie rosyjskich uczonych, świadczące o tym, że peptydy regulatorowe można powielać w warunkach laboratoryjnych, zostałyby szeroko nagłośnione i postrzegane jako przyczynek do poszerzenia wiedzy z zakresu chorób neurologicznych. Tymczasem zostało

ono zaklasyfikowane jako „ściśle tajne” i ukryte przed światem.

Ostatnim mówcą był Urakow. Podchodząc do mikrofonu, żeby wygłosić podsumowanie, z trudem ukrywał dumę.

- Jak zwykle także i tym razem osiągnęliśmy więcej, niż zamierzaliśmy - powiedział.

Nie można było temu zaprzeczyć. Oboleńsk rozrósł się już wówczas tak bardzo, że pracownicy, aby przedostać się z jednego oddziału do drugiego, musieli korzystać z autobusów. W konferencji uczestniczyło około czterech tysięcy naukowców i techników. Roczny budżet obiektu wynosił równowartość niemal dziesięciu milionów dolarów. Fundusze te wykorzystywano na zakup drogiej zagranicznej aparatury -

mikroskopów elektronowych, chromatografów, wirówek wysokiej jakości, sprzętu do analizy laserowej.

Raport na temat toksyny mielinowej był tego dnia ostatnim z szeregu doniesień o sukcesach. Innemu zespołowi udało się wyhodować szczep wąglika odporny na działanie pięciu antybiotyków. Jeszcze inni naukowcy uzyskali odmianę nosacizny, niewrażliwą na leki.

Pomimo to Urakow najwyraźniej nie był jeszcze w pełni usatysfakcjonowany.

- Uważnie przyglądamy się, jakie lekarstwa produkowane są w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii i Niemczech - powiedział. - Pamiętajmy, że praca dla ojczyzny nigdy się nie kończy.

I Zarząd Główny

Moskwa 1990

Atmosfera na Samokatnej niekiedy przypominała klasztor. Tajemnice odcinały nas od życia politycznego stolicy, a my nie ryzykowaliśmy zawierania przyjaźni z ludźmi spoza programu. Izolowani od świata zewnętrznego, żyliśmy w kręgu kolegów z pracy i ich rodzin. Wzajemnie składaliśmy sobie wizyty, plotkowaliśmy o polityce, opowiadaliśmy o naszych żonach i dzieciach, narzekaliśmy na Kalinina.

Był jednak wśród nas człowiek, który z nikim nie zawarł bliższej znajomości, i choć nie było żadnego powodu, żeby go nie lubić,

Walerij Butuzow, wysoki, patykowaty czterdziestolatek, o krótko, po wojskowemu przystrzyżonych włosach, trzymał się na uboczu. Kiedy spotykało się go na korytarzu, dla każdego miał dobre słowo i często się uśmiechał. Pomimo to trzymał się z dala od innych. Był doktorem farmakologii i oficjalnie pracował jako inżynier, nikt jednak nie wiedział, czym się naprawdę zajmował. Niekiedy zniknął nawet na kilka dni.

Generał Anatolij Worobjow, który w 1987 roku został zastępcą Kalinina, bezustannie na niego narzekał.

- On nic nie robi - mruknął kiedyś gniewnie. - W życiu nie widziałem tak leniwego człowieka.

Wraz z Worobjowem określaliśmy obowiązki nowych pracowników, co wymagało akceptacji Komitetu Centralnego.

- Dlaczego go nie zwolnicie? - spytałem. -
Mamy wielu kandydatów na jego miejsce.

Generał milczał przez chwilę.

- Nie mogę - powiedział.

- Dlaczego?

Worobjow zaczął przekładać papiery na biurku. Sprawiał wrażenie rozdrażnionego.

- To nie wasza sprawa - rzekł w końcu. -
Nie macie nic do roboty?

Nie poruszałem więcej tego tematu, jednak zastanowiło mnie, dlaczego Wo-robjow, drugi po Kalininie człowiek w naszej instytucji, nie mógł zwolnić Butu-zowa.

Kiedy objąłem po Worobjowie stanowisko pierwszego zastępcy dyrektora,

dowiedziałem się, kim był Walerij Butuzow. Nie był inżynierem, lecz pułkownikiem I Zarządu Głównego, wywiadu KGB. Jego praca w Biopreparacie stanowiła przykrywkę dla działań tak tajnych, że nie wiedziało o nich nawet kierownictwo instytucji. Jermoszyn, „nasz” szef KGB, znał prawdziwą tożsamość Butuzowa, jednak nie mógł mi zdradzić, jaką pełnił on funkcję.

- Nie mam żadnej władzy nad tymi z I Zarządu - wzruszył ramionami. - W ogóle nie powinienem wiedzieć o jego obecności. Sam się dowiedz. Ten człowiek to geniusz farmakologii.

Butuzow nie był wiele starszy ode mnie. Kiedy się spotykaliśmy, zacząłem wyciągać go na rozmowy. Odpowiadał grzecznie - nie mógł być nieuprzejmy wobec nowego

zastępcy Kalinina. Z czasem okazało się, że mamy wspólne zainteresowania. Rozmawialiśmy o przeczytanych książkach, o filmach oraz poruszaliśmy temat, który zawsze przełamuje lody między mężczyznami: sport.

Zręcznie unikał odpowiedzi, kiedy wypytywałem go o pracę. Ale i tak dowiedziałem się o nim więcej niż Worobjow. Za którymś razem zdradził, że w młodości był zatrudniony w Ministerstwie Zdrowia w Instytucie Farmakologii w jakiejś komórce odpowiedzialnej za działania wywiadowcze.

Po jednej z jego dłuższych nieobecności spytałem, gdzie był. Sprawiał wrażenie wymizerowanego, jakby od kilku dni nie spał.

- Znowu musiałem jechać do laboratorium w Jasieniewie - odparł, potrząsając

głową. - Ci ludzie czasami postępują jak idioci.

Bardzo mnie to zaintrygowało. Jasieniewo było największym i najbardziej nowoczesnym ośrodkiem szkoleniowym KGB, enklawą położoną w lasach na peryferiach Moskwy i zarazem siedzibą I Tj^tząćlu. Jermoszyn z zazdrością mówił o tym miejscu. Pozostała część aparatu KGB, łącznie z II Zarządem (odpowiedzialnym za kontrwywiad i bezpieczeństwo wewnętrzne), któremu podlegał Jermoszyn, siedzibę swoją miała na Łubiance w centrum Moskwy. Jasieniewo - jak się uważa - wzorowane na kwatery głównej CIA w Langley w Wirginii, stanowiło prywatne królestwo Władimira Kriuczkowa, który zanim w 1988 roku został szefem KGB, przez czternaście lat dowodził wywiadem

zagranicznym. W stołówce podawano czarny kawior i wędzonego łososa, a w sportowych kompleksach i basenach wyżsi oficerowie mogli zapomnieć o kłopotach związanych z zarządzaniem największą agencją szpiegowską świata. Na dziedzińcu stał pomnik wzniesiony ku czci „nieznanego oficera wywiadu”. Nie miałem jednak pojęcia, że mieści się tam także laboratorium.

W 1989 roku wraz z Kalininem pewnego dnia udaliśmy się na zebranie do tajnego oddziału Ministerstwa Zdrowia. III Zarząd znajdował się stosunkowo daleko od głównej siedziby ministerstwa, w różowym biurowcu przy Prospekcie Le-ningradzkim w północnej części Moskwy. Jego szef, naukowiec o nazwisku Siergiejew, nominalnie był zastępcą ministra zdrowia, najwyraźniej jednak nie

kontaktował się ze swymi zwierzchnikami w ministerstwie. Często się z nim spotykaliśmy, nigdy jednak nie rozumiałem po co. Większością spraw związanych ze szczepionkami zajmowały się inne departamenty.

Tego dnia omawialiśmy śmierć Ustinowa w syberyjskim laboratorium. Siergiejew zmuudnie i skrupulatnie badał rolę, jaką odegrało Ministerstwo Zdrowia w tym wypadku. Dyskutowaliśmy o przyczynach braku antyserum Marburga, o kłopotach związanych z przekazaniem antyserum do Wektora, choć udział ministerstwa w tej sprawie był minimalny.

Kiedy wraz z Kalininem czekaliśmy na dworze na kierowcę, dałem upust mojej frustracji.

- Juriju Tichonowiczu, dlaczego zawsze marnujemy tutaj tyle czasu? - spytałem. - Odpowiadamy za biobezpieczeństwo w naszych obiektach. Nie widzę powodu, dlaczego miałyby to interesować Siergiejewa.

Kalinin spojrział na zegarek. Nie lubi! czekać, zwłaszcza kiedy wiązało się to z koniecznością prowadzenia jałowych rozmów.

- Macie trochę racji, Kanjatanie - odparł.
- Nie potrzebujemy ich pomocy, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, jednak oni zajmują się także innymi sprawami i dlatego warto utrzymywać z nimi kontakty.

- Jakimi sprawami? - spytałem.

Kalinin zawahał się. Lubił udramatyzni-
ać takie chwile.

- Jeśli wam powiem, nikomu tego nie zdradzicie - powiedział uroczyście.

- Oczywiście.

- Ten zarząd odpowiada za program o kryptonimie „Flet”. Pracuje nad nim kilka instytutów.

- Flet?

Z namaszczeniem skinął głową. Nigdy przedtem nie słyszałem o takim kryptonimie.

- Które instytuty? - spytałem.

Kalinin wymienił kilka. Między innymi Instytut Seweryna, który wedle jego słów mieścił się w szpitalu psychiatrycznym w Moskwie. A także instytut farmakologii, którego pełnej nazwy nie chciał zdradzić. Odniosłem wrażenie, że ma na myśli dawny instytut Butuzowa.

- Jaki jest cel programu? - spytałem. Ka-
linin przejechał otwartą dłonią po gardle.

- Czasami ludzie znikają - odparł.

- Co wy mówicie, Juriju Tichonowiczu?
Wyglądał na zniesmaczonego moją
naiwnością.

- Dosyć wam już powiedziałem.

W tej samej chwili pojawił się nasz sam-
ochód, co definitywnie zakończyło rozmowę.
Wiedziałem, że w biurze niebezpiecznie jest
zadawać takie pytania, jednak zacząłem
uważnie wypatrywać wskazówek padających
w rozmowach i pilniej przysłuchiwałem się
kolejnym spotkaniom w III Zarządzie. „Flet”
rozbudził moją ciekawość.

Siergiejew, nominalnie był zastępcą min-
istra zdrowia, najwyraźniej jednak nie kon-
taktował się ze swymi zwierzchnikami w

ministerstwie. Często się z nim spotykaliśmy, nigdy jednak nie rozumiałem po co. Większością spraw związanych ze szczepionkami zajmowały się inne departamenty.

Tego dnia omawialiśmy śmierć Ustinowa w syberyjskim laboratorium. Siergiejew żmudnie i skrupulatnie badał rolę, jaką odegrało Ministerstwo Zdrowia w tym wypadku. Dyskutowaliśmy o przyczynach braku antyserum Marburga, o kłopotach związanych z przekazaniem antyserum do Wektora, choć udział ministerstwa w tej sprawie był minimalny.

Kiedy wraz z Kalininem czekaliśmy na dworze na kierowcę, dałem upust mojej frustracji.

- Juriju Tichonowiczu, dlaczego zawsze marnujemy tutaj tyle czasu? - spytałem. -

Odpowiadamy za biobezpieczeństwo w naszych obiektach. Nie widzę powodu, dlaczego miałyby to interesować Siergiejewa.

Kalinin spojrział na zegarek. Nie lubił czekać, zwłaszcza kiedy wiązało się to z koniecznością prowadzenia jałowych rozmów.

- Macie trochę racji, Kanjatanie - odparł.

- Nie potrzebujemy ich pomocy, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, jednak oni zajmują się także innymi sprawami i dlatego warto utrzymywać z nimi kontakty.

- Jakimi sprawami? - spytałem.

Kalinin zawahał się. Lubiał udramatyznić takie chwile.

- Jeśli wam powiem, nikomu tego nie zdradzicie - powiedział uroczyście.

- Oczywiście.

- Ten zarząd odpowiada za program o kryptonimie „Flet”. Pracuje nad nim kilka instytutów.

- Flet?

Z namaszczeniem skinął głową. Nigdy przedtem nie słyszałem o takim kryptonimie.

- Które instytuty? - spytałem.

Kalinin wymienił kilka. Między innymi Instytut Seweryna, który wedle jego słów mieścił się w szpitalu psychiatrycznym w Moskwie. A także instytut farmakologii, którego pełnej nazwy nie chciał zdradzić. Odniosłem wrażenie, że ma na myśli dawny instytut Butuzowa.

- Jaki jest cel programu? - spytałem. Kalinin przejechał otwartą dłonią po gardle.

- Czasami ludzie znikają - odparł.

- Co wy mówicie, Juriju Tichonowiczu? Wyglądał na zniesmaczonego moją naiwnością.

- Dostyc wam już powiedziałem.

W tej samej chwili pojawił się nasz samochód, co definitywnie zakończyło rozmowę. Wiedziałem, że w biurze niebezpiecznie jest zadawać takie pytania, jednak zacząłem uważnie wypatrywać wskazówek padających w rozmowach i pilniej przysłuchiwałem się kolejnym spotkaniom w III Zarządzie. „Flet” rozbudził moją ciekawość.

Z czasem dowiedziałem się, że Instytut Seweryna prowadził badania nad czynnikami psychotropowymi wywołującymi u ludzi zmiany nastrojów. Naukowcy pracowali nad substancjami biochemicznymi, także peptydami regulatorowymi, co w pewnym sensie

więzało się z naszym programem „Ognisko”. Miedsta-tistika, inny instytut podległy III Zarządowi, gromadził dane statystyczne związane z prowadzonymi na świecie badaniami biologicznymi. Instytut farmakologii specjalizował się w opracowywaniu toksyn, które wywoływały paraliż lub śmierć. Wszystkie te programy w jakiś sposób związane były z „Fletem”, którego głównym celem było opracowanie psychotropowych i neurotropowych środków biologicznych do zadań specjalnych KGB - w tym także „mokrej roboty”, czyli politycznych zabójstw.

Być może Kalinin miał rację. O pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć.

Biopreparat nie był oficjalnie związany z „Fletem” - do naszych zadań należało opracowywanie nowych broni - jednak nie

możliśmy uniknąć kontaktów nieformalnych. Metody hodowli, izolowania i klonowania patogenów okazały się przydatne w wielu innych programach rządowych. Uzmyslowiłem sobie, że Biopreparat, choć ogromny, stanowił częśćkę jeszcze większej struktury tajnych ośrodków naukowych.

Jeśli Butuzow nie pracował już w instytucie farmakologii, cóż wobec tego robił w Jasieniewie?

Jego gabinet znajdował się na pierwszym piętrze, w pobliżu mojego. Nasza znajomość wciąż się zacieśniała. Bez wstydu mogę wyznać, że bardzo go polubiłem. *

W miarę jak dzieliliśmy się tajemnicami, Butuzow i ja stawaliśmy się coraz bardziej ni-erozłączni. Nad rzeką w pobliżu Moskwy razem łowiliśmy ryby, rodziny spędzały

wspólnie weekendy na mojej daczce za miastem. Był wspaniałym kucharzem i złotą rączką. Naprawił mi żiguli w dwa miesiące po tym, jak szczęśliwy odebrałem go z państwowej fabryki.

- Nie umiemy już nawet robić samochodów - żartował. - Myślę, że niektórych części nie wkręcają celowo, żeby sprawdzić naszą inteligencję.

Bywałem w jego skromnym mieszkaniu, które zajmował wraz z żoną, córką i starzejącą się matką. Nie potrafiłem pogodzić serdeczności człowieka z pracą, jaką wykonywał. Podczas rozmów, jakie prowadziliśmy poza biurem, dużo mi o niej opowiadał.

Butuzowa na wiele lat przed oddelegowaniem do Biopreparatu przeniesiono z instytutu farmakologii do Jasieniewa. Pracował w

tak zwanym Laboratorium 12, założonym w latach dwudziestych przez farmaceutę Gienricha Jagodę, który został jednym z najokrutniejszych szefów stalinowskiej tajnej policji. Laboratorium 12 specjalizowało się w substancjach, które zabijały szybko, cicho i sprawnie.

Butuzow był ostrożny i nie zdradzał szczegółów, wspomniał jednak o kilku „osiągnięciach”. Pod koniec lat czterdziestych opracowano sproszkowaną postać dżumy. Można ją było umieścić w jakimś drobiazgu, na przykład w pudernicze. Zabójca, naturalnie uprzednio szczepiony przeciwko dżumie, zachodził ofiarę od tyłu, rozpylał śmiertelnośną substancję i znikał, zanim zaatakowana osoba zorientowała się, że doszło do zamachu.

Metodę tę zamierzano wykorzystać przeciwko marszałkowi Tito, zbuntowanemu komunistycznemu partyzantowi, który stanął na czele powojennej Jugosławii.

Tito rozgniewał Stalina, kiedy w 1948 roku oznajmił, że zamierza utworzyć bałkańską federację, co zdecydowanie osłabiłoby wpływy Moskwy w tym regionie. W ostatniej chwili Stalin się rozmyślił, natomiast Tito poszedł swoją drogą i dożył sędziwego wieku - umarł w 1980 roku.

- Dlaczego Stalin zmienił zdanie? - spytałem. Butuzow się roześmiał.

- Tylko Stalin to wie - odparł.

Laboratorium 12 w latach siedemdziesiątych pracowało pełną parą. We wrześniu 1978 roku bułgarski dysydent Georgi Marków trafił do londyńskiego szpitala z

objawami tajemniczej choroby. Przed śmiercią wspomniał coś o człowieku, który na moście Waterloo zadrasnął go czubkiem parasola. Doktorzy nie potrafili dociec przyczyny śmierci, dopóki drugi bułgarski emigrant nie padł w Paryżu ofiarą podobnej choroby - także po zadrażnieniu końcem parasola. Powtórna autopsja zwłok Markowa wykazała pozostałości rycyniny, toksyny wytwarzanej z nasion rącznika.

Rycynina pochodziła z Laboratorium 12.

Osiem miesięcy wcześniej rząd Todora Żiwkova zwrócił się do Związku Radzieckiego z prośbą o pomoc w dokonaniu zabójstwa Markowa. Wywiad bułgarski skontaktował się ze swym rosyjskim odpowiednikiem, jednak szef KGB Jurij Andropow wzdragał się przed wysłaniem Rosjan do tego zadania.

Zamiast tego polecił, aby z Laboratorium 12 przekazano do Sofii odpowiednią ilość rycyny wraz z technikami KGB, którzy przeszkoliliby bułgarskich agentów. Kilka prób zakończyło się niepowodzeniem. Nie udały się co najmniej dwa zamachy na bułgarskich emigrantów (z paryskim włącznie) przeprowadzone w tym samym okresie.

Butuzow w końcu zdradził mi, dlaczego przybył do Biopreparatu.

- Instytut farmakologii pracował wyłącznie nad substancjami chemicznymi. Stwierdził się jednak, że w czynnikach biologicznych tkwi wielki potencjał.

1 tak trafiłem tutaj.

Nie wiem, co Butuzow naprawdę sądził o swojej pracy, jednak zauważyłem, że w miarę rozwoju pierestrojki miał coraz mniej zajęć.

Sprawiał wrażenie zrelaksowanego, a nawet nieco znudzonego.

Któregoś dnia wiosną 1990 roku Butuzow wszedł do mego gabinetu i opadł na fotel po drugiej stronie biurka. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się wiszącym na ścianach portretom naukowców.

- Kanjatanie, potrzebuję twojej rady - powiedział.

- Chodzi o sprawy zawodowe czy prywatne?

- Zawodowe.

Butuzow milczał przez chwilę.

- Szukam czegoś, co mogłoby współpracować z urządzeniem, które zaprojektowałem - rzekł wreszcie. - To nieduża bateria, taka, jakie stosuje się w zegarkach, połączona z wibrującą płytką i ogniwem elektrycznym.

- Mów dalej - powiedziałem. Opowiadał o tym takim tonem, jakim zazwyczaj rozprawialiśmy o piłce nożnej. Byłem zafascynowany.

- Jeśli ogniwo zostanie naładowane, płytki zaczną wibrować z wysoką częstotliwością. Zgadza się?

- Tak.

- Jeśli więc znajdzie się na niej jakaś zasuszona drobina, wibracje przekształcą ją w aerozol.

Spojrzał na mnie, szukając aprobaty; skinąłem głową, żeby mówił dalej.

- Powiedzmy, że całe urządzenie włożymy do pudełka, na przykład po papierosach marlboro, a potem umieścimy ^od czymś biurkiem albo w koszu na śmieci. Jeśli

wprawimy je w ruch, aerozol zadziała chyba od razu. Co o tym myślisz?

- To zależy, jaka to substancja - powiedziałem.

- Właśnie o to chciałem cię spytać. Jaka substancja byłaby najlepsza, jeśli urządzenie ma być śmiertelne?

Nie wiem, dlaczego dałem się w to wciągnąć.

- Można by użyć mikroskopijnej ilości tularemii - odparłem. - Jednak to nie gwarantuje śmierci.

- Wiem - odparł Butuzow. - Zastanawialiśmy się nad wirusem Ebola.

- To mogłoby się udać. Jednak prawdopodobnie zabiłoby nie tylko jedną osobę, ale także całe jej otoczenie.

- To nie ma znaczenia.

- Walerij, czy mogę o coś zapytać?

- Naturalnie.

- Czy to teoretyczna dyskusja, czy też masz kogoś na myśli? Na twarzy Butuzowa pojawił się uśmiech.

- Nikogo nie mam na myśli - odparł. - No, może jednak mam. Na przykład Gamsahurdę.

Większość moskwian słyszała o Zwiadzie Gamsahurdii, nowym prezydencie Gruzji. Gruzja nieuchronnie zmierzała ku niepodległości. Pyszny, krzykliwy wąsacz od lat sprawiał Moskwie kłopoty. Syn sławnego pisarza stał na czele ruchu praw człowieka w republice i publicznie oskarżał Moskwę o szykowanie zamachu na jego życie. Szczególnie nienawidzono go w kręgach wojskowych za kampanię, którą poprowadził przeciwko

armii radzieckiej po demonstracji w stolicy Gruzji Tbilisi, w której w 1989 roku zginęło dziewiętnaście osób.

Kiedy doszedł do władzy, prawa człowieka zeszły na dalszy plan, na pierwszy wysunął się natomiast fanatyczny nacjonalizm. Wiele osób uważało go za niezrównoważonego umysłowo.

W Rosji był niepopularny i nie lubiłem go. Nie zareagowałem więc na słowa Butuzowa i zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym.

W ciągu następnych kilku miesięcy miałem sporo pracy i rzadziej widywaliśmy się z Butuzowem. Którejś niedzieli zaprosiłem go wraz z rodziną na daczę. Dzieci się bawiły, szaszłyki się piekły, a ja spytałem szeptem:

- Walerij, co z twoim pomysłem, wiesz, z tą baterią od zegarka i Gamsa-hurdia?

Uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, wszystko utknęło. Mieliśmy już gotowy plan, ale szefowie go odrzucili. Powiedzieli, że teraz nie jest właściwy moment.

Na początku 1992 roku Gamsahurdia został obalony przez byłych sojuszników i prezydentem niepodległej Gruzji obrano Eduarda Szewardnadze. W rok później, 31 grudnia 1993 roku, płomienny dysydent zmarł w tajemniczych okolicznościach podczas próby ponownego przejęcia władzy. Jego śmierć określano mianem samobójczej, jednak niektórzy twierdzili, że został zamordowany przez agentów Moskwy albo przez jednego z gruzińskich rywali.

Najważniejszym atutem środków biologicznych jest to, że są w zasadzie nie-wykrywalne, co utrudnia identyfikację zamachowca. Czyni to z nich znakomite narzędzie w rękach terrorystów, broń taka nadaje się także do prowadzenia wojny strategicznej.

Wielu byłych agentów KGB pracuje teraz dla rosyjskiej mafii. Niektórzy założyli własne organizacje przestępcze. Dzięki zawodowym kontaktom bez trudu mogą korzystać z technik i substancji opracowanych w czasach Związku Radzieckiego. Wynalazki programu „Flet” na rosyjskim czarnym rynku z pewnością mają wysoką cenę.

3 sierpnia 1995 roku Iwan Kiwelidi, przewodniczący rosyjskiego okrągłego stołu biznesmenów, nagle ciężko się rozchorował. Jego sekretarka Zara Izmajłowa w kilka

godzin później trafiła do szpitala z objawami podobnej, niewyjaśnionej choroby. Sekretarka zmarła jeszcze tej samej nocy, Kiwelidi następnego dnia.

Kiwelidi ostro krytykował niektórych wysokich urzędników Jelcyna i oskarżał ich o korupcję. Okrągły stół zrzeszał czołowych przedsiębiorców i bankierów, którzy postanowili położyć kres rządowi mafii nad rozrastającym się sektorem prywatnym. Spośród pierwotnych dziewięciu członków pozostał tylko Kiwelidi. Wszyscy pozostali zginęli w zamachach i tym samym znaleźli się wśród ponad pięciu tysięcy ofiar „zabójstw na zlecenie”, do jakich doszło w 1995 roku.

Kiwelidi w domu i w pracy stosował nadzwyczajne środki ostrożności. Kilka

miesiący wcześniej ogłosił, że zamierza powołać nową partię polityczną, której głównym celem będzie oczyszczenie rosyjskiego kapitalizmu.

Detektywi, prowadzący śledztwo w sprawie jego śmierci, w telefonie ofiary znaleźli substancję, którą zidentyfikowali jako kadm. Śmieró-biznesmena i jego sekretarki zostały wobec tego określone jako „zatrucie promieniowaniem”, kiedy jednak dotarły do mnie wieści o zamachu, przypomniałem sobie rozmowę, jaką przed laty odbyłem z Butuzowem - jej tematem były śmiertelne aerozole.

- Podeszliśmy do tego problemu od zupełnie innej strony - mówił Butuzow z podnieceniem. - Powiedzmy, że rozproszymy substancję na kierownicy samochodu.

- Jaką substancję? - spytałem.

- W tej chwili to nieważne - ciągnął Butuzow. - Rzecz w tym, że kierowca stałby się nosicielem trucizny, która wtargnęłaby do jego organizmu poprzez skórę lub wraz z wdychanym powietrzem.

- Środek musiałby być bardzo stabilny, żeby zachować wirulencję - powiedziałem. - Trudno przecież z góry określić, ile czasu minie pomiędzy spryskaniem kierownicy a wejściem ofiary do samochodu.

- Ten problem mamy już rozwiązany - powiedział z dużą pewnością siebie. - To wyglądałoby na zawał.

Wyraziłem swój podziw.

- To nic takiego - machnął ręką. - Wymyślaliśmy znacznie lepsze rzeczy.

Zabójstwa na szczęście nie wchodziły w zakres działań Biopreparatu, jednak obecność Butuzowa dowodziła, że KGIj nadal interesował się bronią biologiczną. Byłem zatem niezmiernie zdumiony, kiedy odkryłem, że w wewnętrznej dyskusji na temat przyszłości naszego programu, jaka wywiązała się po ucieczce Pa-secznika, KGB wystąpił w roli gołąbka pokoju.

Któregoś dnia w moim gabinecie pojawił się Jermoszyn ze zdumiewającą wieścią, że szef KGB Władimir Kriuczkwow wysłał do Gorbaczowa notatkę zawierającą propozycję likwidacji naszych linii produkcyjnych w zakładach wytwarzających broń biologiczną. »

Według Jermoszyna treść notatki była następująca: ucieczka Pasecznika postawiła Związek Radziecki w bardzo niezręcznej

sytuacji. Obecnie niezwykle trudno jest odpi-
erać ataki, program broni biologicznych
przestał być tajemnicą. W dyplomatycznej
nocie przesłanej rządowi USA i Wielkiej
Brytanii musieliśmy przystać na
dopuszczenie inspektorów do naszych obiek-
tów. Kriuczkow argumentował, że w tej sytu-
acji należy dążyć do minimalizacji strat.
Ruch taki mógłby okazać się korzystny ze
strategicznego punktu widzenia, ponieważ
zmusiłby Amerykanów do pokazania nam ich
własnego programu broni biologicznych.

Kriuczkow był znany z przebiegłej taktyki.
Wiedziałem jednocześnie, że żaden wojskowy
dowódca Biopreparatu nie zgodziłby się na
taką propozycję.

- Nie wszyscy w KGB popierają ten
pomysł, Bobków się sprzeciwił - ciągnął

Jermoszyn, mając na myśli pierwszego zastępcę szefa KGB. - Ale Gorbaczow darzy Kriuczkowa pełnym zaufaniem.

Najdziwniejsze było to, że ja także przychylałem się do propozycji szefa KGB.

Podobnie jak inni byłem wściekły na Pasecznika i uważałem, że nasze bezpieczeństwo doznało poważnego uszczerbku. Jednak podczas gdy pozostali desperacko dążyli do zachowania status quo, ja nie widziałem innego wyjścia - należało zmienić kurs. Jeśli Amerykanie i Brytyjczycy przyjechaliby do Rosji i na własne oczy zobaczyli wielkość naszych obiektów, musielibyśmy je zamknąć, łącznie z całym programem. Tymczasem Pasecznik wiedział dużo, ale nie wszystko. Był zorientowany w naszych pracach badawczych, jednak jego

wiedza na temat procesów przemysłowych była nikła. Dlaczego wobec tego nie mielibyśmy się podwójnie zabezpieczyć? Jeśli rozbierzemy część istniejących obiektów, być może uda się uratować programy badawcze. A jeśli wymagałyby tego okoliczności, można by wszystko odtworzyć. Dopóki istniały przechowywane przez nas szczepy, potrzebowaliśmy zaledwie trzech do czterech miesięcy, aby przywrócić pełne moce produkcyjne.

Jermoszyn wyjaśnił, że został upoważniony przez KGB do konsultacji treści notatki z dyrekcją Biopreparatu i dowódcami wojskowymi. Kriuczkwow miał zmysł polityczny i zdawał sobie sprawę, że poparcie armii będzie niezbędne.

Jermoszyn nie zdziwił się, kiedy oznajmiłem, że Kalinin wszelkimi środkami będzie dążył do utracenia planu.

- Dlatego nie zacząłem od Kalinina - wyjaśnił. - Ty jesteś zaraz po nim. Myślałem, że moglibyśmy razem porozmawiać z Bykowem.

To było niebezpieczne. Kalinin wszelkie próby załatwiania czegoś za jego plecami uznawał za niesubordynację. Udanie się do znienawidzonego rywala byłoby zdradą. Nie widziałem jednak innej możliwości.

Po kilku dniach wraz z Jermoszynem pojechaliśmy na spotkanie z Bykowem w jego gabinecie w Ministerstwie Przemysłu Medycznego, w centrum Moskwy. Nie uprzedziliśmy go o spotkaniu.

Byków nie wydawał się szczególnie wytrącony z równowagi naszą niespodziewaną wizytą. Wyszedł z gabinetu i początkowo najwięcej uwagi poświęcał wygładzaniu fałdek na ciemnogrnatowym garniturze.

- Co was do mnie sprowadza? - spytał, jakby w ogóle go to nie interesowało.

- Waleriju Aleksiejewiczu, pojawiła się pewna istotna kwestia, którą chcielibyśmy z wami przedyskutować - powiedział Jermoszyn.

Byków westchnął, spojrział na zegarek i gestem zaprosił nas do gabinetu. Stanęliśmy przed jego biurkiem. Nie zaproponował, żebyśmy usiedli.

- Do rzeczy!

- Chodzi o to - zaczął Jermoszyn - KGB uważa, iż należy zamknąć część linii

produkcji broni biologicznych. Zostałem upoważniony przez przełożonych do zwrócenia się do was o poparcie w tej sprawie.

Byków spojrzał na mnie.

- Co o tym myślicie?

- Zgadza się - powiedziałem. - Program na tym nie ucierpi. Zawsze możemy...

Byków przerwał mi gestem ręki.

- Nigdy do tego nie dojdzie - rzekł szorstko i spojrzał na leżące przed nim dokumenty. - Możecie odejść - dodał, nie podnosząc wzroku znad biurka.

Na Kremlu

Moskwa 1990

Siedziba Komisji Wojskowo-Przemysłowej, jednej z najbardziej wpływowych instytucji Związku Radzieckiego, mieściła się w nijakim szarozółtym budynku, przylegającym do południowych murów Kremla. Od 1988 roku byłem tam aż czterokrotnie, toteż kiedy w marcu 1990 roku zostałem ponownie wezwany na nadzwyczajne zebranie, miejsce to było mi niemal równie dobrze znajome, jak moja instytucja.

Aleksiej Arżakow, szczupły zastępca przewodniczącego komisji, skinął mi głową na powitanie. Jego szef, wicepremier Igor

Białorusow, siedział za wielkim dębowym stołem konferencyjnym. Nadzorował produkcję wojskową całego kraju, czyli ponad dwie trzecie wszystkich obiektów przemysłowych. W radzieckim systemie fabryki broni i sprzętu obronnego były przeważnie powiązane z produkcją cywilną.

W sali konferencyjnej zasiadali najważniejsi przedstawiciele wojskowego establishmentu, tacy jak generał Walentin Jewstigniejew, nowy dowódca XV Zarządu, oraz Oleg Ignatiew, szef podlegającego komisji zarządu broni biologicznych.

Spotkanie rozpoczęło się zgodnie ze schematem obowiązującym od pewnego czasu: jak, w świetle ucieczki Pasecznika, powinniśmy odpowiedzieć na amerykańskie i brytyjskie zarzuty?

Milczałem. Nikt nie przedstawił żadnych propozycji, nikt też nie wspomniał o notatce Kriuczkowa. Zebranie zbliżało się już do końca, kiedy Arżakow pochylił się nade mną i poprosił, żebym pozostał nieco dłużej. Zaniepokoiłem się, ale Arżakow miał pogodny wyraz twarzy.

- Są tu pewne osoby i chcę, żebyście się z nimi spotkali - szepnął, zerkając w stronę dwóch mężczyzn siedzących przy końcu stołu.

Bielorusow, wychodząc, spojrzał na mnie znacząco.

Mężczyźni podeszli do tablicy i zaczęli wyjmować dokumenty z dwóch identycznych czarnych teczek. Szare garnitury i zachowanie zdradzały, że pracują dla wywiadu.

- Słyszeliście, o czym rozmawialiśmy - zwrócił się do nich Arżakow. - Mamy poważny problem ze Stanami Zjednoczonymi, związany z naszym programem biologicznym; nie udało nam się znaleźć właściwej odpowiedzi. Zaprosiłem pułkownika Kanjatana Alibekowa, aby powiedział, czego od was potrzebuje.

Jak się okazało, mężczyźni byli generałami. Jeden pracował na wysokim stanowisku w I Zarządzie KGB, drugi był wicedyrektorem GRU, czyli wywiadu wojskowego. Wywarło to na mnie duże wrażenie. Po raz pierwszy w jednym miejscu widziałem przedstawicieli naszych dwóch najpotężniejszych instytucji.

Przebyłem długą drogę od początków mojej kariery, kiedy zdany byłem na łaskę

organów bezpieczeństwa i obawiałem się takich ludzi. Myśl ta sprawiła osobliwe poczucie satysfakcji.

- Uzyskanie tego, czego nam trzeba, nie powinno nastroić większych trudności - powiedziałem. - Jedyne sposoby, aby dać odpór Stanom Zjednoczonym, polega na zdobyciu wszelkich informacji o ich programie broni biologicznych. Niestety, nasza wiedza w tym zakresie pełna jest luk.

- No cóż, jest Fort Detrick - rzekł jeden z nich, mając na myśli Instytut Badawczy Chorób Zakaźnych armii amerykańskiej (USAMRIID) w Maryland, gdzie Stany Zjednoczone w 1943 roku rozpoczęły program badań nad bronią biologiczną.

Przerwałem mu szorstko:

- Wszyscy, którzy podają się za ekspertów od amerykańskiego programu, wymieniają Fort Detrick. To nic nowego. Czy stowarzyszę nie mają świeższych informacji?

Przedstawiciel GRU sprawiał wrażenie zirytowanego.

- Powiedzcie, czego potrzebujecie.

- Dobrze.

Nabrałem przekonania, że zagrożenie atakiem bronią biologiczną ze strony Amerykanów jest o wiele mniejsze, niż utrzymywała nasza propaganda. Wprawdzie nie wierzyłem, aby zgodnie z oficjalnymi deklaracjami zaprzestali badań w 1969 roku, zastanawiało mnie jednak, dlaczego tak bardzo zależy im na dostępie do naszych obiektów. Przecież z pewnością zażądalibyśmy od nich tego samego. Ta

perspektywa jednak najwyraźniej wcale nie wytrącała ich z równowagi, co sugerowało, że ich program jest znacznie skromniejszy niż nasz. Moim zdaniem był to kolejny argument przemawiający za zamknięciem części zakładów.

Kiedy mówiłem, generałowie zawzięcie notowali.

- Po pierwsze, potrzebujemy informacji o lokalizacji i nazwach wszystkich nowych obiektów powstałych w ostatnich dwudziestu latach - ciągnąłem. - Musimy także poznać nazwiska zwierzchników i struktury dowodzenia. Trzeba się dowiedzieć, nad którymi czynnikami biologicznymi pracują i jakie środki opracowali do przenoszenia patogenów. Niezbędna będzie także lista

wszystkich prób poligonowych przeprowadzonych przez Amerykanów.

Zastanawiałem się, czy zaraz nie usłyszę, że moje żądania dowodzą naiwności. Generałowie zachowali jednak kamienne twarze i milczeli.

- Dajcie nam kilka tygodni - powiedzieli.

Kilka tygodni później zatelefonowałem na Kreml. Tym razem spotkaliśmy się we trójkę, nie było ani Arżakowa, ani pozostałych. Najpierw odezwał się przedstawiciel KGB, w jego głosie pobrzmiewała duma.

- Słyszeliście o Plum Island? - spytał. Od razu spochmurniałem.

- Oczywiście - odparłem.

Niektóre obiekty amerykańskie od lat pojawiały się w raportach naszego wywiadu.

Jako zastępca dyrektora widziałem wiele takich dokumentów.

Na Plum Island, w rejonie przesmyku Long Island, w czasie wojny testowano broń biologiczną. Później, po przekazaniu obiektu Departamentowi Rolnictwa, umieszczano tam importowaną żywność i zwierzęta na czas kwarantanny.

- Znaleźliśmy też coś w Illinois - dodał przedstawiciel GRU.

- O tym też już słyszałem - powiedziałem szybko, zanim zdążył dokończyć. - W latach pięćdziesiątych przestano korzystać z tego obiektu, ponieważ nie spełniał wymogów biobezpieczeństwa. ^Obiekt wykorzystywany jest obecnie przez dużą firmę farmaceutyczną.

Oficerowie wywiadu wyglądali na skonsternowanych.

- Towarzysze nie mają nic więcej? - spytałem.

Wymienili kilka innych placówek, w których dawno już przerwano badania. Ze złością przerwałem:

- Najwyraźniej towarzysze zajrzeli tylko do starych akt. Ale informacje o tych obiektach znaleźć można* także w literaturze naukowej, nie potrzebuję ekspertów od wywiadu, żeby się o nich dowiedzieć.

Przeprosiłem ich i zszedłem na dół, na papierosa. W mroźnym powietrzu tam i z powrotem chodziłem wzdłuż kremlowskiego muru. Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem generałowie nie otrzymali rozkazu, żeby zataić przede mną prawdę.

Jednak to przecież sam szef KGB dążył do zamknięcia programu, a zatem jego instytucja równie mocno jak ja pragnęłaby zdobyć informacje o działalności Amerykanów.

Kiedy wróciłem, oficerowie zamknęli swoje teczki. Nie mieliśmy sobie już nic więcej do powiedzenia, chłodno podziękowałem im za pomoc. Starłem się nie okazywać, jak bardzo byłem wstrząśnięty.

Nie mogłem uwierzyć, że nasz największy wróg nie pracował nad bronią biologiczną.

Do moich obowiązków należały regularne konsultacje w sprawach budżetu Biopreparatu z Gosplanem, państwową instytucją planistyczną. Po każdej wizycie w wielkim gmachu przy ulicy Gorkiego zwiększano środki przeznaczone na działalność

Biopreparatu. Generał Roman Wołków, łysiejący uczonego zawiadującego funduszami Ministerstwa Obrony, właściwie dopraszał się, abym wynajdywał nowe sposoby wydatkowania pieniędzy.

- Mam dla was trzysta milionów rubli w tegorocznym budżecie - oświadczył w 1990 roku. - Nadal nie przekazaliście mi informacji o programach, na jakie fundusze zostaną spożytkowane.

Kiedy wymieniłem cywilne zastosowania medyczne, tylko machnął ręką.

- Jeśli będziecie występować z takimi sugestiami, nie dostaniecie żadnych pieniędzy - powiedział.

Wydało mi się to nielogiczne. Stan naszego systemu opieki zdrowotnej pogarszał się z dnia na dzień, warunki w szpitalach

były fatalne. W poprzednim roku Biopreparat rozesłał do placówek medycznych w całym kraju jednorazowe strzykawki po skandalu, do jakiego doszło w stolicy Kałmucji, niedużym mieście Elista, położonym na północ od Morza Kaspijskiego. Po otrzymaniu zastrzyków skażonymi strzykawkami 250 dzieci zaraziło się tam wirusem HIV. Pielęgniarki tłumaczyły się, że brak sprzętu i personelu sprawia, iż staranna sterylizacja jest niemożliwa. O podobnych historiach głośno było w całym kraju.

W lutym 1990 roku Walerij Ganzenko, szef zarządu medycznego, pojawił się w moim gabinecie z torbą wypełnioną brudnymi fiolkami ze szczepionką.

- Produkują je w naszym zakładzie w Gruzji - poskarżył się. - Szpitale odsyłają je,

ponieważ nie są sterylne. Kiedy spytałem Gruzinów, dlaczego tak się dzieje, nie potrafili mi wyjaśnić, toteż posłaliśmy im dużą dotację na unowocześnienie sprzętu.

Byłem odpowiedzialny za cywilne instytucje podległe Biopreparatowi, a także za wojskowy program badawczy. Nadzór nad produkcją antybiotyków i szczepionek dla zakładów państwowej opieki zdrowotnej stanowił niemal połowę naszych oficjalnych zadań. Kalinin nie interesował się tą sferą działania instytucji, podobnie jak pozostali członkowie dyrekcji. Cywilni kierownicy mieli w zasadzie wolną rękę, na skutek czego znaczna część naszego sprzętu trafiała na czarny rynek. Najwyraźniej nikogo to nie obchodziło. J^a natomiast, kiedy tylko było

to możliwe, starałem się poświęcać czas naszemu programowi opieki zdrowotnej.

- Może powinniśmy pojechać do Tbilisi - zaproponowałem. Był mile zaskoczony.

- Nie sądziłem, że ktokolwiek zechce się tym zająć - powiedział.

Na lotnisku w Tbilisi w czarnej wołdze czekał na nas dyrektor zakładu. Napuszony, z gęstym gruzińskim wąsem, potraktował nas jak bardzo ważnych gości. Nim zdążyłem zaprotestować, już* >wiedzaliśmy stolicę, oglądając strome ulice i eleganckie balkony z kutego żelaza.

- Dlaczego nie jedziemy do laboratorium? - spytałem.

- Później. Najpierw musicie poznać gruzińską gościnność.

Pierwszego wieczora dyrektor zaprosił nas do restauracji, gdzie przygotowano osobne pomieszczenie. Stół uginał się pod różnymi gatunkami wędlin, sera, ryb i wina - produktów tych próżno było szukać w moskiewskich sklepach spożywczych.

W porównaniu z wystawną kolacją tym gorzej wypadło laboratorium, które obejrzelśmy następnego dnia. Sprzęt niekiedy pochodził sprzed czterdziestu lat. Pracownicy hodowali szczepionki w malutkich piecykach. Nasz gospodarz bynajmniej nie był skruszony i twierdził, że pensje i koszty eksploatacji pochłaniają fundusze przekazywane przez Biopreparat.

Pojałem, że kłamię, kiedy tylko zacząłem rozmawiać z zespołem. Większość z trzystu pracowników stanowiły kobiety. Skarżyły się,

że pensje są tak marne, iż nie stać ich na drugie śniadanie.

Na ogólnym zebraniu ogłosiłem, że laboratorium zostanie zamknięte.

- Produkowane przez was lekarstwa są nie do przyjęcia - oświadczyłem. - Nie można ich stosować w lecznictwie. Sporządziliśmy odpowiednie plany, aby produkcję waszego zakładu przejęły laboratoria w Ufie i Leningradzie.

Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać. Niektóre kobiety szlochały, łamanym rosyjskim tłumacząc, że nigdzie nie znajdą pracy: mężowie odeszli, dzieci są głodne. Zdumiała mnie ich desperacja. Odkąd opuściłem Kazachstan, nie widziałem ludzi w takiej biedzie.

- Dam wam jeszcze jedną szansę - powiedziałem. - Pozwolimy laboratorium działać i zobaczymy, czy sytuacja zmieni się na lepsze.

Wyjąłem kartkę papieru i pisząc, ciągałem:

- Tym oto dokumentem zwalniam waszego dyrektora, na jego miejsce mianuję obecnego zastępcę.

Dobre maniery i grzeczność dyrektora gdzieś się rozwiały. Oskarżył mnie o okradanie robotników z ojcowizny i poprzysiągł, że złoży skargę gruzińskiemu rządowi, który w poprzednim roku ogłosił niepodległość.

- To laboratorium jest własnością Związku Radzieckiego - powiedziałem. - Decyzję podjąłem jako jego przedstawiciel.

Żeby dostać się na lotnisko, musieliśmy już sami znaleźć taksówkę.

Podróż do Tbilisi ukazała mi bardziej złożony problem niż łapownictwo czy niekompetencja pracowników sektora medycznego. Nacjonalizm w radzieckich republikach zaczynał rozsadzać cały kraj, ja także czułem to ciśnienie.

W szkole nigdy nie uczyliśmy się historii Kazachstanu, kpiono nawet z naszego języka. Z biegiem lat nauczyłem się życia w Systemie i zostałem „człowiekiem radzieckim”. Należałem do Kazachów, którzy zaszli najwyżej w strukturach radzieckiej armii, a kto wie, czy i nie w radzieckich strukturach rządowych. W Moskwie znałem tylko jednego Kazacha, który był szanowanym generałem. Kalinin niekiedy zapominał się i w mojej

obecności pozwalał sobie na pogardliwe, obelżywe uwagi o ludach Azji Środkowej czy Kaukazu, jakbym tak jak on był Rosjaninem. Tymczasem kiedy w Moskwie wysiadałem ze służbowego samochodu, często padały pod moim adresem rasistowskie docinki. Ruch nacjonalistyczny przybierał na sile w Kazachstanie, podobnie jak w innych republikach. W miarę jak kolejne republiki ogłaszały niepodległość, zacząłem się zastanawiać, komu powinienem służyć.

Kiedy 11 marca 1990 roku Litwa ogłosiła niepodległość, generał Wołków z Gosplanu zwołał w swoim gabinecie nadzwyczajne zebranie wysokich przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia i reprezentantów innych organizacji związanych z naszym programem.

- Musimy się dowiedzieć, jakie programy badawcze wasze instytucje prowadzą na Litwie, w Estonii i Łotwie - powiedział.

Zobowiązano nas do zakończenia wszystkich programów w ramach presji gospodarczej wywieranej przez Kreml na republiki nadbałtyckie.

Biopreparat posiadał na Litwie szereg cywilnych placówek. Jedną z nich było najnowocześniejsze laboratorium Związku Radzieckiego, powstałe dzięki zabiegom mego poprzednika, generała Anatolija Worobjowa, który tak bardzo gustował w podróżach nad Bałtyk, że wydał ponad dziesięć milionów dolarów na zakup zachodniego specjalistycznego sprzętu.

Wileńskie laboratorium jako jedyne w kraju wykorzystywało techniki inżynierii

genetycznej do produkcji interferonu, składnika układu odpornościowego człowieka, używanego do leczenia zapalenia wątroby typu B oraz wielu nowotworów. Jego zamknięcie pozbawiłoby dostojników partyjnych dostępu do specjalistycznej opieki zdrowotnej.

Rozkaz o wstrzymaniu funduszy najpierw wydano, a potem cofnięto. Nawet nasi przywódcy polityczni byli niezdecydowani.

Zwątpienie i niepewność pojawiały się we wszystkich sferach życia codziennego. Nowe publikacje, ujawnianie ukrytych dotąd faktów, nowe filmy i książki stanowiły wyzwanie dla utartych schematów.

Na ulicy Samokatnej szczególnie jedna publikacja wywołała sensację. Była to zbeletryzowana relacja o genetyce z lat

czterdziestych i pięćdziesiątych, opowiadająca o czasach Łysenki, który tak wielu naukowców posłał do więzienia. Nosiła tytuł Białe szaty. Wcześniej nikt nie odważył się podjąć tego tematu. Powieść, której autorem był popularny pisarz Władimir Dudincew, ukazała się w 1988 roku, trudno jednak było zdobyć jej egzemplarz. Kiedy wreszcie udało mi się pożyczyć tę książkę od kolegi, czytałem ją przez całą noc, a potem jeszcze sięgałem do niej wielokrotnie. Wkrótce wszyscy prowadziliśmy dyskusję na prowokujący temat: o roli państwa radzieckiego w dławieniu postępów nauki.

W kwietniu 1990 roku rząd ogłosił plany kolejnej reorganizacji. Tym razem Ministerstwo Przemysłu Medycznego miało zostać podzielone na trzy odrębne instytucje.

Wkrótce po tym komunikacie pojawił się u mnie przyjaciel i złożył mi ofertę zmiany posady w imieniu generała Jewstigniejewa, który w tymże roku zastąpił schorowanego Lebedińskiego na stanowisku szefa XV Zarządu. Jewstigniejew zaproponował mi stanowisko swego zastępcy, co było równoznaczne z awansem do stopnia generała brygady.

- Nikt nie wierzy, że Biopreparat długo się utrzyma - ostrzegł mnie przyjaciel. - To bezpieczne wyjście.

Weekend spędziłem na rozmyślaniach nad tą propozycją. Ostatecznie odrzuciłem ją, postanowiłem pójść w inną stronę.

Pewnego popołudnia Kalinin wezwał mnie do gabinetu, „żeby omówić zasady reorganizacji.

- To może być sposób na uratowanie Biopreparatu - dumiał. - Jeśli przekonaliśmy ludzi Gorbaczowa, by z naszej placówki powstał odrębny instytut, moglibyśmy się zabezpieczyć.

- Nie sądzę, aby Gorbaczow miał czas na rozmyślanie o strukturze Biopreparatu - powiedziałem. - Ma na głowie wiele innych problemów.

Kalinin spojrział na mnie zaciekawiony. Znał mnie już bardzo dobrze.

- Chcecie powiedzieć, że macie inny pomysł?

- Tak jest.

- No to nie siedźcie tak, oddając się marzeniom.

Wzięłem głęboki oddech. Komunikat o planie restrukturyzacji sprawił, że znowu

zacząłem rozważać pomysł, który pojawił się w mojej głowie w czasach notatki Kriuczkowa.

- Ucieczka Pasecznika osłabiła nas, staliśmy się podatni na ataki Amerykanów - powiedziałem. - Musimy znaleźć nową drogę do samookreślenia.

- Co macie na myśli?

- Jeśli zwrócimy się do Gorbaczowa o wstrzymanie wszystkich badań nad bronią ofensywną oraz jej produkcją, będziemy mogli lepiej wypełniać zadania z dziedziny farmaceutyki i bioobsony. Gorbaczow nie przeczyta notatki dotyczącej wyjmowania Biopreparatu spod kontroli ministerstwa, być może przeczyta jednak taką, która zasugeruje zaprzestanie naszej działalności. To

mogłoby być postrzegane jako sprawa polityki państwa.

Widziałem gniew wzbierający na twarzy Kalinina.

- Notatka Kriuczkowa - warknął. - Wiem wszystko, także o twoich umiz-gach do Bykowa.

Nie zamierzałem dać się zastraszyć.

- Jeśli tego nie zrobimy, nie przetrwamy jako instytucja.

Kalinin milczał i wyglądał przez okno. Kiedy wreszcie przemówił, jego słowa zaskoczyły mnie.

- Idźcie i przygotujcie taką notatkę - rzekł.
- Jeśli mi się spodoba, wyślemy ją na samą górę.

Wracałem do siebie w uniesieniu. Wezwałem pułkownika Priadkina, który

odpowiadał za długofalowe planowanie w Biopreparacie, a potem wykręciłem numer generała Jewstigniejewa z XV Zarządu.

- Nie rozumiem, dlaczego wy albo Kalinin mielibyście robić coś tak głupiego - oświadczył generał. - Ale jeśli takie są wasze zamiary, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Od tamtej chwili Jewstigniejew zwrócił się przeciwko mnie. Kiedy po kilku dniach spotkałem go na zebraniu, nie podał mi ręki.

- Przyszedł nasz „pacyfista” - rzekł do swego rozmówcy i odwrócił się ode mnie.

Takie słowa tylko w Związku Radziecki mogą być obelgą.

Wraz z Priadkinem udało nam się sporządzić szkic dekretu, który miał podpisać Gorbaczow. Składał się on tylko z czterech akapitów. Pierwszy ogłaszał zakończenie

pracy Biopreparatu jako instytucji produkującej broń zaczepną. Ostatni zaś mówił o wyodrębnieniu Biopreparatu z Ministerstwa Przemysłu Medycznego.

Kalinin, niczym na sali sądowej, w wątpliwość podawał każde słowo.

- W porządku - rzekł w końcu. - Zostawcie to mnie. Ja to dostarczę na Kreml.

Przez następnych kilka tygodni czekaliśmy w napięciu. Kalinin codziennie telefonował do gabinetu Gorbaczowa i rozmawiał z Gałkinem, jednym z asystentów, którego znał osobiście.

- Nie wiem, dlaczego to tak długo trwa - skarżył się Kalinin. - Gałkin twierdzi, że wciąż pojawia się stos nowych papierów i nie wie, czy zdoła pokazać nasz dokument Gorbaczowowi.

5 maja 1990 roku Kalinin wezwał mnie do swego gabinetu. Uśmiechał się, trzymając w dłoni kartkę papieru. Obecny tam Dawidów również się uśmiechał.

- Mamy to wreszcie - rzekł Kalinin. Podszedłem do biurka, żeby przeczytać dekret.

I zdrętwiałem. Były tam wprawdzie wszystkie napisane przeze mnie akapity, lecz na samym dole dodany był jeszcze jeden. Polecał Biopreparatowi „poczynić niezbędne kroki zmierzające do zachowania gotowości produkcyjnej i rozwojowej wszystkich zakładów”.

W pierwszej części dokumentu ogłaszano zamknięcie Biopreparatu jako przedsięwzięcia produkującego broń biologiczną. W drugiej wskrzeszono tę działalność.

Z wściekłością spojrzałem na Dawidowa.

- Wołodia, czy to wasza sprawka? Dawidów milczał.

- Jak tu zaprzestać produkcji broni biologicznych, kiedy mamy utrzymać zakłady w gotowości produkcyjnej? - spytałem.

Kalinin machnął ręką.

- Kanjatanie, bierzecie to wszystko zbyt dosłownie i na serio - rzekł. - Dzięki temu dokumentowi każdy będzie mógł robić to, co zechce.

Nie byłem pewien, czy Kalinin mówił poważnie, ale postanowiłem wziąć go za słowo. Powołując się na pierwszą część dekretu, wysłałem kryptogram do Stepnogorska, nakazując zniszczenie kSShiory testowej do próbnych eksplozji, której zbudowanie kosztowało mnie tak dużo czasu i energii.

Giennadij Lepjoszkin, dyrektor Stepnogorska, zatelefonował do mnie natychmiast po otrzymaniu kryptogramu.

- Kanjatanie, czyście się upili? - spytał. - Co się z wami dzieje?

- Zróbcie to, co nakazałem w kryptogramie.

Odczekałem kilka dni, jednak nie dotarły do mnie żadne informacje o próbach rozbiórki urządzenia. Wysłałem kolejny kryptogram: „Jeśli nie wykonacie rozkazu, zostaniecie zwolnieni”.

Do prac przystąpiono w następnym tygodniu.

Sandakczow z Wektora lepiej przyjął tę wieść. Rozważaliśmy możliwość wykorzystania co większych budynków do celów cywilnych. W związku z sytuacją na Litwie

obiecałem spróbować zdobyć pieniądze na produkcję interferonu.

Wielokrotnie wyjeżdżałem na Syberię, żeby nadzorować przebudowę, którą zakończono pod koniec 1990 roku.

Sandakczow, podobnie jak inni członkowie naszej organizacji, znał się na polityce. Wyzbył się wprawdzie niektórych obiektów produkujących broń biologiczną, zdawał sobie jednak dobrze sprawę, że całkowite zakończenie produkcji odcięłoby go od funduszy wojskowych. Dowiedział się także - od Kalinina lub Dawidowa, jak przypuszczałem - o końcowym akapicie dekretu, nakazującym „zachowanie gotowości”. Sandakczow był lojalny wobec Kalinina i zawdzięczał mu obecne stanowisko. Później dowiedziałem się, że w tym samym czasie zgodnie z

planem powstawał nowy obiekt do rozmnażania patogenów.

Podobne podwójne gry toczyły się w całym Systemie. Kiedy ja zamykałem linie produkcyjne, Dawidów zatwierdzał produkcję wagonów kolejowych mieszczących samojazdne fabryki broni biologicznych. Czynić mógł to tylko za aprobatą Kalinina.

Notatka o treści dekretu nigdy nie trafiła do dyrektorów instytutów. Wiedzieli o jej istnieniu, jednak nie mogli działać, powołując się na nią, nie otrzymawszy decyzji z centrali. *S*

W lipcu 1990 roku organizacje partyjne we wszystkich instytucjach rządowych otrzymały rozkaz przeprowadzenia wyborów na stanowiska kierownicze. Wybór kadr miał być metodą na demokratyzację Systemu. W

poprzednim roku, w pierwszych od 1918 roku demokratycznych wyborach, wyłoniono deputowanych do rosyjskiej Dumy. W lutym partia po siedemdziesięcioletnich rządach zrzekła się monopolu władzy.;

Michaił Ładygin, lojalny szef komórki partyjnej przy ulicy Samokatnej, poprosił mnie o pomoc przy organizowaniu wyborów.

- Powinniście pójść do Kalinina - powiedziałem.

- Już to zrobiłem. Nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Kalinin uważał, że w takiej instytucji jak Biopreparat nie ma miejsca na demokrację. Była to placówka wojskowa, należało zatem stosować wojskową dyscyplinę. Pomimo to był zbyt biegły w polityce, aby długo pozostawać w niewłaściwym obozie.

Zawarliśmy kompromis. Zamiast wyborów przeprowadziliśmy „ankietę”, przyznającą kandydatom punkty za wiedzę naukową i zdolności przywódcze. Wyniki jej nie byłyby wprawdzie wiążące, ale Kalinin był pewny zwycięstwa. Aby zabezpieczyć się przed niespodziankami, polecił ograniczyć listę do trzech kandydatur: siebie, pułkownika Dawidowa i mnie.

Ładygin kręcił nosem, ale ustąpił. W dniu wyborów wszyscy pracownicy pilnie wypełnili ankiety, przyznając kandydatom od jednego do stu punktów.

Kiedy ogłoszono wyniki, Kalinin nie był zadowolony.

Wygrałem, otrzymując przeciętnie osiemdziesiąt pięć punktów. Kalinin dostał osiemdziesiąt trzy, a Dawidów trzydzieści.

Rezultaty ankiety nie mnie podekscytowały. Nawet jeśli chciałbym zastąpić Kalinina, „wybory” nie zapewniłyby mi takiego stanowiska. Do zmiany zasad, na jakich namaszcza się i niszczy partyjnych i wojskowych przywódców, trzeba czegoś więcej niż powierzchowne reformy.

Kiedy Ładygin przedstawił wyniki ankiety niewielkiemu gronu w gabinecie Kalinina i spytał, czy może je podać do publicznej wiadomości, generał skrzywił się. Cios nie mógł paść w gorszym momencie: nie powiedział jeszcze Bykowowi o dekreście z 5 maja, wyzwalającym Biopreparat spod władzy Ministerstwa Przemysłu Medycznego. Byków mógł przecież wykorzystać wyniki ankiety, żeby pozbawić go stanowiska.

- Nie musimy oficjalnie ogłaszać wyników
- oświadczyłem. - Ludzie przecież mogą o
wszystkim dowiedzieć się nieformalnie. A
sprawą zajmiemy się po wakacjach.

Kalinin ochoczo przystał na takie
rozwiązanie. Sądziłem, że usunąłem
przeszkodę, która mogła stanowić przyczynę
konfliktów między nami, jednak się myliłem.

W kilka dni później spotkaliśmy się z
kierownikami najwyższego szczebla, żeby po
raz ostatni omówić ważny projekt przed
wyjazdem Kalinina na wakacje. Siedzieliśmy
obok siebie za stołem konferencyjnym. Kiedy
ktoś zaproponował, abyśmy ponownie
przedyskutowali sprawę, o której mówiło się
w ubiegłym tygodniu, powiedziałem:

- Nie uważamy, żeby to było konieczne.
Kalinin spiorunował mnie wzrokiem.

- Mówicie o sobie w liczbie mnogiej? - warknął. Obecni w pokoju uważnie się nam przyglądali.

- Oczywiście, że nie. To przecież nasza wspólna decyzja.

Dotarliśmy do punktu zwrotnego. Zrozumiałem, że najwyższy czas, abym opuścił ulicę Samokatną.

Goście

Moskwa 1991

Jesienią 1990 roku oświadczyłem Ka-
lininowi, że chcę zmienić pracę. Nie wyglądał
na zmartwionego. Jednym z największych
obiektów Biopreparatu w Moskwie był kom-
pleks naukowy Biomasz. Jego główna baza
znajdowała się w Instytucie Biochemii
Stosowanej, a oddziały w czterech miastach.
Głównym celem instytutu była produkcja dla
zakładów zbrojeniowych, począwszy od kadzi
fermentacyjnych aż po sprzęt do za-
gęszczania i testowania patogenów.

Od kilku miesięcy Kalinin usiłował pozbyć się dyrektora Biomaszu, nie mógł jednak znaleźć odpowiedniego następcy.

- Dajcie mi to stanowisko - zaproponowałem, kiedy wrócił z urlopu.

- To nudna praca.

- Nie dla mnie.

Kariera Kalinina opierała się na eliminacji adwersarzy, a ostatni rywal poddawał się bez walki. Jednak chwila mojego odejścia była niekorzystna. Należało znaleźć kogoś na moje miejsce.

- Potrzebuję was tutaj - powiedział.

Zawarliśmy kompromis. W zamian za objęcie kierowniczego stanowiska w Biomaszu przystałem na kontynuowanie pracy jako pierwszy zastępca dyrektora Biopreparatu i każdego ranka pojawiałem się na ulicy

Samokatnej. Przedtem coś takiego było nie do pomyślenia, ale czasy się zmieniły. I dla niego, i dla mnie było to idealne rozwiązanie. Kalinin trzymał z dala od siebie niebezpiecznego rywala, a jednocześnie korzystał z jego naukowej wiedzy, niezbędnej do utrzymania programu badawczego. Natomiast ja mogłem uczynić pierwszy krok w kierunku rozstania z programem, z którym nie chciałem mieć już nic wspólnego.

Siedziba Biomazsu oddalona była zaledwie o kwadrans jazdy samochodem od mego mieszkania w północnej części Moskwy. Wracałem wcześniej do domu i po raz pierwszy od wielu lat mogłem spędzić nieco czasu z rodziną. Niektórzy kierownicy okazali się oficerami, jednak szefowie departamentu byli naukowcami cywilami i trzeźwo

podchodzili do swych obowiazków. Biomasz byl dla mnie atrakcyjny, poniewaz czterdzieści procent jego produkcji trafiało do szpitali i cywilnych laboratoriów medycznych. Zamierzałem zmienić te proporcje na korzyść produkcji cywilnej. Wraz z Kalininem uzgodniliśmy, że podejme nową prace 30 grudnia 1990 roku.

Rozstanie nie przebiegło jednak tak gładko, jakbyśmy sobie tego zyczyli.

W miesiac po naszej rozmowie, w pazdzierniku 1990 roku, poinformowano nas o „porozumieniu trójstronnym”, zawartym pomiedzy Związkiem Radzieckim, Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią, dotyczącym zorganizowania wzajemnych wizytacji podejrzanych obiektów. Konwencja o zakazie broni biologicznych z 1972 roku nie

dawała podstaw do inspekcji, ograniczenie to do dziś stanowi dla międzynarodowej społeczności poważny problem. Wizytacje zależą od dobrej woli i obopólnego zaufania stron.

Zaufania tego, w stopniu większym niż kiedykolwiek, poważnie nadużyliśmy. Poinformowano nas, że dyplomatyczne negocjacje były napięte i długotrwałe. Nastrój niepewności ogarnął wszystkie struktury Systemu. W Komisji Wojskowo-Przemysłowej i Ministerstwie Obrony prowadzono debaty pełne niepokoju.

Notatka z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, informująca o umowie, pozostawiała w naszej gestii decyzję, do których zakładów dopuścić inspektorów. Ministerstwo Obrony

szybko zasygnalizowało, że nie zamierza uczestniczyć w tych szaradach.

- W Biopreparacie możecie pokazywać, co tylko chcecie - warknął generał Jewstigniejew, kiedy spytałem go o radę. - Ale żaden cudzoziemiec nie zobaczy naszych obiektów wojskowych.

Kalinin, widząc nadarzącą się okazję, zaproponował, aby Biopreparat wystąpił w roli gospodarza. Poleciał mi zdecydować, które obiekty można „poświęcić” w interesie dobrych stosunków Wschód-Zachód.

Nie był to łatwy wybór. Wprawdzie kilka komór testowych, w których przeprowadzaliśmy próbne eksplozje, zostało rozebranych na podstawie dekretu Gorbaczowa, jednak olbrzymie zbiorniki w Stepnogorsku i

Omutninsku na pierwszy rzut oka zdradzały cel naszych działań.

W owym czasie Biopreparat sprawował kontrolę nad czterdziestoma obiektami w piętnastu miastach w różnych rejonach Związku Radzieckiego. Około tuzina służyło wyłącznie celom militarnym, natomiast w pozostałych produkcja wojskowa powiązana była z cywilną. Rozważne przedstawienie delegacji zachodniej zakładów produkujących dwutorowo, ochroniłoby nas przed ujawnieniem tajemnic, jednocześnie zaś dalibyśmy świadectwo dobrej woli.

Postanowiliśmy udostępnić Oboleńsk, Wektor i Łubyczany (mały instytut badawczy w pobliżu Moskwy) oraz leningradzki instytut, w którym pracował Pa-secznik. Wybór tego ostatniego był oczywisty: tam właśnie

inspektorzy zachódni z pewnością pragnęli udać się w pierwszej kolejności, a my już dawno usunęliśmy z instytutu wszelkie dowody świadczące o prowadzeniu badań nad bronią biologiczną.

Nigdy nie wierzyłem, że ten wybieg nam się uda. Każdy człowiek, dysponujący choćby tylko minimalną wiedzą z zakresu produkcji broni biologicznych, natychmiast dostrzeże rzeczywiste przeznaczenie obiektu. Po uprzedzeniu laboratoriów i przygotowaniu instrukcji dla zespołów instytutów z ulgą wyjechałem do Biomaszu. Teraz nie był to już mój problem.

W piątek 11 stycznia 1991 roku Kalinin w trybie pilnym wezwał mnie do swego gabinetu. Był tam już pułkownik Władimir Dawidów, który rozsiadł się w naj-wygodniejszym

fotelu naprzeciwko Kalinina, co uznałem za sygnał, że szef go faworyzuje. Dawidów najwyraźniej widział się już w roli mego następcy, jako pierwszy zastępca dyrektora. Zająłem miejsce na kanapie.

General był w znakomitym nastroju⁵

- Kanjatanie, chciałbym prosić was o przysługę - zaczął. - Amerykańska i brytyjska delegacja przyjeżdża w poniedziałek. Jestem zbyt zajęty, aby się nimi zająć, podobnie jak Władimir. - Zerknął na Dawidowa, który nie odważył się spojrzeć mi w oczy. - Wiem, że nie chcecie mieć z tym nic wspólnego - ciągnął Kalinin - jednak jesteście jedynym kierownikiem wysokiego szczebla, który mógłby wykonać to zadanie. Czy macie coś przeciwko wystąpieniu w roli gospodarza?

- Owszem, mam - odparłem. - Właśnie podjąłem pracę w Biomaszu i nie chcę się w to mieszać. Nie wiem, co można zrobić, by nie dowiedzieli się o naszej działalności.

Kalinin był nieprzejeđnany.

- Przypuszczałem, że udzielicie właśnie takiej odpowiedzi. Może zatem pójdziemy na kompromis? Jeśli oprowadzicie naszych gości po Łubyczanach i Oboleńsku, Władimir zaopiekuje się nimi w pozostałych dwóch obiektach. Kanjatanie, potrzebujemy waszej pomocy.

Jako mój przełożony Kalinin naturalnie mógł wydać mi rozkaz. Wiedział jednak, że apelując do mojej lojalności, przełamie opór. Niechętnie przystałem na tę propozycję.

- Znakomicie. O siódmej rano przy Smoleńskiej będzie czekał na was autokar, a w nim delegacja.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że zacząłem cieszyć się na myśl o oprowadzaniu delegacji. Nigdy dotąd nie miałem kontaktu z amerykańskimi czy brytyjskimi naukowcami, a to byłaby pierwsza okazja spotkania przedstawicieli wrogiego obozu, którzy coś niecoś wiedzieli o tajnikach naszej profesji. Nie oznaczało to oczywiście, że zamierzałem dzielić się z nimi wiedzą. Jako zagorzały patriota chciałem uczynić wszystko, aby obcokrajowcy z tego, co zobaczą, nie mogli wyciągnąć żadnych logicznych wniosków.

Piętnastka gości oczekująca w poniedziałek, 14 stycznia, przed gmachem

Ministerstwa Spraw Zagranicznych była niewyspana i trzęsła się z zimna. Było jeszcze ciemno, a oni dygotali na mrozie pomimo długich płaszczy i futrzanych butów. Fakt, że po angielsku nie potrafiłem wypowiedzieć ani jednego słowa, pierwszy kontakt uczynił dość niezręcznym, jednak Sawa Jermoszyn najwyraźniej się tym nie przejmował. Sawa stał na czele agentów KGB, którzy wmieszali się w grupę naszych gości.

Jermoszyn łamaną angielszczyzną przedstawił się wszystkim członkom delegacji. Później szepnął mi, że odgadł, którzy z nich byli szpiegami.

Niepokojące było to, jak wiele o nas wiedzieli. Jeden z nich spytał, dlaczego nie zjawił się „Kalinin, szef Biopreparatu”.

- Niestety, Mister Kalinin jest teraz niezmiernie zajęty - wyjaśniłem. - Bardzo pragnął się z państwem spotkać, polecił mi przekazać gorące pozdrowienia.

To było nasze pierwsze kłamstwo, ale wygłosiłem je z prawdziwą przyjemnością. Kalinin poinstruował mnie, abym pod żadnym pozorem nie wymieniał jego nazwiska.

Z wyjątkiem mnie wszyscy przedstawiciele Związku Radzieckiego ubrani byli w garnitury i krawaty. Ja włożyłem stary brązowy sweter, który w ostatnich miesiącach stanowił oznakę milczącego protestu przeciwko oficjalnemu protokołowi. Mój ubiór najwyraźniej ich zaniepokoił.

- Ten sweter nas zmartwił - żartował w 1998 roku jeden z przedstawicieli ówczesnej

delegacji w moim domu w Wirginii, w znacznie przyjemniejszych okolicznościach. - Sądziłyśmy, że ukrywa pan pod nim jakiś tajny sprzęt.

Wsiedliśmy do dużego autokaru stojącego przy chodniku. Naszym pierwszym przystankiem był Instytut Immunologii w Łubypzanach, mniej więcej dziewięćdziesiąt minut jazdy na południe od Moskwy. Jermoszyn i agenci służby bezpieczeństwa ruszyli tuż za nami czarnym mikrobusem, podczas gdy my przebijaliśmy się przez poranne korki na moskiewskich ulicach.

Kierowcy polecono, żeby się nie spieszył. Strategia ta, opracowana w ostatnich tygodniach, miała na celu zmarnowanie jak najwięcej czasu, aby na oficjalną część wizyty pozostało go niewiele i żeby goście nie mogli

zaspokoić swojej ciekawości. Uprzedziliśmy także dyrektorów instytutów, aby przygotowali odpowiednie zapasy wódki i koniaku, w nStdziei zamydlenia oczu cudzoziemcom rosyjską gościnnością.

Kierowca tak skrupulatnie zastosował się do instrukcji, że sądziłem, iż zgubiliśmy drogę.

W Łubyczanach nie mieliśmy większych trudności. Ponieważ zajmowano się tam głównie analizą teoretyczną i działalnością obronną, w obiekcie nie przechowywano żadnych podejrzanych patogenów.

Pomimo to postanowiliśmy dmuchać na zimne. Dyrektor instytutu Zawiałow niemal przez cały ranek opowiadał o projektach badawczych, a potem zaprosił gości na

wystawny lunch. Na inspekcję pozostało zaledwie kilka godzin.

Na każdy obiekt zarezerwowaliśmy dwa dni. Drugiego dnia w Łubyczanach zacząłem kwestionować zachowanie gości z Zachodu, które można by zinterpretować jako zagrażające naszym interesom. Kiedy szef brytyjskiej grupy, Chris Davis, wyjął miniaturowy magnetofon, powiedziałem:

- Nie wolno.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Powiedziano nam, że nie wolno tylko filmować - zaprotestował. Po długotrwałych negocjacjach wspaniałomyślnie ustąpiłem.

Po południu wróciłem na Samokatną i opisałem nasze wykręty i wybiegi zachwyconemu Kalkiinowi. Postanowiłem nie wspominać, że o niego pytali.

- Wspaniale - powiedział. - Tak trzymać.

Większe trudności czekały nas w Oboleńsku. Uzasadnienie istnienia wielostopniowych zabezpieczeń w laboratoriach, przetrzymywania w klatkach zwierząt, a także wytłumaczenie się z innych elementów programu inżynierii genetycznej, wskazujących na opracowywanie broni biologicznych, wymagało wielkiej finezji. Uważałem, że bardzo trudno będzie ukryć prowadzone przez nas prace nad odpornymi na antybiotyki szczepami tularemii, dżumy, brucelozy, nosacizny, melioidozy i wąglika oraz przedstawić nasze badania jako program bioobrony.

Nie doceniłem jednak talentów gefierała Urakowa. Szorstki dyrektor przemienił się w przyjaznego, serdecznego kompana,

uosobienie taktu. Do sali konferencyjnej bezustannie wchodził kelnerzy, wnosząc coraz to nowe tace z kanapkami i napojami.

Członkowie delegacji przejrzeni jednak nasz podstęp i nie zamierzali tracić czasu na jedzenie.

- Czy możemy wreszcie przystąpić do pracy? - Davis zwrócił się do Urakowa, kiedy ten brał właśnie oddech w trakcie wygłaszania niezwykle długiej mowy powitalnej.

Generał był nieugięty. Oświadczył, że cudzoziemcy mogą bez przeszkód obejrzeć wszystko, co znajduje się na terenie obiektu.

- Muszę państwa jednak ostrzec - doda! - że bioobrona, o czym zapewne dobrze wiecie, ma do czynienia z niezwykle niebezpiecznymi mikroorganizmami. Jeśli zdecydujecie się na wejście do niektórych

laboratoriów, zostaniecie poddani kilkutygodniowej kwarantannie. Takie obowiązują u nas przepisy.

Częściowo była to prawda. Przepisy nakazywały poddawanie gości obserwacji, w tym wypadku było to jednak zupełnie zbędne: podczas poprzedniego weekendu na mój rozkaz Oboleńsk i Wektor zostały wszechstronnie zdezynfekowane. Delegaci do każdego z laboratoriów mogliby wejść nawet w samych koszulach.

Goście naturalnie nie zdawali sobie z tego sprawy i zawahali się.

- Cóż więc - rzekł pogodnie Urakow - chcieliby państwo zobaczyć? Goście poprosili o oprowadzenie po całym kompleksie. Pierwszą niemiłą niespodzianką była mapa, którą wyjął Davis, wskazując na duży budynek.

- Proszę zaprowadzić nas tutaj - rzekł, pokazując największą i najnowszą komorę testową w Oboleńsku, w której przeprowadzaliśmy próbne eksplozje.

Już po nas, pomyślałem w duchu. Przypuszczałem, że mapa powstała na podstawie zdjęć satelitarnych. Pasecznik nie mógł wiedzieć o komorze.

Ruszyłem do głównego budynku, podczas gdy delegację podzielono na grupy i każda poszła w swoją stronę. Wkrótce atmosfera zrobiła się gorąca.

Grupa Davisa trafiła do wskazanego budynku. W roli przewodnika występował Pietuchow, który później zrelacjonował mi tę historię.

Goście przechadzali się po korytarzach, aż natrafili na zamknięte drzwi.

- Co tutaj jest? - spytał Davis. Nikt nie odpowiedział.

- Czy można otworzyć te drzwi?

- Zgubiliśmy klucz - wymamrotał Pietuchow. - Poszukam zapasowego.

Podczas gdy goście niecierpliwie czekali, Pietuchow niespiesznie „szukał klucza”. Kiedy wreszcie otworzył drzwi, w pomieszczeniu panowały egipskie ciemności.

- Czy można zapalić światło? - spytał zirytowany Davis.

- Niestety nie. Żarówka się przepaliła - wyjaśnił Pietuchow. Niezrażony Davis wszedł do środka i wyjął latarkę. W tym momencie zawaliła się fasada międzynarodowej współpracy.

Pietuchow rzucił się naprzód, po latarkę. Davis krzyknął. Mężczyźni zaczęli się

szamotać, wreszcie ktoś zaproponował, żeby dysputę przenieść do sali konferencyjnej, gdzie oczekiwałem na ich powrót.

- Co się stało? - spytałem przez tłumacza, kiedy ujrzałem wściekłych cudzoziemców.

- Nic - złościł się Davis. - Po prostu, kiedy chciałem włączyć latarkę, żeby obejrzeć jedno z pomieszczeń, ten agent KGB wyrwał mi ją z ręki.

- Coś podobnego - powiedziałem urażony.
-*To szanowany naukowiec, a nie pracownik KGB.

Musiałem jednak przyznać, że latarki nie są zakazane.

Kiedy Davis wrócił do ciemnego pomieszczenia, w świetle latarki ujrzał na ścianach liczne wgniecenia - świadectwo

przeprowadzanych tutaj eksperymentów ze środkami wybuchowymi.

- Tutaj badano środki wybuchowe - oświadczył.

- Ależ nie - zaprzeczył Pietuchow. - *5Jj? są ślady młotka, którego używali robotnicy wstawiając drzwi. Widzi pan, fabryka wyprodukowała drzwi, które nie pasowały do otworu w ścianie.

Była to szybka, lecz głupia odpowiedź. Wszyscy pracownicy mieli obowiązek nauczyć się lepszemu: tak, rzeczywiście testowaliśmy tutaj środki wybuchowe, ale do działań obronnych. W jakież inny sposób mielibyśmy chronić naszych żołnierzy, gdybyśmy nie poznali funkcjonowanie aerozoli zawierających broń biologiczną?

Myślę jednak, że fakt, iż Pietuchow zapomniał wyuczonego tekstu, nie miał większego znaczenia. Delegaci i tak wyciągnęliby właściwe wnioski; podawanie wiarygodnych odpowiedzi było tylko kwestią naszej zawodowej dumy.

Tamtego wieczora kolację w Oboleńsku jedliśmy w stołówce dla dyrekcji. Stoły uginają się od butelek z koniakiem, jednak plan, żeby gości upić, nie powiódł się.

- Chcę, żebyście wiedzieli, że nie wierzę w ani jedno wasze słowo - rzekł Davis do mnie przy kolacji, kiedy rozmawialiśmy przez tłumacza. - Wiemy wszystko.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli - odparłem, starając się wyglądać na zdumionego. - Ale może pan wierzyć, w co pan tylko chce.

Po dwóch dniach w Oboleńsku Urakow zatelefonował do Kalinina.

- Kanjatan i ja tworzymy świetny zespół - przechwalał się. - Niczego nie ujawniliśmy.

Wizyta w Oboleńsku miała zakończyć moje obowiązki jako gospodarza. Nie zdziwiłem się jednak, kiedy Kalinin powiadomił mnie, że „Dawidów ma pilne obowiązki”.

- Wiem, że mi nie uwierzycie - powiedział Dawidów, kiedy spotkaliśmy się w gabinecie Kalinina. - Muszę jednak wyjechać do Irkucka, żeby sprawdzić nowy obiekt, w którym prowadzone są badania nad strukturą białek.

- Znam ten program - odparłem. -1 wiem, że nie ma tam nic naglącego.

- Nie ma sensu się kłócić - wtrącił się Kalinin. - Dobrze pracowaliście, nasi goście dziwiliby się, dlaczego nagle zniknęliście.

Potrafiłem czytać w myślach Kalinina. Jeśli cała wizyta przebiegałaby gładko, Biopreparat wypadłby w dobrym ^ietle. Natomiast gdyby coś poszło nie tak, winą można by obarczyć mnie. Kalinin i Dawidów wiedzieli, jak bardzo byłem przeciwny programowi. I chcieli się mnie pozbyć.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem do domu, żeby spakować się przed wyjazdem na Syberię.

Zwróciliśmy się do Gosplanu o przyznanie nadzwyczajnych funduszy na samolot czarterowy do Kolcowa, gdzie w Wektorze czekał na nas Sandakczow. Samolot wart był wydatkowania dodatkowych pieniędzy.

Chcieliśmy mieć pełną kontrolę nad cudzoziemcami w drodze do tajnych obiektów wojskowych na Syberii.

Z Moskwy wylecieliśmy późnym popołudniem. Złe warunki atmosferyczne nad Uralem zmusiły nas do lądowania w Swierdłowsku.

Takie opóźnienia w czasie syberyjskiej zimy są zjawiskiem normalnym, pasażerowie na kontynuowanie lotu czekają niekiedy nawet kilka dni. Tymczasem nasi goście odczytali to jako jeszcze jeden dowód na radziecką obłudę. Chętnie wyjaśniłbym im, że rosyjska zima nie okazuje szacunku ani komunistom, ani kapitalistom, jednak trzymałem język za zębami.

Kiedy tylko dowiedzieli się o miejscu lądowania, z wielkim niepokojem przyjęli

wieść, że zostali uwięzieni w mieście, gdzie w 1979 roku wydarzył się wypadek z węglikiem, który po raz pierwszy wywołał podejrzenia Zachodu.

- Nie zostaniemy tutaj długo - uspoka-
jałem ich. - Wystartujemy, kiedy tylko no-
wosybirskie lotnisko znów zacznie przy-
mować samoloty.

Kilku z nich wyszło z pomieszczeń dla
VIP-ów i zajrzało do poczekalni, szybko jed-
nak się cofnęli przerażeni, zobaczywszy
hordy podróżnych siedzących na bagażach
lub śpiących na podłodze. Kiedy o czwartej
rano pojawił się pilot z wiadomością, że
możemy wyruszyć w dalszą drogę, udali się
za nim z wyraźną ulgą.

Wyszliśmy na zlodowaciałą płytę lotniska
i czekaliśmy, aż pilot skończy mocować się z

drzwiami samolotu, które w nocy zamarzły. Pracownicy bezpieczeństwa nie próżnowali podczas nieplanowanego postoju. Kiedy opuściliśmy pomieszczenia dla VIP-ów, jedna z kobiet poskarżyła się, że zginęła jej torebka.

- To pewnie któryś z pracowników lotniska - powiedziałem, choć wątpiłem, aby ktokolwiek ośmielił się zbliżyć do grupy tak silnie obstawionej przez funkcjonariuszy KGB.

W Kolcowie inny członek delegacji spostrzegł, że ktoś otworzył jego bagaż. Kiedy zwróciłem się w tej sprawie do Jermoszyna, udał wielkie oburzenie i protestując, wycofał się.

Sandakczow oczekiwał nas na nowosybirskim lotnisku z wołgami i mikrobusami. Okazał się jeszcze lepszym

gospodarzem niż Urakow. Szczerze cieszył się z okazji spotkania zachodnich naukowców.

Oni jednak nie podzielali jego entuzjazmu. Kiedy tylko wylewny Armeńczyk przystąpił do wykładu o najnowszych osiągnięciach radzieckiej nauki, przerwano mu.

- Bardzo prosimy - rzekł zirytowany członek delegacji - aby pokazał nam pan swoje laboratoria.

Sandakczow sprawiał wrażenie rozczarowanego. Gości znów ostrzeżono o grożącej im kwarantannie, a następnie oprowadzono po kompleksie.

Widziałem, jak ze zdumieniem przyglądają się gigantycznym stalowym kadziom fermentacyjnym, wielokrotnie większym niż wykorzystywane przez zachodnie firmy

farmaceutyczne do masowej produkcji szczepionek. Zaprowadziliśmy ich do jednego z najważniejszych laboratoriów badawczych Wektora - jednak pokazaliśmy tylko to, co znajdowało się na parterze.

Na górnych piętrach prowadzono badania nad patogenami, takimi jak Ebola, Machupo, Marburg, Junin, wywołującymi gorączki krwotoczne, nad wirusami kleszczowego rosyjskiego zapalenia mózgu oraz innymi chorobami.

Goście spytali, czy mogą pobrać próbki powietrza i wymazy z pomieszczeń laboratoryjnych.

- Nie próbujemy ukryć faktu, że dla celów obronnych prowadzimy tutaj prace nad niebezpiecznymi substancjami - powiedziałem. - Nie otrzymałem jednak żadnych

instrukcji dotyczących wywozu próbek z kraju. Nie chcielibyśmy odpowiadać za straszliwy w skutkach wypadek.

Oni także tego nie chcieli.

- Zawsze mogę wystąpić o takie pozwolenie - dodałem usłużnie. - Może to trochę potrwać, musielibyście państwo poczekać tutaj na odpowiedź, ale jestem pewien, że będziecie dobrze traktowani.

Delegaci więcej nie naciskali.

Wraz z Sandakczowem z ulgą spostrześliśmy, że cudzoziemcy nie przywieźli specjalistycznego sprzętu. Od miesięcy żyliśmy w strachu, że goście będą wyposażeni w najnowocześniejsze urządzenia do wykrywania DNA wirusów. Taka aparatura dostarczyłaby niezbitych dowodów, że

pracowaliśmy nad ospą, a wówczas musielibyśmy gęsto się tłumaczyć. -

Jedynym członkiem naszego zespołu, który najwyraźniej dobrze się bawił, był Jermoszyn. Był przekonany, że wśród członków delegacji amerykańskiej trafnie rozpoznał przełożonego oficerów wywiadu i z wielką wylewnością bezustannie usiłował „podstawić mu nogę”.

- Zna rosyjski i z pewnością wie o biologii równie mało jak ja - Sawa radośnie szeptał mi do acha. - Wszystkie pytania, jakie zadaje, są natury politycznej.

Kiedy znaleźliśmy się w Leningradzie, rozluźniłem się. Najgorsze było już za nami. W dawnym instytucie Pasecznika nic nie przedstawiało dla nas zagrożenia. A w każdym razie tak mi się wydawało.

Podczas oprowadzania gości jeden z nich zatrzymał się przed imponującą maszyną.

- Co to jest? - spytał.

Jęknąłem w duchu. Zapomniałem o „odrzutowym młynie” Pasecznika, który za pomocą silnego strumienia powietrza przemieniał mieszaniny bakterii i wirusów w drobny pył. Urządzenie byfo zbyt ciężkie, aby można je przenieść. Nikt nie poinformował mnie, że nadal jest używane. W milczeniu przeklinałem Pasecznika.

Wicedyrektor instytutu Winogradów zdobył się na błyskawiczną, bezczelną odpowiedź.

- Do soli - wyjaśnił. - Używany tego do mielenia soli.

Myślę, że w tamtej chwili nasi goście mieli już dosyć. Nawet nie zdobyli się na uśmiech.

Pewnego wieczora w hotelu, w którym mieszkali, urządziliśmy bankiet. Wstałem, żeby wznieść toast.

- Wiem, iż uważacie, że nie byliśmy zbyt otwarci - powiedziałem. - Ale proszę, pamiętajcie, że to był dla nas wszystkich pierwszy raz po tak wielu latach nieufności pomiędzy naszymi krajami. Wszyscy mamy swoje tajemnice - w tym miejscu zrobiłem znaczącą pauzę - w bioobronie... Ale przecież nie będzie to wasza ostatnia wizyta, a i my cieszymy się, że wkrótce będziecie nas gościć. Nasze stosunki poprawią się, wszystko może zmienić się tylko na lepsze.

Byłem dość dumny z tego przemówienia. Myślałem, że zawierało odpowiednią dawkę szczerości i dyplomacji. Poprzedniego dnia siły koalicyjne pod amerykańskim przywództwem rozpoczęły w Kuwejcie operację Pustynna Burza. Postanowiłem osłodzić tę chwilę wyrazami solidarności.

- Chciałbym, aby państwo wiedzieli, że wielu radzieckich obywateli popiera wasze działania w Iraku - ciągnąłem. - Szczerze życzę wam zwycięstwa.

Z niezrozumiałych powodów nikt nie zareagował na moje słowa. Zacząłem się zastanawiać, czy tłumacz czegoś nie przekręcił.

- Kanjatanie - szepnął mi Jermoszyn po kolacji. - Myślę, że powinieneś trzymać się z dala od polityki.

W dwa tygodnie po wyjeździe delegacji Biopreparat przygotował raport dla Komisji Wojskowo-Przemysłowej. Utrzymywaliśmy w nim, że osiągnęliśmy skromne zwycięstwo. Choć delegacja widziała dość, aby wzbudziło to podejrzenia, jej członkowie niczego nie mogli udowodnić, a my nie zdradziliśmy żadnych tajemnic.

Kalinin był niemal równie dumny ze mnie jak wtedy, kiedy w Omutninsku opracowałem broń zawierającą tularemie.

Powróciłem do gabinetu w Biomaszu z myślą, że zasłużyłem sobie na prawo do przekształcenia choćby drobnej części bezkresnego imperium Biopreparatu na działalność użyteczną.

Wiosną i latem Związek Radziecki popadał w coraz większe polityczne

zamieszanie. Naukowcy pod moim dowództwem sprawiali wrażenie zachwyconych pracą „pokojuwą”. Jeden zespół zajął się przekształcaniem przenośnych fabryk wykorzystywanych do napełniania „bombek” czynnikami biologicznymi w zautomatyzowane linie produkcji szczepionek.

Coraz mniej czasu spędzałem na ulicy Samokatnej. Niekiedy pojawiałem się tam, żeby przywitać się z przyjaciółmi, jednak od gabinetu na pierwszym piętrze starałem się trzymać jak najdalej.

Niekiedy odbierałem telefon od zdenerwowanego Kalinina.

- Niedawno usiłowałem was znaleźć i zawiadomić o zebraniu Komitetu Centralnego - powiedział. - Ale nigdy was nie ma. Nie

myślcie, że dam się zwieść. Wiem, do czego zmierzacie.

Wówczas jednak było mi już wszystko jedno. W końcu przestał zapraszać mnie na „pilne” zebrania, które niegdyś stanowiły tak ważną częśćkę mego życia.

Jednym z powodów, dla których Kalinin niewiele mógł zdziałać w związku ze zmi-
anami, jakie poczyniłem w Biomaszu, był fakt, że oficjalna polityka państwa wspierała teraz przekształcanie produkcji wojskowej w cywilną, choć transformacja taka niekiedy bywała śmiechu warta. Na przykład pracownicy moskiewskiej fabryki produkującej myśliwce nagle zaczęli robić pralki i kuchenne miksery. Produkty te były tak złej jakości, że trudno wyobrazić sobie, aby chciał

je kupić nawet najbardziej zdesperowany konsument.

Równocześnie nasza zmilitaryzowana gospodarka bezsprzecznie podlegała zmianom. Niektórzy cywilni kierownicy Biopreparatu odeszli do innej pracy.

Dowiedziałem się, że Kalinin miał łopoty z utrzymaniem pewnych dużych programów badawczych. Ograniczył budżet mojego instytutu, uzasadniając to tym, że wszyscy kierownicy muszą zaciskać pasa.

Brak pieniędzy zmusił mnie do szukania pomocy gdzie indziej. Walerij Popów, przyjaciel z Biopreparatu, który opuścił tę instytucję i został szefem nowo powstałego rosyjskiego Stowarzyszenia Biomedycznego i Farmaceutycznego, zaproponował, że

pomoże mi w zdobyciu funduszy na niektóre projekty.

Latem Popów skontaktował mnie z amerykańskim biznesmenem Joelem Taylorem, emerytowanym pracownikiem kierowniczego szczebla firmy zbrojeniowej z Austin w Teksasie, który prowadził firmę Cornucopia. Taylor był autorem planu polegającego na wysyłaniu używanego sprzętu z amerykańskich szpitali do Rosji, jednak nie mógł poradzić sobie z transportem.

Zatelefonowałem do przyjaciela pracującego w Ministerstwie Obrony, który oświadczył, że ministerstwo chętnie udostępni samolot transportowy, jeśli zainteresowany wpłaci trzydzieści tysięcy dolarów na pokrycie kosztów paliwa. Popow i ja część

pieniędzy uzyskaliśmy w Moskwie ze źródeł prywatnych. Po kilku tygodniach rozmów Ministerstwo Zdrowia wyraziło zgodę na pokrycie reszty wydatków.

- Umówiłem ministra z Joelem Taylorem
- któregoś dnia rzekł z podnieceniem Popów.
- Chcecie się przyłączyć?

Chętnie przystałem na tę propozycję. Spotkanie miało się odbyć 19 sierpnia.

Trzy dni

Moskwa, sierpień 1991

Rankiem w dniu, kiedy Związek Radziecki miał ostatecznie przejść do historii, wybierałem się do lekarza. Zdążyłem się już ubrać, kiedy zadzwonił telefon. Była siódma. Sekretarka Joela Taylora przeprosiła, że dzwoni tak wcześnie.

- Czy nadal wybiera się pan na spotkanie w Ministerstwie Zdrowia? - spytała.

- Naturalnie - odparłem nieco rozdrażniony. - A nie powinienem?

- Nie wie pan, co się dzieje? - Nie.

- To proszę włączyć telewizor - powiedziała. - Zadzwonię za kilka minut. Włączyłem

telewizor. Na ekranie balerina tańczyła Jezi-oro łabędzie. Ten sam stary film z baletem Czajkowskiego można było podziwiać na wszystkich kanałach. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego rządzący nie postarali się o wersję lepszą technicznie: to samo pokazywali, kiedy umarł Breżniew. Był to nieomyślny znak, że doszło do wydarzenia wagi państwowej.

Na ekranie pojawiła się spikerka i przemówiła klasycznym sowieckim językiem, nieobecny w telewizji Związku Radzieckiego od dobrych kilku miesięcy. Poinformowała, że właśnie powstał specjalny komitet, który przejął władzę w państwie. Radzieccy obywatele powinni pamiętać o swoich obowiązkach wobec ojczyzny i

zachować spokój. Po czym na ekranie znów pojawił się balet.

Po chwili zadzwoniła sekretarka Taylora.

- Co się dzieje? - spytałem.

Pierwsze wiadomości nadano o szóstej. Gorbaczow zachorował na swej daczce na Krymie, wobec czego władzę „tymczasowo” przekazał GKCzP, czyli Państwowemu Komitetowi Stanu Wyjątkowego.

- I tak przyjdę - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Usiadłem na łóżku, wściekły. Tamtego lata z zainteresowaniem śledziłem bieg politycznych wypadków. Pod koniec lipca prezydent Bush przyjechał do Moskwy na kolejne spotkanie na szczycie z Gorbaczowem. 2 sierpnia Gorbaczow ogłosił, że zamierza podpisać traktat przyznający

republikom radzieckim nowe przywileje, łącznie z prawem poboru podatków - byłaby to od dziesięcioleci najbardziej radykalna zmiana w strukturze federalnej Związku Radzieckiego. 4 sierpnia wyjechał z rodziną na Krym. Oficjalne podpisanie traktatu miało nastąpić 20 sierpnia, w dniu, kiedy planował powrót z wakacji. Dziś był dziewiętnasty i nie zanosilo się na to, aby Gorbaczow miał wrócić następnego dnia - i aby w ogóle miał wrócić.

Lena siedziała obok mnie na łóżku i również wpatrywała się w telewizor. Inny spiker odczytywał „rozkaz numer jeden”, wydany przez GKCzP. Wszystkie instytucje rządowe podporządkowano komitetowi. Zakazano działalności partiom politycznym, strajków i demonstracji.

Nazwiska członków komitetu w pierwszej chwili zaskoczyły mnie, jednak po chwili uzmysłowiłem sobie, że skład jego jest niepokojąco logiczny.

Giennadij Janajew, biurokrata o ziemistej twarzy, którego Gorbaczow przed kilkoma miesiącami mianował wiceprezydentem, stanął na czele komitetu. Dołączył do niego minister obrony marszałek Dmitrij Jazów, muskularny generał, którego Gorbaczow wybrał, żeby w 1987 roku wstrząsnąć szeregami armii, oraz szef KGB Władimir Kriuczukow, który zalecił zamknięcie naszego programu broni biologicznych.

Wśród pozostałych spiskowców znaleźli się Anatolij Łukianow, przewodniczący Rady Najwyższej, jeden z najlepszych przyjaciół Gorbaczowa; Oleg Bakłanow,

odpowiedzialny w Komitecie Centralnym za sektor wojskowy; Borys Pugo, minister spraw wewnętrznych; Walentin Pawłow, premier; Aleksander Tizjakow, przewodniczący Związku Przedsiębiorstw Państwowych, oraz Wasilij Starodubcew, szef związku przewodniczących kołchozów.

Była to zbieranina miernot, których czasy się kończyły - z takimi ludźmi musiałem radzić sobie przez całą karierę zawodową. Baklanow był blisko związany z zarządem Biopreparatu.

- Myślisz, że Gorbaczow naprawdę zachorował? - spytała Lena.

- Jest równie chory jak ja - odparłem.

Sława czekał na mnie w wołdze. Zawiózł mnie do wojskowego szpitala, ale po drodze niewiele rozmawialiśmy.

Tego ranka w Biomaszu prawie nikt się nie odzywał. Mijając mnie na korytarzu, ludzie spuszczały głowy. Przed drzwiami mego gabinetu spacerował tam i z powrotem szef komórki partyjnej naszego instytutu. Na mój widok uśmiechnął się znacząco.

Zaledwie przed miesiącem nakazałem mu wyprowadzić się z budynku wraz z papierami i jego personelem. Podstawą był dekret prezydenta Rosji Borysa Jelcyna, zakazujący partiom politycznym działalności na terenie rządowych instytucji w Rosji.

- Czego chcecie? - spytałem.

- Słyszeliście chyba, co się dzieje? - odparł. - Wygraliśmy!

- Jacy „my”?

- Partia... Normalne rządy... - wyjaśnił z entuzjazmem. - Jesteśmy gotowi, aby z powrotem wprowadzić się do budynku.

- Nic podobnego - powiedziałem. Uśmiech na jego twarzy zgasł.

- Co takiego?

- Nigdy nie wróćcie. Takie było polecenie Jelcyna, a on jest prezydentem Rosji.

- Będziecie tego żałować - rzekł groźnie.

- Wynoście się! - powiedziałem.

Kiedy odszedł, w moim gabinecie zaroilo się od członków zarządu i kierowników. Jeden czy dwóch, którzy słyszeli wymianę zdań, uściśnęło mi dłoń, ale rozmowy były sztywne i wymuszone. O porannych wydarzeniach mówiliśmy tak, jakby zaistniały gdzieś daleko. Wszyscy mieli się na baczność.

Ludzie po cichu opowiadali się po jednej ze stron.

Z Joelem Taylorem spotkałem się o pierwszej po południu, ale minister w ogóle nie przyszedł. Po półgodzinie wzajemnych grzeczności powiedziałem tłumaczowi, aby doradził gościowi powrót do domu.

- Powiedzcie mu, że teraz nikt nie wie, co się wydarzy - stwierdziłem. Kiedy ruszyłem do samochodu, ktoś wspomniał, że przed Białym Domem, siedzibą Rady Najwyższej Rosji, zaczyna gromadzić się tłum.

Później tego samego dnia zatelefonował do mnie Kalinin i poprosił, żebym przyjechał na Samokatną. Na moje życzenie Sława nadłożył drogi, żebyśmy mogli przejechać przez Krasnopriesnienską, w pobliżu Białego Domu.

Sława uśmiechnęła się, po raz pierwszy tego dnia.

Kiedy zbliżyliśmy się do gmachu parlamentu, tłum na ulicy był tak wielki, że nasz samochód musiał się zatrzymać. Wsiadłem i ruszyłem dalej pieszo. Usłyszałem kilka przekleństw z ust przechodniów, którzy widzieli, że wysiadam ze służbowego samochodu, szedłem jednak dalej. W miejscu, gdzie ulice prowadzą w stronę parlamentu, ludzie ułożyli stosy worków ze śmieciami jako prowizoryczną barykadę. Gigantyczny biały gmach otaczał gęsty tłum, który wypełniał już całą przestrzeń aż do rzeki Moskwy, a wciąż przybywali nowi ludzie. Ktoś przyniósł koce i torby z żywnością.

Kręciłem się tam dobre pół godziny, potem wycofałem się do samochodu, którego Sława pilnie strzegł.

- Podobno Jelcyn wezwał wszystkich mieszkańców Moskwy, żeby zgromadzili się pod Białym Domem - powiedział. - Niektórzy zamierzają pozostać tutaj przez całą noc.

Według późniejszych szacunków tamtego popołudnia przed Białym Domem zebrało się dwadzieścia pięć tysięcy zwolenników rządu. Wkrótce liczba ta wzrosła ponad trzykrotnie.

W gabinecie Kalinina spotkały się osoby zajmujące najwyższe stanowiska kierownicze, z Jermoszynem, Dawidowem i kilkoma szefami rządów włącznie. Byli pogrążeni w rozmowie.

Dawidów, siedzący najbliżej drzwi, złapał mnie za ramię. Jego twarz błyszczała od potu.

- Kanjatanie - rzekł w upojeniu - to cudowne!

- Co jest cudowne?

- Wreszcie zaTnknęli tego durnia Gorbaczowa. Człowieka, który niszczył nasz kraj. Trzeba go powiesić!

Nadal żywe było we mnie to uczucie, którego doświadczyłem pod Białym Domem. Kiedy rozejrzałem się po pokoju, uderzyło mnie, że nikt nie sprawiał wrażenia zaskoczonego zamachem stanu. A wypowiedziane przez Dawidowa „wreszcie” zabrzmiało bardzo złowróźnie.

Kalinin nigdy nie ukrywał sympatii, jaką żywił do krytyków Gorbaczowa. W kręgach

cywilnych i wojskowych biurokratów najwyższych szczebli od miesięcy krążyły pogardliwe opinie na temat genseka. Nasz minister Byków słowo „pluralizm”, jedno ze sformułowań często oowtarzanych w epoce Gorbaczowa, wymawiał tak, jakby splotował. Wypowiadane półgłosem słowa „o gnojku, którego należy wyrzucić”, słyszałem tak często, że przestałem zwracać na nie uwagę. Kalinin z pewnością został ostrzeżony przez swych przyjaciół na górze - byliśmy organizacją wojskową, a cały Biopreparat postawiono w stan pogotowia.

Mnie nie darzono już zaufaniem, ale zawsze można było polegać na Dawidowie. Jego promieniejąca twarz nagle wydała mi się odrażająca. Po raz pierwszy w swej

karierze straciłem panowanie nad sobą. W pokoju zapadła cisza.

- Nie mogę się doczekać, czy powiecie, gdy Gorbaczow wróci! - wykrzyczałem w twarz Dawidowowi, który cofnął się, jakbym go uderzył.

Kalinin wstał.

- Kanjatanie, uspokójcie się - rozkazał. - Nie ma powodu do niepokoju. Gorbaczow ciężko się rozchorował. Możecie mi wierzyć.

- Powiedzcie to ludziom, którzy czekają pod Białym Domem - odparłem. - Może przekonacie ich, żeby opuścili barykady.

- Jakie barykady? - spytał ktoś.

Opisałem to, co zobaczyłem. Kalinin potrząsnął głową. Pozostali patrzyli na mnie.

- Jeśli tylko ludzie potrafiliby to zrozumieć - powiedział. - Kraj jest teraz w bardzo

dobrych rękach. Nie ma powodu do niepokoju.

- Uważam, że jest się o co niepokoić! - znowu się zdenerwowałem. Kalinin westchnął i spojrzał na zegarek.

- Myślę, że już czas, abyśmy wrócili do domów. Jutro przedyskutujemy tę sprawę ponownie.

Wychodząc, spytałem Jermoszyna, o czym rozmawiali.

- Musimy zdecydować, czy napisać list popierający GKCzP - wyjaśnił Jermoszyn. - Kalinin uważa, że to nasz obowiązek. - Po czym spytał szeptem: - Czy tam naprawdę są barykady?

- Sam zobacz - odparłem gniewnie.

- Wiem, że jesteś zły - powiedział niezrażony. - Powiem ci jednak coś, od czego

tylko bardziej się rozzłościł. Kalinin wczesnym rankiem wezwał Urako-wa z Oboleńska i nakazał mu zorganizować oświadczenie popierające komitet. Urakow pogonił oficerów i tekst był gotowy już w południe. Dziwię się, że nie zwrócił się do ciebie w tej sprawie.

Jermoszyn w ciągu dwóch kolejnych dni nie pojawił się w pracy. Później zwierzył mi się, że „zachorował”, aby nie wykonywać „głupich rozkazów”. Myślałem, że zostałem całkiem sam.

Siedząc w gabinecie, pospiesznie sporządziłem zrzeczenie się członkostwa KPZR, a następnie udałem się do komórki partyjnej na tym samym piętrze. Pomimo dekretu Jelcyna Kalinin nie zezwolił na jej likwidację.

Sekretarz partii ucieszył się na mój widok.

- Nie martwcie się, Kanjatanie - powiedział - wszystko macie opłacone.

- Proszę? - spytałem zdziwiony.

- Od rana wszyscy przychodzą i płacą za-
ległe składki - wyjaśnił nieco sarkastycznym
tonem. - Od miesięcy wzdragali się przed
tym, teraz zrozumieli, że popełnili błąd.
Sprawdzałem wasze papiery, należycie do
nielicznych, którzy nie zalegają z opłatami.

Wręczyłem mu rezygnację. Jego twarz
stężała.

- Rezygnacja? Wy chyba postradaliście
zmysły? - powiedział. Wieczorem, kiedy z
Leną kładliśmy się do łóżka, usłyszałem w
oddali jakiś dźwięk przypominający chrzęst
metal. Były to czołgi nadjeżdżające z

jednostki wojskowej położonej na północ od Moskwy.

Następnego ranka Sława miał markotną minę.

- Słyszeliście czołgi? - spytał.

- Tak.

- Drugi kordon nadchodzi z południa - ciągnął drewnianym głosem. - Kierują się w stronę Białego Domu.

W owym czasie nie wiedzieliśmy jeszcze, że pierwszy batalion pancerny, który tamtego ranka znalazł się pod Białym Domem, skierował działa w stronę Kremla. Dowódcy postanowili bronić Białego Domu, a nie atakować.

Kiedy przybyłem do Biomaszu, wszyscy rozprawiali o telewizyjnej transmisji z konferencji prasowej, na której członkowie

komitetu po raz pierwszy wystąpili publicznie. Utrzymywali, że wszystko jest w najlepszym porządku, obiecali także, że oddziały wojskowe „zaprowadzą w stolicy spokój”. Pomimo cenzury mediów rosyjscy reporterzy odważyli się wnosić oskarżenia przeciwko samozwań-czym „wyzwolicielom narodu”, którzy dokonali zamachu stanu. Kamery skupiły się na Janajewie; jego drżące ręce stanowiły dowód, że pił niemal przez cały dzień. „Pełniący obowiązki prezydenta” uosabiał zagubienie pozostałych towa-rzyszy-spiskowców. W wyniku nieudolności lub niedopatrzienia nie aresztowano Borysa Jelcyna, a także innych czołowych polityków, którzy teraz schronili się w Białym Domu.

Jednak cała ta historia, jakby żywcem wzięta z opery komicznej, nie dawała

powodów do optymizmu. Ludzie ci mogli zdecydować się na desperackie posunięcia. Krążyły plotki o planach nocnego ataku na gmach parlamentu.

W gabinecie napisałem jeszcze dwie rezygnacje. Pierwsza stanowiła zakończenie mojej służby wojskowej, druga informowała, że dłużej nie będę już pracował w Biopreparacie. Listy włożyłem do dwóch kopert i poprosiłem Sławę, żeby dostarczył je na ulicę Samokatną.

Decyzję podjąłem wkrótce po tym, jak usłyszałem chrzęst gąsienic w pobliżu naszego domu. Lena nie namawiała mnie, żebym zmienił zdanie, ale kiedy oświadczyłem, że chcę pójść pod Biały Dom, straciła panowanie nad sobą. Powiedziała, że

powiniennem myśleć o dzieciach, a potem rozplakała się.

Rankiem piłem herbatę, zastanawiając się, co począć, kiedy do mojego gabinetu wkroczyła delegacja złożona z przedstawicieli kilku departamentów.

- Chcemy się dowiedzieć, co powiedziano wam w kwaterze głównej - oświadczył jeden z delegatów. W skrócie zrelacjonowałem im przebieg spotkania u Ka-linina, a także wspomniałem o deklaracji oboleńskiego instytutu.

- Powinniśmy wydać własne oświadczenie - rzekł szef jednego z laboratoriów. - Powinniśmy opowiedzieć się po stronie demokracji.

Rozejrzałem się, ludzie kiwali głowami.

- Jeśli oświadczenie ma zostać napisane w imieniu instytutu - rzekłem - powinniśmy

omówić tę sprawę na zebraniu całego zespołu. Wszyscy powinni mieć szansę, żeby się wypowiedzieć.

O trzeciej po południu w sali, w której zazwyczaj odbywały się konferencje naukowe, stłoczyło się ponad czterysta osób. Ponieważ nie było tylu krzeseł, niektórzy usiedli na podłodze. Pozostali rozsiedli się na stołach, wachlując się kopertami z powodu upału. Przyglądając się ich wystraszonemu twarzom, myślałem, czy podobne sceny rozgrywają się w tej samej chwili w innych moskiewskich instytucjach rządowych.

Wstałem, rozmowy na sali ucichły.

- Nie przyszedłem tutaj po to, aby wpływać na waszą opinię - zacząłem. - Nie mogę mówić do was jako dyrektor instytutu, jedynie jako obywatel Związku Radzieckiego. A

jako obywatel Związku Radzieckiego uważam, że mamy do czynienia z puczem.

Nie mogłem dalej mówić, sala zgotowała mi owację. Niektórzy stawali na stołach i wznosili do góry zaciśnięte pięści.

Powiedziałem, że za ich zgodą wystosuję w imieniu instytutu deklarację popierającą Gorbaczowa i Jelcyna, i wyślę ją do Białego Domu. Następnie odczytałem szkic listu, który napisałem wraz z szefami departamentów.

- Kto się z tym zgadza? - spytałem. Uniósł się las rąk.

- Kto jest przeciw?

Dwie osoby podniosły ręce. Ich sąsiedzi zaczęli złorzeczyć i gwizdać.

- Pozwólcie im wyjaśnić, dlaczego - zawołałem, starając się przekrzyczeć gwar.

Jednym z oponentów był naukowiec, do którego żywiłem wielki szacunek. Cierpliwie odczekał, aż ucichną odgłosy dezaprobaty, po czym wstał i zwrócił się do wszystkich:

- Teraz przynajmniej mamy normalny rząd - powiedział drżącym z emocji głosem. - Gdybyśmy pozwolili, żeby sprawy dalej szły w dotychczasowym kierunku, wkrótce kraj rozsypałby się na kawałki. Mój ojciec zginął na wojnie po to, żeby tak się nie stało.

Kiedy skończył, kilka osób skinęło głowami na znak aprobaty.

- Wysłać list! - krzyknął ktoś.

- Wysłać list! - zawtórował tłum.

Kierowcy wyruszyli z kopiami listu do Biłego Domu, rezydencji Gorbaczowa, kwatery głównej Biopreparatu. Tekst otrzymała także „Obszczaja Gazieta”, nowe pismo

redagowane przez dziennikarzy, którzy nie podporządkowali się cenzurze GKCzP.

Kiedy wróciłem do gabinetu, znalazłem notatkę od sekretarki Kalinina. Zadzwoiłem do niej natychmiast.

- Czy będziecie w biurze po południu? - spytała.

- Tak. Dlaczego?

- Dyrektor zamierza złożyć wam wizytę - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Kalinin pojawił się o piątej. Przyniósł moją rezygnację oraz kopię listu Biomaszu. Miał podkrążone oczy i nieuczesane włosy. Znałem go od wielu lat, nigdy jednak nie wyglądał na tak przestraszonego.

- Wiecie co - uśmiechnął się blado, żeby przełamać milczenie. - Chętnie napiłbym się herbaty.

Zajął miejsce naprzeciwko i położyła biurku papiery. Kiedy pojawiła się herbata, wypił ją chciwie.

- Czy dobrze się czujecie? - spytałem.

- Miewałem lepsze dni - odparł cicho. Siedzieliśmy w milczeniu, cisza zaczęła mnie męczyć.

- Dlaczego przyszliście? - spytałem.

Nie odpowiedział, odstawił filiżankę i położył obie ręce na biurku. Najwyraźniej próbował się uspokoić.

- Kanjatanie - rzekł w końcu - chcę się wam do czegoś przyznać. Mam wiele szacunku dla Gorbaczowa... powinniście to wiedzieć. Kiedy to wszystko się stało, nie wiedziałem, co robić. Wczorajszej nocy w ogóle nie*1 mogłem spać.

Czekał na to, co powiem, ale ja milczałem. Ciągnął więc dalej.

- Cały kłopot w tym, że ci przywódcy - Jazów, Pugo, Bakłanow - to porządni ludzie. Dobrze ich znam. To dobrzy obywatele, kochają swoją ojczyznę. Co należy o tym myśleć?

- Nie mogę wam powiedzieć, co macie myśleć - odparłem. - Ale kim są ci przywódcy? Kto ich wybrał?

- Nie o to chodzi - przerwał mi Kalinin, w jego głosie zabrzmiała nuta dawnej szorstkości. Potem znów usiadł głębiej w fotelu. - Usiłuję wam tylko powiedzieć, że oni kochają swoją ojczyznę - ciągnął. - Są patriotami, jak ja i wy, jak my wszyscy.

- Towarzyszu generale, podjąłem już decyzję. Wy także będziecie musieli to zrobić.

Kalinin zakrył oczy dłonią. Wyglądało to tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Nie rozumiecie, Kanjatanie, nie rozumiecie, jak trudno... - urwał, nie mogąc mówić dalej.

Odwróciłem wzrok. Znałem Kalinina zbyt dobrze, aby wierzyć, że kiedykolwiek wybaczy mi, iż byłem świadkiem chwili jego słabości.

Pomimo to przez następną niezwykle godzinę rozmawialiśmy jak nigdy dotąd. Opowiedział mi o problemach, które go trapią, o kłódach rzucanych mu pod nogi przez biurokratów z Komitetu Centralnego, którzy chcieli zająć jego miejsce, przez Komisję Wojskowo-Przeogysłową, przez wszystkich rywali. Człowiek, który nigdy nie stracił

głowy, mówił do mnie nie jak do podwładnego, lecz do spowiednika.

I raptem zamilkł tak nagle, jak zaczął.

- Widzicie, rzecz w tym, że... to są nasi ludzie - rzekł szorstko, starając się odzyskać rezon.

- Nie moi - odparłem. - Popieram naszego prezydenta. Może nie został wybrany demokratycznie, ale...

Kalinin przerwał mi gestem r|ki.

- Nie zamierzam się z wami kłócić, Kanjatanie - westchnął. - Proponuję zawarcie kompromisu.

Wskazał na leżące na biurku dokumenty.

- To... przedwczesne - powiedział. - 26 sierpnia odbędzie się posiedzenie Rady Najwyższej. Łukianow ogłosił już, że wówczas będzie się dyskutować o tej sprawie.

Dlaczego nie zaczekamy i nie przekonamy się, co się stanie, zamiast podejmować pochopne decyzje?

Moja sympatia dla Kalinina gdzieś się rozviała. Cel jego wizyty stał się dla mnie zupełnie jasny: podobnie jak ja rozumiał znaczenie barykad pod Białym Domem. Był dostatecznie przebiegły, aby wiedzieć, że powodzenie zamachu wcale nie jest tak pewne, jak można by wnioskować pierwszego dnia. Ludzie tacy jak Dawidów postrzegali świat w barwach czarno-białych, ale generał był zbyt inteligentny, żeby wierzyć we własne słowa. Nasza deklaracja popierająca Gor-baczowa stanowiłaby dla niego tratwę ratunkową, gdyby Gorbaczow powrócił do władzy, a ja byłem mu potrzebny, żeby tę sprawę usankcjonować.

Pomimo to znów zrobiło mi się go żal. W swej spowiedzi prawdopodobnie wyznał więcej, niż pierwotnie zamierzał.

- Wierzę, że nasza ojczyzna powinna być silna - ciągnął. - Wiem, co sądzicie o naszym programie, ale w tej chwili nie możemy pozwolić sobie na utratę żadnego człowieka.

Spojrzał na mnie i próbował się uśmiechnąć.

- Proszę was. Zostańcie.

Musiałem się szybko zastanowić. To, czy rezygnację złożyłbym teraz, czy później, nie miało żadnego znaczenia dla nikogo oprócz mnie. Jeśli odszedłbym teraz, tak jak planowałem, zespół mógłby poczuć się zdradzony.

- W porządku - powiedziałem. - Obie rezygnacje pozostawię w waszych rękach. Nie

musicie ich przekazywać dalej, jeśli nie chcecie. Jeśli Rada Najwyższa zadecyduje, że komitet stanowi legalną władzę, rozumiem, że przekażecie moją rezygnację dalej. Wówczas opuszczę ten oszalały kraj i wyjadę do Kazachstanu. Natomiast jeśli Rada Najwyższa orzeknie, że to pucz, i powrócimy do status quo, pozostanę w Biopreparacie.

Kalininowi najwyraźniej spadł kamień z serca. Wziął się w garść, wstał i spojrzał na mnie.

- Dla waszego dobra radzę wam, nie podnoście zanadto głowy - powiedział szorstko. - Nie róbcie żadnych głupstw przed obradami Rady Najwyższej.

- To moja sprawa.

Żaden z nas w owej chwili nie mógł wiedzieć, że w tym samym czasie Łukia-now

donosił swym współpiskowcom, że na 26 sierpnia nie udało mu się zebrać kworum deputowanych.

Po nieudanym zamachu stanu Kalinin zniszczył oświadczenie instytutu Urakowa i przez następnych kilka tygodni pokazywał wszystkim deklarację Biomaszu, chwając się, że „my w Biopreparacie” wiedzieliśmy, wobec kogo być lojalnym.

Jeśli komitet zdołałby utrzymać się przy władzy, Kalinin pierwszy zaproponowałby, aby nowy rząd cofnął dekret Gorbaczowa, wstrzymujący produkcję broni biologicznej. I prawdopodobnie nowi przywódcy udzieliliby mu poparcia, nawet Kriuczkow.

Wkrótce potem zmarł Władimir Efebiedinski. Starzejący się generał, który od tak wielu lat kierował XV Zarządem, chorował

od wielu miesięcy. Podczas amputacji nogi doznał wylewu.

Byłem zaskoczony, że tak niewiele osób przyszło na pogrzeb. Dawni towarzysze broni, tacy jak Kalinin czy Urakow, trzymali się z daleka, ponieważ ogólne nastroje wobec przedstawicieli „wojskowego betonu” były teraz nieprzychylnie. Nic bardziej nie wzmo-gło mojej pogardy dla Kalinina niż jego nieobecność tamtego dnia.

Na pogrzebie pojawił się natomiast następca Lebiedinskiego, generał Wa-lentin Jewstigniejew. Z pochyloną głową długo stał nad trumną. Bez względu na to, jak obelżywe było jego zachowanie podczas kłótni na temat przyszłości programu, dostrzegłem w nim człowieka, który gotów jest bronić tego, w co wierzy. Podczas tych trzech

sierpniowych dni wśród biurokratów najwyższego szczebla niewiele było takich ludzi.

W czasie zamachu stanu w pozostałych obiektach Biopreparatu panowała cisza. Jednoznaczne stanowisko zajął tylko instytut Urakowa i mój.

Sandakczow zatelefonował z laboratorium na Syberii, dokąd dotarły wieści o naszej deklaracji.

- Dobra robota, Kanjatanie - rzekł. - Cieszę się, że sprzeciwiście się tym draniom.

- Może wraz z innymi pracownikami Wektora zrobicie to samo? - spytałem.

- Moskwa jest tak daleko - roześmiał się. - A przecież tutaj chodzi o politykę. To nie ma nic wspólnego z nami, absolutnie nic.

Rankiem trzeciego dnia kryzysu, 21 sierpnia, obudził mnie telefon od mężczyzny, który przedstawił się jako oficer dyżurny moskiewskiego okręgu wojskowego.

- Czy to pułkownik Kanjatan Alibekow? - spytał. - Tak.

Mężczyzna odchrząknął.

- Dzwonię, aby poinformować was, <«e, zostaliście aresztowani - powiedział. Lena spała głębokim snem.

- Dlaczego? - spytałem.

- Generał okręgu moskiewskiego ogłosił, że wszyscy oficerowie, którzy nie wypełniają swych obowiązków, zostaną poddani prewencyjnemu trzydziestodniowemu aresztowi - wyjaśnił tonem, który świadczył, że czytał z kartki.

Poprzedniego dnia w tłumie pracowników Biomaszu było wielu wojskowych. Najwidoczniej któryś z nich uznał za swój obowiązek donieść władzom o moim przemówieniu (nie miałem wątpliwości, że informator wraz z innymi głosował za deklaracją).

Przed czterdziestu laty, a nawet przed dwudziestu, nie byłoby takiego telefonu - po prostu ktoś zacząłby walić w drzwi o trzeciej nad ranem. Czasy się zmieniły.

- Dziękuję za informację - powiedziałem.

- Nie ma za co - odparł grzecznie mój rozmówca.

Nie wierzyłem, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Minęła noc, szturm na Białą Dom, czego wszyscy tak się obawiali, jednak nie nastąpił. Parlament Jel-cyna,

otoczony czołgami pułków, które opowiedziały się po stronie rządu Rosji, przetrwał.

- Kto to był? - spytała Lena. Powiedziałem jej. Aż usiadła na łóżku.

- Proszę cię, bądź ostrożny. Mamy troje dzieci.

Kiedy wyszedłem na dwór, było szaro i mżyło. Nie pojechałem do Biomaszu. Sława, który nalegał, że będzie mi towarzyszyć jako nieoficjalny ochroniarz, zawiózł mnie pod Bi-ały Dom.

Nieprzebrany tłum był niespokojny. Pomimo cenzury wszyscy mieli jakieś szczątkowe informacje, którymi dzielili się z innymi. Poprzedniej nocy na jednym z miejskich bulwarów pod gąsienicami czołgów zginęło trzech młodych ludzi. Był to wypadek: załoga czołgu, składająca się z

równie młodych ludzi jak ofiary, wpaSandakczow zatelefonował z laboratorium na Syberii, dokąd dotarły wieści o naszej deklaracji.

- Dobra robota, Kanjatanie - rzekł. - Cieszę się, że sprzeciwiście się tym draniom.

- Może wraz z innymi pracownikami Wektora zrobicie to samo? - spytałem.

- Moskwa jest tak daleko - roześmiał się. - A przecież tutaj chodzi o politykę. To nie ma nic wspólnego z nami, absolutnie nic.

Rankiem trzeciego dnia kryzysu, 21 sierpnia, obudził mnie telefon od mężczyzny, który przedstawił się jako oficer dyżurny moskiewskiego okręgu wojskowego.

- Czy to pułkownik Kanjatan Alibekow? - spytał. - Tak.

Mężczyzna odchrząknął.

- Dzwonię, aby poinformować was, że zostaliście aresztowani - powiedział. Lena spała głębokim snem.

- Dlaczego? - spytałem.

- Generał okręgu moskiewskiego ogłosił, że wszyscy oficerowie, którzy nie wypełniają swych obowiązków, zostaną poddani prewencyjnemu trzydziestodniowemu aresztowi - wyjaśnił tonem, który świadczył, że czytał z kartki.

Poprzedniego dnia w tłumie pracowników Biomazhu było wielu wojskowych. Najwidoczniej któryś z nich uznał za swój obowiązek donieść władzom o moim przemówieniu (nie miałem wątpliwości, że informator wraz z innymi głosował za deklaracją).

Przed czterdziestu laty, a nawet przed dwudziestu, nie byłoby takiego telefonu - po prostu ktoś zacząłby walić w drzwi o trzeciej nad ranem. Czasy się zmieniły.

- Dziękuję za informację - powiedziałem.

- Nie ma za co - odparł grzecznie mój rozmówca.

Nie wierzyłem, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Minęła noc, szturm na Biały Dom, czego wszyscy tak się obawiali, jednak nie nastąpił. Parlament Jel-cyna, otoczony czołgami pułków, które opowiedziały się po stronie rządu Rosji, przetrwał.

- Kto to był? - spytała Lena. Powiedziałem jej. Aż usiadła na łóżku.

- Proszę cię, bądź ostrożny. Mamy troje dzieci.

Kiedy wyszedłem na dwór, było szaro i mżyło. Nie pojechałem do Biomaszu. Sława, który nalegał, że będzie mi towarzyszyć jako nieoficjalny ochroniarz, zawiózł mnie pod Bi-
ały Dom.

Nieprzebrany tłum był niespokojny. Pomimo cenzury wszyscy mieli jakieś szczątkowe informacje, którymi dzielili się z innymi. Poprzedniej nocy na jednym z miejskich bulwarów pod gąsienicami czołgów zginęło trzech młodych ludzi. Był to wypadek: załoga czołgu, składająca się z równie młodych ludzi jak ofiary, wpadła w panikę, widząc, że została otoczona przez gniewny tłum. Radiodbiorniki demonstrantów nastawione były na Wolną Europę oraz Echo Moskwy, piracką radiostację, która nadawała niekończące się

przemówienia wygłaszane w Białym Domu przez deputowanych i zwolenników Jelcyna.

Czołgi zatrzymały się na moście widocznym z Białego Domu. Biwakowały tam setki ludzi. Młodzi żołnierze, głównie poborowi, pozdejmowali hełmy i flirtowali z dziewczynami z tłumu.

Pucz upadał na naszych oczach. Po południu Jelcyn ogłosił, że członkowie komitetu są w drodze na lotnisko Wnukowo na południu Moskwy.

Tłum zaczął wydawać okrzyki zachwytu.

- Aresztujmy ich! - zawołał ktoś.

Tymczasem spiskowcy w rzeczywistości pośpiesznie udali się na Krym, gdzie przez trzy dni przetrzymywali Gorbaczowa wraz z rodziną. Musieli teraz tłumaczyć się z motywów swego postępowania przed

człowiekiem, którego zdradzili. Drugi odrzutowiec z emisariuszem Jelcyna, wiceprezydentem Aleksandrem Ruc-kojem, wystartował zaraz po pierwszym, aby sprowadzić prezydenta do Moskwy.

Obie maszyny wylądowały na Krymie niemal równocześnie. Gorbaczow odmówił spotkania z wysłannikami Kremla i powrócił z Ruckojem. Kriuczukow leciał z powrotem jako jeńiec, siedząc w tyle samolotu.

W jakiś czas później tej samej nocy prezydent Związku Radzieckiego stanął na płycie moskiewskiego lotniska Wnukowo, wraz z żoną Raisą. Gorbaczow niepewnie podniósł rękę w powitalnym geście, a następnie wsiadł do limuzyny, która zawiozła go na Kreml. Pucz dobiegł końca.

Podobnie jak tysiące moskwian, ja także po powrocie do domu po raz pierwszy od trzech dni spałem spokojnie i głęboko.

Tamtej nocy Borys Pugo, kiedy policja stanęła u jego drzwi, popełnił samobójstwo, strzelając do siebie ze służbowego pistoletu.

Następnego ranka poszedłem do Kalinina. Wstał i podał mi rękę. Potrząsałem nią. - Możemy teraz wszyscy się odprężyć - powiedział.

Spytałem, co w obecnej sytuacji zamierza zrobić z Urakowem. Kalinin wyglądał na zmieszanego, kiedy przekonał się, że wiem o wsparciu dla puezystów, jakiego udzielił Oboleńsk. Oczy niemal wyszły mu z orbit, kiedy dodałem, że aby odpokutować za tak haniebne zachowanie, Urakow powinien popełnić samobójstwo.

Kalinin o mały włos nie wybuchnął śmiechem.

- Kanjatanie - powiedział protekcyjnym tonem - nie uważacie, że to dość drastyczne rozwiązanie?

- No cóż - odparłem - w każdym razie moglibyście zażądać od niego rezygnacji.

- Pomyślę o tym - rzekł Kalinin i odwrócił się.

W dwa dni później marszałek Siergiej Achromiejew, były szef sztabu Armii Radzieckiej i zdecydowany zwolennik puczystów, powiesił się w swoim gabinecie.

Już w kilka dni po upadku puczu stało się oczywiste, że Gorbaczow jest zbyt słaby, aby mógł cieszyć się dawną władzą. Ponieważ w pierwszych godzinach po powrocie z Krymu odrzucił propozycję potępienia partii

komunistycznej, Jelcyn zmusił go do poniżającego, publicznego odrzucenia ideologii, która stanowiła fundament jego politycznej kariery. 25 sierpnia złożył rezygnację ze stanowiska pierwszego sekretarza KC KPZR.

Wkrótce potem otrzymałem pilny telefon od Kalinina.

- Kanjatanie, musicie niezwłocznie udać się do Komitetu Centralnego - powiedział. - Chcą, abyśmy pomogli im zbadać dokumenty.

- Dlaczego akurat ja? - spytałem. Kalinin przyjął postawę defensywną.

- Są tam rzeczy, które wiele osób mogłyby postawić w niezręcznej sytuacji - powiedział. - Wy rozumiecie, o co chodzi.

Odmówiłem. Ostatecznie Kalinin sam musiał się pofatygować na Kreml.

W ciągu następnego tygodnia w głównej siedzibie Komitetu Centralnego zniszczono i spalono tysiące partyjnych dokumentów. Biurokraci wpadli w panikę i z pewnością spaliliby wszystko, gdyby nie obawiali się, że widok dymu podsyci nastroje demonstrantów otaczających gmach komitetu. Tłum zdołał już obalić stojący przed siedzibą KGB na Łubiance pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela radzieckiej tajnej policji.

Dowiedziałem się później, że wśród zniszczonych dokumentów były niezliczone dowody świadczące o powiązaniach Komitetu Centralnego z KGB oraz najbardziej tajnymi programami broni biologicznych, takimi jak „Ognisko” czy „Flet”.

Było to dla mnie źródłem natchnienia.

W Biomaszu poprosiłem szefów departamentów o otwarcie sejfów i zniszczenie wszystkich dokumentów zawierających instrukcje i opisy procedur wytwarzania broni biologicznych. Kierownicy wykonali moje polecenie. Sądziłem, że przynajmniej części programu nie da się odtworzyć.

Mylłem się jednak. Kopie wszystkich spalonych przez nas dokumentów znajdowały się na ulicy Samokatnej. O ile wiem, leżą tam do dzisiaj.

Forteca Ameryka

Fort Detrick

Frederick, Maryland, grudzień 1991

Na początku grudnia 1991 roku pułkownik Charles Bailey, zastępca dowódcy Instytutu Badawczego Chorób Zakaźnych armii amerykańskiej (USAMRIID) w Fort Detrick w Maryland, zwołał dowódców najwyższego szczebla na tajne ćwiczenia i podzielił ich na dwie grupy. Ćwiczenia polegały na tym, że jedna grupa miała udawać radziecką delegację, a druga odpowiadać na jej pytania.

- Jako Rosjanie będziecie odnosili się sceptycznie do wszystkiego, co usłyszycie - tłumaczył Bailey członkom pierwszej grupy. -

Jesteście przekonani, że ukrywamy rozbudowany program broni biologicznych.

Zwracając się do drugiej grupy, rzekł:

- Wasze odpowiedzi muszą brzmieć wiarygodnie.

Już za dwa tygodnie radziecka delegacja rozpocząć miała inspekcję amerykańskich obiektów, w których prowadzono prace badawcze z zakresu biologii. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z wizytą, zostało utajnione. Jedynie wąską grupę pracowników USAMRIID - wyższych oficerów, którzy mieli gościom towarzyszyć - poinformowano o radzieckiej misji. Przedstawiciele prasy nie dopuszczono. Urząd sekretarza obrony, organizujący przyjazd, zarządził całkowitą blokadę informacyjną.

Kiedy nazwiska radzieckich delegatów po raz pierwszy wysłano do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie było mnie na liście. Ka-linin był przeciwny mojemu wyjazdowi. Zdawałem sobie sprawę, że moje postępowanie w czasie puczu uczyniło mnie postacią niepopularną na Samokatnej, ale i tak byłem tym zirytowany. Niewielu pracowników Biopreparatu posiadało lepsze kwalifikacje, żeby wykryć ślady świadczące o prowadzeniu badań nad zaczepną bronią biologiczną. Wiedziałem, na jak wiele sposobów program taki można ukryć - przecież od 1988 roku sam się tym zajmowałem.

- Sądziłem, że nie jesteście już tym zainteresowani - wyjaśnił figlarnie Ka-linin.

Jednak kiedy przypomniałem mu, jak wbrew woli odgrywałem rolę gospodarza

wobec cudzoziemskiej delegacji, niechętnie przystał na umieszczenie mnie na liście kandydatów rezerwowych. Toteż kiedy Oleg Ignatiew z Komisji Woj-skowo-Przemysłowej z powodu pilnych obowiązków w Moskwie zrezygnował z wyjazdu, znalazłem się wśród delegatów jako najwyższy stopniem przedstawiciel Biopreparatu.

Nasza grupa składała się z trzynastu osób - mniej więcej tyle samo liczyła styczniowa brytyjsko-amerykańska delegacja. Stanowiliśmy dziwną mieszanicę naukowców, oficerów, dyplomatów i szpiegów.

Pułkownik Nikifor Wasilijew z XV Zarządu dowodził siedmioosobowym zespołem wojskowych, w którym znalazł się oficer Departamentu Kontroli Zbrojeń z Ministerstwa Obrony oraz tłumacz. Co najmniej jeden z

członków zespołu wojskowego pracował dla radzieckiego wywiadu, o czym wiem stąd, że sam się do tego przyznał. Pułkownik GRU polecił nam odpowiadać - gdyby Amerykanie o to pytali - że jest przedstawicielem Ministerstwa Zdrowia.

Grupa reprezentantów Biopreparatu była mniejsza. Towarzyszył mi Grigorij Szczerbakow, szef zarządu naukowego, Lew Sandakczow z Wektora oraz generał Nikołaj Urakow z Oboleńska. Obecność Urakowa stawiała nas obu w niezręcznej sytuacji. Od czasu kiedy opowiedziałem się za jego samobójstwem, dokładał wszelkich starań, aby mnie ignorować. Ministerstwo Spraw Zagranicznych przysłało tylko dwóch przedstawicieli.

Misja interesowała mnie nie tylko dlatego, że byłem ciekaw osiągnięć naszych rywali. Nie lekceważyłem już amerykańskich badań nad bronią biologiczną.

Na kilka tygodni przed wyjazdem wszyscy członkowie naszej delegacji zostali wezwani na nadzwyczajne spotkanie w Kwaterze Głównej Armii Radzieckiej. Na dużym stole leżały zdjęcia satelitarne Stanów Zjednoczonych. Wysoki oficer GRU z drewnianą pałeczką w dłoni poinformował nas o obiektach, które mieliśmy zobaczyć. Były to: kwatera główna USAMRIID w Fort Detrick, poligon doświadczalny Dugway w pobliżu Salt Lake City w Utah, arsenał Pine Bluff w Arkansas i Salt Center w Swiftwater w Pensylwanii.

Przyglądaliśmy się mapom, a oficer wskazywał na podejrzane obiekty. W kwaterze głównej USAMRIID znajdował się duży, owalny budynek, przypominający nasze komory testowe. W Pine Bluff na zdjęciach widoczne były dowody „przemieszczania pojemników z bronią”.

Byłem zdumiony. Dlaczego wcześniej nas o tym nie poinformowano? Pomyślałem, że widocznie ktoś w końcu zdecydował się na ofensywną operację wywiadowczą.

Nie żałowałem, że tak zdecydowanie opowiadałem się za zakończeniem naszych badań, jednak zacząłem się zastanawiać, czy wysiłki Kałinina, zmierzające do zachowania produkcyjnej gotowości naszych obiektów, przypadkiem nie były uzasadnione.

Przed nami stało trudne zadanie - zinterpretować to, co zobaczymy. Obiecaliśmy nie zabierać specjalistycznego sprzętu; z rozbawieniem pomyślałem o awanturze, jaką wywołała latarka Chrisa Davisa.

Jednak słowa, jakie Kalinin wypowiedział na kilka dni przed wyjazdem, wzbudziły we mnie niepokój.

- Bez względu na to, co zobaczycie - powiedział Szczerbakowowi, który później mi to powtórzył - wracajcie z dowodami, że Amerykanie produkują broń.

W Waszyngtonie wylądowaliśmy w środę wieczorem, 11 grudnia 1991 roku. Kiedy rozpakowywaliśmy walizki w ambasadzie radzieckiej, dotarła do nas wiadomość, że nasza ojczyzna przestała istnieć.

Amerykańska telewizja donosiła, że na podstawie umowy zawartej przed kilkunastoma dniami przez przywódców Rosji, Białorusi i Ukrainy powstała Wspólnota Niepodległych Państw, obecnie ratyfikowana przez parlamenty poszczególnych republik, tym samym likwidując Związek Radziecki.

- To okropne - powiedział Grigorij Bierdiennikow, nasz opiekun z ramienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych (późniejszy wiceminister spraw zagranicznych Rosji).

- Owszem - przyznałem mu rację. - Teraz nie ma już miejsca dla Gorbaczowa. Bierdiennikow potrząsnął głową.

- Nie rozumiecie - powiedział. - Posiadamy paszporty nieistniejącego kraju.

Amerycanie prawdopodobnie odeślą nas z powrotem.

Tymczasem nasi gospodarze* byli albo zbyt grzeczni, albo zbyt ostrożni, żeby podczas porannego spotkania poruszać tę kwestię.

Dużym autokarem ruszyliśmy przez zamglony wiejski krajobraz Maryland. Przez okno widziałem tylko niezrozumiałe znaki na autostradzie i rzekę mknących samochodów. Kiedy dojechaliśmy do Fort Detrick, rozluźniłem się. Miejsce to wyglądało bardzo znajomo.

Na terenie o powierzchni osiemdziesięciu hektarów, na dawnym zapleczu lotniska Gwardii Narodowej, znajdował się szereg ceglanych i betonowych budynków. Na zewnętrznych elewacjach niektórych budowli

widoczne były rury; wieża nad jednym z dachów świadczyła, że w środku prawdopodobnie mieści się ciepłownia. Usytuowanie budynków przypominało farmaceutyczny zakład produkcyjny. Skręciliśmy z ruchliwej autostrady, wzdłuż której stał rząd stacji benzynowych i barów szybkiej obsługi, i podjechaliśmy do głównej bramy. Wartownik wpuścił nas do środka. Po drugiej stronie drogi dostrzegłem lecznicę dla zwierząt.

Pułkownik Ron Williams, dowódca Fort Detrick, wygłosił powitalne przemówienie i oddał głos Charlesowi Baileyowi.

Jako zastępca dowódcy USAMRIID Bailey był moim amerykańskim odpowiednikiem. Był człowiekiem spokojnym, o rudoblond włosach i akcencie zdradzającym, że pochodzi z Oklahomy. Uważał się raczej za

naukowca niż za oficera. Mieliśmy wiele wspólnego, choć kiedy stanęliśmy naprzeciw siebie w Fort Detrick, żaden z nas nie zdawał sobie z tego sprawy. Po kilku latach zostaliśmy kolegami w pewnej firmie w Wirginii, zajmującej się biotechnologią.

W pierwszej chwili poczułem się bardzo nieswojo: bezustannie się do mnie uśmiechał.

Znacznie później Bailey zwierzył mi się, iż moją marsową minę zinterpretował jako dowód, że byłem szpiegiem. Ja natomiast sądziłem, że okazuje mi lekceważenie. Im bardziej się uśmiechał, tym bardziej miałem się na baczności.

Amerykanie pokazali nam mapę obiektu i poprosili, abyśmy sami wskazali, które budynki chcielibyśmy zobaczyć. Odbyliśmy

pospieszną naradę. Nasz wybór padł na duże laboratorium. Technicy w białych kitlach tłumaczyli, że pracują nad odtrutkami toksyn wytwarzanych przez pewne zwierzęta i skorupiaki. Byli przyjaźni i otwarci - nazbyt, jak na mój gust - i na pytania odpowiadali z taką łatwością, że zacząłem się zastanawiać, czy nasza misja ma szansę powodzenia. Później powiedziałem członkom naszej delegacji, że powinniśmy przyjąć bardziej agresywną taktykę.

Kiedy znowu znaleźliśmy się w autokarze, pułkownik Wasilijew wyjął mapę i skinął na jednego z naszych gospodarzy.

- Co to za budynek? - spytał, wskazując na kolistą konstrukcję w rogu kompleksu. W Moskwie powiedziano nam, że mieściła się tam komora testowa.

Amerykanin sprawiał wrażenie zakłopotanego. Z mapą w dłoni podszedł do innego członka zespołu.

- Tam nic nie ma - odparł tamten.

Uśmiechnąłem się do siebie. Czyżby mieli nas za idiotów? Nalegaliśmy, aby zawieziono nas do „nieistniejącego” budynku. Po dwudziestu minutach autokar zatrzymał się przed wysoką budowlą, przypominającą odwrócony rożek do lodów. Wrota przy podjeździe były otwarte, wewnątrz ujrzeliśmy stos szarego proszku.

Poprosiliśmy tłumacza, żeby spytał Bailey, co to jest. Wrócił z uśmiechem na twarzy.

- Mówi, że to sól. - Sól?

- Tak. Posypują tym w zimie drogi.

Wasilijew miał wątpliwości. Podszedł do usypiska, wsadził palec, a potem włożył go do ust.

- No i co?

Wyglądał na zakłopotanego.

- To rzeczywiście sól - powiedział.

Obejrzelismy także inne laboratorium; powiedziano nam, że opracowuje się w nim szczepionki przeciwko takim czynnikom chorobotwórczym jak węglik. Nieduże rozmiary obiektu świadczyły, że z pewnością nie można było tutaj prowadzić produkcji na skalę przemysłową. Amerykanie mieli tylko dwóch specjalistów od węglika, my - dwa tysiące.

W innym budynku jeden z członków naszej ekipy pod wpływem impulsu złamał protokół. Bez ostrzeżenia wspiął się na stół i

ku przerażeniu naszych gospodarzy zaczął rozbierać podwieszany sufit. Znajdowaliśmy się na pierwszym piętrze dwupiętrowego budynku. Nad sufitem z pewnością nie było niczego niezwykłego. Amerykanie dali się zaskoczyć. Po tym incydencie uśmiech na twarzy Bailey'a wyraźnie przygasł.

Nasze podejrzenia nie były całkowicie nieuzasadnione. Wprawdzie nie mieliśmy jasnego wyobrażenia o stadium, w jakim znajdują się prace Amerykanów nad bronią biologiczną, wiedzieliśmy jednak, do czego są zdolni. Właściwie wiedzieliśmy znacznie więcej, niż nasi gospodarze mogli podejrzewać.

Kiedy później, jakiś czas po mojej ucieczce do USA, pracowałem nad historią tajnych badań prowadzonych w Związku

Radzieckim i Ameryce, ze zdumieniem spostrzegłem niebywałą zbieżność wysiłków naukowców w latach 1945-1969. Najwyżej w odstępnie roku w obydwu krajach badano te same czynniki chorobotwórcze i te same rodzaje aerozoli.

Bili Patrick, który aż do 1969 roku sprawował pieczę nad opracowywaniem broni biologicznych w Fort Detrick, był moim partnerem przy spisywaniu tej „równoległej historii badań”. Sześćdziesięcioletni wówczas Patrick był jednym z nielicznych Amerykanów, którzy w pełni rozumieli technologię produkcji broni biologicznych. Znakomity mikrobiolog, wyróżniający się poczuciem humoru, był autorem przełomowych prac nad bronią opartą na dżumie i tularemii, które do dziś pozostają utajnione w

rządowych archiwach. Patrick należy obecnie do najznakomitszych amerykańskich ekspertów od obrony biologicznej.

Patrick także dostrzegł tę paralełę.

- Kiedy nad czymś pracowaliśmy, wy robiliście to zaraz po nas - powiedział mi. - To doprawdy zadziwiające, że dwa tak odległe państwa przeszły tę samą drogę rozwoju.

Osobliwe podobieństwo pomiędzy naszymi programami mogło jednak być czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności. Paweł Sudopłatow, były generał NKWD, bezwiednie dostarczył w tej kwestii wskazówek w swych wspomnieniach, które ukazały się w 1996 roku. Sudopłatow niemal jawnie przyznawał, że wyniki amerykańskich badań nad bronią biologiczną w latach

czterdziestych i pięćdziesiątych regularnie trafiały do Moskwy. Raporty przekazywano „Laboratorium X”, które autor opisał jako instytut kierowany przez jednego z czołowych członków Akademii Nauk ZSRR.

„Laboratorium X” od razu rozpoznałem jako Laboratorium 12, jednostkę prowadzoną przez I Zarząd Główny KGB, gdzie przez tak wiele lat mój przyjaciel Walerij Butuzow pracował nad bronią służącą do przeprowadzania niewy-krywalnych zamachów. Jeśli informacje takie zdobywało KGB, to najprawdopodobniej przekazywano je również do naszego programu, zwłaszcza odkąd po wojnie kontrolę nad badaniem broni biologicznych KGB przekazało armii.

Wiele informacji uzyskiwaliśmy dzięki artykułom zamieszczanym w amerykańskiej i

europiejskiej prasie naukowej. Jednak amerykańskie dane, nad którymi szczepami pracować, jakie stosować pożywki oraz jakiego rodzaju aerozole produkować, należały do materiałów tajnych. W amerykańskim programie musiał być zatem co najmniej jeden informator, a najprawdopodobniej kilku. Patrick powiedział mi, że w owych czasach nikomu nawet nie przyszło do głowy, by któryś z członków zespołu laboratorium mógł być szpiegiem. Przyznał jednak, że dowody są bezsporne.

Dla Stanów Zjednoczonych broń biologiczna była czymś zupełnie nowym. Wielka Brytania i Kanada rozpoczęły badania nad środkami biologicznymi i metodami ich przenoszenia już w 1940 roku. Natomiast prezydent Franklin D. Roosevelt powołał

program badawczy dopiero piętnaście miesięcy po przystąpieniu Ameryki do drugiej wojny światowej, w marcu 1943 roku. Według informacji, jakich udzielił mi Patrick, Amerykanie nie mieli pojęcia o istnieniu ambitnego programu broni biologicznych, jaki rozpoczęliśmy w latach dwudziestych.

Być może niewiedza Waszyngtonu wywołana była brakiem zainteresowania. Amerykanie sceptycznie oceniali wartość broni biologicznych i do dziś taki stosunek cechuje ich polityków.

W 1941 roku, jeszcze przed atakiem na Pearl Harbor, sekretarz wojny Henry Stimson zwrócił się do doktora Franka Jewetta, przewodniczącego Narodowej Akademii Nauk, o powołanie roboczego zespołu do zbadania możliwości prowadzenia wojny

biologicznej. Raport nie przekonał Stimsona. „Wojna biologiczna to brudna sprawa” - napisał w 1942 roku do Roosevelta.

Stwierdzając, że militarne korzyści wynikające ze stosowania zarazków są „dyskusyjne”, Stimson przyznawał, że „każda droga, która da przewagę narodowi prowadzącemu wojnę, zostanie przezeń wykorzystana”. Amerykanie nie byli w pełni przekonani, dopóki Brytyjcy i Kanadyjcy sojusznicy nie zauważyli, że Niemcy podczas pierwszej wojny światowej prawdopodobnie zarazili nosacizną oddziały rumuńskiej kawalerii, a obecnie dysponowali znacznie potężniejszym biologicznym arsenałem. Kanadyjczycy przekształcili stację doświadczalną w Suffield w prowincji Alberta na poligon doświadczalny, na którym

przeprowadzono badania nad węglikiem. W pomdniowej Anglii stary poligon doświadczalny w Porton Down, na którym w przeszłości testowano broń chemiczną, wykorzystywano w tym samym celu.

W Ameryce powstała tajna jednostka War Research Service, prowadząca badania nad bronią biologiczną we współpracy ze swymi brytyjskimi i kanadyjskimi odpowiednikami. Jej dyrektorem został George W. Merck, przewodniczący Merck & Co. Inc., czołowej amerykańskiej firmy farmaceutycznej. Pod jego przywództwem jednostka wkrótce stała się najważniejszą placówką badawczą aliantów.

Z uniwersyteckich wykładowców i pracowników firm prywatnych Merck stworzył zespół naukowców, którzy mieli określić

lokalizację zakładów zajmujących się badaniami, produkcją i testami. Ostatecznie wybór padł na cztery miejsca: 810 hektarów na Horn Island w pobliżu Pascagoula w Missisipi; poligon doświadczalny broni chemicznych Dugway, położony na pustyni w Utah; kompleks o powierzchni 2470 hektarów w Terra Haute w Indianie, gdzie produkuje się amunicję, oraz dawne obiekty Gwardii Narodowej w Frederick w Maryland.

Obiekt w Maryland, nazwany Camp Detrick, miał być głównym amerykańskim ośrodkiem opracowywania broni biologicznych. Jego tajemnic strzeżono równie pilnie jak Los Alamos, gdzie naukowcy pracowali nad projektem Manhattan, czyli bombą atomową. W Camp Detrick w czasie wojny ponad tysiąc siedemset osób prowadziło badania

nad nosacizną, brucelozą, cholera, dyzenterią, dżumą i tyfusem.

Największym przedsięwzięciem była broń oparta na węgliku. Naukowcy wybudowali pilotażowy zakład jego produkcji, wyposażony w zbiorniki o pojemności niemal czterdziestu tysięcy litrów. Odnieśli tak wielki sukces, że we wrześniu 1944 roku Wielka Brytania złożyła zamówienie na pięćset tysięcy bomb z węglikiem.

Broń opracowana przez Amerykanów nie została użyta w drugiej wojnie światowej. Nie sprawdziły się również obawy, że Niemcy stosować będą broń biologiczną w pociskach V-2, spadających na angielskie miasta, albo że wykorzystają ją do odparcia inwazji aliantów. Po zakończeniu działań wojennych w Europie prezydent Truman na krótko

zainteresował się środkami do niszczenia upraw oraz amunicją uśmiercającą ludzi za pomocą czynników biologicznych - miała być to alternatywa wobec użycia bomby atomowej przeciwko Japonii.

Po zwycięskiej wojnie Amerykanom został pokazany niewykorzystany arsenał, olbrzymia technologiczna baza badawcza oraz sieć tajnych obiektów rywalizujących pomiędzy sobą w ramach sektora jądrowego. Niektóre z nich zlikwidowano, jednak rewelacje dotyczące japońskiej jednostki 731 położyły kres poważnym dyskusjom na temat zamknięcia programu.

Podobnie jak my, Amerykanie ze zdobytych dokumentów i od jeńców wojennych dowiedzieli się o stosowaniu przez Japończyków zarazków w celach bojowych. Z

Camp Detrick wysłano do Japonii naukowców, żeby przesłuchali dowódców jednostki 731, którzy zdradzili szczegóły programu, unikając w zamian odpowiedzialności za zbrodnie wojenne. Ich raporty przekonały Waszyngton, że broń biologiczną można produkować w większych ilościach, a jej skuteczność znacznie przewyższa dotychczasowe wyobrażenia Amerykanów. Brytyjczycy doszli do podobnych wniosków i zdecydowali się rozszerzyć działalność istniejącej jednostki badawczej w Porton Down oraz poligonu doświadczalnego na szkockiej wyspie Gruinard.

Pozbywszy się początkowego sceptycyzmu, Amerykanie wdrożyli skomplikowany program rozwoju broni biologicznych, który istniał przez ponad dwadzieścia

lat i w nie mniejszym stopniu przyspieszył wyścig zbrojeń niż powszechnie znany jego atomowy odpowiednik.

Począwszy od 1951 roku, w Camp Detrick i innych obiektach opracowywano środki, które miały niszczyć uprawy pszenicy w Związku Radzieckim oraz ryżu w komunistycznych Chinach. Patogeny przechowywano w zbrojowni Edgewood w Maryland, a także w arsenale Rocky Mountain w pobliżu Denver, gdzie jednocześnie wytwarzano pluton do głowic atomowych.

Amerykańscy specjaliści od broni biologicznych prowadzili badania nad śmiertelnymi patogenami, takimi jak tularemia, wirus wenezuelskiego końskiego zapalenia mózgu, oraz nad toksyną gronkowca, powodującą ciężkie zatrucia. Aerozole

badano na zwierzętach na Desert Island na Oceanie Spokojnym i na poligonie doświadczalnym Dugway w Utah. Końcowe eksperymenty, podobnie jak my, przeprowadzali w miastach, stosując „broń symulowaną”.

Testy na ludziach przeprowadzono w 1955 roku na grupie młodych członków Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, którzy wybrali takie rozwiązanie jako alternatywę wobec służby wojskowej. Ochotników zarażono gorączką Q, która nie jest chorobą śmiertelną i można ją leczyć antybiotykami. Eksperyment ten nosił nazwę „Project Whitecoat” albo „Operacja CD-22”.

Pod koniec lat sześćdziesiątych prowadzono badania nad dwudziestoma dwoma mikroorganizmami, planowano także prace nad wykorzystaniem w broniach

biologicznych wirusów wywołujących gorączki krwotoczne, takie jak między innymi wirus Machupo, oraz kenijską gorączkę z rejonu Wielkich Rowów Afrykańskich. W Fort Detrick naukowcy badali możliwości, jakie otwierała przed nimi inżynieria genetyczna, kiedy program został niespodziewanie wstrzymany.

Dwadzieścia pięć lat od opowiedzenia się prezydenckich doradców za rozpoczęciem eksperymentów nad programem broni biologicznych zespół ekspertów Nixona zdecydował o jego zakończeniu.

Wątpliwości Amerykanów co do celowości prac nad bronią biologiczną nigdy nie zostały w pełni rozwiane. Pod koniec lat sześćdziesiątych społeczne protesty przeciwko produkcji broni biologicznych i

chemicznych połączyły się z demonstracjami przeciwko wojnie w Wietnamie. „Fort Detrick oraz inne obiekty bezustannie pikietowano. Nixon, przekonany przez doradców, że wojna biologiczna jest mało przydatna, 25 listopada 1969 roku podjął decyzję, która zapowiadała, że odtąd amerykańskie badania dotyczyć będą jedynie „kwestii obronnych”, takich jak opracowywanie szczepionek i biobezpieczeństwo.

Nie wierzyliśmy Nixonowi. Choć olbrzymie zapasy amerykańskich broni biologicznych zostały zniszczone, a dwa tysiące dwustu naukowców i techników straciło pracę, sądziliśmy, że Amerykaiittg postanowili lepiej ukryć swoje tajemnice.

Nixon przekazał większość obiektów Fort Detrick Narodowemu Instytutowi Chorób

Nowotworowych; miano tam prowadzić badania nad rakiem. Wedle słów Nkona stanowiło to dowód, że Stany Zjednoczone „potrafią przekuwać miecze na lemieszę”. Zaobserwowaliśmy jednak także, że w Fort Detrick rozpoczęła działalność niewielka jednostka medyczna, Instytut Badawczy Chorób Zakaźnych amerykańskiej armii (USAMRIID), rzekomo zajmująca się bioobroną, która szybko rozbudowywała się i rosła w siłę. Pojawili się w niej specjaliści od bioobrony, tacy jak Bili Patrick. Nawet jeśli nasz wywiad miał trudności z dostarczeniem konkretnych dowodów na prace nad”-bronią zaczepną, nie mieliśmy wątpliwości, że badania w tym kierunku są kontynuowane.

Informacje prasowe oraz zapisy przesłuchań w Kongresie wskazywały, że

podobną opinię wyrażało wielu wpływowych Amerykanów. Tym bardziej umacniało nas to w przekonaniu, że USAMRIID, podobnie jak Biopreparat, ukrywał przed światem rzeczywisty cel swego istnienia. Niektórzy amerykańscy eksperci oskarżali CIA - od 1952 roku posiadała ona tajną jednostkę w Fort Detrick, zajmującą się paramilitarnymi zastosowaniami broni biologicznych - o kontynuowanie badań nad bronią ofensywną. CIA naturalnie wszystkiemu zaprzeczała, my jednak zdawaliśmy sobie sprawę, ile warte są oświadczenia agencji wywiadowczej.

W pierwszych dniach pobytu w Ameryce mieliśmy poczucie, że dotarcie do prawdy wymagać będzie od nas niebywałej pomysłowości.

Do Salt Lake^City w Utah poleciliśmy samolotem, oddanym do naszej dyspozycji przez urząd wiceprezydenta Dana Quayle'a. Widząc wykwintne menu i niekończące się zapasy alkoholu, z goryczą pomyślałem o zeszłorocznej nieudanej podróży na Syberię. Opuszczając lotnisko, z podziwem przyglądałem się równym jak stół autostradom, dobrze zaopatrzonym sklepom i luksusowym domom przeciętnych Amerykanów.

Myślami tymi nie dzieliłem się jednak z pozostałymi członkami delegacji. Sandakczow bywał już w Stanach Zjednoczonych i z pewnością wyśmiałby moją naiwność. Z Urakowem nie było sensu dzielić się wrażeniami z podróży, a towarzysze z Ministerstwa Obrony byli zjyjt pochłonięci

obmyślaniem strategii naszej misji, żeby mieć czas na zwiedzanie?

Pułkownik Frank Cox, dowódca Dugway, powitał nas na terenie poligonu oddalonego o 130 kilometrów od stolicy Utah. Z rozbijającą szczerością zaznajomił nas z historią prób broni chemicznych i biologicznych, jakie przeprowadzano na powstałym w 1942 roku poligonie. Pułkownik twierdził, że od 1969 roku nie testowano ani nie opracowywano tutaj nowych broni biologicznych. Na tysiącach hektarów pustynnych terenów znajdowało się ponad sześćset budynków. Dugway stanowiło znacznie większe wyzwanie niż Fort Detrick.

Najpierw znaleźliśmy się w dużym kompleksie zwanym Laboratorium Nauk Biologicznych, składającym się z dziesięciu

budynków wzniesionych pośród kaktusów i ostów. Surowość krajobrazu od razu wzbudziła moje podejrzenia.

Konfiguracja budynków przypominała nasz kompleks w Stepnogorsku. Były tam obiekty do dezynfekcji sprzętu i pojazdów wykorzystywanych do transportu zwierząt. Gdzieś dostrzegłem nieduże pomieszczenia przypominające nasze „korytarze sanitarne”, gdzie przebieraliśmy się w kombinezony ochronne. Największy budynek sprawiał wrażenie, jakby testowano w nim broń; pobliskie budowle wyróżniały się bardzo grubymi ścianami i dachami o ażurowej konstrukcji - nieomylny znak, że przechowywano w nich materiały wybuchowe. W innych budynkach dostrzegliśmy sprzęt podobny do tego,

jakiego sami używaliśmy, przeprowadzając autopsję zwierząt.

Nie ujrzeliśmy jednak ani zwierząt, ani klatek - żadnego śladu prowadzenia badań nad eksperymentalną bronią zaczepną. W wielu budynkach drzwi były zardzewiałe, niektóre stały otworem. W innych ze ścian odpadała farba. Kilkunastu techników pracujących w kompleksie sprawiało wrażenie zagubionych w przepastnych wnętrzach.

Asystenci Coxa powiedzieli nam, że laboratorium służy do testowania środków symulujących broń bakteriologiczną. Głównym celem badań było znalezienie skutecznej ochrony dla żołnierzy i sprzętu przed atakiem biologicznym i chemicznym. Oprowadzono nas także po laboratorium, w którym opracowywano urządzenia

wykrywające obecność czynników biologicznych w powietrzu.

Do innych miejsc przewieziono nas helikopterem. Gospodarze odpowiedzieli na wszystkie nasze pytania bez najmniejszego wahania. Zrobiło to na mnie wrażenie, choć wiedziałem, że i nasi technicy zostali dobrze przeszkoleni.

- Oni tutaj nic nie robią - oświadczył Sandakczow.

Urakow milczał. Wojskowi członkowie naszego zespołu byli rozdrażnieni. Podczas lotu do Arkansas półgłosem naradzaliśmy się między sobą.

- Cała ta inspekcja to tylko mydlenie oczu - rzekł Wasilijew, który podszedł, żeby się ze mną napić. - Nie zdradzą żadnych tajemnic.

7/21/2016

Nie mylił się. Amerykanie znacznie lepiej ukrywali prawdę, niż mogłem przypuszczać. Jednak moje wątpliwości stale rosły.

Arsenał Pine Bluff w Arkansas w czasie drugiej wojny światowej produkował broń chemiczną (amunicję). W 1953 roku zakład rozbudowano i przystosowano do produkcji substancji biologicznych, jednak w 1969 przekazano go w ręce FDA (urzędu federalnego, sprawującego kontrolę nad jakością żywności i lekarstw) do badań cywilnych. Tak w każdym razie utrzymywali nasi gospodarze. Z niepokojem musiałem przyznać, że dowody potwierdzają to oświadczenie.

Układ budynków Pine Bluff przypominał nasze obiekty. Także i u nas znajdowały się podobne zbiorniki. Kiedy przewodnicy otworzyli drzwi i wprowadzili nas do środka,

zauważyłem, że podłogę pokrywa warstwa kurzu. Popękane od starości ściany zbiorników miały grubą izolację. Kiedy wędrowałem po budynku, moją uwagę zwrócił leżący na ziemi notatnik. Podniosłem go i otarłem z kurzu. Nie byłem w stanie przeczytać odręcznego pisma, jednak data ostatniego wpisu była wyraźna: rok 1973.

Następnie udaliśmy się do jeszcze jednego obiektu, który w przeszłości służył do wypełniania „bombek” środkami biologicznymi. Później podzielono go na laboratoria, w których amerykańscy biologowie pracowali wśród klatek z myszami i innymi zwierzętami.

Naukowcy w naszej grupie bardzo się zainteresowali, kiedy usłyszeli, czym się tu zajmowano. Brak miejsca w Pine Bluff

zmusił Amerykanów do przekształcenia dawnej fabryki broni w ośrodek prowadzący badania nad substancjami immunosupresyjnymi, obniżającymi odporność organizmu na atakujące go bakterie.

Badania te mają ogromne znaczenie w transplantologii, jako że lekarze muszą znaleźć sposób, aby organizm nie odrzucił przeszczepionego serca czy nerki. Technicy zajmowali się przeszczepianiem myszom skóry i innych organów z ptaków.

Z naukowcami rozmawialiśmy przez kilka godzin ku wyraźnemu niezadowoleniu pozostałych członków grupy. Sandakczow bezustannie zadawał pytania.

Wówczas byłem już przekonany, że Amerykanie nie prowadzą prac nad bronią biologiczną.

Wojskowi nie zgadzali się z tym poglądem, co doprowadziło do zawstydzającego incydentu. Drugiego dnia pobytu w Arkansas usiadłem w autokarze obok oficera z Ministerstwa Obrony, pułkownika Żukowa. Zdrzemnąłem się, podczas gdy jeden z naszych gospodarzy opowiadał o mijanych obiektach.

Nagle Żuków zaczął krzyczeć:

- Zatrzymać autokar, zatrzymać autokar!

Obudziłem się zaniepokojony.

- Co się stało? - spytałem.

Żuków wskazał na wysoką metalową konstrukcję na wzniesieniu.

- Musimy to sprawdzić - powiedział.

- Nie wygłupiajcie się, to wieża ciśnień.

- Nie sądzę.

Żuków ruszył biegiem w stronę wieży i zaczął się na nią wspinać, dostając się aż na sam wierzchołek. Stojący za moimi plecami Amerykanie starali się pohamować śmiech. Jeden wyjął aparat i zrobił zdjęcie.

W tej chwili pojąłem całą absurdalność naszych poszukiwań. Mogliśmy tak błąkać się tygodniami, ale do niczego by nas to nie doprowadziło. Być może w Ameryce były inne miejsca, w których prowadzono tajne badania nad bronią biologiczną, jednak my zwróciliśmy się o dopuszczenie do tych, które właśnie oglądaliśmy. Wspominałem przekonanie, z jakim oficer GRU opowiadał o dowodach na istnienie fabryk broni i pokazywał zdjęcia wywiadowcze.

Padliśmy ofiarą własnej łatwowierności. Doszedłem do wniosku, że wysocy urzędnicy

w Moskwie od dawna wiedzieli, iż Amerykanie po 1969 roku nie prowadzili poważnych prac nad bronią biologiczną - w końcu nasz wywiad był jednym z najlepszych na świecie, a nie przekazał nam informacji o żadnych nowych obiektach. Jednak należało utrzymywać tę fikcję, abyśmy działali w pośpiechu i poczuciu zagrożenia. Radziecki program broni biologicznych, pierwotnie zrodzony ze strachu, dawno już stał się zakładnikiem kremlowskiej polityki. To tłumaczyło, dlaczego Kriuczokow tak chętnie zgodził się go wstrzymać w 1990 roku i dlaczego biurokraci tacy jak Kalinin i Byków temu się sprzeciwiali.

W miasteczku Little Rock, oddalonym o 56 kilometrów od Pine Bluff, było nam dane zasmakować amerykańskiej polityki.

Pierwszego wieczora po przybyciu siedzieliśmy ze Szczerbakowem w barze hotelu Excelsior, kiedy nagle ujrzeliśmy wzbierający tłum. Zaciekawieni, udaliśmy się do pobliskiego holu. Ludzie z transparentami w dłoniach wykrzykiwali hasła na czyjąś cześć. Stojący na mównicy jasnowłosy mężczyzna o chłopięcej urodzie uniósł ręce w podzięcie za owację. Szczerbakow, który znał nieco angielski i trochę orientował się w sprawach Ameryki, wyjaśnił mi, że ten energiczny, uśmiechnięty młodzieniec ogłosił właśnie, iż będzie ubiegał się o prezydenturę Stanów Zjednoczonych.

- Jest gubernatorem - poinformował Szczerbakow. - Ale nie ma żadnych szans. W historii nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby prezydent pochodził z Arkansas.

Zanim wyruszyliśmy do Pine Bluff, dyrektor wręczył nam dyplomy „podróżników po Arkansas”, podpisane przez gubernatora Williama Jeffersona Clintona.

Po raz ostatni zatrzymaliśmy się w Salk Center w Swiftwater w północnej Pensylwanii. Znajdował się tam instytut opracowujący szczepionki, ani w przeszłości, ani obecnie niezwiązany z wojskiem - a przynajmniej takie odnieśliśmy wrażenie. Zmęczeni wróciliśmy do Waszyngtonu, gdzie zbliżające się święta Bożego Narodzenia zakończyły wszelkie rozmowy na temat broni biologicznych - co przyjęliśmy z ulgą, podobnie jak nasi gospodarze.

Ostatni dzień w Ameryce poświęciliśmy na zwiedzanie stolicy. Naszym przewodnikiem była Lisa Bronson, urzędniczka

wydziału do spraw rozbrojenia w Departamencie Obrony, która w ubiegłym roku przyjechała do Moskwy, żeby prowadzić negocjacje w związku z naszą wizytą. Lisa towarzyszyła nam w podróży po Ameryce. Była bystrą, energiczną trzydziestopięcioletnią kobietą i dość dobrze zdążyła nas poznać. Wielokrotnie usiłowała wypytywać nas o radziecki program broni biologicznych. Naturalnie zaprzeczaliśmy, jakoby Związek Radziecki prowadził badania w tym kierunku. Ja jednak podziwiałem jej upór.

Kiedy znaleźliśmy się na Pennsylvania Avenue w pobliżu Białego Domu, nasza rozmowa skierowała się na inne tory.

- Ile zarabiają naukowcy? - spytał ktoś.

Nie było z nami tłumacza, ale Sandakczow nieźle radził sobie z angielskim.

- To zależy od doświadczenia - odparła Bronson. - Naukowiec wykonujący zlecenie rządowe otrzymuje od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, jednak w sektorze prywatnym może zarobić do dwustu tysięcy rocznie.

Spojrzeliliśmy na nią ze zdumieniem. W owym czasie najlepiej opłacani radzieccy naukowcy mogli liczyć na równowartość stu dolarów miesięcznie. Zdobyłem się na odwagę i spytałem:

- A z moim doświadczeniem, czy mógłbym tutaj znaleźć pracę? Bronson uśmiechnęła się.

- Jeśli znalazby pan angielski...

- Dobrze - Sandakczow przetłumaczył moje słowa. - Jeśli kiedyś tutaj trafię, zwrócę się do pani.

Wszyscy się roześmieli, włącznie ze mną.

Komunistyczny Prospekt

Ałma Ata 1992

W dniu naszego powrotu do Moskwy, 25 grudnia 1991 roku, Gorbaczow złożył rezygnację. Lena powiedziała mi o tym na powitanie, kiedy wchodziłem do mieszkania, uginając się pod ciężarem prezentów przywiezionych ze Stanów Zjednoczonych. Na sylwestra czerwona flaga z sierpem i młotem zniknęła znad Kremla, na jej miejscu zawisła trójkolorowa flaga Rosji, która w sierpniu zeszłego roku powiewała nad rosyjskim Białym Domem.

Uwaga całego świata skupiona była na nowym rządzie rosyjskim. Nie był to jednak

mój rząd. Byłem oficerem kolonialnego imperium, które już nie istniało, cudzoziemcem w nie swoim państwie. Miałem wprawdzie prawo ubiegać się o rosyjskie obywatelstwo, w rzeczywistości byłem teraz obcokrajowcem.

Upadek Związku Radzieckiego „osierocił” w taki sposób dziesiątki tysięcy osób. Niezależnie od tego, czy chodziło o Kazachów, Ukraińców, Mołdawian lub Azerów, bez względu na to, jak silnie związani bylibyśmy z Rosją - poprzez małżeństwo czy posadę rządową - i jak zapatrywaliśmy się na powiew wolności - wszyscy staliśmy przed równie trudnym wyborem. Powinniśmy „wrócić do domu”, do naszych ojczyzn, z którymi nic właściwie nas nie łączyło, albo pozostać w przybranej ojczyźnie jako „cudzoziemcy”?

13 stycznia 1992 roku, siedemnaście lat po otrzymaniu stopnia oficerskiego, opuściłem szeregi armii. Od czasów nieudanego puczu moja rezygnacja leżała w sejfie Kalinina przy ulicy Samokatnej. Kalinin był wyraźnie zdziwiony, kiedy poprosiłem go o przekazanie jej zwierzchnikom. Jego zdaniem żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie rezygnowałby z ubocznych korzyści, jakie dawał wojskowy stopień.

Nie byłem wprawdzie gotowy do całkowitego zerwania z Rosją, uważałem natomiast, że zakończenie służby w wojsku wyzwoli mnie od brzemienia programu, który znienawidziłem. Okazało się, że jest to płonna nadzieja.

Nowi przywódcy przejęli wprawdzie kontrolę nad armią i KGB, jednak struktura

organizacyjna pozostała bez zmian. Komisję Wojskowo-Przemysłową podporządkowano nowo powstałemu rosyjskiemu Ministerstwu Przemysłu, gdzie nadal pełniła tę samą funkcję. Jedna po drugiej radzieckie instytucje stapiały się z nowym rządem, wraz z kadrami aparaczyków, którzy sprawowali władzę w radzieckim imperium. Nadzieje na nową rosyjską demokrację stawały się coraz bardziej nikłe, choć obiecywano nam nowy styl życia.

Program broni biologicznych podążył podobną drogą. Na podstawie dekretów Gorbaczowa zniszczono moce produkcyjne Biopreparatu. Z programu należało całkowicie zrezygnować albo chociaż zespolić go z państwowym przemysłem farmaceutycznym. Jednak Kalinin zamierzał walczyć o swoją

autonomię - i cieszył się cichym poparciem biurokratów.

Jednym z najważniejszych elementów jego obecnej strategii był nasz raport z wizyty w USA. Gdyby mógł udowodnić, że Amerykanie prowadzą badania nad zaczepną bronią biologiczną, zdołałby przekonać rząd Jelcyna, iż dalsze istnienie Biopreparatu jest konieczne. Tymczasem z tego, co zobaczyliśmy, nie można było wysnuć tego rodzaju wniosków.

Powinienem jednak przewidzieć, że taki obrót spraw nie zdoła powstrzymać Kalinina.

Do naszego dziesięciostronicowego raportu dołączone zostało podsumowanie, przygotowane przez Kalinina i Grigorija Szczerbakowa. Można w nim było przeczytać, że wedle naszych obserwacji Amerykanie

nadal prowadzą badania nad bronią biologiczną. Raport ten zgodnie z planem trafił na Kreml wraz z zaleceniem XV Zarządu, aby kontynuować badania nad bronią zaczepną. Tego było już dla mnie za wiele. Napisałem drugą rezygnację i zaniósłem ją do biura Biopreparatu.

Kalinin z przesadną powolnością otworzył mój list i miał przy tym taki wyraz twarzy, jakby dotykał trucizny. Kiedy skończył czytać, podniósł wzrok i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Co teraz ze sobą poczniecie? - spytał.

- Jeszcze nie wiem. Może otworzę prywatny interes. Albo wrócę do Kazachstanu. To przecież moja ojczyzna.

- Wasza ojczyzna? - potrząsnął głową. - Podobnie jak ja przysięgaliście służyć Związkowi Radzieckiemu.

- Kiedyś żyłem w kraju, który nazywał się Związek Radziecki - odparłem. - I wiernie mu służyłem. Ale kraju tego już nie ma, a zatem jestem wolny.

Twarz Kalinina spochmurniała.

- Zawsze podejrzewałem, że należycie do tych, dla których Rosja nie jest dostatecznie dobra - rzekł.

- Możecie myśleć, co tylko chcecie - odparłem, czując, że wzbiera we mnie gniew, choć postanowiłem nie dać się wyprowadzić z równowagi.

- W porządku - powiedział, unosząc dłonie. - Nie musimy ze sobą walczyć, zachowujmy się rozsądnie. Kto może was zastąpić?

- Wielu chciałoby zająć moje miejsce. Możecie uszczęśliwić jednego z nich. Kalinin potarł brodę i uśmiechnął się. Postanowił mnie oczarować.

- Nie zdajecie sobie sprawy, jak wielką wartość przedstawiacie dla mnie i dla tej organizacji - powiedział. - Może powinniście to jeszcze przemyśleć.

Była to dziwna chwila. Człowiek, z którym przez ostatnie dwa lata bezustannie walczyłem i kłóciłem się, który wiedział, że znieawidziłem wszystko, co sobą reprezentował, teraz najwyraźniej pragnął, abym został u jego boku.

- Nie - odparłem. - Moja decyzja jest ostateczna.

- No cóż, w takim razie moja decyzja brzmi tak: nie zezwalam na wasze odejście.

- Możecie robić, co chcecie, ale nie jestem już waszym podwładnym - odparowałem. - Bez względu na to, czy zgadzacie się, czy nie, nie będzie mnie tutaj w przyszłym tygodniu.

Kalinin zeszywniał.

- Czy to ma być ultimatum? Jesteście dyrektorem instytutu, nie możecie odejść. - ^

- Nie chcę dłużej pracować przy tym programie - powiedziałem. - Ani z wami. Kalinin chwycił list i rzucił nim we mnie.

- Jesteście zdrajcą! - krzyknął. - Zawsze wiedziałem, że mnie zdradzicie. Odrzuciłem list w jego stronę.

- Nikogo nie zdradziłem - powiedziałem. - A zanim oskarżycie kogoś o zdradę, pomyślcie o sierpniu zeszłego roku.

Wstałem i wyszedłem z gabinetu, mijając zdumioną Tatianę, która musiała słyszeć

naszą kłótnię. Personalnemu oddałem tajne przepustki i dokumenty. W budynku panowała cisza. Kiedy przechodziłem, wiele osób wyjrzało na korytarz, ale nikt nic nie powiedział.

Zszedłem na parter, moje kroki odbijały się echem na marmurowej klatce schodowej. Wartownik KGB zasalutował, kiedy skierowałem się do swojego żi-guli. Do końca życia miałem dość służbowych czarnych wołg.

Inny wartownik KGB zasalutował, kiedy wyjeżdżałem przez główną bramę. Zaczął padać śnieg.

Porządkowanie gabinetu zajęło mi kilka następnych dni. Kalinin nie zadzwonił do mnie i więcej nigdy go już nie widziałem.

W pierwszym roku po upadku komunizmu człowiek niekiedy odnosił wrażenie, że wystarczy wyjść z mieszkania, aby zacząć zarabiać pieniądze. Przyjaciele mieli kieszenie wypchane rublami i dolarami. Jeden z nich pokazał mi sportową torbę tak ciężką, że z trudem ją podniosłem.

- W środku mam sto tysięcy dolarów - rzekł z dumą.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat byłem bezrobotny, jednak nie obawiałem się ubóstwa. Wysocy urzędnicy państwowi, także z naszej branży, uważani byli przez nowych rosyjskich biznesmenów za najlepszy „towar”.

Po kilku tygodniach pracowałem już jako moskiewski przedstawiciel kazachskiego banku. Posadę znalazł mi brat i zostałem

natychmiast zatrudniony przy nawiązywaniu kontaktów zagranicznych. Nie miałem szczególnych uzdolnień do spraw finansowych, wkrótce jednak robiłem interesy tak jak inni.

Panowało wtedy powszechne przekonanie, że w każdej branży należy zarobić jak najwięcej milionów w jak najkrótszym czasie, żeby zdążyć przed nieuniknioną katastrofą. Korupcja i zbrodnia były wszechobecne, słyszałem także złowieszcze historie o znajomych bogaczach „siedzących na tykającej bombie zegarowej” - ludzie ci pożyczyci pieniądze od gangsterów, codziennie podwajających odsetki, aby uniemożliwić spłatę długu.

Wkrótce przekonałem się, że kiedy rozmawiam przez telefon, w słuchawce bezustannie coś trzeszczy i szumi. Firma

telekomunikacyjna utrzymywała, że wszystko jest w porządku. Szумы zniknęły, kiedy zmi-
eniłem numer, jednak powróciły już po kilku
dniach. Kiedy wyjeżdżałem w delegację, Lena
odbierała tajemnicze telefony od osób przed-
stawiających się jako „pułkownicy” lub
„generałowie”. Pytali, kiedy wrócę. Potem
nigdy już się nie odzywali.

Wiosną 1992 roku podczas spotkania w
interesach zadzwoniłem z biura do Nauma,
mojego partnera. Wykręcając numer, przy-
pomniałem sobie coś, co powinienem jeszcze
omówić, więc odłożyłem słuchawkę na
widełki. Po pięciu minutach odebrałem tele-
fon od zdumionego Nauma.

- Kanjatanie, coś jest nie w porządku -
powiedział.

- Co się stało?

- Mój telefon zadzwonił raz, a kiedy go odebrałem, usłyszałem twoją rozmowę z jakimiś ludźmi.

- To na pewno złe połączenie - próbowałem go uspokoić.

- Nie, to coś więcej. Nie tylko usłyszałem twoje słowa, słyszałem także twoich rozmówców. Czuję się tak, jakbym wraz z wami był w tym pokoju. - A potem Naum powtórzył wszystko, o czym mówiliśmy. - To nie jest złe połączenie - upierał się.

Któregoś wieczora na chodniku przed naszym blokiem pojawił się milicjant. Następnego ranka już go nie było, ale łągdy wieczorem wróciłem z pracy, dostrzegłem innego. Odtąd milicjanci często się pojawiali, notując, kiedy wychodzę i kiedy wracam do domu. Znikali, kiedy wyjeżdżałem z Moskwy.

11 kwietnia Jelcyn podpisał dekret zakazujący prowadzenia badań nad zaczepną bronią biologiczną. Dowiedziałem się o tym niemal natychmiast od jednego z dawnych kolegów i bardzo się tym uradowałem. Oznaczało to - tak w każdym razie myślałem - że Kalinin przegrał. Dekret, oprócz zakazu, zmniejszył o połowę budżet programów obronnych. XV Zarząd rozwiązano, na jego miejsce powstał nowy wojskowy departament odpowiedzialny za obronę jądrową, biologiczną i chemiczną. W dekrete nie było mowy o Biopreparacie, ale poczułem się tak, jakby z barków spadł mi wielki ciężar. Moje dawne życie nie stanowiło już tajemnicy wojskowej. Przypuszczalnie nikogo nie obchodziło teraz, co zrobię z moim nowym życiem.

W kilka tygodni później zakończyłem negocjacje w sprawie sprzedaży kazachskiej ropy partnerowi, z którym od pół roku prowadziłem interesy. Człowiek ten, Mark Sewerynowski, ekstrawagancki biznesmen, handlował diamentami i towarzyską konwersację lubił okraszać nazwami miast, w których ostatnio bawił: Tel Awiw, Londyn, Bonn. Nasze rozmowy nigdy nie schodziły na tematy niezwiązane z interesami, ale po zakończeniu negocjacji dotyczących ropy naftowej postanowiliśmy się zrelaksować nad filiżanką kawy.

W pewnej chwili mój rozmówca rozparł się w fotelu i rzekł:

- Kanjatanie, słyszałem, że chcecie wyjechać z kraju.

- Kto wam to powiedział? - spytałem zdumiony.

- To nieistotne.

- A dlaczego was to interesuje?

- Jesteście kopalnią wielu tajnych informacji.

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Odparłem w końcu, że dekret Jelcyna uczynił naszą dyskusję czysto akademicką.

Sewerynowski rzekł, że „inni” mogą mieć odmienny pogląd i że nie zdaję sobie sprawy, iż moja wiedza może być szkodliwa.

- Szkodliwa dla kogo? - spytałem.

On jednak tylko się uśmiechnął i ^świadczyl, że wszystko to powiedział dla mego dobra. Potem wypił kawę i już więcej nie poruszał tego tematu.

Pomysł powrotu do Kazachstanu ewoluował od luźnego poglądu do desperackiej potrzeby. Kazachstan ogłosił niepodległość 16 grudnia 1991 roku, kiedy byłem jeszcze w Ameryce. Postanowiłem wystąpić o obywatelstwo.

Co najmniej tydzień każdego miesiąca spędzałem w Ałma Acie w interesach, zatrzymując się u rodziców. Kiedy tylko przekraczałem próg mieszkania przy Komunistycznym Prospekcie, 'gdzie się wychowałem, opuszczały mnie stesy i niepokoje związane z dawnym i obecnym życiem. Moja rodzina nadal nic nie wiedziała o mojej pracy. Siostra wyznała mi kiedyś, że przypuszczała, iż zajmuję się tajnym programem klonowania ludzi.

Matka pokazała mi gazetę z dekretem prezydenta Nursułtana Nazarbajewa, oferującym obywatelstwo wszystkim Kazachom mieszkającym poza granicami kraju. Nazarbajewowi szczególnie zależało na ściągnięciu naukowców, lekarzy i inżynierów; zachęcał ich do udziału w transformacji gospodarki kraju. W 1990 roku, kiedy pracowałem jeszcze w Biopreparacie, otrzymałem niejasno sformułowaną propozycję, abym został ministrem zdrowia Kazachstanu. Wówczas w ogóle się nad tym nie zastanawiałem, przekonany, że raczkująca radziecka demokracja osiągnie więcej niż autorytarne klany Azji Środkowej. Sytuacja się jednak zmieniła.

W czerwcu 1992 roku w moskiewskim biurze odebrałem telefon od człowieka, który

przedstawił się jako Michaił Safrygin, wiceminister obrony Kazachstanu.

- Czy w najbliższej przyszłości nie planujecie przypadkiem wizyty w Ałma Acie?
- spytał uprzejmie.

- Owszem - odparłem. - Będę tam w przyszłym tygodniu.

- Czy moglibyście przyjść do naszego ministerstwa? Chcemy wam zaproponować pewne stanowisko i sądzimy, że może was to zainteresować.

Od dawna czekałem na taką okazję. Nie spodziewałem się, że ponownie zaproponują mi posadę ministra zdrowia, ale nowy rząd z pewnością wiedział o moim doświadczeniu w dziedzinie medycyny wojskowej. Wyobrażałem sobie, że potrzebują kogoś do

zorganizowania opieki medycznej dla nowej kazachskiej armii.

Na spotkanie udałem się w nowym, drogim garniturze kupionym za pierwsze zarobki biznesmena. Mój entuzjazm zmalął na widok rozsypującego się budynku Ministerstwa Obrony, w którym jeszcze niedawno mieściło się technikum. Nowe państwo musi zaczynać od tego, co ma do dyspozycji, pocieszałem się. Wchodząc do środka, widziałem się w roli pioniera, założyciela nowego ministerstwa.

Młody porucznik, Kazach, czekał na mnie przy wejściu i zaprosił na piętro, do gabinetu ministra.

- Na pewno traficie - stwierdził.

Ta bezpośredniość przyniosła pewną ulgę. Safrygin przywitał się ze mną wylewnie.

- Jesteśmy zaszczyceni, że odwiedziliście naszą małą fortecę - powiedział.

Zaproponował mi herbatę, rozsiadłem się na kanapie w jego gabinecie.

Spotkanie początkowo przebiegało w miłej atmosferze. Safrygin spytał o pracę w banku i o rodzinę. Potem rozmawialiśmy o zmianach, jakie ostatnio dokonały się w Kazachstanie. Po jakimś czasie Safrygin z szuflady biurka wyjął teczkę.

- Chciałbym wam coś pokazać - powiedział.

Dokument, który mi zaprezentował, stanowił szkic porozumienia pomiędzy Biopreparatem a kazachskim Ministerstwem Obrony i dotyczył wspólnego prowadzenia obiektu w Stepnogorsku.

- To bardzo ciekawe - odezwałem się po dłuższym milczeniu. - Ale co to ma wspólnego ze mną? Opuściłem już Biopreparat.

- Zastanawialiśmy się, czy bylibyście zainteresowani przejściem do Stepno-gorska.

- Stepnogorsk ma już dyrektora. Jesfe[^]im Giennadij Lepjoszkin.

- Właściwie potrzebujemy kogoś do zarządzania całą siecią.

- Nie jestem tym zainteresowany - odparłem.

W tej samej chwili w głębi gabinetu Safrygina otworzyły się drzwi i pojawił się w nich pewien Kazach. Miał na sobie garnitur, lecz poruszał się wojskowym krokiem. Safrygin wstał, ja nadal siedziałem.

- Pułkowniku Alibekow - rzekł mężczyzna
- mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko
temu, jeśli do was dołączę.

- Nie jestem już pułkownikiem, opuściłem wojsko. Mężczyzna machnął ręką.

- Wiem - powiedział.

Przedstawił się jako szef do spraw obrony w administracji kazachskiego prezydenta i bliski współpracownik ministra obrony Sagadata Nurmagambetowa, który do niedawna nosił mundur radzieckiego generała dywizji. Nie podał mi swego nazwiska.

Rozmowa przestała mi się podobać, podobnie jak świadomość, że człowiek ten podsłuchiwał pod drzwiami.

- Wszyscy o was słyszeliśmy - ciągnął - i wiemy, że byliście zdolnym oficerem. I dlatego zaprosiliśmy was tutaj.

Zamarłem.

- Jeśli przyłączycie się do nas, przywrócimy wam stopień pułkownika i w ciągu dwóch tygodni zostaniecie generałem brygady. Na tak szybki awans kazach-ska konstytucja zezwala tylko poprzez prezydencki dekret w połączeniu z głosowaniem parlamentarnym. Mogę wam jednak zagwarantować, że tak się stanie.

- Do zarządzania obiektem biologicznym nie potrzeba generała brygady - powiedziałem.

- Zamierzamy ustanowić nowy zarząd. Chcemy, żebyście stanęli na jego czele.

- Jaki zarząd?

- Medyczno-biologiczny.

- Co macie na myśli?

- Dobrze wiecie, co mam na myśli.

Wstałem.

- W 1972 roku wszystkie państwa świata, łącznie ze Związkiem Radzieckim, podpisały konwencję zakazującą prowadzenia badań i produkcji broni biologicznych. Jeśli wasz prezydent pragnie wywołać zatarg z międzynarodową społecznością, to właśnie jest najlepszy sposób na osiągnięcie tego celu. Proponuję, żebyście o tym zapomnieli.

O

Mężczyzna poczerwieniał.

- Nie sądzę, aby nasz prezydent oczekiwał od was dobrych rad - powiedział.

- W każdym razie odmawiam, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Za całą sprawą musiał stać Kalinin. Nikt w kazachskiej armii nie poważiłby się na

wystąpienie z podobną ofertą bez jego upoważnienia. Był to szatański plan. Gdybym się zgodził, Kalinin nie tylko zachowałby kontrolę nad kazachski-mi obiektami, ale także nade mną. Zacząłem się zastanawiać, czy prezydent Kazachstanu wiedział, jaką ofertę złożono mi w jego imieniu.

- Nie po to tutaj przyszedłem - powiedziałem i ruszyłem do drzwi. Widząc, że mnie nie przekona, Kazach przestał silić się na uprzejmość.

- Nie myślcie sobie, że nas oszukacie! - krzyknął. - Wiemy, kim jesteście, ten wasz garnitur i papierosy marlboro! Zadajecie się z cudzoziemcami!

Mężczyzna posłużył się klasycznym zwrotem epoki stalinowskiej - „za zadawanie się z

cudzoziemcami” wysłano niegdyś do więzień dziesiątki tysięcy ludzi.

- Grozicie mi? - spytałem, czując, że ręce drżą mi ze złości.

- Ostrzegam was, że w przyszłości możecie napotkać poważne kłopoty! Otworzyłem drzwi i wyszedłem. Za plecami usłyszałem protest zdumionego Safrygina, ale nie zatrzymałem się, żeby go wysłuchać.

Po powrocie do Moskwy czułem się jak w pułapce. Nie będzie kazachskiego obywatelstwa, kariery naukowej ani medycznej, jeśli nie przyjmę roli, jaką mi przypisano. Nie wiedziałem nawet, czy nadal będę mógł działać w prywatnym biznesie. Odrzucając ofertę Safrygina, spaliłem za sobą mosty w Rosji i Kazachstanie. Nie usiłowałem dłużej ukrywać, że pragnę uciec z Moskwy jak najdalej.

Osobą, która podpowiedziała mi rozwiązanie, był Sawa Jermoszyn.

Przyjaciela z KGB spotkałem przypadkiem na korytarzu Ministerstwa Przemysłu Medycznego. Udałem się tam na zebranie Rosyjskiego Towarzystwa Biologicznego, naukowej grupy, w której nadal działałem.

Sawa wyglądał na zadowolonego z tego spotkania. Rozpytywał o mnie i rodzinę. Nie widzieliśmy się, odkąd opuściłem Biopreparat. Po zdawkowej rozmowie figlarnie trąci! mnie w ramię.

- Kanjatanie, zdenerwowałeś niektórych ludzi.

- Dlaczego? - spytałem niefrasobliwym tonem.

- To nieistotne. Powtarzam im, że nie mają się czym martwić. Mówię: tak, Kanjatan dużo podróżuje, ale nigdy nie zamieszkałby w innym kraju bez rodziny... I naturalnie nie uzyskałby zgody na wspólny wyjazd.

Milczałem.

Jermoszyn się roześmiał.

- No i co, zostałeś już milionerem?

- Kiedy zostanę, od razu ci powiem - odparłem, starając się dopasować do jego lekkiego tonu.

Podaliśmy sobie ręce i każdy odszedł w swoją stronę. Przekazanie mi tej wieści z pewnością nie przyszło mu łatwo. Zawsze miałem świadomość, że nasza przyjaźń nigdy nie będzie dla niego ważniejsza od pracy zawodowej.

Jermoszyn poniósł zresztą konsekwencje tej przyjaźni. Kiedy opuściłem Biopreparat, przeniesiono go poza Moskwę i zmuszono do porzucenia szeregów KGB. Jednak na dłuższą metę nie stała mu się krzywda. Został generałem w policji podatkowej w dużym rosyjskim mieście. Słyszałem, że jest obecnie bardzo zamożnym człowiekiem. ^

Mam wobec niego dług wdzięczności - pierwszym krokiem, jaki miałem zamiar uczynić w związku z wyjazdem, było złożenie podania o paszporty dla Leny i dzieci, tymczasem Jermoszyn jasno dał mi do zrozumienia, że razem nigdy ich nie otrzymamy. Jedynym sposobem opuszczenia Rosji wraz z rodziną była ucieczka, jakbym był kryminalistą.

Sądziłem, że wiem, jak można by to zrobić. W ostatnich miesiącach zaprzyjaźniłem się z mieszkającą w Nowym Jorku rosyjską bizneswoman. Kobieta często odbywała podróże do Moskwy, gdzie czasami dyskutowaliśmy o możliwości prowadzenia interesów w Stanach Zjednoczonych. W kilka tygodni po powrocie z Kazachstanu znów natknąłem się na nią podczas prywatnego spotkania.

Odciągnąłem ją na bok i szeptem spytałem, czy zechciałaby oddać mi pewną przysługę. Wyjąłem z portfela wizytówkę, którą w grudniu otrzymałem od Lisy Bronson z amerykańskiego Departamentu Obrony, gdy towarzyszyła naszej delegacji.

Poprosiłem, aby zatelefonowała do niej z Nowego Jorku i przekonała się, czy Bronson

byłaby gotowa mi pomóc w emigracji do Ameryki. Nie zapomniałem o rozmowie, jaką w grudniu odbyliśmy przed Białym Domem. Miałem nadzieję, że i ona o tym nie zapomniała.

Moja przyjaciółka wyglądała na nieco zdumioną i zaniepokojoną. Była jednak odważna i lubiła przygody.

- W lipcu będę na Malcie w interesach - powiedziałem, kiedy przystała na moją prośbę. - Zadzwoń do ciebie, kiedy się tam znajdę.

Kilka tygodni później rzeczywiście przybyłem na Malte i z hotelowego pokoju od razu zatelefonowałem do Nowego Jorku.

- Rozmawiałam z twoimi znajomymi - powiedziała przyjaciółka. - Są bardzo

zainteresowani. Przyjmą cię w USA z otwartymi ramionami.

- Dziękuję - odparłem. - Powiedz im, że we wrześniu przyjeżdżam do Nowego Jorku w interesach. Wówczas do ciebie zadzwonię.

Zdawałem sobie sprawę, że Amerykanie spodziewają się, iż w zamian za pomoc przekażę im wszystko, co wiem o radzieckim programie. Niektórzy z moich kolegów z pewnością takie postępowanie uznaliby za zdradę. Ja jednak doszedłem do wniosku, że zdradą była moja kariera, stanowiąca zaprzeczenie przysięgi Hipokratesa. *

Wróciwszy do Moskwy, zwierzyłem się Lenie z moich planów. Bez wahania zgodziła się na wyjazd. Była rozgoryczona przyjęciem, jakie zgotowano mi w Kazachstanie, a w

Moskwie obawiała się o moje bezpieczeństwo.

We wrześniu przyjechałem do Nowego Jorku w towarzystwie mego przyjaciela Nauma. Przez tydzień zamierzaliśmy nawiązywać kontakty w środowisku rosyjskich emigrantów, aby przekonać się Ormożliwościach prowadzenia interesów. Wynajęliśmy dwuosobowy pokój w hotelu przy skrzyżowaniu Trzynastej Ulicy i Brodwayu.

Kiedy tylko dotarliśmy na miejsce, natychmiast zatelefonowałem do mojej przyjaciółki. Zaproponowała spotkanie, a ja uznałem, że najlepszym miejscem będzie hotel. Obawiałem się samotnych wędrówek po ulicach obcego miasta, nie znając języka i wiedząc o potędze agentów KGB. Wziąłem Nauma na stronę.

- Chciałbym cię prosić o przysługę - powiedziałem.

- Słucham.

- Nie wiem, jak to wyrazić... W Nowym Jorku mam przyjaciółkę, z którą chciałbym się spotkać... - plątałem się niezręcznie. - To taka stara znajomość... Chcielibyśmy razem powspominać stare dobre czasy. Czy dziś po południu mógłbyś nas zostawić samych w pokoju?

Naum mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Naturalnie. Zawsze do usług.

Przyjaciółka pojawiła się w kilka godzin później. Była zdenerwowana i mówiła półgłosem. Lisa Bronson podała jej nazwiska osób w Waszyngtonie, do których należało zatelefonować.

- Czekają na sygnał, więc wszystko zależy od tego, kiedy się zdecydujesz - powiedziała.
- Pensję będziesz otrzymywał jako konsultant do spraw obrony biologicznej. Ale jest jedna sprawa.

- Jaka?

- Chcą, żebyś zrobił to teraz. Uważają, że jeśli wrócisz, być może nigdy już nie dostaniesz zgody na wyjazd. Żonę i dzieci obiecują wywieźć z kraju później.

Odparłem, że to niemożliwe. Uśmiechnęła się blado.

- Przepuszczali, że się nie zgodzisz, ale chcieli ci to przekazać.

Udzieliła mi szczegółowych instrukcji, jak powinienem się przygotować. Wiązało się to z kontaktami z urzędnikami państwowymi w Kazachstanie, Rosji i innych krajach.

Naraziłbym ich na niebezpieczeństwo, zdradzając więcej szczegółów. Historia ucieczki do” Ameryki to jedyna tajemnica, której nie ujawnię.

W tydzień później znów byłem w Moskwie. W dniu mego przyjazdu wybraliśmy się z Leną na wieczorny spacer, na którym zdradziłem jej szczegóły planu. Nie chciałem rozmawiać w domu, w mieszkaniu KGB mogło zainstalować podsłuch. Postanowiliśmy powiedzieć Mirze, ale nie chłopcom. Mira miała wówczas piętnaście lat, była dostatecznie dojrzała, żeby dochować tajemnicy, natomiast Alan miał dwanaście, a Timur zaledwie siedem lat. Chłopcy z pewnością nie oparliby się pokusie, aby pochwalić się przed kolegami, że jadą do Ameryki.

Potajemnie zaczęliśmy przygotowywać się do wyjazdu. Sprzedałem niektóre książki i pamiątki, ale większość mebli postanowiliśmy pozostawić w mieszkaniu, żeby nie wzbudzać podejrzeń sąsiadów. Umówiłem się z krewnym, który obiecał później sprzedać nasz dobytek. Z pieniędzy tych postanowiłem spłacić długi, aby nikt nie mógł twierdzić, że uciekłem z Rosji przed wierzycielami.

W ostatnich tygodniach września staraliśmy się wieść zupełnie normalne życie. Chłopcom powiedzieliśmy, że wkrótce pojedziemy do Ałma Aty na wakacje.

W przeddzień planowanej ucieczki zadzwonił telefon. Mężczyzna przedstawił się jako kapitan Zajcew z moskiewskiego KGB. Mówił łagodnym, przyjemnym głosem.

- Chcielibyśmy z wami porozmawiać - powiedział. - Czy moglibyście przyjść do naszego biura? ^

- Dzisiaj nie mam czasu - odparłem.

- A jutro rano?

- Jutro lecę do Alma Aty.

- To naprawdę pilne.

- Czy nie moglibyśmy z tym poczekać do mojego powrotu?

- A kiedy to nastąpi?

- Za mniej więcej dwa tygodnie.

W jego głosie zabrzmiała niepewność.

- Czy mogę do was jutro zadzwonić?

- Oczywiście.

Nie czekałem na jego telefon. Następnego dnia poleciliśmy do Kazachstanu.

Wchodząc do mieszkania przy Komunistycznym Prospekcie, zastanawiałem się, czy jeszcze je kiedyś zobaczę.

Ojciec całkowicie ogłuchł, toteż moje plany spisałem na kawałku papieru i pokazałem mu. Stary żołnierz dokładnie wszystko przeczytał. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Potem ojciec uściśnął mi dłoń. Nic nie powiedział, ale gest ten odebrałem jako aprobatę.

Później siedzieliśmy w kuchni z matką i bratem. Rozmawialiśmy po kazach-sku i rosyjsku.

Matka spytała o termin wyjazdu.

Opowiedziałem o śledzących mnie agentach, o podsłuchach telefonicznych, o trudnościach w znalezieniu pracy, która by mi odpowiadała. A także o wyniku rozmowy

w kazachskim Ministerstwie Obrony. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał mocno i zdecydowanie.

- Ani dla ciebie, ani dla twojej rodziny nie ma wyboru. Macie moje błogosławieństwo.

Po czym w pełnej szacunku ciszy wraz z bratem wysłuchaliśmy historii, której przedtem nigdy nie opowiadała. Matka była dziesięcioletnią dziewczynką, kiedy jej ojciec, a mój dziadek, został aresztowany przez NKWD. Oskarżenie przeciwko niemu zostało sfabrykowane. W więzieniu zaraził się śmiertelną chorobą. Do więziennego szpitala dopuszczono moją babkę wraz z dwojgiem dzieci - matką i wujem - aby mogli się z nim pożegnać.

Były to trudne chwile. Dziadkowie na pierwszy rzut oka stanowili źle dobraną parę:

on był zagorzałym komunistą, ona należała do kazachskiej elity, była potomkinią Teuk-echana, który zjednoczył kraj w XVII wieku i skodyfikował prawo. Moja babka, która zabi-
erała mnie w dzieciństwie do meczetu, abym poznał religię przodków, nigdy nie pogodziła się z socjalistycznym reżymem - który teraz zabijał jej męża.

- Spojrzał na waszego wuja i na mnie, po-
tem na moją matkę i powiedział, aby oddała
nas do sierocińca. Matka rozplakała się, a po-
tem ja także, ponieważ uważałam, że to
straszne powiedzieć coś takiego. Matka spy-
tała dlaczego, a on odparł, że tylko tak
zdołamy ocaleć. W przeciwnym razie nas
także aresztują. Jednak wasza babka nie
posłuchała go. Zabrała nas do domu i przez
wiele miesięcy ukrywała. Każdej nocy

wsluchiwała się w dochodzące z ulicy odgłosy, kiedy samochody przyjeżdżały po coraz to nowych ludzi. Zawsze, gdy słyszała nadjeżdżające auto, mówiła: Oto następny człowiek, który zabił waszego ojca.

Matka miała łzy w oczach.

- Zawsze należy robić to, co uważa się za słuszne.

Następnego wieczora poleciliśmy z Ałma Aty do Moskwy. Tam innym samolotem mieliśmy opuścić Rosję. Wylądowaliśmy kilka godzin przed północą. Na nasz samolot należało czekać aż do rana, co wymagało ode mnie podjęcia trudnej decyzji.

Samoloty z Ałma Aty lądowały na południu Moskwy. Tymczasem odlecieć mieliśmy z Szeremietiewa, głównego międzynarodowego portu lotniczego. Przejazd z jednego lotniska

na drugie trwał około dwóch godzin, trasa wiodła przez centrum stolicy. Jadąc bezpośrednio na lotnisko międzynarodowe, moglibyśmy zdradzić nasz plan KGB, ponieważ z pewnością byliśmy obserwowani. Nasze mieszkanie znajdowało się na północy Moskwy, w pobliżu drogi do Sze-remietiewa. Rzeczą rozsądną wydawało się zatem przeczekanie w mieszkaniu.

W ten sposób może udałoby się przekonać KGB, że zgodnie z planem wróciliśmy do domu z wakacji.

Z Domodiedowa zabrał nas przyjaciel. Było ciemno i zimno, drogą prowadzącą do miasta jechało niewiele samochodów.

Zauważyłem, że ktoś nas śledzi. Światła samochodu jadącego za nami wciąż odbijały się w lusterku, a kiedy zmienialiśmy pas,

nasz „ogon” czynił to samo. Jednak kiedy skręciliśmy pod dom, samochód pojechał dalej. Odetchnąłem. Pierwsza część planu się powiodła.

Podczas gdy rodzina drzemała, ja bezustannie spacerowałem tam i z powrotem. Od czasu do czasu wyglądałem przez okno, żeby sprawdzić, czy ktoś nie obserwuje naszego domu. Wreszcie przed wschodem słońca obudziłem wszystkich. Przyjaciel już czekał w samochodzie, z rury wydechowej wydostawały się białe obłoczki dymu.

Skradając się na palcach, aby nie obudzić sąsiadów, zeszliśmy na dół. Otworzyłem drzwi, rozglądając się dookoła, Lena wsiadła z dziećmi do środka. Nikogo nie zauważyłem.

Nikt nie jechał za nami w drodze na lotnisku. Nadal jednak ścisnęło mnie w dołku,

kiedy wraz z innymi pasażerami czekaliśmy w kolejce przed wejściem na pokład.

Trudno było uwierzyć, że przechytrzyliśmy KGB. Kiedy zajęliśmy już miejsca, pomyślałem, że uśmiech stewardesy to najpiękniejszy widok na świecie.

Przesłuchanie

Rosja... nigdy nie opracowywała, nie produkowała, nie gromadziła ani nie przechowywała broni biologicznych.

Przemówienie Grigorija Bierdiennikowa, szefa rosyjskiej delegacji na konferencji sygnatariuszy Konwencji o zakazie „%«pni biologicznych z 1972 roku, która odbyła się w listopadzie 1996 roku.

Na miesiąc przed moim przyjazdem do Ameryki Rosja podpisała porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią, kładące kres produkcji broni biologicznych. We wrześniu 1992 roku trzy kraje podjęły współpracę zmierzającą do przekształcenia

dawnych zakładów zbrojeniowych w cywilne ośrodki badawcze, zwiększenia wymiany naukowej oraz określenia procedur przyszłych wzajemnych wizytacji w obiektach wojskowych i cywilnych. Kwestia wyścigu zbrojeń biologicznych najwyraźniej pozostać miała zamkniętym rozdziałem zimnej wojny. A przynajmniej tak wydawało się Amerykanom, którym składałem sprawozdanie.

W pierwszym roku pobytu w USA niemal codziennie rano udawałem się do biurowca w niedużym mieście w Wirginii, oddalonym od Waszyngtonu o dwadzieścia minut jazdy samochodem drogą numer 66. Na pierwszym piętrze, w pokoju wyposażonym w duży stół i wygodne krzesła, odpowiadałem na pytania przedstawicieli różnych agencji

wywiadowczych i instytucji rządowych, takich jak Departament Rolnictwa, Departament Stanu, Departament Obrony oraz Agencja Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia. Reprezentanci tych instytucji zawsze mówili, kim są, jednak już przy czwartej lub piątej osobie traciłem rozeznanie, kto był z jakiej instytucji.

Początkowo traktowałem tę sprawę rutynowo, z czasem rozmowy zaczęły dawać mi pewną satysfakcję. Mówienie o rzeczach, o których musiałem milczeć przez tak wiele lat, przynosiło ogromną ulgę.

Lena zauważyła zmianę mojego nastroju. Zniknął napięty urzędnik, z którym obcowała w Moskwie, zamiast niego pojawił się dotąd nieznanym, zrelaksowanym człowiekiem. Wieczorami, kiedy dzieci już spały,

próbowałem jej opowiadać o przebiegu tych spotkań, ale ona nie wydawała się tym zainteresowana.

Spodziewałem się, że składaniu sprawozdań towarzyszyć będzie atmosfera szpiegowskiej intrygi, tymczasem były to raczej seminaria akademickie. Spotkania te niekiedy rodziły frustrację, zwłaszcza kiedy poruszałem kwestie strategiczne, które moich rozmówców najwyraźniej w ogóle nie interesowały.

- Chcemy usłyszeć tylko to, co pan wie - wyjaśnił mi pewien analityk do spraw obronności USA - a nie to, co pańskim zdaniem może się wydarzyć.

Rozumiałem, dlaczego tak uważają - byłem administratorem i naukowcem, a nie wojskowym strategiem. Jednak ich poglądy

dowodziły fundamentalnego niezrozumienia istoty broni biologicznych. Przesłuchujący mnie chcieli na przykład wiedzieć, jaka część zapasów została zniszczona, jaki procent zakładów wytwórczych zamknięto. Nie interesowała ich natomiast siła rażenia wytwarzanych przez nas broni. Niewielu pytało o możliwości broni opartych na wągliku, tularemii czy dżumie, nie zdradzali także zainteresowania naszymi badaniami genetycznymi. Nacisk położony na kurczący się rosyjski arsenał dowodził, że Amerykanie sądzili, iż rosyjska broń biologiczna nie stanowi już poważnego zagrożenia.

Powoli zacząłem dochodzić do wniosku, że się mylą.

Na początku 1994 roku natknąłem się na artykuł opublikowany w poprzednim roku

przez Siergieja Nietiosowa, wicedyrektora do spraw naukowych kompleksu Wektor. Nietiosow donosił, że zespołowi naukowców udało się wprowadzić do szczepionki materiał genetyczny nieszkodliwego wirusa spokrewnionego z ospą. Zamarłem. Eksperyment ten stanowił jeden z elementów tajnego planu, który sam zatwierdziłem przed pięćoma laty, a którego celem było stworzenie nowej, groźnej broni opartej na ospie.

Nietiosowa poznałem w lutym 1989 roku. Był dobrze zapowiadającym się, trzydziestoletnim wówczas wirusologiem. Podczas jednej z moich służbowych podróży na Syberię przedstawił mi go Lew Sandakczow.

- Nietiosow należy do naszych najlżejszych ludzi - chwalił się Sandakczow, kiedy

ściskałem dłoń młodego naukowca. - Przedstawiam go do awansu.

Nietiosow, doktor wirusologii, należał do nowego pokolenia znakomitych cywilnych naukowców ściągniętych do Biopreparatu w latach osiemdziesiątych. Sandakczow oświadczył, że zbliża się moment przełomu - wywrze on ogromny wpływ na nasz program i na genetyczne eksperymenty z bakteriami i toksynami, nad którymi pracowano w Oboleńsku.

- Sądzymy, że zdołamy stworzyć wirusa-chimerę - powiedział ogólnie.

Chimera to mityczny potwór o lwiej głowie, tułowiu kozy i ogonie węża. Biologowie określają tak organ składający się z tkanek o różnym pochodzeniu genetycznym. Nigdy

dotąd nie słyszałem, aby słowa tego używano w odniesieniu do wirusów.

Nietiosowa zainspirowały zachodnie badania. W zagranicznych pismach fachowych przeczytał o wzbogaceniu ospy bydłowej o gen wirusa wenezuelskiego końskiego zapalenia mózgu (VEE). Eksperyment związany był z badaniami prowadzonymi nad genomem wirusów. Miały one doniosłe znaczenie medyczne. Zrozumienie genetycznych różnic pomiędzy blisko ze sobą spokrewnionymi szczepami wirusów mogło przyczynić się do wyjaśnienia, dlaczego niektóre szczepy wywołują choroby, a inne nie. Badacze przypuszczali także, że możliwe jest opracowanie szczepionek uodporniających organizm na działanie szeregu chorób naraz poprzez wprowadzenie genów jednego

wirusa do drugiego. Tak więc genetycznie zmodyfikowany wirus ospy bydłowej mógłby powielać zarówno komórki VEE, jak i swoje własne. Badania te wymagały miesięcy, a niekiedy nawet lat intensywnej pracy. Wirus-gospodarz dopóty będzie odrzucał obce geny, dopóki naukowcy nie znajdą w genomie właściwego miejsca na nowy materiał.

Genetyczna struktura wirusa ospy bydłowej była niemal tożsama z wirusem ospy. Jeśli VEE można było połączyć z ospą bydłą, zapewne to samo można osiągnąć z wirusem ospy. W ten sposób powstałaby superbroń, wywołująca jednocześnie obydwie choroby.

Przekonany przez Sandakczowa o doniosłości tego projektu udzieliłem mu zgody na awansowanie Nietiosowa ze

stanowiska szefa laboratorium na wicedyrektora obiektu do spraw naukowych. Na projekt „Chimera” przekazałem także specjalny fundusz w wysokości stu tysięcy rubli.

Techniki stosowane przy operacjach na wirusach są o wiele bardziej skomplikowane niż w przypadku bakterii. Niektóre wirusy, na przykład VEE, zrobione są z RNA, kwasu rybonukleinowego, i stanowią „odwróconą wersję” DNA. Wpierw trzeba „przetłumaczyć” RNA na sekwencję DNA, potem pociąć je na kawałki specjalnymi enzymami i następnie zamienić jakiś odcinek innego geno-mu na fragment „naszego” DNA. W ten sposób otrzymuje się zrekombinowane DNA, czyli składające się z materiału genetycznego pochodzącego z dwóch organizmów.

Po sześciu miesiącach, wiosną 1990 roku, Nietiosow doniósł, że udało mu się wprowadzić kopię DNA VEE do ospy bydłowej. Właściwym miejscem na „wszczepienie” obcego materiału okazał się gen kinazy tymidyny, który odtąd rozmnażał się razem z nowym gospodarzem. Zespół Nietiosowa natychmiast rozpoczął podobne eksperymenty z wirusem ospy.

W owym czasie wcale nie byłem przekonany, że odnieśli sukces. Zachodni genetycy odkryli, że kiedy dochodzi do połączenia VEE z wirusem ospy bydłowej, wirulencja ospy znacznie spada. Stanowiło to dla nas poważny problem: nie chcieliśmy bowiem osłabiać wirusa ospy.

W roku 1990 moją uwagę pochłonęły przygotowania do wizyty zachodnich

inspektorów i przestałem pilnie śledzić postępy Nietiosowa. Tymczasem badania trwały nadal.

W 1996 roku ten sam zespół opublikował pracę w fachowym piśmie „Moleku-larnaja Biologia”, wydawanym przez Rosyjską Akademię Nauk. Naukowcy donosili w nim, że w genomie bydłęcej ospy znaleźli odpowiednie miejsce na „wszczepienie” obcego materiału genetycznego i operacja ta nie miała wpływu na wirulencję. Twierdzili, że cel badań był wyłącznie pokojowy - chodziło o zbadanie różnych właściwości wirusów. Jednak jakież medyczny cel uzasadniał eksperymenty mające na celu zachowanie wysokiej wirulencji?

Naukowcy z Wektora posłużyli się w eksperymentach genem beta-endorfiny. Beta-endorfina, która w dużych stężeniach

wywołuje zaburzenia psychiczne i neurologiczne oraz hamuje niektóre reakcje immunologiczne, była jednym z filarów programu badawczego „Ognisko”.

W 1997 roku ten sam zespół doniósł w rosyjskim piśmie „Woprosy Wirusologii”, że udało się wprowadzić gen Eboli do wirusa ospy bydłowej. Po raz kolejny opisowi eksperymentu towarzyszyły wyjaśnienia, że chodzi wyłącznie o opracowanie szczepionki przeciwko Eboli. Tymczasem zawsze naszym zamiarem było wykorzystanie ospy bydłowej do produkcji kolejnych broni zawierających ospę prawdziwą. Nie miałem żadnych wątpliwości, że Wektor trzyma się pierwotnego planu.

Jednym z naszych celów było zbadanie możliwości opracowania broni będącej połączeniem Eboli i ospy.

Wektor był oficjalną rosyjską składnicą zarazków ospy, odkąd przeniesiono je tam z moskiewskiego Instytutu Iwanowskiego w 1994 roku. Wraz z Sandak-czowem usiłowaliśmy wszystkie szczepy umieścić w Wektorze jeszcze w 1990 roku, mając nadzieję, że „legalne zapasy” posłużą za znakomitą przykrywkę dla prowadzonych w Wektorze badań nad ospą. Wówczas sprzeciwiło się temu Ministerstwo Zdrowia i dopiero cztery lata później rosyjski parlament zatwierdził ten sam plan, nie podając jednak do publicznej wiadomości powodów decyzji. Nie wzbudziło to zbytniego zainteresowania międzynarodowej społeczności.

Badania w Wektorze nie były odosobnionym przypadkiem. W 1997 roku naukowcy z Oboleńska zamieścili w brytyjskim piśmie naukowym „Vaccine” artykuł informujący, że opracowali genetycznie zmodyfikowany szczep *Bacillus anthracis*, odporny na działanie szczepionek przecrw wąglikowi. We wcześniejszych artykułach opisali nosaiczną niepodatną na szereg leków. Badania te zaczęto prowadzić jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Amerykańscy rozmówcy sceptycznie odnosili się do moich obaw. Niektórzy nawet wyrażali wątpliwość, czy taką hybrydową broń w ogóle można stworzyć. Natomiast naukowcy, których považiałem, dziwili się, dlaczego ktokolwiek miałby dążyć do powstania takiej bront^Wskazywali na fakt,

że ospa i Ebola same w sobie były już dostatecznie śmiertelne. Doktor Peter Jehrling z USAMRIID, który obecny był na pierwszych spotkaniach ze mną, sprawę tę nazwał „czystą fantazją”.

Nie wiem, czy wyprodukowano broń opartą na Eboli i ospie, jednak kwestią bezdyskusyjną jest fakt, że obecna technologia na to pozwala. Argumentacja, iż nie zostanie ona wyprodukowana, ponieważ dotychczas istniejące są „dostatecznie śmiertelne”, przeczy logice i historii rozwoju broni, poczynając od wynalezienia karabinu maszynowego aż po bombę wodorową.

Przesłuchującym mnie osobom tłumaczyłem, że rosyjskie laboratoria biologiczne należy obserwować równie pilnie jak arsenał atomowy. Wówczas usłyszałem, że

błędem jest wyciąganie wniosków o intencjach na podstawie naukowych eksperymentów oraz że prace prowadzone w Rosji należy uznawać za pokojowe, dopóki nie pojawią się przekonujące dowody, iż jest inaczej.

Przez całe życie obawiałem się, że Amerykanie nas prześcigną. Teraz daremnie starałem się ich przekonać, jak wielkie postępy zrobiła nauka w dziedzinie wojny biologicznej. Dopiero kiedy wśród moich rozmówców znalazł się Bili Patrick, a było to dwa miesiące po rozpoczęciu przesłuchań, poczułem, że istnieje człowiek, który rozumiał, co chciałem przekazać.

Kiedy tylko nas przedstawiono, Patrick wręczył mi swoją wizytówkę. Nie zrozumiałem z niej ani słowa, ale roześmiałem się,

kiedy zauważyłem trupią czaszkę i piszczele. Później dowiedziałem się, że wizytówka informowała, iż jej właściciel jest „specjalistą od broni biologicznych”.

Patrick, wówczas sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna, odszedł na emeryturę z Fort Detrick, gdzie gładko dokonał przemiany jednostki wojskowej prowadzącej badania nad bronią biologiczną w oddział opracowujący środki ochronne dla żołnierzy przed bronią, której w przeszłości był współwórcą. Został konsultantem do spraw bioobrony i znalazł się w pierwszym zespole obserwatorów ONZ, który wyjechał do Iraku w 1992 roku. Różnica wieku i doświadczeń zatarła się natychmiast, kiedy zaczęliśmy dzielić się sekretami naszych dawnych profesji. Obydwaj podejmowaliśmy podobne

wyzwania, stawaliśmy przed podobnymi problemami. Kiedy szczegółowo opowiedziałem mu o recepturach na naszą broń, ukrył twarz w dłoniach.

Patrick podobnie jak ja zdawał sobie sprawę, że nowe techniki rozmnażania, koncentracji i przenoszenia środków biologicznych, jakie opracowano od czasu zamknięcia amerykańskiego programu, stanowią dla USA poważne zagrożenie.

Pomimo obietnic Kremla rosyjscy dowódcy wojskowi ani nie udostępniili swych obiektów zagranicznym inspektorom, ani nie wyrzekli się dalszych badań nad rozwojem broni biologicznych.

„Odtwarzamy to, co zniszczono w latach 1986-1989” - oświadczył generał dywizji Anatolij Choreczko, obecnie kierujący

kompleksem 19 w Jekaterynbur-gu (Swierd-
lowsku), w wywiadzie udzielonym w 1997
roku gazecie wydawanej dla pracowników
ośrodka. Jego uwagi przedrukowało pismo
„Ściśle Tajne”, jedno z najlepszych rosyjskich
pism uprawiających dziennikarstwo śledcze,
posiadające dostęp do tajnych informacji,
które na temat obiektu zamieściło długi
artykuł. Stwierdzano w nim także, że kom-
pleks 19 zakupił w Japonii nowy sprzęt
farmaceutyczny.

Z innych stron dochodziły podobne syg-
nały. Wicegubernator obwodu Penzy oświad-
czył w 1997 roku, że w rejonie tym „wkrótce
będziemy mieli broń biologiczną”.

Jestem przekonany, że nadal, wbrew za-
kazowi Jelcyna, kontynuowane są prace nad
wieloma programami broni zaczepnych,

zapoczątkowane w czasach Związku Radzieckiego. Na mocy dekretu Gorbaczowa linie produkcyjne zniszczono w Omutninsku, Berdsku, Stepnogorsku, Kurganie i Penzie. Obiekty te przekształcono w cywilne zakłady, jednak ponowne uruchomienie w nich produkcji wojskowej wymagałoby tylko niewielkich zmian. W niektórych wypadkach przebudowa trwałaby zaledwie kilka miesięcy. Stepnogorsk jest jedynym zakładem, który całkowicie zamknięto. W 1998 roku rząd kazachski zgodził się na rozebranie fabryki - w zamian za miliony dolarów ze Stanów Zjednoczonych - w ramach szerszego programu pozbywania się poradzieckich kompleksów wojskowych.

Wektor, Oboleńsk i leningradzki Instytut Ultraczystych Biopreparatów pozostają pod

kontrolą państwa. Zakłady wytwarzające sprzęt, takie jak Biuro Maszyn Precyzyjnych w pobliżu Leningradu, Biuro Instrumentów Sterujących i Automatykacji w stolicy Mari Jozkar Oła oraz filie gigantycznego konglomeratu Biomasz przekwalifikowały swą produkcję na potrzeby cywilne. Niektóre z tych obiektów podpisały kontrakty z armią na sprzęt związany z bioobroną.

Badania ofensywne prowadzone w instytutach Akademii Nauk oraz Ministerstwa Zdrowia i Rolnictwa zostały definitywnie zakończone, nasze zapasy dżumy, tularemii i ospy zniszczono. Pomimo to istnieją dowody świadczące o tym, że Rosja przywiązuje wysoką wagę do dawnej infrastruktury badań biologicznych.

Dowódcy trzech najważniejszych zakładów wojskowych - w Jekaterynburgu (Swierdłowski), w mieście Siergijew Posad (Zagorsk) oraz w Kirowie - w latach 1992-1994 zostali awansowani z pułkowników na generałów w uznaniu zasług w dziedzinie bioobrony. Jednak jeśli w zakładach tych rzeczywiście wytwarza się tylko szczepionki, dlaczego zostały zamknięte przed światem? Stany Zjednoczone posiadają jeden porównywalny obiekt - USAMRIID - który regularnie zezwala na wizyty.

Wielu byłych dowódców i biurokratów z radzieckiej maszyny wojennej zajmuje ważne stanowiska w rządzie. Generał Walentin Jewstigniejew, który za moich czasów był szefem XV Zarządu, został wicedyrektorem Wojskowego Zarządu Kontroli Broni

Jądrowych, Biologicznych i Chemicznych. Twardogłowi, którzy niegdyś zdecydowanie opowiadali się za bronią biologiczną, odzyskują w Moskwie dawne wpływy. Do osób takich nałgży na przykład Jurij Masłukow, dawniej stojący na czele przemysłu wojskowego, obecnie wicepremier Rosji. Następcy Jel-cyna nie będą już tak skorzy do zaakceptowania zachodnich ograniczeń nałożonych na wojskowy potencjał ich ojczyzny.

Niedawno pewien amerykański urzędnik po powrocie z Moskwy pokazał mi broszurę wydaną z okazji dwudziestopięciolecia powstania Biopreparatu, którą zdobiło zdjęcie Jurija Kalinina, świętującego swoje sześćdziesiąte urodziny. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że Kalinin nadal jest

urzędującym generałem, choć już przed pięcioma laty przekroczył wiek, w którym oficerowie rosyjscy przechodzą na emeryturę. Pomyślałem wówczas: jak Rosja może utrzymywać, że Biopreparat prowadzi wyłącznie działalność pokojową, skoro jego dyrektor nadal służy w wojsku?

Jakby po to, aby tym bardziej uświadomić mi tę sprzeczność, mój były szef postanowił się ze mną skontaktować.

W parny sierpniowy piątkowy wieczór ubiegłego (1997) roku do baru hotelu Ritz-Carlton w Pentagon City, oddalonego o osiem kilometrów od mojego domu, wszedł pewien człowiek w ciemnym garniturze. W drzwiach zawahał się, spoglądając wokół wzrokiem pasażera, który znalazł się w obcym porcie.

Poczułem nagle zdenerwowanie, kiedy ruszył do mego stolika. Był dyrektorem badawczego oddziału Biopreparatu, a zarazem pierwszą osobą z dawnego kręgu znajomych, jaką widziałem od pięciu lat.

Znajomy z Departamentu Stanu powiedział mi, że człowiek ten przebywa w Waszyngtonie poszukując finansowego wsparcia dla instytutu. Pod wpływem impulsu zatelefonowałem do niego i zaproponowałem spotkanie. Początkowo był temu przeciwny, ale po kilku godzinach oddzwonił i zgodził się przyjść do baru w hotelu Ritz-Carlton.

Od moskiewskich przyjaciół wiem, że po moim wyjeździe KGB przeprowadził drobiazgowe śledztwo. Stany Zjednoczone nie podały wiadomości o mojej ucieczce, przystając na żądanie Moskwy, aby zachować

wszystko w tajemnicy na mocy trójstronnego porozumienia wypracowanego po ucieczce Pasecznika. W 1993 i 1994 roku pojawiły się wprawdzie doniesienia o „drugim biologicznym uciekinierze”, ale nie ujawniono mojej tożsamości. Jednak rozmach śledztwa KGB wskazywał, że Moskwa przygotowywała dossier^c aby mnie zdyskredytować na wypadek, gdyby było to kiedyś konieczne. Przesłuchani zostali wszyscy moi koledzy i ludzie, z którymi w przeszłości współpracowałem. Niektórzy z nich ponieśli konsekwencje tej znajomości.

Jazzowa orkiestra właśnie zaczynała grać kolejny utwór, kiedy podaliśmy sobie ręce. Przyjaciół spojrzał na mnie, odniosłem wrażenie, że z rozbawieniem. Miałem na sobie letni uniform podmiejskiej Ameryki:

sportową koszulę i luźne spodnie. On był w ciemnym, źle uszytym garniturze, zbyt grubym jak na taki upał.

- Powiedz - rzekł, spoglądając na osoby przy sąsiednich stolikach - którzy są wasi, a którzy nasi?

Roześmiałem się. Był to dowcip, który mógł rozśmieszyć tylko dwóch byłych radzieckich urzędników. Ale jednocześnie określał istniejącą między nami granicę: byłem teraz jednym z „onych”.

Zamówiłem lampkę wina, a on martini. Miałem nadzieję, że powspominamy dawne czasy. Ożywił się jednak dopiero, kiedy spytałem o bieżące sprawy. Zaczął opowiadać o „projekcie z zakresu obrony biologicznej” dla Ministerstwa Obrony. Ja chciałem mówić o mojej pracy, ale położył mi rękę na ramieniu.

- Nie musisz się tłumaczyć - rzekł. -
Wiem, dlaczego wyjechałeś do Ameryki. Pod-
jąłeś decyzję, nie mam ci nic do zarzucenia.
Ja nie uważam, że jesteś zdrajcą.

Zapadła cisza. Zapewne miałem domyślić
się, że inni właśnie tak uważają. A potem
wzruszył ramionami i spróbował się
uśmiechnąć.

- Kanjatanie - ciągnął - mam nadzieję, że
nie pogniewasz się, gdy powiadomię Kalinina
o naszej rozmowie?

Nie byłem w stanie ukryć zdziwienia. Aż
do tamtej chwili sądziłem, że Kalinin
przeszedł na emeryturę. Pierwotne wahanie
przyjaciela, czy może się ze mną zobaczyć, i
późniejsza decyzja zaczęły nabierać złow-
ieszczonego znaczenia. Czyżby potrzebne mu
było pozwolenie na rozmowę ze „zdrajcą”?

Przed przyjściem na spotkanie miał dość czasu, żeby zatelefonować do Kalinina.

- Oczywiście, że nie - odparłem z trudem.

- A jak tam zdrowie generała? Sądziłem, że opuścił już Biopreparat.

Przyjaciel potrząsnął głową.

- Jest taki jak zawsze. Zapadło kłopotliwe milczenie.

- Wiesz - odezwałem się w końcu - chciałbym kiedyś wrócić, może jak dostanę amerykańskie obywatelstwo.

- To nie byłby dobry pomysł - odparł pośpiesznie.

- Dlaczego?

Przyjaciel uważnie przyglądał się swojej szklance.

- Kalinin wciąż powtarza, że jeśli jeszcze kiedyś pojawisz się w Moskwie, już nigdy nie wyjedziesz.

- Co to znaczy?

- Twierdzi, że zdradziłeś nasze tajemnice.

- Czy zostałbym aresztowany?

- Gorzej.

Zacząłem żałować, że umówiłem się na to spotkanie.

- Co on może mi zrobić? Przyjaciel skupił się na martini.

- Znalezienie kogoś, kto by cię zabił, nie przedstawiałoby większych trudności.

- To śmieszne.

- To nie jest śmieszne. Nie wiesz, jak teraz wygląda Moskwa. Zabicie człowieka można zlecić za dziesięć tysięcy dolarów.

Moje zdziwienie tym bardziej go zdenerwowało. Wyjął chusteczkę i otarł twarz z potu.

- W porządku - powiedziałem wreszcie. -
Dziękuję za radę.

Wstał od stolika, mówiąc, że jego samolot odlatuje nazajutrz z samego rana. Podaliśmy sobie ręce. Obiecaliśmy, że „będziemy w kontakcie”. Z ulgą pomieszaną z irytacją patrzyłem, jak znika w tłumie.

Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek uda mi się zatrzeć piętno przeszłości. Pomyśl, że Kalinin mógł zaangażować mafiosów, aby mnie zamordowali, wydawał mi się śmieszny i niedorzeczny. Pięć lat to zbyt długi czas, aby nadal żywić do kogoś urazę. Dlaczego kogokolwiek w Moskwie miałyby interesować

moja wiedza na temat programu, który rzekomo już nie istniał?

I wówczas zrozumiałem: moi dawni towarzysze nie bali się tego, co powiem Amerykanom o przeszłości. Obawiali się mojej wiedzy o teraźniejszości.

Kalinin nie był jedynym Rosjaninem, którego zezłościła moja ucieczka do Ameryki. Oleg Ignatiew, były szef zarządu broni biologicznych w Komisji Wojskowo-Przemysłowej, a obecnie członek prezydenckiego komitetu do spraw kontroli zbrojeń, zwierzył się jednemu ze swych amerykańskich gości, że kupił dwie małpy.

- Jedną nazwałem Pasecznik, drugą Alibekow - powiedział. - Kiedy jestem w złym humorze, biję jedną albo drugą.

Przesłuchania zakończyły się pod koniec 1993 roku. Od czasu do czasu nadal rozmawiałem z wysokimi urzędnikami i moje obawy wyrażane w związku z Rosją zaczęły spotykać się z aprobatą przynajmniej w kręgach wywiadu i wojska. Jednak nawet ci, którzy dzielali moje wątpliwości i nie wierzyli, że Rosja całkowicie odstąpiła od badań nad bronią biologiczną, uważali, iż ryzyko takiego „wskrzeszonego” programu było niewielkie.

Argumentowali, że Moskwa zbyt dużą wagę przywiązuje do dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, aby ryzykować ich pogorszenie. Poza tym, mówili, nie ma powodu, dla którego Kreml miałby trwonić fundusze na broń biologiczną, skoro jedyne zagrożenie, jakiego Moskwa może się

spodziewać ze strony Europy i Stanów Zjednoczonych, to żądania wierzycieli. Odpowiadałem na to, że broń biologiczna może stanowić rozwiązanie szeregu problemów związanych z bezpieczeństwem. ^

Dzisiejsza armia rosyjska jest zdemoralizowana. Katastrofalna wojna w Czeczenii ujawniła braki w wyszkoleniu poborowych, a oficerowie miesiącami nie otrzymywali wynagrodzenia. Tymczasem osłabiona armia rosyjska sprostać musi wyzwaniom, których jest znacznie więcej niż w okresie zimnej wojny, takim jak ruchy separatystyczne na Kaukazie, wojny domowe w Azji Środkowej, rozprzestrzenianie się muzułmańskiego fundamentalizmu z Iranu i Afganistanu oraz napięcie wywołane przez rozwijające się Chiny. Dwudziestowieczne widowisko w postaci

„wojny totalnej” ustąpiło miejsca pogłębiającym się konfliktom etnicznym, narodowościowym i religijnym. Biologiczna broń może odegrać poważną rolę w takich starciach, często rekompensując słabość bądź nieefektywność sił konwencjonalnych.

Na wiele miesięcy przed wycofaniem sił radzieckich z Afganistanu w 1989 roku wysoki oficer XV Zarządu zdradził mi, że Związek Radziecki zastosował broń biologiczną w walce z mudżahedinami. Pomędzy rokiem 1982 a 1984 nastąpił co najmniej jeden atak z użyciem bomb zawierających nosaciznę, a zapewne było ich znacznie więcej. Zdaniem mego informatora wykorzystano w tym celu samoloty Il-28, startujące z lotnisk wojskowych w południowej Rosji.

Oficer powiedział mi o tym jakby mimochodem, jednak najwyraźniej był dumny z tych ataków, a także z tego, że mógł pochwalić się szczegółami tajnej operacji, o której nic nie wiedziałem.

Kiedy wspomniałem o tej rozmowie przesłuchującym mnie Amerykanom, jedna z pracowniczek wywiadu wyglądała na zaskoczoną. Stwierdziła, że wśród afganskich partyzantów w czasie wojny rzeczywiście okresowo wybuchały epidemie, których nie potrafiono wyjaśnić.

Nabrałem jeszcze większej pewności po tym, gdy w kwietniu 1998 roku przeczytałem artykuł zamieszczony w piśmie „Ściśle Tajne”, ujawniający, że swierdłowski zakład w latach osiemdziesiątych produkował broń biologiczną „stosowaną przeciwko

maszynom”. Nie słyshałem o pracach nad takimi substancjami, kiedy zostałem wicedyrektorem Biopreparatu, ale w latach siedemdziesiątych prowadzono badania nad pewnym szczepem *Pseudomonas* z uwagi na jego własności korodujące. Osoba przekazująca tę informację gazecie mogła przez przypadek lub celowo pomylić go z nosacizną, która wówczas przez biologów zaklasyfikowana była do tego samego rodzaju. Choć później otrzymała inny naukowy termin, w owym czasie nosacizna nazywana była *Pseudomonas mallei*. Choroba wywołana przez ten zarazek nie jest zazwyczaj śmiertelna dla ludzi, my jednak uważaliśmy, że to znakomita broń na polu walki. Patogen rozpylony przez jeden tylko samolot lecący nad wojskami nieprzyjaciela mógł

„unieruchomić” całą dywizję albo unieszkodliwić oddziały partyzantów, ukrywające się na trudno dostępnych terenach - takich jak w Afganistanie.

Amerykańscy urzędnicy ostrzegali mnie przed zbytnią krytyką Rosji. Nawet jeśli miałem rację, argumentowali, nie należało Moskwy przypierać do muru ani wywierać przesadnych nacisków.

- Być może obecnie mają miejsce działania budzące wątpliwości - przyznał jeden z nich - jednak dyplomacja wymaga zachowania milczenia.

Nabywcy i sprzedawcy

Latem 1995 roku zatelefonował do mnie pewien człowiek i oświadczył, że jest przedstawicielem rządu Korei Południowej. Wyjaśnił, że dowiedział się o mnie od wspólnego znajomego, i pilnie potrzebuje mojej pomocy. Spotkaliśmy się w zatłoczonej kawiarence pod gołym niebem w Bethesda w Ma-ryland.

Mężczyzna był uprzejmy, przyjacielski i od razu przeszedł do rzeczy.

- Pańska wiedza przedstawia dla nas ogromną wartość - powiedział. - Mógłby pan zarobić dużo pieniędzy, dzieląc się nią z nami. Chcielibyśmy zaprosić pana do Seulu.

Kiedy spytałem, o jakiego rodzaju „wiedzę” chodzi, wyjaśnił, że jego rząd posiada dowody na to, że Korea Północna, która od czterdziestu lat usiłuje zniszczyć swego południowego sąsiada, prowadzi badania nad bronią biologiczną.

- Obawiamy się ich armii, broni jądrowej i sabotażystów - tłumaczył mój rozmówca. - A teraz dowiedzieliśmy się, że grozi nam także atak biologiczny. Może pan być przekonany, że pańskie wysiłki zostaną wynagrodzone. Minister obrony Korei Południowej jest moim bliskim przyjacielem.

Odparłem, aby zwrócił się do mnie poprzez oficjalne waszyngtońskie kanały, jako że nadal ciążyły na mnie pewne zobowiązania wobec tych, którzy pomogli mi uciec z Rosji. Mężczyzna próbował tę sprawę

bagatelizować, twierdząc, że Waszyngton i Seul to bliscy sojusznicy. Przeciwno czemuś takiemu nikt przecież by nie protestował. Ja jednak obstawałem przy swoim i nigdy już mego rozmówcy nie zobaczyłem.

Korea Południowa nie była jedynym państwem, które zwróciło się do mnie o pomoc. Po wykładzie, który wygłosiłem w Bostonie w połowie 1998 roku, wdał się ze mną w rozmowę przedstawiciel ambasady francuskiej. Zaprosił mnie na lunch z urzędnikami ambasady w Waszyngtonie, żeby porozmawiać o „kwestii bioobrony”. Powiedziałem mu, że to delikatny temat, i poprosiłem o wysłanie oficjalnego pisma do badawczo-rozwojowej firmy, w której pracowałem. List taki nigdy do niej nie dotarł.

Podobne propozycje składał także przyjaciel zaprzyjaźniony z rządem Izraela.

Rosnące obawy przed atakiem biologicznym ze strony wrogiego sąsiada lub grupy terrorystycznej przyczyniły się do powstania nowej, szybko rosnącej rzeszy konsultantów do spraw bioobrony. Bioobrona wymaga znajomości poszczególnych patogenów, sposobu ich przenoszenia z miejsca na miejsce oraz potencjalnych skutków ataku. Uchylałem się przed takimi żądaniami, ponieważ bezwiednie znów zaprowadziłoby mnie to ku nowym broniom biologicznym. Na szczęście miałem przeciwwagę - pracę, która mi odpowiadała - toteż mojej rodzinie nie działa się krzywda. Chociaż wynagrodzenie za współpracę z pewnością byłoby bardzo wysokie.

Usługi byłego pracownika Biopreparatu stanowiłyby nie lada okazję bez względu na koszty. Krajowi, który pragnął rozwijać lub udoskonalać broń biologiczną, informacje takie oszczędziłyby miesiące, a może nawet lata kosztownych badań naukowych. Trudno powiedzieć, ilu Rosjan znalazło pracę za granicą, bez wątpienia jednak za ich wiedzę oferowano najwyższe ceny. Co najmniej dwudziestu pięciu byłych specjalistów Związku Radzieckiego od broni biologicznej pracuje obecnie w Stanach Zjednoczonych. Inni przebywają w Europie, Azji albo po prostu zniknęli z pola widzenia. Słyszałem, że wielu z nich pojechało do Iraku i Korei Północnej. Dawny kolega, obecnie dyrektor jednego z instytutów Biopreparatu, powiedział mi, że pięciu naszych naukowców

przebywa w Iranie. W grudniu 1998 roku „The New York Times” donosił, że irański rząd wysłał do Moskwy „naukowego doradcę” bezpośrednio podległego urzędowi prezydenta, aby zwerbował badaczy z naszego programu. W maju 1997 roku ponad stu naukowców z rosyjskich laboratoriów, także z Wektora i Oboleńska, pojechało do Teheranu na Targi Biotechnologii. Sandakczow powiedział mi później, że Irańczycy wielokrotnie odwiedzali Wektor i dążyli do wymiany naukowych doświadczeń. W ostatnim roku gazeta „Ściśle Tajne” donosiła, że przedstawiciel Biopreparatu nawiązał kontakt z ambasadą chińską w Moskwie i zaoferował swoje usługi.

Katastrofalna sytuacja gospodarcza
skłoniła wielu naszych najlepszych

naukowców i techników do poszukiwania pracy tam, gdzie można ją zdobyć. W niektórych laboratoriach zatrudnionym nie wypłacano wynagrodzenia przez kilka miesięcy. Pewien wybitny moskiewski naukowiec, żeby wyżywić rodzinę, sprzedawał kwiaty na Arbacie.

Zachód martwi się, i słusznie, brakiem zabezpieczeń w poradzieckich elektrowniach jądrowych. Troskę powinien wzbudzać także stan zabezpieczeń naszego biologicznego arsenału. Jedna fiołka ze sproszkowanym patogenem zajmuje mniej miejsca niż pudełko papierosów i łatwo ją przemyścić. Kiedy pracowałem w Biopreparacie, względów bezpieczeństwa przestrzegano niezwykle skrupulatnie. Teraz jednak słyszy się plotki, że szkodliwe substancje biologiczne, niegdyś

pilnie strzeżone w rządowych placówkach, krążą w rosyjskim podziemiu kryminalnym.

W naszych laboratoriach każdy patogen opracowywano wraz z instrukcjami informującymi o szczegółach produkcji, począwszy od pierwszej kultury aż po metody suszenia i gotowy produkt. Pełen opis metody wytwarzania broni opartej na węgliku zajmował dwanaście tomów. Aby zaoszczędzić miejsca, XV Zarząd w 1991 roku polecił sporządzenie mikrofilmów wszystkich receptur i przesłanie ich do wojskowych obiektów w Zagorsku (Siergijew Posad), Kirowie i Jekaterynburgu. Obiekty te są pilnie strzeżone, ale zdesperowany naukowiec w trudnej sytuacji materialnej może nie oprzeć się pokusie, aby przemycić jedną malutką rolkę mikrofilmu.

Kreml wprawdzie przywrócił przepisy ograniczające wyjazdy zagraniczne osób posiadających dostęp do tajemnic państwowych, jednak żeby znaleźć nabywców na swoje usługi, naukowcy wcale nie muszą wyjeżdżać z kraju. Niedawno otrzymałem kopię reklamowej ulotki wydrukowanej przez moskiewską firmę Bioeffekt z o.o. W firmie tej pocztą można zamówić trzy szczepy tularemii, będące efektem inżynierii genetycznej. Według Nikołaja Kisliczkina, szefa firmy, są to szczepy zawierają geny odpowiedzialne za wzrost wirulencji tularemii i melioidozy. Chwaląc się, że bakterie te wyprodukowano za pomocą technologii „nieznanych nigdzie poza Rosją”, Kisliczkin utrzymuje, że nadają się one do produkcji szczepionek. Jednocześnie znakomicie musi zdawać sobie

sprawę, że wykorzystać można je także do mniej szczytnych celów. Kisliczkin pracował niegdyś w Oboleńsku jako naukowiec.

Po upadku Związku Radzieckiego w Rosji rozkwitły dziesiątki małych prywatnych firm farmaceutycznych, takich jak Bioeffekt. Stanowią kolejny kanał, którym techniki laboratoryjne, wiedza oraz szczepy bakterii wydostają się poza granice dawnego Związku Radzieckiego, przyczyniając się do alarmującego wzrostu tempa rozprzestrzeniania się broni biologicznych.

Jako wicedyrektor Biopreparatu dwa razy w miesiącu otrzymywałem raporty na temat światowego stanu badań nad bronią biologiczną. Przygotowywało je szereg agencji wywiadowczych, takich jak KGB, GRU i

Miedstatistika, pracująca pod przykrywką instytutu badawczego Ministerstwa Zdrowia.

Według naszej wiedzy żadne z państw satelickich Europy Wschodniej nie prowadziło badań nad bronią biologiczną, choć nasz sprzęt do fermentacji i suszenia pochodził z NRD. Raporty szpiegowskie z 1988 roku donosiły o istnieniu wojskowego biologicznego programu w Iraku, duży kompleks badawczy zlokalizowano także w pobliżu Phenianu, stolicy Korei Północnej. Zdjęcia satelitarne znad północno-wschodnich Chin wskazywały na istnienie w tym rejonie, w pobliżu poligonu, na którym przeprowadza się testy broni jądrowej, dużego obiektu wyposażonego w kadzie fermentacyjne oraz obudowę biobezpieczeństwa. Źródła wywiadowcze podają, że pod koniec lat osiemdziesiątych w

tej okolicy wybuchły dwie epidemie gorączki krwotocznej, choć w przeszłości choroby takie były na tych terenach nieznane. Nasi analitycy doszli do wniosku, że epidemię wywołał wypadek w laboratorium, w którym chińscy naukowcy pracowali nad bojowym zastosowaniem wirusów. Obiekt „zbliżony do zakładu produkcji broni biologicznych” zidentyfikowano także w Niemczech (w Ministerze) oraz dwa podobne we Francji, jednak wiele umknęło naszym wywiadowcom.

Po śmierci Jurija Owczynnikowa w 1987 roku wraz z innymi naukowcami Biopreparatu byłem na jego pogrzebie. Po ceremonii rozmowa zeszła na temat osiągnięć Kuby w dziedzinie inżynierii genetycznej. Ktoś wspomniał, że kubańscy naukowcy modyfikowali genetycznie szczepy bakterii w

dużym farmaceutycznym obiekcie w pobliżu Hawany.

- Skąd taki biedny kraj bierze wiedzę i sprzęt? - spytałem.

- Od nas, oczywiście - odpowiedział z uśmiechem mój rozmówca.

Zdumiony wysłuchałem historii o tym, jak podczas wizyty w Związku Radzieckim w lutym 1981 roku Castro zwiedził laboratorium, w którym poddane transformacji bakterie *E. coli* produkowały interferon, wówczas postrzegany jako klucz do pokonania raka i innych chorób. W rozmowie z Breżniewem Castro tak entuzjastycznie wypowiadał się o tym, co zobaczył, że radziecki przywódca wspaniałomyślnie zaoferował mu pomoc. Szczep *E. coli*, zawierający plazmid używany do wytwarzania interferonu, wysłano do

Hawany wraz ze sprzętem i opisem procedur laboratoryjnych. W ciągu kilku lat na Kubie powstało jedno z najlepszych na świecie laboratoriów inżynierii genetycznej, gdzie, podobnie jak u nas, można było prowadzić zaawansowane badania nad bronią biologiczną.

Generał Lebiedinski odwiedził Kubę w następnym roku, na zaproszenie Castro, wraz z zespołem wojskowych naukowców. Do ich dyspozycji oddano dzie-sięciopokojowy dom nad samą plażą, niedaleko Hawany. Generał chwalił się, że przyjmowano go jak króla. Przed kilkoma miesiącami wybuchła epidemia choroby denga, którą zaraziło się 350 tysięcy osób. Castro był przekonany, że to Amerykanie dokonali ataku bronią biologiczną. Zwrócił się do Lebiedinskiego i jego

naukowców z prośbą o zbadanie szczepu bakterii w specjalnym laboratorium znajdującym się w pobliżu ich siedziby. Wszystkie dowody wskazywały na naturalny wybuch epidemii - szczep był kubański, nie amerykański - jednak Fidelowi Castro nie zależało na wynikach naukowych badań, lecz na doraźnych celach politycznych.

Wkrótce po powrocie Lebedińskiego do Moskwy Castro oskarżył Amerykę o zaatakowanie Kuby bronią biologiczną. Wywołało to wzburzenie opinii publicznej, dowody jednak były nieprzekonujące. KGB zwrócił się do Lebedińskiego, aby wyniki swoich badań zatrzymał dla siebie. Castro niejednokrotnie wysuwał takie zarzuty. Od 1962 roku Kuba dwanaście razy obwiniła Amerykę o niszczenie żywego inwentarza i

upraw. Ostatnie oskarżenie, formalnie zgłoszone Organizacji Narodów Zjednoczonych w 1997 roku, po raz pierwszy w historii powoływało się na artykuł piąty Konwencji o broniach biologicznych. Zarzucano w nim Stanom Zjednoczonym rozpylanie z samolotów nad terytorium Kuby Thripspalmi, owada niszczącego rośliny. Stany Zjednoczone wyjaśniły, że samoloty przewoziły pestycydy do plantacji kawy w Kolumbii.

W 1990 roku zaproszono na Kubę Kalinina w celu omówienia utworzenia nowego obiektu biotechnologicznego, rzekomo służącego do badań podstawowych nad białkami. Kalinin powrócił z przekonaniem, że na Kubie prowadzi się prace nad bronią biologiczną.

Sprawa Kuby stanowi ilustrację śliskich zależności pomiędzy radziecką pomocą naukową udzielaną sojusznikom a umożliwianiem im prac nad bronią biologiczną. Przez dziesiątki lat szkoliliśmy naukowców i budowaliśmy laboratoria w Indiach, Iraku i Iranie. Związek Radziecki organizował wykłady z zakresu inżynierii genetycznej i biologii molekularnej dla naukowców z Europy Wschodniej, Kuby, Libii, Indii, Iranu, Iraku i innych państw. Każdego roku szkolono czterdziestu takich badaczy. Wielu z nich zarządza obecnie programami biotechnologicznymi w swych ojczyznach. Inni zatrudnili dawnych „kolegów z klasy”.

W lipcu 1995 roku Rosja rozpoczęła negocjacje z Irakiem w sprawie sprzedaży dużych przemysłowych kadzi

fermentacyjnych i innego sprzętu, który wykorzystywaliśmy do przemysłowej produkcji broni biologicznej. Podobnie jak Kuba, Irak także utrzymywał, że urządzenia te będą służyły do hodowli białka z przeznaczeniem na paszę dla bydła. Szczególnie podejrzanym elementem transakcji było zamówienie na filtry oczyszczające powietrze w 99,99 procent - takie parametry wymagane były tylko w naszych wojskowych laboratoriach.

Z negocjacji tych wycofano się, zanim pojawiły się o nich wzmianki w zachodniej prasie, jednak pewien pracownik ONZ powiedział mi, że Irak uzyskał sprzęt z innego źródła. Specjalna komisja ONZ, która po wojnie w Zatoce Perskiej miała nadzorować zniszczenie programu broni biologicznej i

chemicznej, została wydalona z Iraku w 1998 roku, nim udało się zlokalizować sprzęt. Wielu podobnych transakcji nigdy nie ujawniono.

Jednym z przedstawicieli Rosji prowadzących negocjacje z Irakiem był Wi-
len Matwiejew, były członek XV Zarządu, a
później wicedyrektor Biopreparatu. Spec-
jalnością Matwiejewa było opracowanie
sprzętu do produkcji broni. Obecnie pełni
obowiązki doradcy technicznego rządu
rosyjskiego.

W 1997 roku pojawiły się pogłoski, że
Rosja przystąpiła do negocjacji w sprawie in-
tratnego kontraktu z Iranem na sprzedaż
sprzętu do hodowli drobnoustrojów, między
innymi kadzi fermentacyjnych, specjalnych
zbiorników i urządzeń filtrujących powietrze.

Podobny sprzęt zaoferowano wcześniej Irakowi.

W niniejszej książce starałem się przedstawić rozwinięty przez Związek Radziecki, ukryty przed światem, skomplikowany program produkcji broni biologicznych. Nie chciałem jednak, aby czytelnik odniósł wrażenie, że prowadzenie wojny biologicznej leży poza zasięgiem uboższych krajów.

W 1989 roku wraz z liczną radziecką delegacją odwiedziłem Delhi, aby zakończyć negocjacje w sprawie wymiany sprzętu farmaceutycznego. Spotkanie przebiegało w serdecznej atmosferze, co stanowiło odzwierciedlenie dobrych stosunków panujących pomiędzy Michaiłem Gorbaczowem a indyjskim przywódcą Rajivem Gandhim. Wymiana doświadczeń naukowych z Indiami nie

była rzeczą wyjątkową. Jeszcze w latach, sześćdziesiątych Lew Telegin, późniejszy wiceminister przemysłu medycznego, nadzorował plan budowy wielkiego zakładu produkcji szczepionek i antybiotyków, oddalonego o cztery godziny jazdy samochodem od Ahmadabadu. Od tamtej pory Związek Radziecki udzielał Indiom pomocy wojskowej i medycznej.

Negocjacje prowadzono w Departamencie Stanu do spraw Biotechnologii, instytucji odpowiedzialnej za koordynację badań i produkcję szczepionek, której siedziba znajdowała się w pobliżu głównego kompleksu rządowego. Obiektu pilnowali uzbrojeni żołnierze. Kiedy nas oprowadzano, zauważyłem, że niektóre obszary są niedostępne, a drzwi chronią cyfrowe zamki.

Jednym z dwóch szefów departamentu był oficer, który w następnym roku złożył oficjalną wizytę w Wektorze.

Kiedy udałem się do toalety, ruszył za mną jak cień jeden ze strażników w cywilu. Słyszałem, jak na korytarzu rozbrzmiewały jego kroki, po chwili wszedł do ubikacji. Nie mogłem pojąć, dlaczego do przedstawiciela zaprzyjaźnionego kraju nie można mieć tyle zaufania, żeby pozwolić mu na chwilę samotności. Ogarnęła mnie wściekłość, ale w końcu się uspokoiłem; w naszych obiektach stosowaliśmy przecież wobec obcych podobne środki ostrożności.

Moi towarzysze zgodzili się, że nadzwyczajne zabezpieczenia i wszechobecność wojska sugerują prowadzenie prac nad bronią biologiczną. Odtąd z większą uwagą

przyglądałem się zakładom, po których nas oprowadzano.

Podczas następnej podróży, która zakończyć miała negocjacje, zawieziono nas do niewielkiego kompleksu biologicznego w Mukteswarze, małej wiosce w Himalajach, położonej w pobliżu granicy z Nepalem. Środków bezpieczeństwa przestrzegano tam jeszcze sumiennie niż w Delhi. Zakazano nam wchodzenia do któregokolwiek z budynków bez osoby towarzyszącej. Jeden z członków naszej delegacji spytał, czym to jest spowodowane.

- To niebezpieczne - usłyszeliśmy. - Badamy tutaj wirusy. Sprzęt przeważnie jest przestarzały, a poza tym nie ma tu nic ciekawego.

Państwa pracujące nad rozwojem broni chemicznych i atomowych niemal zawsze wzbogacają swój arsenał o broń biologiczną. Dzieje się tak szczególnie w przypadku krajów, które za wszelką cenę pragną obronić się przed sąsiadami. Indie graniczą z dwoma wrogimi państwami, Chinami i Pakistanem, z którymi w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wielokrotnie walczyły. Decyzja o przeprowadzeniu prób z bronią jądrową w maju 1988 roku dowiodła, że kraj ten w trosce o własne bezpieczeństwo skłonny jest zignorować opinię społeczności międzynarodowej.

Z raportu przedstawionego pod koniec 1995 roku przez amerykańskie Biuro Szacunków Technologicznych (Office of Technological Assessment) senackiej stałej

podkomisji śledczej wynika, że bronią biologiczną dysponuje prawdopodobnie siedemnaście krajów. Są to: Libia, Korea Północna, Korea Południowa, Irak, Tajwan, Syria, Izrael, Iran, Chiny, Egipt, Wietnam, Laos, Kuba, Bułgaria, Indie, Republika Południowej Afryki i Rosja. W ostatnim okresie listę uzupełniono jeszcze o kilka państw.

Zwykle techniki wywiadowcze nie pozwalają na zdobycie dowodów, że dane państwo posiada broń biologiczną. Nawet zdjęcia satelitarne o najwyższej rozdzielczości nie pozwalają na odróżnienie dużego zakładu farmaceutycznego od kompleksu zbrojeniowego. Dowody można uzyskać tylko „z pierwszej ręki”. Podejrzenia Zachodu co do radzieckiego programu potwierdziły się po ucieczce Pasecznika. Wysiłki Republiki

Południowej Afryki, zmierzające do wynalezienia środka biologicznego, którym można by się posłużyć przy zabójstwie konkretnych osób, wyszły na jaw wówczas, kiedy przed Komisją Prawdy i Pojednania, prowadzącą śledztwo w sprawie nadużyć apartheidu, stanął dyrektor tego programu. Dopiero po ucieczce w 1995 roku Husajna Kamela, zięcia Saddama Husajna, Zachód dowiedział się o irackim programie broni opartej na zarazkach. Kamei potwierdził, że Irak rozpoczął prace nad programem przed dziesięciu laty w państwowym zakładzie Muthanna, 130 kilometrów na północny zachód od Bagdadu, gdzie naukowcy zajmowali się wąglikiem, toksyną botulinową, rycyniną oraz aflatoksynami, trucizną obecną w kukurydzy, orzechach pistacjowych i innych roślinach.

Kiedy w 1996 roku inspektorzy ONZ zidentyfikowali i zniszczyli główny zakład produkcji broni biologicznych w Al Hakun, Irak zdążył już zgromadzić setki tysięcy litrów płynnej postaci węglika, a także innych patogenów. Irak wszelkimi sposobami opiera się próbom inspekcji i nadal podejrzewany jest o ukrywanie broni biologicznych.

Niektórzy zachodni analitycy utrzymują, że prowadzenie badań nad bronią biologiczną nie stanowi dowodu na to, iż w procesie produkcyjnym rzeczywiście powstaje broń. Twierdzą oni, że kraje o „niższym poziomie” wiedzy laboratoryjnej często nie są w stanie wyprodukować skutecznej broni lub pocisków przenoszących ją do celu. Tymczasem nawet najprymitywniejsza broń

biologiczna wyprodukowana w dostatecznych ilościach potrafi sparaliżować duże miasto.

20 marca 1995 roku członkowie sekty Auma Shinrikyo rozpylili w tokijskim metrze gaz sarin. Dwanaście osób zmarło, ponad pięćdziesiąt pięć zostało poszkodowanych. Zeznania przywódców sekty ujawniły, że Aum Shinrikyo w latach 1990-1995 dziewięciokrotnie na ulicach Tokio i Jokohamy usiłował rozpylać toksynę botulinową oraz laseczki węglika. Seiichi Endo, niegdysiejszy doktorant inżynierii genetycznej, który stał na czele „Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej” sekty, zeznał, że zastosowane metody rozpraszania śmiertelnej substancji z dachów i z mikrobusu okazały się

zawodne, a szczepy nie były dostatecznie wirulentne. Nietrudno jednak znaleźć lepsze.

Wirusy i bakterie zamówić można w każdym z ponad 1500 banków mikrobów rozsianych po całym świecie. Międzynarodowej społeczności naukowców są one niezbędne do prowadzenia badań i wymiany informacji związanych ze zwalczaniem chorób. Istnieje niewiele ograniczeń dotyczących przewożenia pa-togenów przez granice.

Amerykańscy eksperci od broni biologicznej powiedzieli mi, że Irak uzyskał jedne z najbardziej śmiertelnych szczepów wąglika z American Type Cul-ture Collection w Rockville w Maryland, zaliczającej się do największych światowych „bibliotek” mikroorganizmów. Iraccy naukowcy, podobnie jak nasi, o tym, jakie szczepy należy

zamówić, dowiedzieli się z amerykańskiej prasy naukowej. Za trzydzieści pięć dolarów zakupili także bakterie tularemii i wenezuelskiego końskiego zapalenia mózgu, nad którym niegdyś prowadzono prace w Fort Detrick.

W sześć tygodni po ataku Auma Shinrikyo niejaki Lany Harris, członek rasistowskiego ugrupowania białych z Ohio, z katalogu American Type Culture Collection zamówił trzy fiołki dzumy. Podania składać należy na papierze listowym uniwersytetu, toteż Harris sporządził własną papeterię. Właśnie realizowano jego zamówienie, kiedy po niespełna dwóch tygodniach zniecierpliwiony Harris zatelefonował, żeby spytać, dlaczego trwa to tak długo. Szefowie firmy nabrali podejrzeń - poważne instytuty

badawcze wiedzą, że realizacja zamówienia zazwyczaj przekracza miesiąc - co ostatecznie doprowadziło do wydania go policji.

Między innymi z powodu tego incydentu Kongres w kwietniu 1996 roku uchwalił ustawę, na mocy której amerykańskie banki zarazków i firmy biotechnologiczne obarczono odpowiedzialnością za sprawdzanie tożsamości potencjalnych nabywców. Stanowi to z pewnością czynnik odstrasżający, jednak całkowicie nie uniemożliwia dokonywania takich transakcji. Bez względu na to, czy została wyprodukowana w państwowych laboratoriach, czy uczyniła to grupa terrorystyczna lub szaleńcy, broń biologiczna przestała być pilnie strzeżoną tajemnicą zimnej wojny i trafiła na rynek międzynarodowy.

27 grudnia 1998 roku w Pomonie, na przedmieściach Los Angeles, 750 osób poddano kwarantannie, ponieważ ktoś zadzwonił na policję z informacją, że w nocnym klubie Glass House uruchomiono aerozol z laseczkami węglika. Okazało się to głupim żartem, którego konsekwencją było poddanie przebywających w klubie czterogodzinnej kwarantannie. To ostatni przypadek z szeregu podobnych „węglkowych dowcipów” - w ostatnich dwóch tygodniach grudnia 1998 roku było ich ponad tuzin. O ile pogorszy się sytuacja w grudniu 1999 roku?

BLOOBRONA

Oznaki ataku biologicznego

Poniższa część zawiera spis oznak pozwalających na stwierdzenie, czy nastąpił atak z użyciem broni biologicznej).

Oznaki - opis

Nadmiernie wysoka liczba ludzi chorych, zmarłych lub padłych zwierząt na danym obszarze. Atakowi biologicznemu może towarzyszyć dowolna liczba objawów. Członek programu obrony cywilnej (first responders) podejmujący działania powinien dowiedzieć się, czy do okolicznych szpitali trafiły osoby z podobnymi objawami.

Ofiary pojawić się mogą w ciągu kilku minut, godzin, dni, a nawet tygodni po ataku.

Czas, po jakim wystąpią pierwsze objawy, zależy od patogenu... Kiedy zaobserwujemy atak bronią biologiczną, z punktu widzenia obrony cywilnej zawsze należy wziąć pod uwagę, że objawy zazwyczaj występują z opóźnieniem.

Z podręcznika obrony cywilnej przed atakiem chemiczno-biologicznym:

Praktyczny podręcznik obrony cywilnej,
1998

Z faktu, iż padliśmy ofiarą broni biologicznej, możemy zdać sobie sprawę, kiedy będzie już za późno. Dopiero po kilku dniach, a nawet tygodniach - po pierwszej fali zgonów - stwierdzimy, że nastąpił atak. Niewielu terrorystów będzie chciało ostrzec o

swoich zamiarach. Nawet nieznaczna ilość Marburga czy Eboli rozpylona w metrze w Waszyngtonie, Bostonie lub Nowym Jorku, na lotnisku, w hipermarkecie lub centrum finansowym może doprowadzić do setek tysięcy ofiar śmiertelnych.

W ostatnich dwudziestu latach naukowcy opracowali szczepy wąglika, dżumy, tularemii i nosacizny odporne na działanie antybiotyków. Badania Biopreparatu udowodniły, że wirusy i toksyny można modyfikować genetycznie, aby zwiększyć ich zjadliwość, co umożliwi opracowanie patogenów zdolnych pokonać dzisiejsze szczepionki. Arsenał państwa, zdecydowanego na użycie broni biologicznej, lub grupy terrorystycznej mógłby zawierać bomby z tularemią, wąglikiem, gorączką Q, zarazkami duru

epidemicznego, ospą, brucelozą, wenezuel-
skim końskim zapaleniu mózgu (VEE), tok-
syną botulinową, chorobą denga, wirusem
kleszczowego rosyjskiego zapalenia mózgu,
gorączką Lassa, Marburgiem, Ebo-lą,
Machupo (boliwijską gorączką krwotoczną),
Juninie (argentyńską gorączką krwotoczną) -
żeby wymienić tylko kilka chorób, nad
którymi pracowano w naszych laboratoriach.
Arsenał taki zawierać mógłby także środki
neurologiczne, oparte na związkach chemicz-
nych wytwarzanych przez ludzki organizm.

Produkcja broni biologicznych jest zn-
acznie łatwiejszym zadaniem niż zbudowanie
skutecznego systemu bioobrony. Nasza
obecna wiedza pozwala na przekształcenie w
broń około siedemdziesięciu rodzajów bak-
terii, wirusów, ri-ketsji i grzybów. Skutecznie

leczyć potrafimy zaledwie od dwudziestu do trzydziestu procent chorób wywoływanych przez te patogeny.

Niewielu Amerykanów zdaje sobie sprawę, że żyją w stałym zagrożeniu. Prezydent Clinton 14 listopada 1994 roku wydał dekret numer 12 938, w którym mowa jest o tym, że potencjalne ataki bronią jądrową, biologiczną i chemiczną dokonane przez wrogie państwa lub grupy terrorystyczne stanowią „ogromne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, polityki zagranicznej oraz gospodarki Stanów Zjednoczonych”. Dekret zakazał Amerykanom udzielania pomocy krajom (bądź jednostkom) w uzyskiwaniu, projektowaniu, produkcji i składowaniu broni chemicznych lub biologicznych i jednocześnie postawił

USA w stan pogotowia. Od tamtej pory dekret odnawiano co roku, a w 1998 uzupełniono o zapis zakazujący handlu sprzętem, który pośrednio mógłby służyć do wytwarzania broni biologicznych.

W czerwcu 1995 roku Clinton przedstawił zarys nowej polityki wymierzonej przeciwko „superterrorystom” - wykorzystującym broń masowego rażenia. Obecnie, w wyniku prowadzenia takiej polityki, departamenty Obrony, Energii i Stanu wraz z FBI i CIA nadzorują rozległą sieć wojskowych i cywilnych instytucji, zajmujących się wykrywaniem potencjalnych biologicznych i chemicznych ataków oraz ponoszących odpowiedzialność za usuwanie ich skutków. Do instytucji tych należą USAMRIID, Centra Kontroli Chorób (Centers for Disease Control) w

Atlancie, Laboratorium Chorób Tropikalnych Departamentu Rolnictwa, Narodowe Laboratorium Lawrence'a Livermore a w Kalifornii oraz Narodowe Laboratorium Sandia w Nowym Meksyku. Równocześnie do działań takich przystosowano istniejące jednostki wojskowe, takie jak: Korpus Chemiczny i Biologiczny Sił Szybkiego Reagowania Marines (CBIRF), Techniczną Jednostkę Pomocniczą Armii oraz Awaryjny Zespół Badawczy Departamentu Energii Jądrowej (NEST).

W 1997 roku rząd przydzielił 52,6 miliona dolarów Krajowemu Funduszowi Gotowości na utworzenie specjalnych „zespołów szybkiego reagowania” (obrona cywilna) w 120 wybranych miastach Stanów Zjednoczonych. Policja, straż pożarna oraz pracownicy służby zdrowia przeszli specjalne szkolenia i

otrzymali sprzęt pozwalający na ograniczenie szkodliwości potencjalnego ataku i zwalczanie biologicznego oraz chemicznego terroryzmu. Denver było pierwszym miastem programu pilotażowego. W 1998 roku dołączyły do niego Nowy Jork, Los Angeles, Chicago, Houston, Waszyngton, Filadelfia, San Diego i Kansas City.

Pełny stan gotowości zostanie osiągnięty pod koniec 1999 roku. Równocześnie trwają prace nad poprawą bezpieczeństwa budynków użyteczności publicznej poprzez instalowanie bezpiecznych systemów wentylacyjnych i unowocześnienie filtrów powietrza.

22 maja 1998 roku, przemawiając do absolwentów Akademii Marynarki Stanów Zjednoczonych w Annapolis, prezydent

Clinton ogłosił pięcioletni plan stworzenia rezerwy szczepionek i antybiotyków, żeby chronić wszystkich Amerykanów przed konsekwencjami ataku bronią biologiczną, na który to projekt przewidziano 420 milionów dolarów. Inicjatywa ta miała stanowić rozszerzenie programu szczepień ochronnych dla żołnierzy, obowiązującego od pięciu lat. Od tamtej pory terroryzm biologiczny stał się jednym z najpoważniejszych zagrożeń bezpieczeństwa USA. W 1998 roku armia amerykańska przeprowadziła operacje w Sudanie, Afganistanie i Iraku; w styczniu następnego roku Clinton ujawnił nowy plan zwalczania terroryzmu wewnętrznego. „Od zakończenia walki z terroryzmem dzieli nas jeszcze daleka droga - powiedział w przemówieniu wygłoszonym na forum

Narodowej Akademii Nauk - ponieważ poszukuje on nowych narzędzi zniszczenia. Wrogowie pokoju zdają sobie sprawę, że nie pokonają nas tradycyjnymi metodami, toteż przygotowują atak innego rodzaju”.

Clinton zadeklarował zamiar przeznaczenia w 2000 roku 1,4 miliarda dolarów na powołanie i wzmocnienie wielkomiejskich zespołów szybkiego reagowania obrony cywilnej, ochronę rządowych budynków, poprawę skuteczności wykrywania ataków biologicznych i identyfikacji patogenów oraz zwiększenie krajowych zapasów szczepionek i antybiotyków. Niemal 400 milionów dolarów przeznaczone zostanie na unowocześnienie technologii wykrywania zagrożeń oraz badania nad nowymi szczepionkami.

Po prezydencie głos zabrała Donna Shalala, sekretarz zdrowia. „Po raz pierwszy w historii Ameryki publiczny system opieki zdrowotnej został bezpośrednio zintegrowany z narodowym systemem bezpieczeństwa” - powiedziała. Prezydent zaapelował do Amerykanów, aby nie wpadali w panikę. Podkreślił, że nowe „środki wywiadowcze” nie naruszają swobód obywatelskich.

Ameryka uczyniła najwięcej w dziedzinie ochrony swych obywateli przed bronią biologiczną. Pomimo tych wysiłków trudno powiedzieć, czyje obywatele mogą czuć się bezpieczniej, ponieważ brak jest powszechnej zgody co do właściwego podejścia do obrony biologicznej. Program zespołów szybkiego reagowania obrony cywilnej już spotkał się z krytyką. „Takie rozwiązanie jedynie

przesuwa ryzyko na łatwiejszy cel, czyli miasto nieobjęte programem - stwierdził Frank Cilluffo, dyrektor Antyterrorystycznych Oddziałów Specjalnych z waszyngtońskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych, w oświadczeniu złożonym w Kongresie 2 października 1998 roku. - Problem polega na tym, że zakłada się, iż miejsce ataku zostanie zidentyfikowane; a przecież broń biologiczna najprawdopodobniej użyta zostanie potajemnie, nie pozostawiając żadnych śladów”.

Pierwsze ćwiczenia z bioobrony ujawniły poważne niedociągnięcia i brak koordynacji służb miejscowych i federalnych. W symulowanym ataku na Nowy Jork w 1998 roku niemal wszyscy członkowie zespołu ratowniczego wysłani do akcji „zginęli” z powodu

niedostatecznych zabezpieczeń. „Postępowali właściwie - stwierdził pewien federalny urzędnik w wywiadzie dla „The New York Timesa”

- ale rozwój wypadków całkowicie ich przytłoczył”. Zespoły ratownicze miały utrudnione zadanie, nie mogąc ustalić, czym miasto zostało „zaatakowane”.

Wczesne wykrywanie stanowi kluczowy element bioobrony. W zależności od użytej substancji i sposobu jej rozproszenia lekarze i zespoły medyczne mogą mieć nie więcej niż godzinę na powstrzymanie nadciągającej katastrofy.

Począwszy od drugiej wojny światowej, Stany Zjednoczone z różnym skutkiem prowadziły badania nad systemami wykrywającymi. Większość metod polega na

umieszczaniu w podejrzanym rejonie probówek bądź płytek Petriego, zawierających wyhodowane w laboratorium kultury bakterii. Uzyskanie odpowiedzi taką metodą stanowi żmudne zadanie. Polowe wykrywacze używane podczas wojny w Zatoce Per-skiej podają dodatni wynik po trzynastu do dwudziestu czterech godzin. W przypadku botuliny, obecnej w irackim arsenale, byłoby to za późno. Od tamtej pory w technikach wykrywania nastąpił pewien postęp. Zintegrowany System Detekcji Biologicznej (BIDS) skrócił ten czas do zaledwie trzydziestu minut, jednak obecnie może on wykrywać jedynie zawartość węglika, dżumy, botuliny i toksynę gronkowca wywołującą ciężkie zatrucia.

We wrześniu 1998 roku Clinton i Jelcyń uzgodnili w Moskwie program „przyspieszonych negocjacji” w sprawie wzmocnienia treści Konwencji o zakazie broni biologicznych. Stany Zjednoczone dążyły, by zapisy konwencji odpowiadały współczesnym postępom w nauce. Grupa przedstawicieli poszczególnych krajów spotykała się czterokrotnie w 1998 roku, aby sporządzić szkic poprawki o inspekcjach obowiązkowych w krajach podejrzewanych o prace nad bronią biologiczną bądź jej posiadanie. Dyskutowano także sprawę otwarcia zakładów biologicznych dla regularnych wizyt międzynarodowych inspektorów oraz ustanowienia jednostki badającej podejrzaną wybuchy epidemii. Kolejne pięć spotkań grupy zaplanowano w 1999 roku. Rozmowy dotyczyć mają

metod powstrzymania transferu niebezpiecznych technologii za pośrednictwem Internetu, na konferencjach naukowych i poprzez program wymiany studentów.

Poprawki te, jeśli zostaną uchwalone, częściowo ograniczą dalsze rozprzestrzenianie się niebezpiecznych technologii. Ale zdeterminowane państwo prawdopodobnie znajdzie sposób na obejście tych ograniczeń. Przyjrzyjmy się Irakowi, gdzie specjalna komisja ONZ otrzymała niemal nieograniczoną władzę, aby monitorować program rozbrojeniowy narzucony przez Radę Bezpieczeństwa ONZ po wojnie w Zatoce Perskiej. Zastosowane tam środki są znacznie bardziej surowe niż te, jakie zostałyby zapisane w poprawkach do konwencji - i stanowią przez to naruszenie bezpieczeństwa narodowego,

na co większość krajów nie wyraziłaby zgody. Jednak pomimo okresowego zagrożenia atakami (do których dochodziło już kilkakrotnie), Irak sprzeciwiał się obecności inspektorów ONZ. Jak wobec tego zamierzamy wymóc podporządkowanie się dyrektywom ONZ takim krajów jak Chiny, Indie czy Rosja?

W Ameryce najgłośniejsze protestowały firmy biotechnologiczne z sektora prywatnego, które utrzymują, że dopuszczając inspektorów do laboratoriów i zakładów produkcyjnych, padną ofiarą szpiegostwa przemysłowego. Biotechnologia stanowi gałąź przemysłu o wartości wielu milionów dolarów. W latach 1989-1996 liczba firm na terenie Stanów Zjednoczonych opracowujących leki nowej generacji wzrosła z 45 do 113.

Dzisiejsze badania w dziedzinach takich jak medycyna, przemysł i rolnictwo często wymagają pracy z patogenami wykorzystywanymi do produkcji broni biologicznych.

Odpowiedzią na te zastrzeżenia była propozycja negocjacji sposobu przeprowadzania inspekcji laboratoriów komercyjnych przez kraje, w których miałyby być one dokonywane. Zakłady uprzedzone o kontroli mogłyby przeprogramować komputery i sprzęt produkcyjny. Prowadzone są także prace nad nowymi technikami pozwalającymi na ukrycie „tajnych” (stanowiących tajemnicę handlową) sekwencji DNA, jednocześnie dające inspektorom możliwość wykrywania obecności podejrzanych mikroorganizmów. Na rynku pojawiły się również skomplikowane, oparte na mikroprocesorach systemy

biosensorów, pozwalające na bezinwazyjne badanie genów. Wszystkie te metody mają swoje mankamenty. Jeśli dane państwo posiada program broni biologicznych, nic nie zapobiegnie ukryciu go pod płaszczykiem ochrony tajemnic handlowych.

Układy rozbrojeniowe są ważne, ustanawiają standardy międzynarodowego postępowania w kwestiach pozyskiwania i stosowania broni masowego rażenia. Jednak niemal zawsze są ignorowane, kiedy zainteresowane kraje uznają, że zagrożone jest ich bezpieczeństwo.

Amerykański plan składowania szczepionek chroniących przed patogenami jest największym tego rodzaju programem na świecie. Choć niektóre elementy wcielono już w życie, jego ograniczenia wydają się

oczywiście. Pentagon wprowadził obowiązkowe szczepienia żołnierzy w 1993 roku. 2,3 miliona amerykańskich żołnierzy otrzymało już zastrzyki przeciwko wąglikowi, który obecnie uważa się za największe zagrożenie z uwagi na jego udokumentowaną obecność w arsenale Saddama Husajna. Ale nie przewiduje się żadnych szczepionek przeciwko innym czynnikom chorobotwórczym, zmagazynowanym przez Husajna, takim jak toksyny z pleśni groźne dla bydła i stanowiące czynnik rakotwórczy dla ludzi, jad kiełbasiany i ospa. Dodatkowy koszt takich szczepień byłby ogromny (sześcioletni program szczepień przeciw wąglikowi kosztować będzie armię 130 milionów dolarów), a szczepionki nie są pozbawione skutków ubocznych. Ponadto nie wszystkie czynniki

są nam znane ani nie zawsze dysponujemy skuteczną szczepionką.

Szczepionki pobudzają wytwarzanie przeciwciał zwalczających konkretne choroby. Niektóre podaje się doustnie, ale większość w postaci zastrzyków domięśniowych. Wytwarzane z żywych, lecz osłabionych mikroorganizmów z reguły są skuteczniejsze od tych, które produkuje się z nieżywych komórkowych lub subkomórkowych składników. Obydwa rodzaje zazwyczaj są dobrze tolerowane, jednak w pewnych przypadkach mogą wystąpić gwałtowne zmiany w układzie krwionośnym i hormonalnym. Niektóre z nich wpływają na pracę serca, płuc, nerek i innych organów. Z punktu widzenia medycyny niewskazane jest łączenie zbyt wielu szczepionek.

Obecnie nie istnieje skuteczna ochrona przeciw brucelozie, nosaciznie i melioidzie oraz chorobom wywoływany przez wirusy takie jak Ebola czy Marburg. Badania na zwierzętach wykazały, że szczepionka przeciw ospie jest nieskuteczna, jeśli zarazki rozpylone zostały w postaci aerozolu. Szczepionkę przeciw tularemii trudno jest wyprodukować, a ponadto może ona wywoływać niebezpieczne skutki uboczne. Spośród szczepionek opartych na czterech szczepach wirusów, wywołujących zapalenie mózgu, pierwsza i najsilniejsza (żywa szczepionka) u 20 procent pacjentów wywołuje reakcje uboczne, a w przypadku dalszych 20 procent okazuje się nieskuteczna. Druga ma ograniczoną skuteczność (działa tylko na trzy postaci choroby), a trzecia i czwarta

wymagają wielokrotnych szczepień i odznaczają się niską skutecznością. Szczepionka przeciw ospie, dostępna w Stanach Zjednoczonych tylko dla pracowników laboratoriów i armii, może być podana przed albo po infekcji. Wymaga okresowych powtórzeń i traci skuteczność po dziesięciu latach, choć w przypadku infekcji ponowne szczepienie jest konieczne już po trzech latach. W przypadku toksyn jadu kiełbasianego i gorączki O zaleca się testy skórne.

Szczepionka przeciw węglikowi stosowana w Stanach Zjednoczonych musi zostać podana sześciokrotnie, zanim organizm nabierze odporności (trzy razy w odstępach dwutygodniowych i trzy razy w odstępach sześciomiesięcznych), przy czym co roku konieczne są jeszcze zastrzyki utrwalające jej

działanie. Szczepionki przeciw węglikowi produkowane w innych krajach podaje się inaczej. Amerykańscy eksperci utrzymują, że coroczne zastrzyki są bezpieczne, chociaż sądzi się, że „żywa” szczepionka stosowana w Rosji niesie ze sobą pewne ryzyko. Jednak naukowcy są zgodni co do tego, że nadmiar szczepień powoduje komplikacje w układzie immunologicznym, w rzadkich przypadkach prowadząc do powstawania nowotworów.

Wielokrotne szczepienia nasilają lub wywołują alergie. W pół godziny po tym, jak po raz ostatni w 1987 roku zaszczepiono mnie przeciw węglikowi, moja twarz spuchła, miałem trudności z oddychaniem i wysypkę na całym ciele. Zażyłem dimidrol, silny antyalergiczny lek dostępny w Rosji (lecz nie w USA) i po kilku godzinach poczułem się

lepiej. Przez następne dziesięć dni leżałem w szpitalu i leki podawano mi dożylnie - jest to tak zwane odczulanie w celu zmniejszenia reakcji organizmu na działanie alergenów. Po podobnych przejściach wielu moich kolegów nie mogło już dłużej pracować nad węglikiem. Wiedziałem, że jest to znak, iż stałem się bardzo wrażliwy na kontakt z „obcym” białkiem oraz że mój układ odpornościowy osiągnął kres wytrzymałości. Pierwszą szczepionkę przeciw węglikowi otrzymałem w 1979 roku, od 1982 roku szczepiony byłem co roku. Otrzymałem także jeden zastrzyk przeciw ospie, dwa przeciw tularemii i cztery przeciw dżumie. Chroniczne alergie, jakie towarzyszą mi w dojrzałym wieku, są bezpośrednią konsekwencją działania szeregu

szczepionek oraz substancji, nad którymi pracowałem.

Szczepionki znakomicie chronią przed poszczególnymi chorobami, jednak to, co czyni je tak skutecznymi w pojedynczych wypadkach, jest także źródłem ograniczeń. Przeciwciała ospy nie chronią przed dżumą. Możliwe jest łączenie szczepionek, w taki właśnie sposób dzieci szczepi się przeciwko dyfterytowi, krztuśco-wi i tężcowi, jednak większość z nich wymierzona jest przeciwko jednemu, konkretnemu mikroorganizmowi. Szczepionka skuteczna w przypadku jednego patogenu niekiedy uodpornia organizm na działanie podobnych mikroorganizmów, a uniwersalne antidotum nie istnieje.

Wykorzystanie szczepień ochronnych w bioobronie ma sens jedynie wówczas, kiedy

wiemy, jaka substancja biologiczna zostanie użyta przez nieprzyjaciela, i kiedy zdołamy określić, przeciwko komu wymierzony jest atak - na przykład przeciw żołnierzom, znajdującym się w zasięgu ostrzału. Jednak rodzaj zagrożenia może ulec zmianie. Nieprzyjaciel świadom, że żołnierzy zaszczepiono przeciw węglikowi, posłużyć się może ospą lub dżumą - lub innym zarazkiem, przed którym nie chronią żadne szczepienia. Żołnierzy możemy zaszczepić przeciw patogenom, których przypuszczalnie użyje nieprzyjaciel, ale nigdy się nie dowiemy, czy nie zdołał on ojjracować broni tak wirulentnej, że zdolna będzie pokonać dostępne odtrutki.

Pomimo wysiłków Amerykanów i poniesionych wydatków znaczenie szczepionek jest

ograniczone w ochronie ludności cywilnej. Jak określić grupę ryzyka? I przed jakimi patogenami należy ją strzec? Program zmierzający do znacznego zwiększenia zapasów szczepionki przeciw ospie w USA (obecnie siedem milionów) mógłby odwieść potencjalnego agresora lub grupę terrorystyczną od zaatakowania tym wirusem, jednak pozostaje wiele innych możliwości. I dokąd wysłano by te siedem milionów szczepionek, gdyby kilka miast zaatakowano równocześnie? W samym tylko Nowym Jorku mieszka ponad siedem milionów ludzi. Czy każde miasto miałoby otrzymać własne zapasy?

Nie namawiam do wykreślenia szczepionek z programu bioobrony, lecz sugeruję trzeźwą ocenę ich skuteczności. Nawet jeśli

stać USA i większość państw Zachodu na długotrwały i kosztowny proces opracowywania, badania i dopuszczania do sprzedaży nowych szczepionek, kraje prowadzące zaawansowane badania nad bronią biologiczną zawsze będą je wyprzedzały o jeden krok.

Niemal dokładnie dziesięć lat po tym, jak w moskiewskiej kwaterze głównej tłumaczyłem radzieckim pułkownikom, w jaki sposób uzbroić międzykontynentalne pociski rakietowe w głowice z zarazkami wąglika i dżumy, w sali konferencyjnej na czwartym piętrze biurowca w Wirginii spotkałem się z dwoma pułkownikami Marynarki Wojennej USA.

Pułkownicy przybyli z bazy treningowej w Quantico, gdzie mieści się „bank wiedzy”,

zwany Laboratorium Wojennym. Wbrew nazwie laboratorium pracują tam nad kwestiami obronnymi: jak ustrzec żołnierzy przed atakiem biologicznym i terroryzmem. Piechota morska przeważnie pierwsza pojawia się na miejscu zdarzenia, przez co szczególnie narażona jest na niekonwencjonalne niebezpieczeństwa, których inne rodzaje wojsk nie muszą się obawiać.

W ostatnich dziesięcioleciach nasza wiedza o immunologii bardzo poszła naprzód. Ogólnie mówiąc, układ odpornościowy człowieka potrafi rozróżniać obce białko od swojego, obce mikroorganizmy od swoich. Gdy wtargną obce, organizm szybko odpowiada produkcją przeciwciał, którymi zwalcza inwazję. Nazywa się to odpornością wrodzoną. Przeciwciała oraz czynniki

przekazujące informację o zagrożeniu mają „pamięć” - potrafią rozpoznać starych nieprzyjaciół i w razie ponownej agresji są gotowe do walki z obcym białkiem.

Szczepienia służą temu, aby wprowadzić do organizmu kontrolowaną ilość zarazków i sprowokować w ten sposób produkcję przeciwciał właściwych dla danej choroby, a ponawianie szczepień służy podtrzymywaniu tej „pamięci”. Dlatego nic nie zastąpi szczepionek w długofalowej ochronie przed konkretnymi chorobami. Ale oprócz tego powinno się dążyć do wzmocnienia wrodzonej odporności, gdyż może ona stanowić przynajmniej czasowo ochronę przed patogenami w pierwszych momentach po ataku, kiedy rodzaj użytej broni biologicznej nie został jeszcze zidentyfikowany.

Jest to wprawdzie dosyć ryzykowna metoda i nie dająca gwarancji powodzenia, jednak cała moja wiedza o broniach biologicznych podpowiada mi, że takie podejście będzie bardziej skuteczne niż umieszczanie detektorów na niezliczonych budynkach publicznych w danym kraju czy gromadzenie gigantycznych zapasów szczepionek przeciw znanym patogenom.

20 maja 1998 roku przedstawiłem Kongresowi projekt systemu obrony przed atakami bronią biologiczną oparty na odporności wrodzonej. W owym czasie niemal wszystkie wysiłki skupiały się na opracowaniu metod wykrywania zagrożenia i szczepionkach (w tydzień później prezydent Clinton zaproponował utworzenie rezerwy szczepionek). Moja niekonwencjonalna

propozycja spotkała się z powszechną krytyką. Ale w ciągu następnych sześciu miesięcy sprawy przyjęły inny obrót.

W grudniu 1998 roku komisja złożona z naukowców wytypowanych przez Instytut Medycyny podległy Narodowej Radzie Badawczej, na której czele stanął Peter Rosen, dyrektor programu pierwszej pomocy z wydziału medycyny na kalifornijskim uniwersytecie w San Diego, zaproponowała, aby w celu zwalczania biologicznego terroryzmu prowadzić badania nad „szerokim spektrum związków antybakteryjnych i antywirusowych” - innymi słowy, żeby położyć nacisk na wrodzoną odporność jako tarczę chroniącą przed bronią biologiczną. Ten postulat był tylko jednym z sześćdziesięciu projektów komisji, przyznano mu jednak

najwyższy priorytet. Poparty autorytetem dwunastu wybitnych naukowców, między innymi doktora Donalda Hendersona, jednego z twórców światowej krucjaty przeciwko ospie, oraz biologa noblisty Lederberga, poj”az pierwszy został doceniony przez profesjonalistów z całego świata.

Marines usłyszeli o mojej propozycji jeszcze przed ogłoszeniem wyników posiedzenia komisji. Doradca Kongresu opowiedział im o wyjaśnieniach, jakie składałem przed komisją gospodarczą w związku z terroryzmem. Spotkanie zaaranżowano w siedzibie firmy naukowo-badawczej, w której obecnie pracuję. Mówiłem, a pułkownicy pilnie notowali moje słowa. W sytuacji tej nie mogłem nie dostrzec pewnej ironii. Dla moich rozmówców byłem

tylko cywilem, naukowcem wysuwającym ciekawe rozwiązanie.

W miesiąc później, w listopadzie, poinformowano mnie, że propozycja programu badań nad odpornością wrodzoną otrzymała wstępną akceptację zwierzchników. Plany programu pilotażowego obecnie są w toku.

Pomagając mej przybranej ojczyźnie w stworzeniu nowego systemu obrony przeciw broniom, które sam niegdyś konstruowałem, często wspominam Rosję - którą kochałem i Kocham nadal. Pragnę dla niej lepszego losu. W wywiadzie dla pewnej rosyjskiej gazety jeden z moich przyjaciół nazwał mnie zdrajcą. Jestem pewien, że zdanie to podziela także wiele innych osób. Kiedy powracam do tej sprawy, dochodzę do wniosku, że nie tyle ja zdradziłem Rosję, ile ona swych obywateli.

Dopóki będzie czynić bohaterów z ludzi opracowujących zakazaną broń, dopóki zamierza pomagać obcym dyktatorom prowadzącym wojnę przeciw własnym narodom, dopóki szkolić będzie lekarzy i nauczycieli w zabijaniu, a za kryminalistów uznawać tych, którzy próbują się temu przeciwstawić, dopóty nie będzie nadziei na lepszą przyszłość. Wiele mówi się o reformach gospodarczych i strukturalnych, ale Rosji potrzebna jest odnowa moralna. Rosja nie zmieni się, dopóki to nie nastąpi.

Jako młody chłopak w Kazachstanie natknąłem się kiedyś na książkę o lekarzu, który ryzykował życie, aby tylko pomóc swym pacjentom. Takim lekarzem chciałem zostać. Nie mogę cofnąć czasu, zniszczyć wyprodukowanych broni i badań, które

zatwierdzałem jako szef programu broni biologicznych Związku Radzieckiego. Ale każdego dnia staram się złagodzić skutki mych działań. Bodźcem jest dla mnie świadomość, że gdzieś w Iraku lub Chinach inny ojciec trojga dzieci zasiada właśnie za stołem konferencyjnym i planuje wymordowanie milionów ludzi. Tylko tak mogę dochować przysięgi Hipokratesa, której przez wiele lat się sprzeniewierzałem.

Załącznik

Radziecki system broni biologicznych

Radzieckie instytucje i zakłady uczestniczące w badaniach, rozwoju i produkcji, 1973-1990

Oto pierwszy wyczerpujący przegląd radzieckiego programu broni biologicznych. Nigdy nie informowano mnie o placówkach podległych KGB. W wypadku, kiedy nie znam dokładnej nazwy danego instytutu, podaję tylko lokalizację. Informacje te nigdy przedtem nie były publikowane.

Ministrowie odpowiedzialni za przemysł obronny zasiadali w Komisji Wojskowo-Przemysłowej, sprawującej kontrolę nad kompleksem wojskowo-przemysłowym

Związku Radzieckiego. Jej przewodniczący był jednocześnie wicepremierem. Komisja bezpośrednio podlegała członkowi Biura Politycznego odpowiedzialnego za sprawy związane z obronnością państwa. Komisja Woj-skowo-Przemysłowa podzielona była na zarządy, zajmujące się różnymi gałęziami przemysłu obronnego. Produkcją i rozwojem broni biologicznych kierował zarząd broni biologicznych.

Głównym organem odpowiedzialnym za prowadzenie wojny był Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego Ministerstwa Obrony. Specjalna Grupa Biologiczna, podlegała temu zarządowi, odpowiadała za doktrynę wojenną i logistykę zastosowania broni biologicznych. Wywiad wojskowy (GRU) odpowiadał za militarne operacje wywiadowcze i

kontrwywiadowcze. Agenci GRU przeprowadzali tajne działania poza granicami kraju, aby nadzorować stopień zaawansowania badań nieprzyjaciela nad bronią biologiczną i zdobywać szczepy pato-genów oraz dokumentację, która mogłaby być użyteczna dla radzieckiego programu broni biologicznych. Zaopatrzenie w broń biologiczną (a także przeprowadzanie prób, zatwierdzanie nowych rodzajów i utrzymywanie odpowiednich zapasów) było nadzorowane przez Specjalną Grupę Zbrojeniową, jednostkę podległą wiceministrowi obrony do spraw przemysłu zbrojeniowego.

XV Zarząd Armii Radzieckiej opracowywał i produkował broń biologiczną. Posiadał specjalne jednostki - niektóre wielkości brygady - przypisane do konkretnych

poligonów, odpowiedzialne także za bezpieczeństwo wojskowych obiektów, w których produkowano broń biologiczną. W wypadku wojny przeprowadzenie ataku bronią biologiczną znalazłoby się w gestii jednostek wojskowych Strategicznych Sił Raketowych oraz sił powietrznych. W latach 1945-1973 XV Zarząd był czołową agencją prowadzącą badania nad bronią biologiczną. Choć jego rola badawcza i planistyczna została zepchnięta na dalszy plan przez Biopreparat, nadal kontrolował arsenał broni biologicznych oraz najważniejsze zakłady zbrojeniowe tego sektora. XV Zarządowi podlegały następujące obiekty i placówki:

Zima, region Irkucka, stacja kolejowa Zima. Zapasy broni biologicznej opartej na węgliku.

Kirów, Instytut Mikrobiologii. Opracowywano tu broń biologiczną (tyfus, gorączka Q, tularemia, bruceloza, nosacizna, wąglik i melioidoza), a także broń opartą na toksynach. Dokonano genetycznych modyfikacji bakterii, produkowano i gromadzono zapasy zarazków dżumy.

Rejon Moskwy, lotnisko wojskowe Kubinka. Baza sił powietrznych, stąd na poligony doświadczalne przewożono ładunek, personel i zwierzęta.

Moskwa, Instytut Techniki Zabezpieczeń. W instytucie wytwarzano sprzęt do produkcji broni biologicznych.

Nukus, Republika Karakalpacka. Poligon doświadczalny, na którym badano działanie środków symulujących broń chemiczną i biologiczną.

Reutow, rejon Moskwy. Składowanie głowic z bronią biologiczną, bomb i „bombek”.

Szychany, rejon Wołgi. Poligon, na którym przeprowadzano testy substancji symulujących broń chemiczną i biologiczną.

Striżi, rejon Kirowa. Produkcja broni biologicznych (wirusy i bakterie). Zakłady powstały pod koniec lat osiemdziesiątych, był to ostatni obiekt zbudowany przez XV Zarząd przed rozpadem ZSRR.

Swierdłowsk (obecnie Jekaterynburg), Instytut Problemów Techniki Wojskowej. Badania nad bronią biologiczną (wąglik, tularemia, nosacizna, melioidoza) i toksycznymi substancjami, między innymi toksyną jadu kiełbasianego. Prace nad wąglikiem odpornym na działanie antybiotyków

oraz nosacizną niewrażliwą na działanie szeregu leków. Produkcja zarazków wąglika, nosacizny. Składowanie wąglika.

Rejon Wołgi, baza sil powietrznych (dokładna lokalizacja nieznana). Baza bombowców, która mogła być wykorzystana do stosowania broni biologicznych podczas wojny w Afganistanie.

Wozroźdienije (Wyspa Odrodzenia), Kazachstan. Poligon doświadczalny, na którym prowadzono badania broni biologicznych. Ośrodek dowodzenia w pobliskim Aralsku.

Zagorsk (obecnie Siergijew Posad), Instytut Wirusologii. Badania i opracowywanie broni opartej na ospie (także małpiej), boliwijskiej gorączce krwotocznej, argentyńskiej gorączce krwotocznej, Marburgu, Eboli,

gorączce Lassa, gorączce z rejonu Wielkich Rowów Afrykańskich, wenezuelskiego końskiego zapalenia mózgu. Badania nad wirusowym zapaleniem mózgu: japońskim, kleszczowym, wschodnim końskim, zachodnim końskim, Saint-Louis i innymi. Produkcja i składowanie ospy.

BIOPREPARAT

Biopreparat powstał w 1973 roku, aby pod przykrywką działalności cywilnej prowadzić tajne badania nad bronią biologiczną. Pierwotnie organizacja podlegała Radzie Ministrów. Personel pochodził głównie z XV Zarządu, który w zasadzie sprawował kontrolę nad Biopreparatem. Reorganizacja rządu w połowie lat osiemdziesiątych podporządkowała Biopreparat Ministerstwu Przemysłu Medycznego i

Mikrobiologicznego, nadal jednak cieszył się on dużą autonomią jako główna instytucja rządowa odpowiedzialna za opracowywanie nowych broni biologicznych. Biopreparat oficjalnie odpowiadał za obiekty cywilne rozrzucone po terytorium całego kraju, prowadzące badania nad szczepionkami, biopestycydami oraz sprzętem laboratoryjnym i szpitalnym. Wiele z tych placówek pracowało równocześnie jako zakłady produkcji broni biologicznych lub znajdowało się w stanie gotowości, aby w razie wojny niezwłocznie przystąpić do produkcji takiej broni.

Berdsk, Technologiczny Instytut Substancji Aktywnych Biologicznie. Instytut opracowywał enzymy do badań nad

genetycznie zmodyfikowaną bronią biologiczną.

Berdsk, Baza Naukowo-Produkcyjna (syberyjska filia Instytutu Biochemii Stosowanej). Obiekt czynny w latach 1975-1981. Opracowywano tutaj metody napełniania głowic bronią biologiczną, a także techniki laboratoryjne do produkcji broni opartej na brucelozie.

Berdsk, zakład produkcyjny. Obiekt rezerwowowy (w razie mobilizacji): dżuma, tularemia, nosacizna i brucelozę. Docelowa zdolność produkcyjna: sto ton każdego rodzaju broni rocznie.

Kiriszi, rejon Leningradu (obecnie St. Petersburg), Biuro Projektów Specjalnych Budowy Maszyn Precyzyjnych.

Opracowywano tu sprzęt do wytwarzania i testowania broni biologicznych.

Kolcowo, rejon Nowosybirska, Instytut Biologii Molekularnej „Wektor”. Badania i opracowywanie broni biologicznych (ospa, Ebola, Marburg, boliwijska gorączka krwotoczna, wenezuelskie końskie zapalenie mózgu, kleszczowe rosyjskie zapalenie mózgu). Badania nad szeregiem innych wirusów do potencjalnego wykorzystania jako broń biologiczna, z HIV włącznie. Opracowanie genetycznie zmodyfikowanych wirusów jako potencjalnej broni oraz nowych technik produkcji broni zawierających ospę i Marburg. Badania genomu wirusów w celu utworzenia „chimery”, broni łączącej cechy kilku wirusów.

Kurgan, kombinat Syntez. Rezerwowo (wrazie mobilizacji) obiekt do wytwarzania broni biologicznej z płynną postacią węgla. Docelowa moc produkcyjna: tysiąc ton rocznie.

Leningrad (obecnie St. Petersburg) Instytut Ultraczystych Biopreparatów. Opracowywanie technik testowania i stosowania broni biologicznych. Badania nad uzbrojeniem w broń biologiczną pocisków samosterujących dalekiego zasięgu.

Łubyczany, Instytut Immunologii. Badania nad czynnikami biologicznymi wykorzystywanymi do osłabiania reakcji układu odpornościowego u ludzi.

Moskwa, Instytut Projektowania Aparatury Biologicznej. Prace nad urządzeniami do wykrywania broni biologicznych, budowa

sprzętu z zakresu biobezpieczeństwa, opracowywanie stosownych procedur.

Moskwa, Instytut Biochemii Stosowanej. Projektowanie sprzętu do wytwarzania i testowania broni biologicznych. Opracowanie standardów przemysłowej produkcji broni biologicznych na wielką skalę.

Moskwa, Instytut Projektowania „Giprobioprom”. Projektowanie obiektów, w których prowadzono badania i produkowano broń biologiczną.

Oboleńsk, rejon Moskwy, Instytut Mikrobiologii Stosowanej. Prace badawczo-rozwojowe nad dżumą, tularemią, nosacizną i wąglikiem. Opracowanie broni opornych na działanie szczepionek (Metol) oraz broni atakujących ośrodkowy oraz obwodowy układ nerwowy (Ogmsko).

Omutninsk, Baza Naukowo-Produkcyjna (dawniej: wschodnioeuropejska filia Instytutu Biochemii Stosowanej). Badania nad zastosowaniem dżumy, tularemii.

Omutninsk, chemiczny zakład produkcyjny. Rezerwowy (w razie mobilizacji) zakład do produkcji dżumy, tularemii i nosaczyny. Docelowa zdolność produkcyjna: do stu ton każdej broni rocznie.

Penza, Kombinat „Biosyntezy”. Rezerwowy (w razie mobilizacji) obiekt do produkcji sproszkowanej postaci broni opartej na węgliku. Docelowa zdolność produkcyjna: pięćset ton niembdyfikowanego węglika rocznie.

Stepnogorsk, Kazachstan. Baza Naukowo-Produkcyjna „Postęp” (dawniej: kazachska filia Instytutu Biochemii Stosowanej). Rezerwowy (w razie mobilizacji)

obiekt do produkcji trzystu ton broni biologicznej opartej na modyfikowanym węgluku w ciągu 250 dni. Zakład zdolny także do produkcji broni zawierającej dżumę, nosaciznę i tularemię. Testy węgluka, nosacizny i Marburga.

Wilno, Litwa, Instytut Immunologii. Badania i prace nad enzymami do badań z zakresu inżynierii genetycznej. Badania posłużyły do opracowania genetycznie zmodyfikowanych broni w innych obiektach bez wiedzy władz instytutu.

Łoskar Ola, Maryjska Autonomiczna Republika, Specjalne Biuro Projektowe Urzędzeń Kontrolnych i Automatyzacji. Biuro projektowało i wytwarzało sprzęt do produkcji i testowania broni biologicznych.

ZAKŁADY PODLEGŁE MINISTERSTWU ROLNICTWA

Alma Ata, Kazachstan, zakład produkcyjny Biokombinat. Rezerwowo (w razie mobilizacji) zakład do produkcji broni biologicznej, głównie wąglika.

Golicyno, Naukowy Instytut Fitopatologii. Instytut opracowywał środki do niszczenia upraw: pszenicy, żyta, kukurydzy i ryżu.

Stacja kolejowa Otar, Kazachstan. Instytut naukowy i poligon doświadczalny. Na poligonie badano skuteczność środków niszczących uprawy oraz broni biologicznych do niszczenia żywego inwentarza.

Pokrow, zakład produkcyjny. Rezerwowo (w razie mobilizacji) obiekt do produkcji ospy (do stu ton) i wenezuelskiego końskiego

zapalenia mózgu (40-80 ton), a także innych broni opartych na wirusach. Rezerwowy zakład do produkcji broni biologicznych niszczących żywy inwentarz.

Taszkient, Uzbekistan, Naukowy Instytut Fitopatologii. Prace badawczo-rozwojowe nad substancjami do niszczenia upraw.

Władimir, zakład badawczo-rozwojowy. W zakładzie opracowywano środki do niszczenia żywego inwentarza, takie jak: afrykańska róża świń, zaraza pyska i racic, zaraza bydłęca itp.

